

J. D. ROBB

ŚMIERĆ O PÓŁNOCY

Tytuł oryginału THREE IN DEATH

„Interlude in Death”

„Midnight in Death”

„Haunted in Death”

INTERLUDIUM W KOSMOSIE

Uczenie się to nie dziecinna zabawa;

Nauka związana jest z cierpieniem

ARYSTOTELES

Szczęśliwe dziecko, którego ojciec idzie do diabła.

SZESNASTOWIECZNE PRZYSŁOWIE

ROZDZIAŁ 1

Różne są oblicza morderstwa. Niektóre są stare jak świat, ich bruzdy wypełnia krew, przelana przez Kaina. Stróż brata okazuje się jego katem.

Zamknięcie tego konkretnego zabójstwa było dość łatwe. Ostatecznie lista podejrzanych była bardzo krótka.

Ale z czasem mieszkańców Ziemi przybyło i wczesną wiosną 2059 roku było ich już tak dużo, że zaczęli opuszczać rodzinną planetę i zapełniać sztuczne światy i satelity. Zdolność tworzenia własnych światów, sama czelność, by porwać się na coś takiego, niestety nie oznaczała, że przestali zabijać bliźnich.

Metody były czasem zdumiewająco wyrafinowane, kiedy indziej - całkiem prymitywne, ale ludzie, pozostając ludźmi, potrafili wbić komuś prosto w serce zaostriżony kołek z powodu kłótni o zagon sałaty.

Przez stulecia natura ludzka wymyśliła wiele sposobów zabijania, przybyło motywów i potencjalnych ofiar. Zrodziła się też potrzeba karania winnych i stworzono po temu cały system.

Karanie winnych i potrzeba oddania sprawiedliwości pokrzywdzonym stały się - a może były od czasów tamtego skrajnego przypadku rywalizacji braci - sztuką i nauką.

W obecnych czasach bardzo szybko morderstwo prowadziło do miejsca odosobnienia. W stalowo - betonowej klatce ma się dużo czasu na rozmyślanie o tym, gdzie popełniło się błąd.

Ale umieszczenie winowajcy tam, gdzie zgodnie z poczuciem sprawiedliwości jego miejsce, pozostało sztuką. Wymagało istnienia całej organizacji. A organizacja pociąga za sobą konieczność stworzenia zasad, technik postępowania, zapewnienia dopływu siły roboczej.

I od czasu do czasu konferencji, by edukować i informować.

Jeśli chodzi o porucznik Eve Dallas, wołała stawić czoło zgrai szalonych ćpunów, niż poprowadzić seminarium na temat morderstwa. Ćpuny przynajmniej nie peszyły człowieka kompletnie.

Jakby mało było tego, że wytypowano ją do udziału w Międzyplanetarnej Konferencji Ochrony Porządku Publicznego i Bezpieczeństwa, jakby nie dość przerażające było to, że jej własny komendant polecił Eve poprowadzić owo seminarium, to jeszcze na dodatek cały ten cholerny spęd miał się odbyć poza Ziemią.

Nie mogli tego zrobić w Nowym Jorku? - myślała Eve, leżąc na brzuchu w hotelowym łóżku. Nie mogli znaleźć żadnego odpowiedniego na to miejsca na całej przeklętej Ziemi? Nie, musieli wysłać gliniarzy i techników w kosmos.

Boże, nienawidziła podróży kosmicznych.

I w całym znanym wszechświecie komisja ustalająca miejsce konferencji musiała wybrać centrum rekreacyjne Olympus. Eve czuła się okropnie nie tylko dlatego, że znajdowała się w kosmosie, ale również dlatego, że musiała wygłosić odczyt na seminarium w sali konferencyjnej jednego z najbardziej luksusowych hoteli należących do jej męża.

To było krępujące.

Podstępny sukinsyn, pomyślała, zastanawiając się, czy zregenerowały się już wszystkie jej mięśnie i kości, które doznały wstrząsu podczas lądowania na Olympusie. Zaplanował to i wcielił w życie. A teraz ona musiała za to płacić.

Musiała udzielać się towarzysko, uczestniczyć w spotkaniach. Musiała - najdroższy Jezu - wygłosić mowę. A za niespełna tydzień będzie musiała znów wsiąść do wyszukanej latającej śmiertelnej pułapki Roarke'a, żeby wrócić do domu.

Ponieważ na samą myśl o tym wywracały jej się wnętrzności, zaczęła rozważać, jakie są plusy spędzenia reszty życia na Olympusie.

Czy byłoby to bardzo trudne?

Znajdowały się tu hotele, kasyna, domy, bary, sklepy. Czyli mieszkali tu ludzie. Tam, gdzie są ludzie - błogosławiona niech będzie ich podstępna natura - tam zdarzają się przestępstwa. A tam, gdzie przestępstwa, są potrzebni gliniarze. Mogła zamienić odznakę Policji Nowego Jorku na identyfikator funkcjonariusza Międzyplanetarnej Jednostki Ochrony Porządku Publicznego.

- Mogłabym pracować w policji międzyplanetarnej - mruknęła pod nosem.

- Naturalnie. - Roarke skończył analizowanie raportu o jednej ze swoich nieruchomości. - Ani się zorientujesz, jak spowszednieje ci podróżowanie z Ziemi na stację kosmiczną czy satelitę. Poza tym wyglądałabyś uroczo w tym niebiesko - białym mundurze i botkach do kolan.

Te słowa podziały na nią jak zimny prysznic. No tak, określenie „międzyplanetarny” w nazwie jednostki ostatecznie nie pozostawia złudzeń.

- Pocałuj mnie gdzieś.

- Proszę bardzo. - Podeszedł do niej, pochylił się i dotknął ustami jej pośladka. A potem zaczął je przesuwać wyżej.

W przeciwieństwie do żony, czuł przyływ energii, kiedy podróżował w kosmosie.

- Jeśli sądzisz, że zgodzę się na bara - bara, kolego, to jesteś w błędzie.

- Zaryzykuję. - Niespiesznie przesuwając ustami wzdłuż jej pleców. Kiedy dotarł do karku, zaczął całować szyję Eve tuż poniżej linii krótko ostrzyżonych, w tej chwili potarganych, włosów. I czując, jak po ciele jego żony przebiegł dreszcz, uśmiechnął się szeroko i przewrócił ją na wznak.

Zmarszczył lekko czoło, dotykając palcem dołka w jej brodzie.

- Jesteś jeszcze trochę blada. Spojrzała na niego chmurnie swoimi złotobrazowymi oczami, a na jej wargach pojawił się złośliwy uśmiech.

- Jak tylko znów stanę na nogi, dzielę cię w tę twoją ładną buźkę.

- Już nie mogę się doczekać. A na razie... - Zaczął rozpinać jej koszulę.

- Zboczeniec.

- Dziękuję, pani porucznik. - Ponieważ należała do niego, co stale wywoływało w nim zachwyty, pocałował ją w dekolt, potem ściągnął jej buty i spodnie. - I mam nadzieję, że wkrótce dojdziemy do części perwersyjnej naszego programu. Ale na razie... - Wziął ją na ręce i wyniósł z sypialni. - Chyba skorzystamy z kilku zabiegów przywracających formę po locie.

- Dlaczego muszę być do nich naga?

- Bo lubię cię nagą. Wszedł do łazienki. Nie, nie do łazienki, pomyślała Eve. To zbyt pospolite słowo na określenie tej oazy zmysłowych rozkoszy.

Wanna przypominała ciemnoniebieskie jezioro, zasilane przez błyszczące, srebrne rury wygięte tak, że podobne były do kwiatów. Krzewy różane, których gałązki ugięły się pod ciężarem białych kwiatów wielkości spodka, rosły po obu stronach marmurowych schodów, prowadzących do części prysznicowej, gdzie po błyszczących ścianach spływała już łagodnie kaskada wody. Wysokie walce suszarek porastała kwitnąca roślinność. Eve uznała, że każdy, kto z nich korzysta, wygląda jak posąg w ogrodowej altanie.

Za szklaną ścianą rozciągało się bezchmurne niebo, któremu filtr, chroniący przed wścibskimi spojrzeniami, nadawał złotawy odcień.

Roarke położył ją na miękkich poduszkach i podszedł do jednego z wygiętych blatów, ciągnących się wzdłuż ścian. Przesunął płytkę i nastawił program na ukrytym pod nią sterowniku.

Woda zaczęła wypełniać wannę, światło przygasło, w powietrzu rozbrzmiały dźwięki kojącej muzyki.

- Biorę kąpiel? - spytała go.

- Na zakończenie sesji. A teraz odpręż się. Zamknij oczy. Nie zrobiła tego. Nie mogła

sobie odmówić przyjemności obserwowania go, jak krzątał się po salonie kąpielowym, dodawał do wanny coś, co przemieniło się w pianę, nalewał do szklanki jakiś jasnozłoty płyn.

Był wysoki i poruszał się z wrodzoną gracją. Jak kot, pomyślała. Duży, niebezpieczny kot, który tylko udaje, że jest oswojony, kiedy mu to odpowiada. Miał czarne, gęste włosy dłuższe niż ona. Sięgały mu prawie do ramion i stanowiły idealne obramowanie twarzy, która przywodziła na myśl mroczne anioły, poetów - jasnowidzów i bezwzględnych wojowników.

Kiedy patrzył na nią tymi swoimi wściekle niebieskimi oczami, czuła, jak miłość wypełnia każdą komórkę jej ciała, nie mogąc pomieścić się w sercu.

Należał do niej, pomyślała. Dawny zły chłopak z Irlandii, który zdobył majątek i pozycję, nie przebijając w środkach.

- Wypij to. Lubił się o nią troszczyć, pomyślała, biorąc szklankę, którą jej podał.

Ona, zagubione dziecko, bezwzględna policjantka, nie mogła zdecydować, czy ją to irytuje, czy też sprawia jej przyjemność. Przypuszczała, że najczęściej po prostu czuje się zakłopotana. - Co to jest?

- Coś dobrego. - Wziął od niej z powrotem szklankę i wypił łyk, żeby to udowodnić.

Kiedy spróbowała, stwierdziła, że jak zwykle miał rację. Na jego twarzy widać było rozbawienie, zbliżył się i dotknął jej ramienia, a Eve zmrużyła oczy i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Zamknij oczy - powiedział i włożył jej okulary ochronne. - Na minutkę - dodał.

Przed jej zamkniętymi powiekami rozbłysło światło. Głębokie błękity i ciepłe czerwienie zmieniały się wolno, tworząc psychodeliczne wzory. Poczwała, jak Roarke masuje jej ramiona i sztywne mięśnie karku. Dłonie miał wysmarowane czymś śliskim, chłodnym i pachnącym.

Poczwała, jak jej ciało odpręża się po trudach lotu.

- To nie takie złe - mruknęła i zapadła w sen.

Zabrał szklankę z dłoni Eve, kiedy jej organizm poddał się działaniu dziesięciominutowego programu odnowy, który dla niej wybrał. Okłamał ją, że trwa to tylko minutę.

Kiedy się odprężyła, nachylił się, by pocałować ją w czubek głowy, a potem przykrył jedwabnym prześcieradłem. Wiedział, że Eve jest u kresu wytrzymałości nerwowej. Jeśli dodać do tego stres i zmęczenie po trudnym śledztwie, które właśnie zakończyła, i bezpośrednio po tym lot na konferencję poza Ziemią, czego nienawidziła, nic dziwnego, że jej organizm się zbuntował.

Zostawił ją śpiącą i wyszedł, żeby dopilnować kilku drobiazgów w związku z imprezą

zaplanowaną na dzisiejszy wieczór. Wrócił akurat wtedy, kiedy rozległ się cichy brzęczyk oznaczający koniec programu. Eve poruszyła się na leżance.

- Rany! - Zamrugnęła powiekami i przesunęła ręką po włosach, kiedy Roarke zdjął jej okulary ochronne.

- Lepiej się czujesz?

- Czuję się świetnie.

- Dość łatwo pokonać zmęczenie podróżą. Po kąpieli będziesz jak nowonarodzona.

Obejrzała się za siebie, zobaczyła, że wanna jest pełna, a na wodzie unosi się piana.

- Jestem tego pewna. - Uśmiechając się wstała i przeszła przez pomieszczenie, by wejść do wanny, wpuszczonej w posadzkę. Kiedy zanurzyła się po szyję, westchnęła głęboko.

- Czy mogę prosić o wino czy też o to, co to było?

- Naturalnie. - Przyniósł szklankę i postawił na szerokim gzymsie za głową Eve.

- Dzięki. Muszę powiedzieć, że to jest... - Urwała i przycisnęła palce do skroni.

- Boli cię głowa, Eve? - spytał zaniepokojony i w tej samej chwili znalazł się w wodzie razem z nią.

Kiedy się wynurzył, uśmiechała się szeroko, trzymając go za jego klejnoty rodowe.

- Fajtłapa - powiedziała.

- Dewiantka. - Nie przeczę. Pozwól, że ci pokażę, jak zakończę ten program regeneracji sił, asie.

*

Odprężona i zadowolona z siebie, po wyjściu z wanny szybko się wysuszyła. Jeśli miała przed sobą jeszcze tylko kilka dni życia, zanim zderzy się z zabłąkanym meteorem i spali na popiół, kiedy wybuchnie paliwo raketowe, w drodze powrotnej do domu, może wykorzystać ten czas na maksa.

Wzięła szlafrok, owinęła się nim i wolno przeszła do sypialni.

Roarke zdążył już włożyć spodnie i przyglądał się czemuś, co wyglądało na jakiś szyfr, który przesuwiał się na ekranie telelącza w sypialni. Na łóżku leżała jej suknia, przynajmniej przypuszczała, że to suknia.

Zmarszczyła czoło i podeszła do łóżka, żeby dotknąć brązowej tkaniny.

- Czyżbym to zapakowała?

- Nie. - Nawet na nią nie spojrzął. I bez tego całkiem wyraźnie oczami duszy widział jej podejrzliwy wzrok. - Zapakowałaś koszulę i spodnie na kilka dni. Summerset poczynił pewne poprawki w twojej garderobie na konferencję.

- Summerset - wysyczała jak wąż. Kamerdyner Roarke'a był zmorą jej życia. - Pozwoliłeś mu grzebać w moich ubraniach? Teraz będę je musiała spalić.

Chociaż Roarke w ciągu ostatniego roku wprowadził znaczne zmiany w jej garderobie, jego zdaniem Eve nadal miała w swojej szafie rzeczy, które należało spalić.

- Rzadko w czymkolwiek grzebie. Jesteśmy już trochę spóźnieni - dodał. - Przyjęcie koktajlowe zaczęło się dziesięć minut temu.

- To tylko pretekst, żeby zgraja gliniarzy się upiła. Nie widzę powodu, żebym miała się z tej okazji tak stroić.

- Posłuż się swoją wyobraźnią, Eve. Jesteś ważną prelegentką i jednym z vipów na tej konferencji.

- Nienawidzę tego. Wystarczy, że muszę towarzyszyć tobie na takich imprezach.

- Nie powinnaś się przejmować tym, jak wypadnie twoje wystąpienie na seminarium.

- Kto powiedział, że się tym przejmuję? - Złapała sukienkę. - Czy dobrze widzę, że jest przezroczysta?

Usta mu drgnęły.

- Niezupełnie.

*

Eve przekonała się, że określenie „niezupełnie” jest nadzwyczaj adekwatne. Materiał wydawał się cienki jak mgiełka, nie krępował ruchów. Ledwo zasłaniał to, co najważniejsze. Ale ponieważ jej wycucie mody można było zmieścić na mikroczipie i jeszcze zostałyby na nim dużo wolnego miejsca, Eve musiała założyć, że Roarke wie, co robi.

Słyszając gwar dobiegający z sali balowej, pokręciła głową.

- Założę się, że połowa z nich już jest wstawiona. Serwujesz tu to, co najlepsze, prawda?

- Nasza ciężko pracująca policja zasługuje na to, co najlepsze. - Znając swoją żonę, Roarke ujął jej rękę i pociągnął Eve za sobą przez otwarte drzwi.

Ogromna sala była wypełniona po brzegi. Zjechali się tu policjanci, technicy i konsultanci z całej Ziemi oraz jej satelitów. Sam kwiat sił porządkowych.

- Nie denerwujesz się, przebywając w jednym pomieszczeniu z czterema tysiącami gliniarzy? - spytała Roarke'a.

- Wprost przeciwnie, moja pani porucznik - odpowiedział ze śmiechem. - Czuję się bardzo bezpiecznie.

- Prawdopodobnie niektórzy z nich kiedyś próbowali cię przyskrzynić.

- Podobnie, jak ty. - Ujął jej dłoń i zanim zdołała go powstrzymać, pocałował. - Spójrz, gdzie cię to zaprowadziło.

- Dallas! - Podbiegła do niej Delia Peabody. Miała na sobie krótką, czerwoną sukienkę, a nie odprasowany mundur. Ciemne włosy nakręciła na wałki i podtapirowała. A wysoki kieliszek, który trzymała, był już do połowy opróżniony, zauważyła Eve.

- Peabody! A więc dotarłaś tutaj.

- Lot przebiegł bez kłopotów, wylądowaliśmy o czasie. Roarke, to naprawdę niesamowite miejsce. Nie mogę uwierzyć, że tu jestem. Naprawdę dziękuję, że mnie tu wkręciłaś, Dallas.

Właściwie Eve nie załatwiła tego, by wyświadczyć Delii przysługę. Doszła do wniosku, że skoro ona ma cierpieć podczas seminarium, to jej partnerka też powinna pocierpieć. Ale wszystko wskazywało na to, że Peabody jest zachwycona.

- Przyleciałam z Feeneyem i jego żoną - ciągnęła - oraz doktor Mirą i jej mężem. Morris i Dickie, Silas z wydziału bezpieczeństwa, Lewart z prewencji też są gdzieś tutaj. I jeszcze kilka osób z komendy głównej i komisariatów dzielnicowych. Policja nowojorska naprawdę jest godnie reprezentowana.

- Świetnie. - Eve mogła się spodziewać, że przez wiele tygodni będą się nabijali z jej wystąpienia.

- Trochę później spotykamy się wszyscy w sali Moonscape.

- Po co? Zaledwie wczoraj się widzieliśmy.

- Na Ziemi. - Peabody niemal wyduła wargi pomalowane ciemnoczerwoną szminką. -

To co innego.

Eve krytycznym spojrzeniem obrzuciła elegancką sukienkę swojej partnerki.

- Nie mów.

- Może przyniosę paniom coś do picia? Dla ciebie wino, Eve? A dla ciebie, Peabody?

- Niebiański Orgazm. Mam na myśli koktajl, a nie reakcję na twój widok.

Rozbawiony Roarke poklepał ją po ramieniu.

- Zajmę się tym.

- Och, bardzo bym chciała - mruknęła Peabody, kiedy zostały same.

- Zamknij się. - Eve rozejrzała się po zebranych, wylawiając gliniarzy pośród ich małżonków, techników i konsultantów. Jej uwagę zwróciła duża grupa zebrana w południowo-wschodnim kącie sali. - Co się tam dzieje?

- Tam jest wielka szycha. Były komendant Douglas R. Skinner. - Peabody wyciągnęła rękę, w której trzymała kieliszek, a potem się napiła. - Znasz go?

- Nie. Ale dużo o nim słyszałam.

- Stał się legendą. Jeszcze mu się nie przyjrzałam, bo cały czas otacza go ze sto osób. Przeczytałam większość jego książek. O tym, jak przeżył wojny miast i dbał o bezpieczeństwo rejonu, za który odpowiadał. Został ranny podczas oblężenia Atlanty, ale się nie dał. To prawdziwy bohater.

- Gliniarze nie są bohaterami, Peabody. Tylko wykonujemy swoje obowiązki.

ROZDZIAŁ 2

Eve nie interesowała się legendami, bohaterami ani emerytowanymi gliniarzami, którzy zgarniali kupę forsy, wygłaszając odczyty albo produkując się w roli konsultantów. Chciała jedynie dokończyć swojego jedyne go drinka, pokazać się na przyjęciu - i to tylko dlatego, że własny komendant jej to nakazał - a potem się ulotnić.

Pomyślała, że wystarczy, jak jutro weźmie się do pracy. Sądząc po gwarze panującym w sali, wszyscy byli tego samego zdania.

Ale okazało się, że zainteresowała się nią żywa legenda.

Ledwo podano jej kieliszek z winem i zaczęła sobie planować najmniej irytującą trasę po sali, kiedy ktoś tracił ją w ramię.

- Porucznik Dallas. - Szczupły mężczyzna o ciemnych włosach tak krótko ostrzyżonych, że jego czaszka wyglądała, jakby była oklejona papierem ściernym, skinął jej głową. - Bryson Hayes, osobisty sekretarz komendanta Skinnera. Komendant bardzo chciałby panią poznać. Proszę pozwolić ze mną.

- Komendant - odpowiedziała Eve, zanim Hayes zdążył się odwrócić - sprawia wrażenie dość zajętego w tej chwili. Będę tu przez cały tydzień.

Hayes wolno opuścił i uniósł powieki i utkwił w niej wzrok.

- Komendant chce poznać panią teraz, pani porucznik. Ma bardzo napięty grafik podczas całej konferencji.

- Idź - szepnęła Peabody, trącając Eve łokciem. - Idź, Dallas.

- Z wielką przyjemnością poznamy komendanta Skinnera. - Roarke rozwiązał problem, odstawiając swój kieliszek, po czym ujął Eve i Peabody pod ramię. Peabody obdarzyła go spojrzeniem pełnym zachwyty, a Eve spojrzała na niego gniewnie, marszcząc brwi.

Nim Hayes zdołał zaprotestować, Roarke poprowadził obie panie przez salę balową.

- Robisz to wyłącznie dlatego, żeby mnie wkurzyć - zauważyła Eve.

- Niezupełnie, ale wielką przyjemność sprawiło mi wkurzenie Hayesa. Odrobina dyplomacji, pani porucznik. - Lekko ścisnął jej ramię. - To jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło.

Zgrabnie przeprowadził je przez tłum i uśmiechnął się dopiero, kiedy Hayes, zaciskając zęby, dogonił ich w ostatniej chwili. Razem przecisnęli się przez otaczający komendanta wianuszek wielbicieli.

Skinner był niski, ledwo sięgał Eve do ramienia. Zaskoczyło ją, że człowiek cieszący się tak wielką sławą jest tak niewielkiego wzrostu. Wiedziała, że komendant ma siedemdziesiąt lat, ale zachował doskonałą formę. Wprawdzie jego twarz pokrywała siateczka zmarszczek, lecz skóra nie była obwisła. Podobnie jak ciało. Nie ukrywał swojej siwizny, nie dopuścił jednak, by włosy mu się przerzedziły. Strzygł je krótko, na rekruta. Jego oczy pod prostymi, siwymi brwiami miały kolor niebieski.

Trzymał małą szklaneczkę z bursztynowym płynem. Na palcu lśnił gruby, złoty sygnet, który dostał na pięćdziesięciolecie służby.

Eve zmierzyła go wzrokiem w ciągu kilku sekund, podobnie jak on ją, co też nie uszło jej uwagi.

- Porucznik Dallas.

- Komendancie Skinner. - Uścisnęła jego wyciągniętą dłoń. Stwierdziła, że jest zimna, sucha i delikatniejsza, niż się tego spodziewała. - Moja partnerka, sierżant Peabody.

Jeszcze przez ułamek sekundy przyglądał się Eve, a potem przeniósł wzrok na Peabody. Wygiął usta.

- Zawsze mi miło spotkać jednego z naszych mundurowych.

- Dziękuję panu. To dla mnie zaszczyt poznać pana, komendancie. Między innymi to pańska działalność skłoniła mnie do wstąpienia do policji.

- Jestem pewien, że Komenda Policji w Nowym Jorku ma szczęście, że pani tam służy. Pani porucznik, chciałbym...

- Mój mąż - przerwała mu Eve. - Roarke. Wyraz twarzy Skinnera się nie zmienił, ale stał się bardziej oficjalny.

- Tak, rozpoznałem Roarke'a. Przez kilka ostatnich lat swojej pracy zajmowałem się pańską osobą.

- Pochlebia mi to. Domyślam się, że to pańska żona. - Roarke skupił swoją uwagę na kobiecie stojącej obok Skinnera. - Miło mi panią poznać.

- Dziękuję. - Miała łagodny głos mieszkanki południa Stanów Zjednoczonych. - Pański Olympus to wspaniałe osiągnięcie. Już się nie mogę doczekać, kiedy poznam go lepiej podczas naszego pobytu tutaj.

- Z największą radością zorganizuję wycieczkę i transport.

- Jest pan zbyt uprzejmy. - Przesunęła lekko dłonią po ramieniu męża.

Była niezwykłą kobietą. Eve pomyślała, że musi być mniej więcej w wieku swojego męża, ponieważ jego wieloletnie małżeństwo stanowiło część nieskalanej opinii Skinnera. Ale albo wyjątkowe DNA, albo doskonały zespół chirurgów plastycznych sprawił, że zachowała

młodzieńczą urodę.

Miała czarne włosy, a karnacja jej skóry świadczyła, że w jej żyłach płynęła krew przedstawicieli różnych ras. Włożyła dziś wąską, srebrną suknię i brylanty jak gwiazdy. Nosiła je z taką swobodą, jakby się do tego urodziła.

Spojrzała na Eve z grzecznym zainteresowaniem.

- Mój mąż podziwia pani osiągnięcia zawodowe, porucznik Dallas, a trzeba być kimś niepospolitym, by zasłużyć sobie na jego podziw. Roarke, może damy tej dwójce policjantów trochę czasu, żeby mogli porozmawiać o sprawach zawodowych?

- Dziękuję, Belle. Wybaczmy nam pani, Peabody? - Skinner wskazał stolik, otoczony przez trzech ochroniarzy w czarnych garniturach. - Pani porucznik? Pozwoli pani? - Kiedy usiedli, mężczyźni cofnęli się o krok.

- Ochrona na konferencji gliniarzy?

- Przyzwyczajenie. Założę się, że ma pani w torebce broń i odznakę. Lekko skinęła głową. Wolałaby mieć je przy sobie, ale nie pozwalał na to krój sukni.

- O co chodzi, komendancie?

- Belle ma rację. Podziwiam pani osiągnięcia zawodowe. Kiedy się dowiedziałem, że weźmiemy udział w tej samej konferencji, zaintrygowało mnie to. Na ogół nie wyraża pani zgody na wygłaszanie odczytów.

- To prawda. Wolę pracować w terenie.

- Tak samo jak ja kiedyś. To jak wirus. - Odchylił się na oparcie i uniósł szklaneczkę do ust. Eve z zaskoczeniem zauważyła, że ręka lekko mu drży. - Ale praca w terenie niekoniecznie oznacza, że trzeba patrolować ulice. Ktoś musi dowodzić zza biurka, z gabinetu, z kwatery.

Dobry policjant, inteligentny policjant, awansuje. Tak jak pani awansowała, pani porucznik.

- Dobry policjant, inteligentny policjant prowadzi śledztwa i wsadza do więzienia złoczyńców.

Skinner roześmiał się krótko.

- Uważa pani, że to wystarczy, żeby sobie zasłużyć na belki kapitana, na gwiazdę komendanta? Nie, słowo „naiwna” nie pojawiło się w żadnych raportach, jakie o pani czytałem.

- Dlaczego czytał pan raporty na mój temat?

- Może nie jestem czynnym policjantem, ale nadal pozostaję konsultantem. Nadal wtrącam swoje trzy grosze. - Nachylił się ponownie. - Zajmowała się pani kilkoma bardzo

poważnymi sprawami o morderstwo, pani porucznik, i udało się pani ująć sprawców. Wprawdzie nie zawsze pochwalam pani metody pracy, ale jej rezultaty pozostają niekwestionowane. Rzadko uznaję policjantkę za wartą tego, by została dowódcą.

- Przepraszam, co ma do tego płęć? Skinner uniósł rękę w taki sposób, że Eve zorientowała się, iż już wcześniej prowadził dyskusje na ten temat i był nimi znużony.

- Według mnie mężczyźni i kobiety zostali stworzeni do różnych celów. Mężczyźni są wojownikami, żywicielami, obrońcami. Kobiety są matkami, opiekunkami. Liczne teorie naukowe to potwierdzają, a z całą pewnością wzorce społeczne i religijne to umacniają.

- Czyżby? - spytała cicho.

- Mówiąc szczerze, nigdy nie akceptowałem kobiet w policji i na pewnych stanowiskach w administracji państwowej. Często rozpraszają uwagę i rzadko są w pełni dyspozycyjne. Małżeństwo i dzieci szybko odsuwają wszystko inne w cień, tak jak powinno być w przypadku kobiety.

- Komendancie Skinner, w tych okolicznościach najdelikatniej mogę wyrazić swoją opinię mówiąc, że wstawia mi pan głodne kawałki.

Wybuchnął długim, głośnym śmiechem.

- Pani porucznik, widzę, że opinia, jaką się pani cieszy, nie jest nic a nic przesadzona. Z pani akt wynika również, że jest pani bystra i nie traktuje pani odznaki jak broszki, którą Codziennie rano bierze pani z toaletki. Jest pani naprawdę oddana swej pracy. I pod tym względem jesteśmy do siebie podobni. Przez pięćdziesiąt lat robiłem to, co należało zrobić, a potem zajmowałem się kolejną sprawą. W wieku czterdziestu czterech lat zostałem komendantem. Czy chciałaby pani móc kiedyś to samo powiedzieć o sobie?

Wiedziała, kiedy ktoś próbuje ją podpuszczać, więc zachowała obojętną minę i ton.

- Nie myślałam o tym.

- Jeśli to prawda, rozczarowała mnie pani. Jeśli to prawda, proszę zacząć o tym myśleć. Czy wie pani, pani porucznik, o ile bliżej byłaby pani teraz awansu na kapitana, gdyby nie podjęła pani kilku nierozsądnych decyzji osobistych?

- Naprawdę? - Poczowała pieczenie w trzewiach. - A skąd pan wie, jak szybko może zrobić karierę policjantka z wydziału zabójstw w Nowym Jorku?

- Postarałem się o to, żeby wiedzieć takie rzeczy. - Zacisnął wolną rękę w pięść i lekko, rytmicznie zaczął nią uderzać w stolik. - Nie zdołałem zamknąć jednej sprawy, czego bardzo żałuję. Jest ktoś, komu zawsze udawało się wymknąć, nim zdołałem go przyskrzynić. Razem by nam się to udało. Załatwię dla pani te belki kapitańskie, pani porucznik. A pani niech mi pomoże zamknąć Roarke'a.

Eve spojrzała na swoje wino i wolno przesunęła palcem wzdłuż krawędzi kieliszka.

- Panie komendancie, oddał pan tej pracy pięćdziesiąt lat swego życia. Przelewał pan w niej krew. I tylko dlatego nie oberwie pan ode mnie w twarz za zniewagę.

- Proszę się zastanowić - powiedział, kiedy Eve wstała. - Nigdy nie należy przedkładać uczuć nad obowiązki. Zamierzam go dopaść. Nie cofnę się przed niczym, żeby to osiągnąć.

Ledwo mogąc opanować wściekłość, Eve nachyliła się bardzo nisko i szepnęła mu prosto do ucha:

- Proszę spróbować. A przekona się pan, że nie jestem jakąś cholerną niańką.

Cofnęła się o krok i zobaczyła, że jeden z ochroniarzy zagroził jej drogę.

- Komendant jeszcze nie skończył rozmawiać z panią - oświadczył.

- Ale ja skończyłam rozmawiać z komendantem. Na ułamek sekundy oderwał wzrok od jej twarzy, nieznacznie skinął głową, po czym podszedł do niej bliżej i zacisnął dłoń na jej ramieniu.

- Proszę usiąść, pani porucznik, i poczekać, aż dostanie pani pozwolenie, by się oddalić.

- Zabierz łapę. Zabierz ją albo pożałujesz. Jeszcze mocniej zacisnął palce na jej ramieniu.

- Siadaj i czekaj, aż wolno ci będzie wstać. Albo pożałujesz. Spojrzała na Skinnera, a potem na twarz ochroniarza.

- Uprzedzałam cię. Jednym krótkim, prostym ciosem złamała mu nos, a potem kopnięciem powaliła drugiego ochroniarza, kiedy rzucił się na pomoc koledze.

Nim zrobiła obrót, zdążyła wsunąć rękę do torebki i złapać broń.

- Proszę trzymać swoje psy na smyczy - powiedziała Skinnerowi. Spojrzała na twarze gliniarzy, którzy odwrócili się i podeszli bliżej.

Popatrzyła, czy grozi jej jakieś niebezpieczeństwo z ich strony, ale doszła do wniosku, że nie, więc odwróciła się na pięcie i przeszła przez ożywiony tłum.

Była prawie przy drzwiach, kiedy Roarke pojawił się obok niej i położył jej dłoń na ramieniu.

- Kochanie, masz krew na sukience.

- Naprawdę? - Wciąż nabuzowana, Eve spojrzała na małą plamkę. - To nie moja krew.

- Zauważyłem.

- Muszę z tobą porozmawiać. - Hmm. W takim razie chodźmy na górę, przekonamy

się, co pokojówka może zrobić z tą plamą krwi. Porozmawiamy, zanim zejdziemy, żeby się napić z twoimi kolegami z Komendy Głównej.

- Dlaczego, do jasnej cholery, nie powiedziałeś mi, że znasz Skinera?

Roarke zatrzymał się przed prywatną windą, łączącą parter z apartamentem właściciela obiektu, i wstukał kod.

- Nie znam go.

- Ale on z całą pewnością zna ciebie.

- Domyśliłem się. - Zaczekał, aż znaleźli się w windzie, nim pocałował Eve w skroń. - Kochanie, wielu gliniarzy interesowało się moją skromną osobą.

- On nadal się tobą interesuje.

- Proszę bardzo. Jestem uczciwym biznesmenem. Praktycznie rzecz biorąc, filarem społeczeństwa. Uratowanym przez miłość dobrej kobiety.

- Nie mów tak, bo też oberwiesz. - Eve wymaszerowała z windy i przeszła przez urządzone z przepychem salon prosto na taras, żeby ochłonać na świeżym powietrzu. - Sukinsyn. Ten drań chce, żebym pomogła mu cię dopaść.

- To dość obcesowe zachowanie - powiedział łagodnie Roarke. - Poruszać taki temat, kiedy dopiero co cię poznał, do tego podczas przyjęcia koktajlowego. Dlaczego sądził, że się zgodzisz?

- Chciał mnie skusić awansem na kapitana. Powiedział, że może mi to załatwić, w przeciwnym razie znajdę się na szarym końcu kolejki do awansów, gdyż podejmuję niewłaściwe decyzje w życiu osobistym.

- Miał na myśli mnie. - Minęło mu rozbawienie. - Czy to prawda? Czy rzeczywiście nie masz szans na awans z powodu małżeństwa ze mną?

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? - Eve nadal wzburzona znie wagą, jaka ją spotkała, natarła na niego. - Myślisz, że mi na tym zależy? Myślisz, że awans mnie rajcuje?

- Nie. - Podszedł do niej i przesunął dłońmi po jej ramionach. - Wiem, co cię rajcuje. Śmierć. - Nachylił się i dotknął ustami jej czoła. - Przeliczył się.

- Zrobił coś głupiego i pozbawionego sensu. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby mnie jakoś przygotować, tylko walnął prosto z mostu. Obrął złą strategię - ciągnęła. - Kiepsko to rozegrał. Chce cię udupić, Roarke, i to tak bardzo, że zaryzykował naganę za próbę przekupstwa, gdybym zameldowała o tej rozmowie i ktoś by mi uwierzył. Dlaczego?

- Nie wiem. - A to, czego się nie wie, pomyślał, zawsze jest niebezpieczne. Zainteresuję się tym. Tak czy inaczej, za twoją sprawą przyjęcie koktajlowe niewątpliwie zyskało na atrakcyjności.

- Zwykle działam bardziej subtelnie, tylko zgmiotłabym jaja temu dupkowi za to, że wszedł mi w drogę. Ale Skinner zaczął opowiadać, że kobiety nie powinny pracować w policji, ponieważ z natury są opiekunkami ogniska domowego. Dlatego uznałam, że złapanie faceta za jaja byłoby zbyt dziewczynskim posunięciem.

Roarke roześmiał się i przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Kocham cię, Eve.

- Tak, tak. - Ale znów się uśmiechała, kiedy go objęła.

*

Właściwie siedzenie w ścisiku jedno obok drugiego przy stole w klubie, gdzie program rozrywkowy przewidywał muzykę zagrażającą bębenkom w uszach, nie należało do ulubionych sposobów spędzania wolnego czasu przez Eve.

Ale kiedy odreagowywała większą awanturę, opłacało się mieć wokół siebie przyjaciół.

Za stołem zebrała się cała śmietanka policji nowojorskiej. Eve siedziała wciśnięta między Roarke'a a Feeneya, szefa wydziału przestępstw elektronicznych. Feeney, który zwykle miał minę winowajcy, z wyraźną przyjemnością patrzył na estradę.

Po drugiej stronie Roarke'a siedziała doktor Mira, jak zawsze elegancka, popijając brandy Alexander i przyglądając się wykonawcom, trójce muzyków pomalowanych w czerwono - biało - niebieskie pasy, wykonującej szalone, thrash - rockowe riffy podczas grania amerykańskiej muzyki folkowej. Poza tym przy stoliku siedzieli też Morris, patomorfolog, i Peabody.

- Szkoda, że moja żona poszła spać. - Feeney pokręcił głową. - Trzeba to zobaczyć, żeby w to uwierzyć.

- Fantastyczny program - zgodził się z nim Morris. Długie, ciemne włosy splótł w warkocz i związał go srebrną wstążką. Poły jego płaszcza, sięgającego do połowy łydki, też lśniły srebrzyście.

Jak na patomorfologa, pomyślała Eve, ubierał się bardzo ekstrawagancko.

- Ale obecna tu Dallas... - Morris mrugnął do niej - ... też dała świetny popis na rozgrzewkę.

- Cha, cha - roześmiała się Eve. Morris uśmiechnął się pogodnie.

- Zarozumiała pani porucznik powala na ziemię ochroniarzy owianego legendą komendanta na zjeździe gliniarzy w luksusowym ośrodku wypoczynkowym poza Ziemią. Musiałaś to ćwiczyć przez cały lot tutaj.

- Ładny lewy prosty - skomentował Feeney. - I dobre wykończenie akcji wyrzutem nogi. Skinner to dupek.

- Dlaczego tak uważasz, Feeney? - spytała Peabody. - To niemal bohater narodowy.

- A kto powiedział, że bohaterowie narodowi nie mogą być dupkami? - Kapitan nie dał się zbić z pantafyku. - Lubi się przechwalać, jak to w pojedynkę zwyciężał podczas wojen miast. Jeździ i opowiada o tym, jakby była to tylko kwestia obowiązku, patriotyzmu. Tymczasem chodziło o przetrwanie. I była to wstrętna wojna, bez odrobiny romantyzmu.

- Dla kogoś, kto walczył, typowe jest idealizowanie walki - wtrąciła Mira.

- Nie ma nic romantycznego w podrzynaniu gardeł albo w widoku Piątej Alei zasłanej trupami.

- Ale zebraliśmy się na opowiadanie wesołych historyjek. - Morris postawił przed Feeneyem pełną szklankę. - Wypij jeszcze jedno piwo, kapitanie.

- Gliniarze nie rozpowiadają na prawo i lewo o swojej pracy. - Feeney pociągnął piwo ze szklanki. - Po prostu robią to, co do nich należy. Gdybym był bliżej, Dallas, pomógłbym ci załatwić tych jego osiłków.

Ponieważ wino nastroiło ją sentymentalnie, trąciła go łokciem w bok.

- No pewnie. Możemy ich odszukać i stłuc na kwaśne jabłko. No wiesz, na zakończenie wieczornego przedstawienia.

Roarke położył dłoń na jej ramieniu, kiedy jeden z pracowników ochrony obiektu podszedł do stolika i nachylił się, żeby coś mu powiedzieć na ucho. Spowaźniał i skinął głową.

- Ktoś was uprzedził - oświadczył. - To, co zostało, leży na schodach między osiemnastym i dziewiętnastym piętrem.

ROZDZIAŁ 3

Eve stała na górze. Na zwykle nieskazitelnie białych ścianach widać było teraz rozbryzgnięte krew i mózg. Szaro - czerwona smuga biegła w dół schodów. Na jej końcu leżały na wznak zwłoki.

Zachował się wystarczający fragment twarzy, by rozpoznała mężczyznę, któremu kilka godzin temu złamała nos.

- Zdaje się, że ktoś wkurzył się o wiele bardziej ode mnie. Czy twój ochroniarz ma Seal - It? - zwróciła się do męża.

Kiedy Roarke podał jej małą puszkę substancji zabezpieczającej, pokryła nią ręce i buty.

- Przydałby się rekorder. Peabody, pomóż ochronie hotelu zadbać o to, by nikt nie korzystał z tej klatki schodowej. Morris - rzuciła mu puszkę - idziesz ze mną!

Roarke dał jej rekorder przypinany do klapy marynarki, jakim posługiwała się ochrona hotelu. Zrobił krok w jej stronę, ale Eve powstrzymała go jednym gestem ręki.

- Żadnych cywilów, bez względu na to, czy są właścicielami hotelu, czy nie. Zaczekaj. Może poszedłbyś z Feeneyem i przypilnował, aby mu przekazano dyski z kamer ochrony, zainstalowanych w tej części budynku? Zaoszczędzi nam to trochę czasu.

Nie czekając na odpowiedź, zesłała po schodach i przykucnęła przy zwłokach.

- Nie zdzielił go pięścią. - Przyjrzała się twarzy nieboszczyka. Z jednej strony była niemal wgnieciona, druga część pozostała właściwie nietknięta. - Lewa ręka zmiażdżona. Facet był leworęczny, zauważyłam to na przyjęciu koktajlowym. Prawdopodobnie najpierw załatwili mu lewą rękę, żeby go unieszkodliwić.

- Zgadza się. Dallas? - Morris skinął głową w kierunku siedemnastego piętra. Kilka stopni niżej leżał porzucony gruby, metalowy pręt pokryty zakrzepłą krwią. - To by załatwiło sprawę. Mogę się skonsultować z miejscowym lekarzem sądowym w kwestii autopsji, ale na podstawie wstępnych oględzin zwłok sądzę, że to właśnie narzędzie zbrodni. Chcesz, żebym skombinował kilka toreb na dowody rzeczowe i parę zestawów podręcznych?

Eve otworzyła usta i głośno wypuściła powietrze nosem. Poczula aż nadto znajomy zapach śmierci.

- Nie nasza jurysdykcja. Musimy się zwrócić do miejscowej policji. Niech to cholera.
- Ponieważ właścicielem hotelu jest twój mąż, są sposoby, żeby to obejść.
- Być może. - Zabezpieczoną dłonią wymacała w kałuży krwi coś błyszczącego,

metalowego. Rozpoznała gwiazdę, zdobiącą mundury hotelowych ochroniarzy.

- Kto jest na tyle głupi, żeby zatłuc faceta na śmierć w hotelu pełnym gliniarzy? - spytał Morris.

Eve pokręciła głową i wstała.

- Bierzmy się do roboty. - Kiedy znalazła się u szczytu schodów, spojrzała w górę i w dół. Gdyby była w Nowym Jorku, już dokonałaby dokładnych oględzin zwłok, ustaliła czas śmierci ofiary, zebrała dane i dowody rzeczowe na miejscu zbrodni. Zadzwoiłaby do techników kryminalistyki i wysłałaby ekipę, by przepytano osoby mieszkające na tym piętrze.

Ale nie była w Nowym Jorku.

- Czy ochrona powiadomiła policję? - spytała Roarke'a.

- Już tu jedzie.

- Dobrze. Świetnie. Zabezpieczymy teren i zaproponujemy naszą pomoc. - Wyłączyła rekorder. - Nie mam prawa tu działać. Teoretycznie nie powinnam nawet zbliżyć się do ofiary. Tym bardziej że wcześniej posprzeczałam się z zamordowanym.

- Jestem właścicielem tego hotelu i ta stacja kosmiczna stanowi przedmiot mojego szczególnego zainteresowania. Mogę zwrócić się o pomoc do każdego funkcjonariusza policji.

- Czyli jeśli o to chodzi, sprawa jasna. - Eve spojrzała na niego i skinęła głową. - Jeden z twoich ochroniarzy zgubił gwiazdkę. Leży tam, wymazana krwią.

- Jeśli któryś z moich pracowników jest za to odpowiedzialny, udzielę ci wszelkiej pomocy w ustaleniu jego tożsamości i zatrzymaniu.

Znów skinęła głową.

- A więc tu też mamy jasność. Jak chroniona jest ta część budynku?

- Wszędzie są kamery - na korytarzach, w windach i na schodach. Pełne wytłumienie. Feeney właśnie odbiera dyski.

- Będzie je musiał przekazać policji. Jeśli to zabójstwo, najpóźniej w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin należy przekazać śledztwo policji międzyplanetarnej. Ponieważ policja międzyplanetarna ma tu swoich ludzi, najlepiej by było, gdyby, nie zwlekając, przekazano im tę sprawę.

- Czy właśnie tego chcesz?

- Nieważne, czego chcę. To nie moje śledztwo. Wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł krew z dłoni Eve.

- Czyżby?

Odwrócił się, kiedy z windy wysiadła szefowa lokalnej policji. Eve nie spodziewała

się brunetki o posągowych kształtach, z długimi włosami, w czarnej, obcisłej sukience. Kiedy kobieta ruszyła korytarzem, stukając obcasami wysokich szpilek, Eve usłyszała, jak Morris mówi głosem pełnym zachwyty:

- Ale laska.

- Na litość boską, Morris, zdobądź się na odrobinę powagi - zgaśniła go Eve.

Brunetka zatrzymała się i szybko rozejrzała wkoło.

- Roarke - powiedziała tonem przywołującym na myśl gorące noce na pustyni.

- Pani komendant, przedstawiam pani porucznik Dallas z nowojorskiej komendy głównej policji, i doktora Morrisa, lekarza sądowego z Nowego Jorku.

- Darcia Angelo, komendant policji na stacji Olympus. Przepraszam za mój strój. Byłam na jednej z imprez zorganizowanych w związku z rozpoczęciem konferencji. Powiedziano mi, że być może mamy do czynienia z zabójstwem.

- To z całą pewnością zabójstwo - oświadczyła Eve. - Ofiara to biały mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu - czterdziestu lat. Zatłuczono go na śmierć. Narzędzie mordu, metalowy kij, pozostawiono na miejscu zbrodni. Ze wstępnych oględzin wynika, że ofiara nie żyje od niespełna dwóch godzin.

- Dokonano wstępnych oględzin? - spytała zimno Darcia. - Tak.

- Cóż, nie zrobię z tego afery. Osobiście zweryfikuję te ustalenia przed przybyciem moich ludzi.

- Trochę tam brudno - powiedziała chłodno Eve i wręczyła jej puszkę Seal - It.

- Dziękuję. - Darcia zdjęła wieczorowe pantofle. Eve nie mogła jej mieć tego za złe. Sama tak robiła, kiedy o tym pamiętała. Darcia zabezpieczyła dłonie i nogi substancją, a potem oddała Eve puszkę. Wyjęła z torebki mały rekorder i przypięła go sobie tam, gdzie tkanina sukienki tworzyła głęboki dekolt.

Morris westchnął przeciągle, kiedy pani komendant zniknęła na klatce schodowej.

- Gdzie je znajdujesz? - spytał Roarke'a. - I co zrobić, żeby mieć jedną taką na własność?

Nim Eve zdążyła go ofuknąć, na korytarzu pojawił się Feeney.

- Przejrzałem zawartość dysków, ale jest jeden szkopuł - zakomunikował. - Kamery na schodach zablokowano na pięćdziesiąt minut. Nic nie pokazują, podobnie jak kamery na dwudziestym piętrze dwukrotnie przez sześćdziesiąt sekund. Ktoś wiedział, co się działo - dodał. - To złożony system, w razie uszkodzenia włącza się awaryjna kamera. Musiał to zrobić fachowiec, który miał swobodny dostęp do sprzętu.

- Uwzględniając przedział czasowy, musiały w tym brać udział przynajmniej dwie

osoby - oświadczyła Eve. - Wszystko wcześniej zaplanowano, to nie jest zbrodnia w afekcie.

- Znasz tożsamość zamordowanego? Mogę zajrzeć do jego akt.

- Szef policji jest na miejscu zbrodni - odparła obojętnym tonem. Przez chwilę Fenney miał zaskoczona minę.

- Ach, tak. Zapomniałem, że nie jesteśmy u siebie. Miejskowa policja odbierze nam sprawę?

- Ta sprawa oficjalnie nigdy do was nie należała - odpowiedziała Darcia, wychodząc z klatki schodowej na korytarz.

- Muszę zaprzeczyć - wtrącił Roarke. - Poprosiłem o pomoc panią porucznik i jej ekipę.

Na twarzy Darcii pojawiła się przez moment irytacja, ale kobieta szybko się opanowała.

- Ma pan do tego pełne prawo. Pani porucznik, czy poświęci mi pani trochę swego czasu? - Nie czekając na odpowiedź, Darcia ruszyła korytarzem.

- Arogancka, bezczelna, zarozumiała. - Eve spojrzała gniewnie na Roarke'a. - Rzeczywiście umiesz dobierać sobie ludzi.

Tylko się uśmiechnął, spoglądając za swoją żoną.

- O tak, z całą pewnością.

- Słuchaj, Angelo, jeśli chcesz mnie ochrzanić za to, że dokonałam oględzin zwłok, to tylko tracisz swój i mój czas. - Eve odpięła swój rekorder i podała go kobiecie. - Na prośbę właściciela hotelu stwierdziłam, że popełniono zabójstwo. Potem się wycofałam. Nie zamierzam ci odbierać chleba ani tej sprawy. Mam dość babrania się we krwi u siebie w Nowym Jorku.

Darcia odrzuciła do tyłu swoje lśniące, czarne włosy.

- Cztery miesiące temu prowadziłam walkę z dilerami zakazanych substancji w Kolumbii, codziennie ryzykując życie, a i tak ledwo mi starczało na płacenie czynszu za małe, śmierdzące dwupokojowe mieszkanko. W mojej ojczyźnie gliniarze nie cieszą się zbyt wielkim prestiżem. Podoba mi się nowe miejsce pracy. - Otworzyła torebkę i wrzuciła do niej rekorder Eve. - Czy moje obecne stanowisko jest zagrożone, jeśli odmówię przekazania tego śledztwa żonie pracodawcy?

- Roarke nie stacza za mnie bitew i nie zwalnia ludzi dlatego, że mają odmienne zdanie od mojego.

- To dobrze. - Darcia skinęła głową. - Przez dwanaście lat uganiałam się za dilerami narkotyków, szulerami, złodziejami. Jestem dobrą policjantką, ale zabójstwa to nie moja

specjalność. Nie lubię się dzielić pracą, ale chętnie skorzystam z wszelkiej pomocy, jakiej może mi udzielić w tej sprawie pani wraz ze swoją ekipą.

- Świetnie. Więc po co była cała ta heca?

- Szczerze? Żebyśmy obie wiedziały, że to moje śledztwo.

- Powinna pani wiedzieć, że dziś wczesnym wieczorem zamordowany oberwał ode mnie po gębie.

- Dlaczego? - zapytała podejrzliwie Darcia.

- Wszedł mi w drogę.

- Rozumiem. Ciekawe, czy uda nam się zamknąć tę sprawę, nie wchodząc sobie nawzajem w drogę.

Dwie godziny później obie ekipy prowadzące śledztwo zebrały się w gabinecie Roarke'a.

- Zidentyfikowano ofiarę jako Reginalda Weeksa, lat trzydzieści osiem. Obecny adres zamieszkania: Atlanta w stanie Georgia. Żonaty, bezdzietny. Do chwili śmierci zatrudniony przez Douglasa R. Skinnera jako osobisty ochroniarz. - Darcia umilkła i przechyliła głowę w stronę Eve.

- Podczas oględzin zwłok na miejscu popełnienia przestępstwa stwierdzono rozległe obrażenia - zaczęła mówić Eve.

- Przyczyną śmierci najprawdopodobniej było pęknięcie czaszki. Lewa strona ciała i głowy są poważnie uszkodzone. Ofiara była mańkutom, taki sposób zaatakowania go świadczy, że napastnik o tym wiedział. Kamery ochrony na klatce schodowej i na dwudziestym piętrze na czas napaści zablokowano. Z miejsca zdarzenia zabrano metalowy kij, który przypuszczalnie był narzędziem zbrodni. Zabezpieczono też jako dowód rzeczowy posrebrzaną metalową gwiazdkę, stanowiącą element munduru hotelowych ochroniarzy. Komendant Angelo?

- W aktach Weeksa, które przejrzeliśmy do tej pory, nie ma żadnych wpisów o przeszłości kryminalnej. Od dwóch lat pracował u Skinnera. Wcześniej był zatrudniony w Zbrojnym Ramieniu, firmie świadczącej usługi w zakresie ochrony osobistej członkom Partii Konserwatywnej. Przedtem przez sześć lat służył w wojsku, w Straży Granicznej.

- To świadczy, że wie, jak wykonywać rozkazy - powiedziała Eve. - Zagroził mi drogę dziś wieczorem, ponieważ Skinner albo jeden z jego ludzi dał mu znak, żeby to zrobić. Jest dobrze wyszkolony, jeśli przez sześć lat wytrzymał w Straży Granicznej, a potem dostał pracę w Zbrojnym Ramieniu. Z pewnością nie należał do facetów, którzy dobrowolnie udają się z nieznanym na dźwiękoszczelną klatkę schodową. Gdyby napadnięto go na korytarzu,

zostałyby jakieś ślady. Jeśli nie przewieźli go na dwudzieste piętro, to co, u diabła, tam robił? Jego pokój, sala odpraw dla ochroniarzy Skinnera i apartament Skinnera są na dwudziestym szóstym piętrze.

- Może poszedł na spotkanie z kobietą. - Feeney wyciągnął nogi przed siebie. - Typowa rzecz podczas kursokonferencji.

- Bardzo możliwe - przyznała mu rację Eve. - Wszystko wskazuje na to, że napaść była zaplanowana, może posłużono się kobietą jako przynętą. Musimy to sprawdzić, żeby móc przyjąć taką hipotezę albo ją odrzucić. Feeney, zgłaszasz się na ochotnika?

- Kapitan Feeney może pomóc moim ludziom w tej części śledztwa. - Darcia tylko uniosła brwi, kiedy Eve zwróciła się w jej stronę. - O ile wyrazi zgodę. Ale mam nadzieję, że chętnie będzie kontynuował współpracę z hotelową ochroną.

- Naprawdę tworzymy bardzo zgodny zespół - powiedziała Eve, uśmiechając się szeroko.

- Świetnie. W takim razie z pewnością zgodzi się pani udać razem ze mną na dwudzieste szóste piętro, żeby poinformować pracodawcę ofiary o śmierci jego człowieka.

- Naturalnie. Będzie mi towarzyszyła Peabody, moja partnerka - powiedziała Eve, zanim komendant Angelo zdołała otworzyć usta. - To nie podlega dyskusji. Peabody - zwróciła się Eve do swojej partnerki i dała jej znak, żeby wyszła z nią na korytarz. Darcia została w pokoju, przydzielając swoim podwładnym poszczególne zadania. - Chcę, żebyś podczas naszej rozmowy ze Skinnerem miała włączony rekorder.

- Tak jest, pani porucznik.

- Jeśli rozmowa się przeciągnie, masz wyciągnąć od tutejszego lekarza sądowego najnowsze informacje. Gdybyś napotkała jakieś trudności, skontaktuj się z Morrisem, niech ci w tym pomoże.

- Tak jest, pani porucznik.

- Chcę odszukać mundur, od którego urwała się ta gwiazda. Musimy sprawdzić recyklery, pralnię hotelową i inne punkty pralnicze. Zaprzyjżnij się z tutejszymi funkcjonariuszami. Chcę być niezwłocznie poinformowana o stawieniu się techników. Założę się, że na kiju będą resztki Seal - It, a na miejscu zbrodni znajdą krew wyłącznie ofiary. Pieprzona pułapka - burknęła i odwróciła się, kiedy Darcia wyszła na korytarz.

Komendant Angelo nie odzywała się, póki nie znalazły się w windzie.

- Pani porucznik, czy znała pani wcześniej Douglasa Skinnera?

- Nie. Poznaliśmy się dziś wieczorem.

- Mam informacje, że specjalnie zaprosił panią do swojego stolika, żeby

przeprowadzić z panią rozmowę na osobności. Najwyraźniej doszło do różnicy zdań, a kiedy Weeks próbował przeszkodzić pani w odejściu od stolika, uderzyła go pani. Czy to się zgadza?

- Tak.

- Co było powodem sprzeczki między panią i Douglasem Skinnerem?

- Czy jestem w tej sprawie podejrzaną czy konsultantką?

- Jest pani konsultantką, dlatego byłabym wdzięczna za podzielenie się ze mną wszelkimi informacjami, jakimi pani dysponuje.

- Zastanowię się nad tym. - Dallas wysiadła z windy na dwudziestym szóstym piętrze.

- Jeśli nie ma pani nic do ukrycia.

- Jestem policjantką - przypomniała jej Eve. - Nie ze mną takie numery. - Nacisnęła guzik dzwonka i odczekała chwilę. Patrzyła, jak światelko alarmu zaświeciło się na zielono. Stała z obojętną miną, kiedy sprawdzano tożsamość jej i towarzyszących osób. Po chwili Skinner osobiście otworzył im drzwi.

- Pani porucznik, trochę za późno na składanie wizyt.

- Nigdy nie jest za późno na oficjalne wizyty. Komendant Angelo, Douglas Skinner.

- Przepraszam za zakłócenie spokoju, komendancie Skinner. - Głos Darcii był pełen uszanowania, jej twarz poważna. - Mamy nieprzyjemną wiadomość. Czy możemy wejść?

- Naturalnie. - Skinner cofnął się. Miał na sobie długi, biały, hotelowy szlafrok. Wyglądał w nim wyjątkowo blado. W wielkim salonie paliło się przyćmione światło, pachniało w nim różami. Poleciał, by moc oświetlenia zwiększyć o dziesięć procent i wskazał policjantom kanapę.

- Proszę, niech panie usiądą. Czy napiją się panie czegoś? Może kawy?

- Nie przyszliśmy tu na pogawędkę. Gdzie pan był między godziną dwudziestą drugą a północą?

- Nie podoba mi się ton pani głosu, pani porucznik.

- Proszę o wybaczenie - wtrąciła się gładko Darcia. - To była trudna noc. Czy byłby pan łaskaw powiedzieć nam, co pan robił w tym czasie? Mamy swoje powody, żeby zwrócić się do pana z takim pytaniem.

- Razem z żoną wróciłem do naszego apartamentu kilka minut po dziesiątej. Wcześniej położyliśmy się spać, ponieważ jutro czeka mnie długi, pracowity dzień. Co się stało?

- Weeksowi roztrzaskano głowę - oznajmiła Eve.

- Weeksowi? Reggiemu? - Skinner gapił się na Eve. Jego niebieskie oczy zrobiły się

okrągłe i pociemniały, a twarz mu poszarzała, kiedy szok ustąpił miejsca wściekłości. - Nie żyje? Chłopak jest martwy? Czy ustaliliście, co w tym czasie porabiał Roarke? Czy też posunie się pani do tego, by zatuszować morderstwo, żeby chronić swojego męża? Zaatakowała Weeksa zaledwie kilka godzin temu. - Wskazał na Eve. - Była to niczym niesprowokowana napaść na jednego z moich ludzi, ponieważ wypytywałem ją o jej związek z kryminalistą. Okrywa pani hańbą całą policję.

- Jedno z nas z całą pewnością to robi - powiedziała Eve, kiedy Skinner opadł na fotel.

- Panie komendancie - Darcia wystąpiła krok do przodu - wiem, że to dla pana wstrząs. Chcę pana zapewnić, że policja na Olympusie energicznie prowadzi śledztwo.

Przez moment milczał i w pokoju słychać było jedynie jego przyspieszony, ciężki oddech.

- Nie znam pani, Angelo, ale wiem, kto pani płaci. Nie mam zaufania do prowadzonego przez panią śledztwa, dopóki dostaje pani pensję od Roarke'a. A teraz proszę wybaczyć. Nie mam w tej chwili nic więcej do powiedzenia. Muszę się skontaktować z żoną Reggiego i powiadomić ją, że została wdową.

ROZDZIAŁ 4

- Nieźle nam poszło. - Eve poruszyła ramionami, kierując się do windy.

- Jeśli komuś nie przeszkadza, jak ktoś go nazwie głupcem lub skorumpowanym policjantem, to i owszem.

Eve nacisnęła guzik, żeby przywołać windę.

- Czy w Kolumbii jest takie powiedzenie: „Mów choć do woli, od słów nie boli”?

- Nie i wcale mi się ono nie podoba. - Wyraźnie wzburzona, Darcia wsiadła do windy.

- Podobnie jak cały ten twój komendant Skinner.

- Wolnego, wcale nie jest mój.

- Insynuuje, że tańczę tak, jak mi zagra Roarke. Jakim prawem? I dlaczego uważa, że to właśnie Roarke jest odpowiedzialny za śmierć Weeksa?

Zniknęła opanowana, pełna szacunku dla przełożonych kobieta, jej miejsce zajęła policjantka o zimnych oczach i stalowym głósie. Eve zaczęła rozumieć, jak Darcia Angelo dawała sobie radę przez dwanaście lat w Kolumbii.

- Oto pierwsze z brzegu wytłumaczenie: Weeks mnie zdenerwował, a ponieważ jestem tylko słabą kobietą, mój mąż - wojownik musiał stanąć w mojej obronie. Ostatecznie nie na darmo chodzi w spodniach.

- Ach... - Darcia cmoknęła. - Znam mężczyzn, rozumujących w taki sposób. Ale zdzielenie faceta po łbie tak mocno, żeby jego mózg znalazł się na ścianie, wydaje mi się sporą przesadą w przypadku tak drobnego przewinienia. Komendant chyba zbyt pochopnie wyciągnął taki wniosek. Musi się za tym kryć coś więcej.

- Być może. Jeszcze do tego nie dotarłam. A zmieniając temat, Skinner wyglądał na całkiem przytomnego jak na kogoś, kto już spał. I chociaż kiedy weszliśmy, światło w salonie było przyćmione, w sypialni po prawej stronie paliło się na pełną moc. Nie domknął drzwi, wychodząc.

- Też to zauważyłam.

- Rozkład pomieszczeń w jego apartamencie jest taki sam jak w tym, który sama zajmuję. Druga sypialnia znajduje się po lewej stronie. W niej też paliło się światło. Żona Skinnera uchyliła lekko drzwi. Nasłuchiwała, o czym rozmawiamy.

- Nie widziałam tego. - Darcia się zamyśliła, a potem spojrzała na Peabody, która coś mruknęła pod nosem.

- Też tego nie zauważyła - wyjaśniła jej Eve. - Bardzo tego nie lubi. A skoro Belle

Skinner podsłuchiwała nas z drugiego pokoju, nie mogła smacznie spać z komendantem w głównej sypialni, prawda? Żadnych małżeńskich rozkoszy, co może dać wiele do myślenia. No i brak alibi.

- Jaki powód mógłby mieć Skinner, żeby zabić jednego ze swoich goryli?

- Trzeba się nad tym zastanowić. A na razie chciałabym sprawdzić kilka rzeczy. - Zatrzymała windę, żeby Darcia i Peabody mogły wysiąść. - Później się spotkamy.

To, że zgodziła się współpracować z Darcją Angelo, nie oznaczało, że musi wszystko robić razem z komendantką. Skoro miała zajmować się śledztwem w sprawie morderstwa poza swoim terenem, bez zwykłego wsparcia swoich ludzi, kiedy jej odznaka w gruncie rzeczy nie była niczym więcej niż modnym dodatkiem, zamierzała skorzystać ze wszystkich dostępnych narzędzi.

A szczególnie jedno było - o czym świetnie wiedziała - uniwersalne i wyjątkowo elastyczne.

I co ważniejsze, była jego żoną.

Zastała Roarke'a, tak jak się tego spodziewała, przy na komputerze w sypialni. Zdjął smoking i podwinął rękawy koszuli. Obok niego stał dzbanek z kawą.

- Co takiego masz? - Wzięła jego kubek i wypła połowę kawy.

- Nic, co łączyłoby mnie albo któreś z moich przedsięwzięć ze Skinnerem. Naturalnie prowadzę interesy w Atlancie.

- Naturalnie.

- W sektorze łączności, w przemyśle elektronicznym oraz rozrywkowym. No i w nieruchomościach. - Odebrał jej kubek i wolną ręką pogładził Eve po pupie. - Przez jakiś czas, zanim związałem się z tobą, miałem tam kogoś i całkiem dochodową firmę, zajmującą się szmuglem. Jej działalność naruszała przepisy prawa federalnego...

- Naruszała przepisy prawa federalnego - powtórzyła Eve.

- Można tak powiedzieć. Ale nic, do czego mogłyby się przyczepić władze stanowe albo lokalne.

- W takim razie o czymś nie wiesz, bo Skinner traktuje tę sprawę bardzo osobiście. W przeciwnym razie byłoby to zupełnie pozbawione sensu. Nie jesteś bardzo złym chłopcem.

- Do głębi zraniłaś moje uczucia.

- Dlaczego tak się na ciebie uwziął? - spytała, udając, że nie usłyszała jego ostatniej uwagi. - Jest gliniarzem z pięćdziesięcioletnim stażem, widział w swoim życiu wszystko. I wielu łotrów przyskrzyił. Byli wśród nich bezwzględni zabójcy, pedofile, wszelkiego rodzaju zbrodniarze, kanibale i Bóg jeden wie kto jeszcze. Dlaczego akurat ty stanąłeś mu

ością w gardle? Przeszedł na emeryturę sześć lat temu i...

- Siedem.

- Niech będzie siedem. No więc siedem lat temu. I tak od razu proponuje mi coś, co można uznać za próbę przekupstwa lub szantażu, zależy, jak na to spojrzeć, żeby mnie nakłonić do pomocy przy udupieniu cię. To było bezczelne i absolutnie nieprzemysłane.

Eve zastanawiała się nad tym, chodząc po pokoju.

- Według mnie nie spodziewał się, że w ten sposób cokolwiek osiągnie. Moim zdaniem liczył, że mu powiem, by się odpięprzył. Dzięki temu mógł nas wsadzić do jednego wora i upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu.

- Nic ci nie może zrobić... Mnie zresztą też nie.

- Może nam narobić kłopotów, twierdząc, że jesteśmy zamieszani w morderstwo. Wszystko sobie wcześniej zaplanował. Obraża mnie w obecności wielu osób i każe jednemu ze swoich goryli, żeby zastąpił mi drogę. Dochodzi do szamotaniny. Parę godzin później mózg goryla można zbierać łopatką ze ściany klatki schodowej w hotelu, należącym do Roarke Enterprises. Jakby tego jeszcze było mało, w kałuży krwi denata leży gwiazdka od munduru ochroniarzy zatrudnionych w Roarke Securities.

- To wszystko jest szyte bardzo grubymi nićmi.

- Nie ma czasu, żeby bawić się w subtelności. Spieszy się - ciągnęła. - Nie wiem, dlaczego, ale bardzo mu pilno. Przedstawi poszlaki miejscowej policji, która nie może z góry odrzucić ewentualności, że poirytowany mąż i oszust działający na skalę międzyplanetarną rozkazał jednemu ze swoich ludzi, by dał gorylowi Skinnera nauczkę.

- Tknąłeś moją żonę, więc teraz muszę cię zabić? - Roarke obojętnie wzruszył ramionami. - Zbyt dramatyczne, zbyt romantyczne. Szczególnie że zdziesiął faceta po gębie, nim mogłem ci pospieszyć na ratunek.

- W jego małym, wąskim świecie mężczyźni są myśliwymi, obrońcami. Jeśli spojrzeć na to jego oczami, wszystko się zgadza. Ale znów się przeliczył, bo to nie w twoim stylu. Jeśli chcesz kogoś stłuc na kwaśne jabłko, robisz to osobiście.

Uśmiechnął się do niej czule.

- Jeszcze bardziej lubię patrzeć, jak ty to robisz, najdroższa. Eve nawet nie zaszczyliła go spojrzeniem.

- Wystarczy standardowy test i każdy psycholog sporządzający profile sprawców wykluczy cię z kręgu podejrzanych. Po prostu w twoim charakterze nie leży zapłacenie komuś za morderstwo albo nadstawianie własnego karku, dlatego że ktoś mi nadepnął na odcisk. Możemy się zwrócić do Miry, by poddała cię podstawowemu testowi, żeby cię

wyeliminować.

- Dziękuję, wolę nie, najdroższa. Chcesz jeszcze kawy? Chrząknęła i znów zaczęła krążyć po pokoju, a Roarke wstał i zamówił w miniautokucharzu świeży dzbanek kawy i kubeczki.

- Byłaby to wyjątkowo nieudolna próba wrobienia cię w morderstwo. Rzecz jednak w tym, że Skinner jest święcie przekonany, iż stać cię na coś takiego. I jeśli wywrze wystarczającą presję na policję międzyplanetarną, kiedy lub o ile przejmie śledztwo, znajdziesz się w kręgu podejrzanych i porządnie cię wymagują. A przy okazji mnie.

- Pani porucznik, w przeszłości miałem już do czynienia z funkcjonariuszami policji międzyplanetarnej. Nie boję się ich. Natomiast martwię się, że gdyby sprawy zaszły aż tak daleko, mogłoby to zaszkodzić twojej karierze zawodowej. A nie mogę do tego dopuścić. Dlatego uważam, że powinienem uciąć sobie pogawędkę z komendantem.

- Uważasz również, że komendant na to liczy - powiedziała.

- Więc czemu ma się rozczarować? - Trzymając w ręku kubeczek z kawą, Roarke przysiadł na poręczy fotela. - Przejrzałem akta Skinnera, dotyczące zarówno jego życia osobistego, jak i kariery zawodowej. Nie natknąłem się na nic, co mogłoby mieć związek z tą sprawą, ale jeszcze nie zapoznałem się z aktami prowadzonych przez niego śledztw.

Eve odstawiła kawę, którą dopiero co jej nalał.

- Z aktami prowadzonych przez niego śledztw? Włamałeś się do nich? Oszalałeś? Jeśli się o tym dowie, aresztują cię i wsadzą za kratki, zanim twoi eleganccy prawnicy zdążą zawiązać swoje jedwabne krawaty.

- Nie dowie się o tym.

- CompuGuard... - Urwała i spojrzała gniewnie na komputer w sypialni. CompuGuard monitorował wszystkie wiadomości przesyłane przez Internet na terenie Ziemi i poza nią. Wiedziała, że Roarke ma w domu niezarejestrowany sprzęt, ale hotelowa sieć komputerowa to zupełnie co innego. - Czy to znaczy, że ten komputer nie jest zgłoszony?

- Ależ skądże znowu - odpowiedział z miną niewiniątka. - Jest zarejestrowany i spełnia wszelkie wymagania prawa. Albo przynajmniej je spełniał jeszcze dwie godziny temu.

- Nie można w ciągu kilku godzin pozbyć się nadzoru CompuGuard nad sprzętem.

Roarke westchnął ciężko i pokręcił głową.

- Najpierw ranisz moje uczucia, a potem mnie obrażasz. Nie wiem, dlaczego się na to wszystko godzę.

Zerwał się niespodziewanie, złapał Eve, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta tak namiętnie, że aż zabrakło jej tchu.

- No więc... - Puścił ją i znów wziął kubeczek z kawą. - Właśnie dlatego.

- Jeśli w ten sposób chciałeś odwrócić moją uwagę od faktu, że niegodnie z prawem zablokowałeś CompuGuard dostęp do tego komputera i włamałeś się do tajnych archiwów, muszę przyznać, że prawie ci się to udało. Ale to tobie powinno być głupio. Właśnie zamierzałam cię prosić o dotarcie do tych informacji.

- Naprawdę, moja pani porucznik? Nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać.

- Porządnie go skatowali. - Eve powiedziała to beznamiętnie. - Zdefasonowali mu połowę twarzy. Ale drugą połowę zostawili nietkniętą, żebym od razu go rozpoznała. Był martwy już wtedy, kiedy dziś wieczorem zagroził mi drogę. A ja posłużyłam za narzędzie zbrodni. - Spojrzała na komputer. - Więc bierzmy się do roboty.

*

Wzięli pod lupę sprawy, które prowadził Skinner podczas ostatnich dziesięciu lat pracy zawodowej, sprawdzili, czy mają one jakikolwiek związek z tym, co Skinner robił przez siedem lat pozostawania na emeryturze. Wprawdzie wszystkie śledztwa toczyły się w czasach, zanim Roarke wyjechał z Irlandii do Ameryki, ale wydawało się logiczne, by zacząć właśnie od tego.

Ponieważ Skinner prowadził się olbrzymią liczbę spraw, podzielili się pracą. Eve usiadła przy komputerze w głównej sypialni, a Roarke przygotował sobie stanowisko pracy w drugiej, mniejszej.

O trzeciej nad ranem Eve bolała głowa i mdliło ją od nadmiaru kofeiny. Lecz musiała przyznać, chociaż niechętnie, że komendant Skinner budził w niej podziw.

- Cholernie dobry glina - powiedziała. - Do samej emerytury ciałem i duszą poświęcał się swojej pracy.

Ciekawa była, jak się czuł, kiedy z tego zrezygnował. Bo nikt go do tego nie zmusił. W wieku sześćdziesięciu czterech lat można odejść na emeryturę, ale nie jest to obowiązkowe. Mógł popracować jeszcze kolejnych dziesięć lat. Mógł awansować na komendanta okręgu.

Zamiast tego zadowolił się czterdziestopięcioletnim stażem w policji i wykorzystał to, ubiegając się o miejsce w Kongresie. I srodze się zawiódł. Okazało się, że blisko pół wieku służby w policji to za mało, by stanowiło to przeciwwagę dla tak skrajnych poglądów, że nawet najbardziej zatwardziały zwolennik Partii Konserwatywnej wzdragał się, słuchając Skinnera. Na dodatek przedstawił całkiem niespójny program polityczny.

Był gorącym rzecznikiem zakazu posiadania broni palnej, o którego unieważnienie

starali się przy każdej okazji konserwatyści. A jednocześnie domagał się przywrócenia kary śmierci, czym odstraszał liberałów, poczynając od tych umiarkowanych, a kończąc na skrajnie lewicowych.

Chciał zlikwidować legalną i uregulowaną przepisami prostytutkę oraz odebrać wszystkie przywileje prawne i podatkowe parom pozostającym w konkubinacie. Wygłaszał kazania o świętości związku małżeńskiego, ale tylko w odniesieniu do par heteroseksualnych. A jednocześnie domagał się zniesienia pensji dla niepracujących matek, wychowujących dzieci.

Macierzyństwo, twierdził Skinner, jest obowiązkiem nałożonym przez Boga i samo w sobie daje kobiecie pełną satysfakcję.

Nic dziwnego, że głosząc tak niespójne poglądy, Skinner przegrał z kretesem. Eve podejrzewała, że bez względu na to, ile zarabiał na wygłaszaniu odczytów, pisaniu książek i udzielaniu konsultacji, wciąż jeszcze lizał rany po tamtej klęsce.

Ale nie mogła pojąć, co miał z tym wszystkim wspólnego Roarke.

Potarła czoło, odsunęła krzesło od biurka i wstała, żeby rozprostować kości. Może wszystko to sobie wmówiła. Może chciała, żeby Skinner miał coś osobiście przeciwko Roarke'owi, ponieważ sama tak traktowała tę sprawę? Może Roarke był dla niego tylko symbolem. Kimś, kto wymykał się organom ścigania, pracy w których Skinner poświęcił całe życie.

Spojrzała na zegarek. Pomyślała, że trochę się prześpi, a rano spojrzy na to świeżym okiem. Postanowiła jednak jeszcze przetasować pliki, by - kiedy znów na nie spojrzy - tworzyły nowy wzór. Wtedy to, co jej umykało - bo przecucie jej podpowiadało, że coś jej umknęło - może samo wypłyne na sam wierzch.

- Komputer, ekstrapoluj wszelkie powiązania z Roarkiem... - Eve ziewnęła szeroko i potrzęsła głową, żeby odzyskać jasność myślenia. - We wszystkich plikach, prywatnych i zawodowych, zawierających słowa „komendant Douglas Skinner”.

Pracuję...

- Sporządź listę chronologicznie. Najpierw oficjalnych plików policyjnych, a potem - prywatnych.

Zrozumiałem. Pracuję... Żadnych odniesień do Roarke'a w aktach policji, zawierających słowa „komendant Douglas Skinner”. Są tylko w plikach, zawierających w tytule słowa „kapitan Douglas Skinner”... Przechodzę do sprawdzania plików prywatnych...

- Tak, kilka razy to powtarzałeś, ale... - Eve odwróciła się i wlepiła wzrok w monitor.
- Komputer, przerwij pracę. Wyświetl wszelkie powiązania z Roarkiem w plikach

zawierających w tytule słowa „Douglas Skinner”, bez względu na stopień.

Pracuję... Pierwsze odniesienie w aktach sprawy C - 439014, prowadzonej przez kapitana Douglasa Skinnera, dotyczącej Patricka Roarke'a, znanego również jako Sean O'Hara i Thomas MacNeil, pod datą 12 marca 2036 roku. Roarke podejrzany o nielegalne posiadanie broni, nielegalny wjazd do Stanów Zjednoczonych, kradzież samochodu oraz udział w spisku, którego celem było zamordowanie policjantów. Uważa się, że podejrzany uciekł z Atlanty, a później opuścił kraj. Ostatnie znane miejsce pobytu: Dublin, Irlandia. Akta sprawy kompletne, dane o śledztwie dostępne. Czy mam przedstawić kompletne akta sprawy?

- Tak. Proszę o wydruk.

Drukuję...

Eve powoli usiadła na powrót. Komputer cicho szumiał, wykonując zlecenie. Rok 2036, pomyślała. Dwadzieścia trzy lata temu. Roarke miał wtedy ile? Dwanaście, trzynaście lat?

Skinnerowi nie chodziło o Roarke'a, tylko o jego ojca.

*

Tymczasem Roarke na swoim komputerze przekopywał się przez finanse Skinnera. Najczęstszymi motywami morderstw były chciwość, chęć zemsty, zazdrość, sprawy sercowe, lęk przed ośmieszeniem się i chęć zysku. Dlatego najpierw zajął się pieniędzmi.

Doszedł do wniosku, że nie można wykluczyć, iż Skinner zainwestował w jedną z jego firm - albo firm jego konkurencji. Może stracił znaczną sumę. Ludzie zabijali z bardziej błahych powodów.

Skinner poniósł też spore straty finansowe, kiedy ubiegał się o miejsce w Kongresie. Był bliski bankructwa, a poza tym doznał upokorzenia.

- Roarke.

- Hmm. - Uniósł palec do góry, by uciszyć Eve, gdy weszła do pokoju. - Wpadłem na pewien trop - powiedział.

- Mam udziały w mediach w Atlancie, które bardzo nieładnie potraktowały Skinnera podczas jego prób dostania się do Kongresu. To mocno zaważyło na jego szansach na zwycięstwo. Media Network Link w całości należy do mnie, a oni byli na niego bardzo cięci. Podawali prawdziwe fakty, ale w sposób wyjątkowo złośliwy. Na dodatek dość dużo zainwestował w Corday Electronics z główną siedzibą w Atlancie. Przez ostatnie cztery lata moja firma przejęła znaczną część ich klientów i zysków. Naprawdę powinienem się zdecydować na ich wykupienie, by zakończyć tę zabawę - dodał po chwili namysłu.

- Roarke.

- Tak? - Machinalnie wyciągnął rękę, by ująć dłoń Eve, nie odrywając wzroku od monitora.

- Chodzi o coś poważniejszego niż polityka i akcje. Dwadzieścia trzy lata temu nielegalni dilerzy broni założyli swoją bazę w Atlancie. Skinner dowodził specjalnie utworzoną jednostką, powołaną do ich zlikwidowania. Mieli informatora i dysponowali pełną wiedzą o ich poczynaniach przestępców. Ale kiedy wkroczyli, okazało się, że to była pułapka. Wszyscy dobrze wiemy, że informatorzy działają na dwa fronty.

Wzięła głęboki oddech, mając nadzieję, że mówi tak, jak należało to zrobić. Miłość chyba częściej przeszkadzała w takich sytuacjach, niż ułatwiała wykonanie zadania.

- Zginęło trzynastu policjantów - ciągnęła. - Sześciu zostało rannych. Przeciwnik przewyższał ich siłą ognia, ale Skinner i tak przetrzął kregosłup kartelowi. Stracił jednak dwudziestu dwóch ludzi, głównie funkcjonariuszy. Tamtej nocy Skinner zgarnął dwie grube ryby, dzięki temu w ciągu następnych dwunastu miesięcy aresztowano jeszcze dwie osoby. Ale jeden bandyta mu umknął. I nigdy Skinnerowi nie udało mu się dostać go w swoje ręce.

- Kochanie, może byłem nad wiek rozwinięty, lecz w wieku dwunastu lat jeszcze nie handlowałem bronią. Chyba że uwzględnić kilka ogłuszaczy domowej roboty, sprzedanych w ciemnych zaułkach. I nie przekraczałem granic miasta Dublin. Jeśli chodzi o informowanie policji, nigdy się do tego nie zniżyłem.

- Nie chodzi o ciebie - powiedziała Eve, patrząc mu prosto w twarz. Widziała, jak jego oczy się zmieniły, pociemniały, zrobiły się zimne, kiedy wszystko do niego dotarło.

- No tak - powiedział cicho. - Skurwysyn.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy Roarke był mały, ojciec nie szczędził mu szturchańców i kopniaków. Chłopiec starał się unikać razów, a ponieważ nie zawsze mu się to udawało, nauczył się z tym żyć.

Teraz po raz pierwszy ojciec wymierzył mu kuksańca zza grobu.

Mimo to Roarke w miarę spokojnie siedział i czytał wydruk sprawozdania, który przyniosła mu Eve. Już nie był tamtym chudym, posiniaczonym wyrostkiem, biegającym po zaułkach Dublina. I niezbyt się przejął, że mu teraz o tym przypominano.

- Ta podwójna gra zakończyła się na parę miesięcy wcześniej, nim mojego ojca znaleziono w rynsztoku z poderżniętym gardłem. Widocznie ktoś okazał się szybszy od Skinnera. Wspomniał o tym szczególnym niewyjaśnionym zabójstwie w swoich aktach. A może je zaaranżował.

- Nie sądzę. - Niezupełnie wiedziała, jak rozmawiać z Roarkiem o jego ojcu i dzieciństwie. Starał się nie powracać do przeszłości, natomiast ją stale dopadała własna przeszłość bez względu na to, jak bardzo Eve starała się mylić tropy.

- Dlaczego tak twierdzisz? Słuchaj, Eve, moja sytuacja nie przypomina twojej. Niepotrzebnie silisz się na delikatność. Nie prześladowają mnie wspomnienia ojca. Skoro udało mu się umknąć Skinnerowi w Atlancie, powiedz mi, czemu ten nie miałby się postarać, by poderżnięto mu gardło w Dublinie?

- Po pierwsze dlatego, że był gliną, a nie zabójcą. W jego aktach nie ma wzmianki o tym, że natrafił na ślad twojego ojca w Dublinie. Kontaktował się z Interpolem, z władzami irlandzkimi. Gdyby udało im się odnaleźć poszukiwanego w Irlandii, Skinner postarałby się o ekstradycję i prawdopodobnie dostałby zgodę na jego aresztowanie i przekazanie do Stanów. O to mu chodziło - ciągnęła. Wstała i znów zaczęła krążyć po pokoju. - Chciał mieć tego drania z powrotem u siebie, tam, gdzie mu nabruździł i gdzie zginęli jego ludzie. Chciał stanąć z nim twarzą w twarz. Nie udało mu się to. Odwróciła się.

- Gdyby mu się to udało, mógłby zamknąć ten rozdział i zająć się czymś innym. I nie czułby się zmuszony uganiać się za tobą. Ty jesteś jedynym człowiekiem, mającym związek z jego największą porażką osobistą i zawodową. Stracił ludzi, a ten, przez którego zginęli, wymknął mu się.

- Nie zadowolilo go to, że mój ojciec zginął, bo udało mu się uniknąć aresztowania, procesu i wyroku skazującego.

- Zgadza się. Ale jesteś ty: bogaty i sławny, człowiek sukcesu. Na dodatek ożeniony z

policjantką. Niepotrzebna mi Mira, żeby sporządzić profil sprawcy. Skinner uważa, że winni określonych przestępstw, w tej liczbie tych, w wyniku których śmierć poniósł funkcjonariusz policji, muszą zapłacić własnym życiem za swój nieczyny czyn. Na mocy wyroku, wydanego po przeprowadzeniu procesu. Twój ojciec umknął wymiarowi sprawiedliwości. Ale jesteś ty i ty zapłacisz za jego sprawki.

- W takim razie niemile się rozczaruję. I to z kilku powodów. Po pierwsze jestem o niebo sprytniejszy od swojego ojca. - Wstał, podszedł do niej i dotknął palcem dołeczka w jej brodzie. - A moja żona - policjantka jest bez porównania lepsza od Skinnera.

- Muszę utracić jego zamiary. Muszę je utracić, nie zważając na jego pięćdziesięcioletni staż służby w policji.

- Wiem. - I odchoryjesz to, pomyślał Roarke, chociaż Skinner na jej miejscu tak by się nie przejmował. W ogóle by tego nie zrozumiał. - Musimy się przespać - powiedział i przycisnął usta do jej czoła.

*

Przyśnił jej się zimny, brudny pokój w Dallas w Teksasie, gdzie przetrzymywał ją ojciec. Przyśnił jej się przejmujący ziąb, głód i niewypowiedziany strach. Do pokoju wpadało czerwone światło znad wejścia do seksklubu znajdującego się po drugiej stronie ulicy, i oświetlało jej twarz. I jego twarz, kiedy ją uderzył.

Nieodłącznym elementem snów o ojcu był ból. Rozdzierający ból, kiedy ją gwałcił. Trzask kości i jej piskliwy krzyk, kiedy złamał jej rękę.

Śniła jej się krew.

Tak jak ojciec Roarke'a, jej ojciec też zginął od ciosu nożem. Ale nóż, którym został zadany śmiertelny cios, ścisnęła rączka ośmioletniej dziewczynki.

W wielkim, miękkim łóżku w eleganckim apartamencie Eve kwiliła jak dziecko. Leżący obok niej Roarke przytulił ją z całych sił i nie wypuścił z objęć, póki nie przestał jej prześladować senny koszmar.

*

O szóstej nie tylko już była na nogach, ale również zdążyła się ubrać. Elegancki żakiet, który znalazła w swojej walizce, doskonale na niej leżał i trudno było się domyślić, że ma pod nim broń. Jej ciężar sprawiał, że czuła się pewniej.

Skorzystała z łącza w sypialni, żeby skontaktować się ze swoją partnerką. Przynajmniej zakładała, że wypukłość pod kołdrą to Peabody.

- Czego?

- Obudź się - poleciła Eve. - Za piętnaście minut chcę mieć twoje sprawozdanie.
- Któż taki chce?
- Jezu, Peabody. Wstań, ubierz się i przyjdź tutaj.
- Może zamówię coś na śniadanie? - zaproponował Roarke, kiedy się rozłączyła.
- Świetnie, zamów jedzenie dla całego pułku. Tymczasem ja obudzę wszystkich. -

Zawahała się. - Roarke, ufam swoim ludziom i wiem, ile mogę im powiedzieć. Ale nie znam Darcii Angelo.

- Pracuje u mnie - powiedział nie przerywając lektury porannych doniesień giełdowych.

- Tak samo, jak co trzeci człowiek w znanym wszechświecie. To mi nic nie mówi.
- Jakie zrobiła na tobie wrażenie?
- Bystrej, bezkompromisowej, solidnej. I ambitnej.
- Czyli takie samo, jak na mnie - odparł beztrąsko. - W przeciwnym razie nie byłaby szefową policji na Olymposie. Powiedz jej tyle, ile powinna wiedzieć. Historia życia mojego ojca nie spędza mi snu z powiek.

- Porozmawiasz z Mirą? - Popatrzyła nań beznamiętnie, kiedy wstał i podszedł do niej. - Chcę ją zaprosić, chcę się z nią skonsultować. Porozmawiasz z nią?

- Nie potrzebuję terapeuty, Eve. Nie dręczą mnie nocne koszmary. - Widząc, że zbladła zaklął cicho i przeciągnął ręką po włosach. -

Przepraszam. Jasna cholera! Chciałem tylko powiedzieć, że każde z nas po swojemu stara się uporać z problemami.

- Tobie wolno odpędzać moje złe sny i koić niepokój. Dlaczego zabraniasz mi robić to samo dla siebie?

Ton głosu Eve sprawił, że jego wyrzuty sumienia, iż wspomniał o jej koszmarach sennych, znacznie się zmniejszyły.

- Wyłączyć monitor - polecił i podszedł do niej. Ujął jej twarz w obie dłonie. - Pozwól, że powiem ci to samo, co kiedyś powiedziałem Mirze. Nie podczas konsultacji ani sesji terapeutycznej. Jesteś moim wybawieniem, Eve. - Patrzył, jak zaskoczona mruga powiekami. - Dzięki temu, jaka jesteś, dzięki temu, co do ciebie czuję, co razem tworzymy. - Pocałował Eve, patrząc jej prosto w oczy. - Wezwij swoich ludzi. Ja skontaktuję się z Darcją.

Prawie już był za drzwiami, kiedy odzyskała głos.

- Roarke? - Nigdy nie miała takiej swobody wyśławiania się jak on, ale te słowa przysły jej bez trudu. - Uratowaliśmy siebie nawzajem.

*

Było niemożliwością sprawić, by przestronny, elegancki salon przypominał jedną z sal konferencyjnych w komendzie. Szczególnie, kiedy ekipa Eve zajadała się ciastkami z kremem, truskawkami wielkości piłeczek golfowych i prawdziwym bekonem.

To tym dobitniej jej uzmysławiało, jak bardzo nie lubi działać nie u siebie.

- Peabody, zreferuj aktualny stan sprawy.

Delia musiała przestać sobie wyobrażać, że na jej jednym ramieniu siedzi anioł z rękami złożonymi jak do modlitwy, a na drugim diabeł, wciskający jej kolejną drożdżówkę z kremem.

- Tak jest. W nocy ukończono sekcję zwłok. Pozwolono Morrisowi przy niej asystować. Przyczyną śmierci były liczne obrażenia wewnętrzne, przede wszystkim pęknięcie czaszki. Wiele ran zadano, kiedy ofiara już nie żyła. Dziś rano Morris bierze udział w dyskusji panelowej, a później ma jakieś seminarium z lekarzami od umarłaków, ale zdobędzie dla ciebie kopie raportów. Z pierwszych ustaleń wynika, że zamordowany nie znajdował się pod wpływem żadnych zakazanych substancji.

- Co ustalili technicy? - spytała Eve.

- O szóstej zero zero ich sprawozdanie nie było jeszcze gotowe. Ale to, do czego dotarłam, potwierdza twoje przypuszczenia. Na kiju resztki Seal - It, na miejscu zbrodni wyłącznie krew należąca do ofiary. Do tej pory nie znaleziono munduru, przy którym brakowałoby gwiazdki na epolecie. Zespół komendant Angelo sprawdza recyklery, pralnię hotelową i wszystkie punkty czyszczenia odzieży na Olympusie. Ustaliłam, że każdy mundur jest opatrzone numerem identyfikacyjnym właściciela. Kiedy znajdziemy mundur, będziemy mogli dotrzeć do osoby, która go nosi.

- Chcę mieć ten mundur - oświadczyła Eve. Kiedy odwróciła się w stronę Feeneya, diabeł zwyciężył. Peabody wzięła jeszcze jedno ciastko.

- Przy kamerach ochrony musiał majstrować ktoś z pracowników hotelu - powiedział.

- Każdemu, kto wchodzi do dyżurki, sprawdza się siatkówkę i linie papilarne oraz kod dostępu. Unieruchomienie kamer było skomplikowane, ale zrobiono to fachowo. Wczoraj wieczorem, w czasie kiedy popełniono zabójstwo, w dyżurce przebywało dwanaście osób. Sprawdzam wszystkie.

- Dobrze. Szukamy jakichkolwiek powiązań ze Skinnerem, wszelkich nagan służbowych, niespodziewanych podwyżek uposażenia. Sprawdźcie dwa razy, czy któryś z pracowników służył w policji, zanim przeszedł do prywatnej firmy ochroniarskiej. - Eve

wzięła ze stołu dysk i podała go Feeneyowi. - I czy nic ich nie wiąże z osobami z tej listy.

- Nie ma sprawy, ale lepiej mi się pracuje, kiedy wiem, dlaczego coś robię.

- To wykaz nazwisk policjantów, którzy zginęli w trakcie wykonywania swoich obowiązków dwadzieścia trzy lata temu w Atlancie. Operacją kierował Skinner. - Wzięła głęboki oddech. - Jego informatorem był ojciec Roarke'a. Okazało się, że pracował na dwa fronty.

Kiedy Feeney tylko skinął głową, Eve wypuściła powietrze z płuc.

- Na liście znajdziesz między innymi Thomasa Weeksa, ojca Reginalda Weeksa, naszej ofiary. Przypuszczam, że skoro Skinner zatrudnił syna jednego z zabitych policjantów, może również zatrudniać dzieci innych.

- Wychodząc z założenia, że jeśli ojcowie kiedyś chcieli zrobić Roarke'a, ich dzieci też to zrobią - dodał Feeney.

Akurat kiedy patrzyła na zegarek, rozległ się dzwonek u drzwi.

- To z pewnością Darcia Angelo. Feeney, chcę, żebyś sam sprawdził te nazwiska, więc nie dam jej tej listy. Na razie. Ale zamierzam zapoznać ją i was wszystkich z całą tą historią.

* W tym samym momencie, kiedy Eve otwierała drzwi Darcii, Skinner otwierał drzwi Roarke'owi.

- Panie komendancie, proszę mi poświęcić chwilę ze swojego cennego czasu.

- Nie mam go zbyt wiele.

- Więc nie traćmy go niepotrzebnie. - Roarke wszedł do środka i uniósł brew na widok Hayesa. Mężczyzna stał za Skinnerem, nieco na prawo od niego trzymając rękę w kieszeni marynarki. - Jeśli uważa pan, że stanowią zagrożenie, powinien pan kazać swojemu człowiekowi otworzyć drzwi.

- Nie stanowisz dla mnie zagrożenia.

- W takim razie może porozmawiamy bez świadków?

- Wszystko, co masz mi do powiedzenia, możesz powiedzieć w obecności mojego osobistego sekretarza.

- Świetnie. Byłoby lepiej i z całą pewnością skuteczniej, gdyby spróbował pan do mnie dotrzeć bezpośrednio, a nie poprzez porucznik Dallas i poświęcając życie jednego z własnych ludzi.

- Czyli przyznaje się pan do jego zamordowania?

- Nikogo nie kazałem zabić. Jesteśmy sami, Skinner, i z całą pewnością postarałem się,

by w tych pomieszczeniach nie działały urządzenia nagrywające i kamery ochrony. Masz coś do mnie, proszę bardzo. Ale miej dość odwagi, żeby nie mieszać w to mojej rodziny.

Usta Skinnera rozciągnęły się w uśmiechu.

- Twój ojciec był tchórzem bez jaj i żalonym pijaczną.

- Przyjąłem do wiadomości. - Roarke podszedł do fotela i usiadł. - Widzisz, już się zgadzamy w tym punkcie. Najpierw proszę mi pozwolić uściślić, że pod pojęciem „rodziny” rozumiem swoją żonę. Po drugie muszę oświadczyć, że zbyt łagodnie oceniasz Patricka Roarke'a. Był bezwzględny, małostkowym oprychem i drobnym kryminalistą, opanowanym manią wielkości. Nienawidziłem go z całego serca. Więc jak widać, nie zamierzam płacić za jego liczne grzechy i proszę tego ode mnie nie oczekiwać. Mam na sumieniu masę własnych, więc jeśli chcesz spróbować podać komuś na tacy moją głowę, jest w czym wybierać. Tak przedstawia się sytuacja.

- Myślisz, że ponieważ nosisz garnitur za dziesięć tysięcy dolarów, nie czuję od ciebie smrodu rynsztoka? - Twarz Skinnera zaczęły barwić rumieńce, ale kiedy Hayes wystąpił krok do przodu, Komendant jednym krótkim ruchem ręki kazał mu się cofnąć. - Jesteś taki sam, jak on. A nawet gorszy, bo on nie udawał, że jest kimś innym niż beużytecznym śmieciem.

- Może kiedyś także nim byłem.

- Zakpiłeś sobie z wymiaru sprawiedliwości, a teraz chowasz się za kobietą, która zhańbiła policyjną odznakę.

Roarke wolno wstał.

- Nic o niej nie wiesz. Jest cudem, o którym nie mogę i nie chcę rozmawiać z takimi jak ty. Ale zapewniam, że za nikim się nie chowam. Ty stoisz tu z rękami świeżo wymazanymi krwią, kryjąc się za tarczą ślepej prawości i wspomnieniami dawnej chwały. Popełniłeś błąd, Skinner, ufając, że z takim człowiekiem jak mój ojciec można robić interesy. I zdaje się, że ja się myliłem, przypuszczając, że zechcesz załatwić sprawę po męsku. Ostrzegam cię więc.

Urwał, bo Hayes zrobił krok i wsunął dłoń do kieszeni. Roarke błyskawicznie wycelował nań ręczny laser.

- Wyjmij rękę, póki ją jeszcze masz.

- Nie masz prawa nosić broni i nią się posługiwać. Roarke przez chwilę wpatrywał się w siną ze wściekłości twarz Skinnera, a potem się uśmiechnął.

- Jaką broń? Hayes, na ziemię i ręce za głowę. I to już! - rozkazał, kiedy sekretarz rzucił spojrzenie swojemu szefowi. - Nawet przy minimalnej mocy, ta zabawka potrafi nieźle kopnąć. - Utkwił wzrok w kroczu mężczyzny. - Szczególnie, kiedy się trafi w wyjątkowo

czułe części naszej anatomii.

Skinner, oddychając ciężko, dał znak Hayesowi.

- Ostrzegam więc. Zostaw moją żonę w spokoju. Trzymaj się od niej z daleka, w przeciwnym razie przekonasz się, że lepiej ze mną nie zadzierać.

- Każesz mnie zatłuc na śmierć na klatce schodowej?

- Straszny z ciebie nudziarz, Skinner - powiedział Roarke, wzdychając, i skierował się ku drzwiom. - Jak flaki z olejem. Radzę, uprzedź swoich ludzi, żeby się pilnowali, paradując tu z bronią. To mój hotel.

*

Chociaż salon w ich apartamencie był bardzo przestronny, Eve czuła się w nim tak, jakby znalazła się w zamkniętym pudełku. Gdyby prowadziła taką sprawę w Nowym Jorku, przemierzałaby ulice, przeklinała ruch samochodowy, przeciskając się przez potok pojazdów do laboratorium, żeby popędzić techników, rozważałaby różne scenariusze, tocząc wojnę z kierowcami taksówek w drodze do kostnicy albo do komendy.

Technicy trzęśliby się ze strachu, kiedy zadzwoniłaby do nich, domagając się ostatecznego raportu. Prowadząc śledztwo, dokopywałaby różnym ludziom, ale wszyscy oni byli jej doskonale znani.

Tym razem cała ta frajda przypadnie w udziale Darcii Angelo.

- Peabody, zejdź na dół i nagraj wykład Skinnera. Uważa, że nic nie powinno zakłócić sympozjum i wszystko musi przebiegać zgodnie z planem.

- Tak jest. - Powiedziała to takim posępnym tonem, że Eve musiała zapytać:

- Co znowu?

- Wiem, dlaczego przypuszczasz, że to jego sprawka, Dallas. Widzę fakty, ale nie układają mi się one w logiczną całość. Skinner jest legendarną postacią. Niektórzy gliniarze zbaczają z uczciwej drogi, ponieważ nie wytrzymują napięcia albo pokusa jest zbyt wielka, albo po prostu od samego początku mieli takie skłonności. On nigdy nie zrobił nic naganego. To zbyt daleko posunięte założenie, że odrzuci wszystko, czego bronił przez całe życie, i zabije jednego ze swoich ludzi, żeby zrobić Roarke'a za coś, co się stało, kiedy Roarke był jeszcze dzieckiem.

- Jeżeli przyjdzie ci do głowy inna teoria, z chęcią jej wysłucham. Jeśli nie możesz wykonać polecenia, Peabody, powiedz mi. Nie mogę cię tu do niczego zmuszać.

- Wykonam polecenie - powiedziała oficjalnie Delia i skierowała się do wyjścia. - Odkąd cię poznałam, przestałam być panią swojego czasu.

Eve zacisnęła zęby, kiedy za Peabody zatrzasnęły się drzwi. Idąc przez pokój, już się szykowała do tego, by dać jej nagane. Mira powstrzymała ją jednym słowem.

- Eve, daj jej spokój. Musisz zrozumieć, w jak trudnym jest położeniu. Znalazła się pomiędzy dwiema osobami, które uważa za bohaterów, a ci dwoje toczą ze sobą walkę.

- Och, na litość boską.

- Usiądź, zanim wydepczesz ścieżkę w tej pięknej podłodze. Twoja sytuacja też jest nie do pozazdroszczenia. Tkwisz pomiędzy ukochanym mężczyzną, pracą, której poświęciłeś życie, i drugim mężczyzną, który według ciebie przekroczył granicę, której nie wolno przekroczyć.

- Jesteś mi potrzebna, żeby mi powiedzieć, czy byłbyś zdolny do przekroczenia tej granicy. Wiem, co mi mówią przeczucia, o czym świadczą dowody. Ale to za mało. Dotarłam do informacji o nim. Większość z nich jest jawna, ale nie wszystkie. - Odczekała chwilę, ale Mira nadal przyglądała jej się badawczo, jak zwykle opanowana. - Nie zamierzam ci tłumaczyć, jak do nich dotarłam.

- A ja wcale nie zamierzam cię o to pytać. Już i tak dość dużo wiem o Douglasie Skinnerze. To człowiek bez reszty oddany szukaniu sprawiedliwości, a raczej temu, co uważa za sprawiedliwość. Poświęcił tej idei najlepsze lata swojego życia, nie zważając na własne bezpieczeństwo, służył społeczeństwu i starał się je chronić. Zupełnie tak, jak ty.

- Nie odebrałam tego jako komplement.

- Istnieje między wami jedna, ale zasadnicza różnica. On czuje potrzebę, zawsze ją czuł, głoszenia swojej wizji sprawiedliwości, tak jak niektórzy czują potrzebę głoszenia swojej wizji wiary. Ty, Eve, stoisz na straży bezbronnych ludzi. On natomiast stoi na straży swojej wizji. Z czasem ta wizja się zawężyła. Niektórzy padają ofiarą własnego wyobrażenia o sobie, zanim staną się takim wyobrażeniem.

- Po drodze zapomniał, co to znaczy być gliniarzem.

- To zgrabnie powiedziane. Wiele osób, nie wyłączając policjantów, postrzega go tak, jak Peabody. Wcale nie jest mi trudno wyobrazić sobie, jak pada ofiarą obsesji na punkcie swojego błędu - bo popełnił błąd, który pociągnął za sobą śmierć ludzi, a to on, Skinner, nimi dowodził - i to do takiego stopnia, że ta porażka stała się dla niego problemem.

- Zamordowany mężczyzna, nie był jakąś szumowiną. Był młody, cieszył się nienaganną opinią w pracy, miał żonę. To syn jednego z tych, którzy zginęli przez Skinnera.

I właśnie to nie daje mi spokoju, Miro. Czy Skinner do tego stopnia stracił kontrolę nad swoimi poczynaniami, że mógłby polecić, żeby zabito niewinnego człowieka, i w ten sposób nakarmić nienasyconego demona, który go prześladowuje?

- Tak, jeśli potrafi to sobie racjonalnie wytłumaczyć. Cel uświęca środki. Bardzo martwisz się o Roarke'a?

- Nie chce, żebym się o niego martwiła - odparła Eve.

- Przypuszczam, że czuje się znacznie lepiej, kiedy może się niepokoić o ciebie. Ojciec znęcał się nad nim.

- Tak. Trochę mi o tym opowiedział. Staruszek tłukł go i kiedy się upił, i kiedy był trzeźwy. - Eve przesunęła ręką po włosach i podeszła do okna. Natężenie ruchu powietrznych pojazdów było tu minimalne.

Zastanawiała się, jak ludzie znoszą taki spokój i ciszę.

- Kazał Roarke'owi oszukiwać, kraść, a kiedy dzieciak przyniósł do domu za mało pieniędzy, lał go. Przypuszczam, że Roarke - senior był niezbyt dobrym kanciarzem, skoro mieszkali w slumsach.

- A matka?

- Nie mam pojęcia. Roarke twierdzi, że nic o niej nie wie. I nie sprawia wrażenia człowieka, który cierpi z tego powodu. - Odwróciła się i usiadła naprzeciwko Miry. - Czy to możliwe? Czy naprawdę może się nie przejmować tym, co mu robił ojciec, ani tym, że matka go porzuciła, skazując na takie życie?

- Wie, że przez ojca wkroczył na ścieżkę obchodzącą przepisy prawa, że się tak wyrażę. Że miał predyspozycje do stosowania przemocy. Nauczył się z tym żyć, tak jak i ty. Miał cel - wyrwać się z tego zakłętą kręgu, zdobyć pieniądze i pozycję. I udało mu się to osiągnąć. Potem poznał ciebie. Doskonale wie, jak zaczynał, i przypuszczam, że jest dumny z tego, że stał się mężczyzną, którego pokochała taka kobieta, jak ty. I znając jego portret psychologiczny... - Mira się uśmiechnęła - ... przypuszczam, że jest zdecydowany chronić ciebie i twoją karierę tak samo, jak ty pragniesz chronić jego i jego dobre imię.

- Nie rozumiem, jak... - Nagle sobie to uświadomiła i już chciała wstać, kiedy zjawił się Roarke.

- Do jasnej cholery. Do jasnej cholery, Roarke. Poszedłeś do Skinnera!

ROZDZIAŁ 6

- Dzień dobry, doktor Miro. - Roarke zamknął za sobą drzwi, podszedł do Miry i ujął jej dłoń. Poruszał się równie gładko, jak mówił, a jego głos był słodki jak miód. - Czy mogę poczęstować cię herbatą?

- Nie, dziękuję. - Usta jej drgnęły, kiedy starała się nie zachichotać. - Muszę już iść. Zaraz po wykładzie inauguracyjnym prowadzę seminarium.

- Nie myśl sobie, że możesz się nią posłużyć jako tarczą. Powiedziałam ci, żebyś trzymał się z daleka od Skinnera.

- Już drugi raz zarzucono mi dziś, że chowam się za plecami kobiety. - Chociaż jego głos pozostał łagodny, Eve wiedziała, że Roarke jest zły. - To się robi irytujące.

- Chcesz awantury? - zaczęła Eve.

- Musisz jej wybaczyć - zwrócił się Roarke do Miry, odprowadzając ją do drzwi. - Eve nadmiernie się podnieca, kiedy jej nie słucham.

- Niepokoi się o ciebie - powiedziała cicho Mira.

- Cóż, będzie musiała przestać. Życzę udanego seminarium. - Pożegnał Mirę i zamknął za nią drzwi. Przekręcił klucz w zamku. Odwrócił się. Teraz wyraźnie było widać jego gniew. - Nie potrzebuję się chować za niczymi plecami.

- To była przenośnia. Nie zmieniaj tematu. Poszedłeś do Skinnera, chociaż ci powiedziałam, żebyś się trzymał od niego z daleka.

- Eve, nie będę słuchał twoich rozkazów. Nie jestem twoim pieskiem.

- Jesteś cywilem - odparowała.

- A ty jesteś konsultantką w śledztwie prowadzonym przez kogoś innego. Tutaj ja decyduję, co ci wolno, a czego nie.

Otworzyła usta, ale po chwili je zaniknęła. Syknęła, odwróciła się na pięcie, wyszła na taras i kilka razy kopnęła w balustradę.

- Lepiej się teraz czujesz?

- Tak. Bo wyobraziłam sobie, że to twój głupi, zakuty łeb. - Nie obejrzała się za siebie, tylko zacisnęła dłonie na balustradzie i popatrzyła wokół. Nie mogła zaprzeczyć, że wszystko to rzeczywiście należy do Roarke'a.

Stworzył niezwykle okazałą i luksusową stację. Wszystko - smukłe budynki hoteli, kuszące wygranymi kasyna, teatry, restauracje o kolorowych neonach - idealnie rozmieszczono. Były tu fontanny, srebrne wstęgi ślizgaczy dla pieszych, rozległe parki, w

których bujnie rosły drzewa i kwiaty.

Usłyszała, jak pstryknęła zapalniczka, poczuła zapach jego koszmarne drogiego tytoniu. Pomyślała, że ostatnio rzadko palił.

- Gdybyś mi powiedział, jak ważne jest dla ciebie spotkanie twarzą w twarz ze Skinnerem, poszłabym z tobą.

- Wiem o tym.

- O, Chryste. Człowieku, nie musisz się chować za niczymi plecami. Jesteś twardzielem, skurwielem o wielkim kutasie i jajach z tytanowej stali. Jasne?

Przechylił głowę.

- Jedną chwileczkę. Właśnie sobie wyobrażam, jak cię wyrzucam z balkonu. O, tak. - Skinął głową i zaciągnął się głęboko dymem. - Teraz rzeczywiście poczułem się lepiej.

- Jeśli Skinner kilka razy zakwestionował to, co osiągnąłeś, to dlatego, że wiedział, iż jesteś czuły na tym punkcie. Ale właśnie tak postępują gliny. Więc może po prostu mi powiesz, co się stało?

- W obecności Hayesa, który stał z ręką w kieszeni marynarki, ściskając broń, oświadczył, nie owijając w bawełnę, że mój ojciec był śmieciem, czyli ja też nim jestem. I że już dawno temu powinienem beknąć za swoje machlojki, że się tak wyrażę.

- Czy powiedział coś na temat tego, dlaczego polecił zabić Weeksa?

- Wprost przeciwnie, dwa razy wskazał palcem na mnie. Pełen ledwo powstrzymanej wściekłości i aż gotując się w środku. Robił to tak przekonująco, że każdy by się nabrał. Wydaje mi się, że nie jest zupełnie zdrow - ciągnął Roarke, gasząc papierosa. - Kiedy wpada w gniew, ma trudności z oddychaniem, a jego twarz przybiera fioletowy kolor. Muszę rzucić okiem na wyniki jego badań lekarskich.

- A ja muszę się bliżej zainteresować jego żoną. Angelo początkowo miała pewne zastrzeżenia, ale ostatecznie zgodziła się zaaranżować spotkanie, więc jeszcze dziś po południu obie weźmiemy ją w obroty. W tej chwili Peabody nagrywa wykład Skinnera, Feeney sprawdza osoby z listy, a my spróbujemy odszukać mundur. Jeden z twoich pracowników majstrował przy kamerach. Kiedy ustalimy jego tożsamość i co go łączy ze Skinnerem, a potem przesłuchamy, ujrzymy wszystko w innym świetle. Może uda nam się zamknąć całą sprawę przed przybyciem ludzi z policji międzyplanetarnej.

Odwróciła się, kiedy w apartamencie zadzwoniło łącze.

- Wszystko jasne?

- Chyba tak.

- To dobrze. Może to Angelo w sprawie Belle Skinner. Przeszła obok Roarke'a, żeby

odebrać telefon. Ale na wyświetlaczu pojawiła się nie Darcia o egzotycznej urodzie, tylko obwisła twarz Feeneya.

- Mam coś, co być może cię zainteresuje. Zita Vinter, pracownica ochrony hotelowej, była wczoraj w dyżurce od dwudziestej pierwszej trzydzięci do dwudziestej trzeciej. Sprawdziłem, czy nie ma jakichś powiązań z osobami z twojej listy. I wyobraź sobie, że detektyw Carl Vinter służył w policji w Atlancie, a jego przełożonym był Skinner. Vinter zginął podczas tej sfuszerowanej akcji. Jego żona była wtedy w ciąży z drugim dzieckiem. Chłopiec, któremu dano na imię Marshall, przyszedł na świat dwa miesiące po śmierci ojca. Ich starsze dziecko, córka Zita, miało pięć lat.

- Strzał w dziesiątkę. W którym jest teraz sektorze?

- Nie stawiała się dziś do pracy. I jeśli wierzyć jej przełożonemu, nie zadzwoniła. Mam jej adres domowy. Chcesz, żebym z tobą do niej pojechał?

Eve już chciała się zgodzić, ale spojrzała na Roarke'a.

- Nie. Postaraj się jeszcze czegoś o niej dowiedzieć, dobrze? Poproś o pomoc Peabody, kiedy skończy nagrywać te inauguracyjne bzdury. Dobrze sobie radzi ze zdobywaniem informacji. Jestem twoją dłużniczką, Feeney. Daj mi ten adres.

Eve się rozłączyła, wsadziła rękę do kieszeni i spojrzała na Roarke'a.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Athena Boulevard dwadzieścia dwa?

- Nie, ale mogę to sprawdzić.

- Nie wątpię. - Wzięła ze stołu łącze i włożyła je do kieszeni. - Nie pojedę limuzyną, żeby przesłuchać podejrzaną. To byłoby nieprofesjonalne. Wystarczy, że zabiorę ze sobą cywilę w wymyślnym garniturze.

- W takim razie muszę się postarać o jakiś inny środek lokomocji.

- Przy okazji zajrzyj do akt Zity Vinter, pracownicy ochrony. Roarke wyciągnął swojego palmtopa, kiedy wychodzili z pokoju.

- Praca z panią, pani porucznik, to sama przyjemność.

- No pewnie. - Wsiadała do prywatnej windy, kiedy Roarke wydawał polecenie, by podstawiono w garażu coś, co nosiło nazwę GF2000. - Właściwie powinnam zadzwonić do Darcii Angelo i jej o tym powiedzieć.

- Nie widzę powodu, żebyś nie miała tego zrobić. Ale kiedy już będziemy w drodze do mieszkania Zity Vinter.

- Świetnie. W ten sposób oszczędzimy nieco czasu.

- To twoja wersja, najdroższa, i będziemy się jej trzymali. Zita Vinter - powiedział, kiedy rzuciła mu gniewne spojrzenie. - Lat dwadzieścia osiem. Dwa lata służby w policji w

Atlancie, potem zatrudniła się w prywatnej agencji ochrony. Pracowała w jednej z moich firm w Atlancie. Żadnych wpadek na koncie. Dwa lata temu awansowała. Sześć miesięcy temu złożyła podanie o przeniesienie tutaj. Jest panną, mieszka sama. Jako najbliższą krewną podaje matkę. W pracy nigdy nie miano do niej żadnych zastrzeżeń.

- Kiedy podpisałeś kontrakt na zorganizowanie tego zjazdu?

- Trochę więcej niż pół roku temu - powiedział, gdy wchodzili do garażu. - To był dodatkowy bodziec, żeby oddać do użytku kilka obiektów.

- O ile chcesz się założyć, że przez te wszystkie lata Skinner utrzymywał bliski kontakt z córką tego zabitego policjanta? Jak tylko Angelo uzyska zgodę na wgląd w wykaz połączeń Zity Vinter, z pewnością znajdziemy tam rozmowy z Atlantą. I nie tylko z matką.

Kiedy Roarke się zatrzymał i schował palmtopa, spojrzała i zapytała:

- A cóż to takiego, do jasnej cholery? Przesunął ręką po chromowanej ramie odrzutowego motocykla.

- Inny środek lokomocji. Sprawiał wrażenie szybkiego, przypominał srebrny pocisk na dwóch kołach. Eve wciąż się na niego gapiła, kiedy Roarke podał jej kask.

- Bezpieczeństwo przede wszystkim.

- Daj spokój. Dobrze wiem, że masz tu coś na czterech kołach i z drzwiami.

- Ale jazda tym to większa frajda. - Włożył jej kask na głowę. - Poza tym przypominam ci, że ten krótki wypad poza Ziemię miał być dla nas czymś w rodzaju urlopu.

Wziął drugi kask i włożył go sobie na głowę, a potem starannie zapiął kask Eve.

- W taki sposób zostaniesz moją harleyówką. - Kiedy wyszczerzyła zęby, tylko się roześmiał i zgrabnie przerzucił nogę przez ramę. - A traktuję to jako wyjątkowy komplement.

- Może ja poprowadzę, a ty usiądziesz z tyłu?

- Ewentualnie w drodze powrotnej. Klnąc pod nosem, Eve zajęła miejsce za nim. Obejrzał się za siebie, kiedy ustawiła siodełko i lekko położyła mu dłonie na biodrach.

- Trzymaj się - powiedział jej i wystrzelił z garażu jak rakieta.

Eve odruchowo zacisnęła ręce wokół jego pasa.

- Wariat! - krzyknęła, kiedy włączył się do ruchu. Serce podeszło jej do gardła i tam pozostało, gdy lawirował wśród innych pojazdów.

Nie żeby nie odpowiadała jej szybkość. Lubiła szybką jazdę, jeśli sama siedziała za kierownicą. Mignęły im zamazane kolory, gdy okrążyli klomb z egzotycznymi kwiatami. Poczuli pęd powietrza, kiedy przemknęli obok ślizgacza pełnego urlopowiczów. Eve postanowiła, że spojrzy śmierci prosto w twarz, więc wpatrywała się w pojazdy przed nimi.

Poczwała, jak na jej nogach zamykają się uchwyty.

- Nie waż się... Tylko krzyknęła i starała się nie udławić własnym językiem, bo Roarke ostro poderwał odrzutowy motocykl w górę. Słyszała jedynie świst wiatru w uszach, kiedy mknęli w powietrzu.

- To był skrót - wyjaśnił. W jego głosie można było dosłyszeć śmiech, gdy płynnie sprowadził motocykl z powrotem na ziemię.

Zahamował przed oślepiająco białym budynkiem i wyłączył wszystkie silniki.

- Cóż, nie może się równać z seksem, ale niewątpliwie mieści się w pierwszej dziesiątce najlepszych form spędzania wolnego czasu. - Zsiadł z motoru i zdjął kask.

- Wiesz, ile przepisów ruchu drogowego pogwałciłeś w ciągu ostatnich czterech minut?

- Kto by liczył? - Zdjął jej kask, a potem pochylił się, by ugryźć Eve lekko w dolną wargę.

- Osiemnaście - poinformowała go, wyciągając swoje kieszonkowe łącze, by skontaktować się z komendantem Angelo. Zostawiając Darcii wiadomość w poczcie głosowej, spojrzała na budynek. Zachwycał prostotą formy. Patrząc na niego, od razu się dostrzegало, że zaprojektowano go z polotem, starannie wykonano, a mieszkania w nim są prawdopodobnie horrendalnie drogie.

- Ile płacisz swoim ochroniarzom?

- Tym o najwyższych kwalifikacjach? - Przeszli przez szeroki chodnik do wejścia do budynku. - Dwa razy tyle, ile rocznie dostaje porucznik nowojorskiej policji. Do tego dochodzi oczywiście pełny pakiet świadczeń socjalnych.

- Ładna sumka. - Zaczekała, aż sprawdzą ich przed wpuszczeniem do środka. Roarke posłużył się swoją kartą uniwersalną. Komputerowo wygenerowany głos życzył mu miłego dnia.

W holu panowała kompletna cisza. Wnętrze było czyste, proste, bez zbędnych ozdób. Eve przedstawiła się i poprosiła o połączenie z Zitą Vinter.

Przykro mi, porucznik Eve Dallas, ale pani Vinter nie odpowiada. Czy chce pani zostawić wiadomość? - odrzekł po chwili android.

- Nie, nie chcę zostawić wiadomości. Jestem z policji. Proszę mnie wpuścić do mieszkania sześć b.

- Przykro mi, porucznik Eve Dallas, nie figuruje pani u nas jako funkcjonariuszka policji, więc nie możemy złamać obowiązujących przepisów, dotyczących bezpieczeństwa i prawa do prywatności.

- A co powiesz, kiedy nie bacząc na obowiązujące przepisy wsadzę ci twój mikrofon

W...

- Ostrzeżenie! Słowne groźby, skierowane przeciwko urzędzeniu, mogą zakończyć się aresztowaniem, procesem i grzywną pieniężną w wysokości do pięciu tysięcy kredytów.

Nim Eve zdążyła odpowiedzieć, Roarke położył rękę na jej ramieniu.

- Tu Roarke. - Zbliżył dłoń do skanera. - ID jeden pięć jeden, poziom A. Żądam wpuszczenia mnie i porucznik Dallas na teren budynku.

- Identyfikacja zakończona pomyślnie. Zezwala się na wejście Roarke'a i towarzyszącej mu osoby, Eve Dallas.

- Porucznik Eve Dallas - powiedziała Eve przez zaciśnięte zęby, kiedy mąż pociągnął ją w stronę windy.

- Nie bierz tego do siebie. Poziom szósty - polecił.

- To cholerne urządzenie potraktowało mnie jak cywila. - Taka zniewaga wprost nie mieściła jej się w głowie. - Cywila!

- Irytujące, prawda? - Wysiadł na szóstym piętrze.

- Podobało ci się to, prawda? To „Roarke i towarzysząca mu osoba”.

- Owszem. I to bardzo. - Wskazał drzwi do mieszkania sześć b. Kiedy nic nie powiedziała, sam nacisnął guzik dzwonka.

- Nie odpowiedziała poprzednio, to teraz też nie odpowie.

- Masz rację. - Wsunął ręce do kieszeni. - Właściwie... Chyba powinnaś zwrócić się do komendant policji Angelo o pozwolenie na wejście do środka.

- Właściwie tak - przyznała mu rację Eve.

- Jestem jednak właścicielem tego budynku i pracodawcą tej kobiety.

- Lecz nie daje ci to prawa do wchodzenia do jej mieszkania bez oficjalnego upoważnienia.

Roarke stał, uśmiechając się, i czekał.

- Zrób to - powiedziała Eve.

- Witaj w moim świecie. - Włożył kartę uniwersalną do czytnika i zagwizdał cicho, kiedy światelko w drzwiach pozostało czerwone. - No, no, zdaje się, że trochę majstrowała przy zamku, zablokowała dostęp. Obawiam się, że złamała warunki umowy najmu.

Eve poczuła, jak ściska jej się żołądek. Wsunęła rękę pod żakiet po broń.

- Zrób, co trzeba, żebyśmy weszli do mieszkania. Żadne z nich nie miało wątpliwości, że bez względu na to, jakich sztuczek użyto, by unieruchomić zamek, Roarke znajdzie na nie sposób. Wyciągnął z kieszeni mały zestaw narzędzi i odkręcił ze skanera i urządzenia identyfikującego chip zabezpieczający przed wtargnięciem intruzów.

- Sprytna dziewczyna. Wprowadziła tu kilka modyfikacji. Usunięcie ich zajmie mi minutkę.

Eve wyciągnęła łącze i skontaktował się z Peabody.

- Odszukaj komendant Angelo - poleciła jej. - Jesteśmy w budynku przy Athena Boulevard numer dwadzieścia dwa pod drzwiami do mieszkania sześć b. Niech tu natychmiast przyjedzie. Chcę, żebyś jej towarzyszyła.

- Tak jest. Co mam jej powiedzieć?

- Żeby niezwłocznie się tu stawiła. - Wsunęła aparat z powrotem do kieszeni i podeszła do Roarke'a akurat wtedy, kiedy zapaliło się zielone światelko. - Odsuń się - rozkazała i wyciągnęła broń.

- Pani porucznik, już wchodziłem z tobą do różnych pomieszczeń. - Wyjął z kieszeni ręczny laser i udał, że nie widzi gniewnej miny Eve, kiedy to zobaczyła. - O ile dobrze pamiętam, wolisz niską moc.

Ponieważ nie miało sensu ugryźć się w język ani wydrzeć się na niego za to, że nosił przy sobie coś takiego, nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

- Na trzy. - Położyła rękę na klamce, szykując się do otwarcia drzwi.

- Zaczekaj! - Usłyszał cichy szum i ten dźwięk sprawił, że serce mu szybciej zabiło. Światelka na panelu zaczęły migać na czerwono, kiedy odciągnął ją od drzwi. Padli na podłogę, a Roarke osłonił Eve swoim ciałem.

Zorientowała się, co się dzieje, nim wybuch wyrwał drzwi. W miejscu, gdzie przed chwilą oboje stali, pojawił się płomień. Rozległo się wycie syren alarmowych, podłoga zadrżała, Eve usłyszała huk kolejnego wybuchu i poczuła na całym ciele podmuch gorącego powietrza.

- Jezu! Jezu! - Starając się wydostać spod Roarke'a, gwałtownie uderzała gołymi dłońmi w rękaw jego marynarki, który lizali płomienie. - Ubranie się na tobie pali!

Z dysz w suficie trysnęła woda. Roarke usiadł i zrzucił z siebie marynarkę.

- Nic ci się nie stało?

- Nic. - Eve pokręciła głową i odgarnęła z twarzy mokre włosy. Z instalacji tryskaczowej lała się woda. - Trochę mi dzwoni w uszach. Jesteś poparzony? - Przesunęła dłońmi po jego ciele, podnosząc się z podłogi.

- Nic mi nie jest. Osłoniła mnie marynarka. Czyli że oboje jesteśmy cali. - Spojrzał na osmaloną dziurę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą były drzwi. - Ale obawiam się, że będę musiał wyeksmitować lokatorkę z mieszkania sześć b.

Wprawdzie Eve wątpiła, czy to potrzebne, ale i tak nie schowała broni, przechodząc

po między wciąż dymiącymi fragmentami drzwi i ściany. Powietrze w korytarzu i mieszkaniu wypełniały dym i para wodna, ale wystarczył jeden rzut oka, żeby się zorientować, że wybuch był słabszy, niż przypuszczała. I o bardzo ograniczonym zasięgu.

- Odrobina farby i mieszkanie znów będzie się nadawało do wynajęcia.

- Moc ładunków była tak dobrana, żeby wyrwać drzwi i zabić tego, kto stoi przed nimi. - Na podłodze leżały kawałki naczyń stołowych, spadł wazon z kwiatami, woda z niego zasiliła strumienie tej, która pochodziła z tryskaczy.

Meble były zalane, na ścianach widać było ślady dymu i sadzy. Przedpokój został kompletnie zniszczony, ale poza tym wybuch nie wyrządził większych szkód w mieszkaniu.

Nie zwracając uwagi na krzyki i głosy dobiegające z innych pomieszczeń budynku, Roarke razem z Eve wszedł do sypialni.

Zita leżała na łóżku, ręce miała skrzyżowane na piersiach. Eve wsunęła broń do kabury, zbliżyła się do kobiety i przyłożyła dwa palce do jej szyi, żeby sprawdzić puls.

- Nie żyje.

ROZDZIAŁ 7

- Pani rozumienie współdziałania i pracy zespołowej wyraźnie się różni od mojego, pani porucznik.

Przemoczona, brudna i z piekielnym bólem głowy, Eve starała się jakoś trzymać, kiedy Darcia kończyła oględziny zwłok.

- Informowałam panią na bieżąco.

- Nie, zostawiła pani zwięzłą wiadomość w poczcie głosowej. - Darcia się wyprostowała. Zabezpieczonymi dłońmi wzięła z szafki nocnej buteleczkę jakichś pigułek i włożyła ją do torby na dowody rzeczowe. - Kiedy najwyraźniej bezprawnie próbowała pani wtargnąć do tego lokalu.

- Właściciel nieruchomości albo jego przedstawiciel ma prawo wejść do mieszkania, jeśli są podstawy, aby przypuszczać, że zagrożone jest życie ludzi lub rzeczona nieruchomość.

- Proszę mi tu nie wyjeżdżać z cytatami z regulaminu - warknęła Darcia. - Chciała mnie pani odsunąć od sprawy.

Eve otworzyła usta, ale tylko wzięła głęboki oddech.

- Zgoda. Nie powiedziałabym, że chciałam panią odsunąć od sprawy, ale rzeczywiście działałam za pani plecami. Na pani miejscu byłabym równie wkurzona, co pani. Jestem przyzwyczajona do tego, że prowadzę śledztwo po swojemu, w swoim tempie.

- Nie kieruje pani tym śledztwem. Wsadzić zwłoki do torby i zabrać je stąd - rozkazała Darcia mundurowym stojącym w drzwiach sypialni. - Prawdopodobna przyczyna śmierci: samobójstwo.

- Chwileczkę. Chwileczkę. Zaczekajcie! - zawołała Eve, podnosząc rękę, żeby powstrzymać policjantów. - To nie jest samobójstwo.

- Widzę zwłoki bez żadnych śladów przemocy. Włosy starannie uczesane, nienaruszony makijaż. Na szafce nocnej kieliszek białego wina i buteleczka tabletek, przepisywanych w celu bezbolesnego, łagodnego rozstania się z życiem. Mam tutaj - ciągnęła, wskazując drugą torebkę na dowody rzeczowe, zawierającą pojedynczą kartkę papieru - list, w którym ofiara otwarcie oświadcza, że zamierza odebrać sobie życie, dręczona wyrzutami sumienia z powodu przyczynienia się do śmierci Reginalda Weeksa. Zlecił jej jego zabicie Roarke i zapłacił pięćdziesiąt tysięcy w gotówce. Na toalecie jest torba na ramię, w której znajduje się dokładnie taka kwota.

- Roarke nie wydał polecenia zabicia kogokolwiek.

- Może nie. Ale jestem przyzwyczajona prowadzić śledztwo po swojemu. I swoim tempem - rzuciła Eve w twarz jej własne słowa. - Komendant Skinner wniósł skargę, twierdząc, że dziś rano Roarke próbował go zastraszyć, uciekając się do gróźb słownych i posługując się bronią. Dyski ochrony hotelowej potwierdzają, że Roarke wszedł do apartamentu komendanta i przebywał w nim przez siedem minut i czterdzieści trzy sekundy. Wydarzenie to potwierdził niejaki Bryson Hayes, osobisty sekretarz Skinnera, cały czas przy tym obecny.

Nie było sensu znów w coś kopnąć, wyobrażając sobie, że to głowa Roarke'a.

- Skinner tkwi w tym po uszy i jeśli da mu się pani przekonać, by skupić uwagę na Roarke'u, to nie jest pani taka bystra, jak sądziłam. Ale po kolei. Komendant Angelo, ma pani do czynienia z zabójstwem. Drugim, za które odpowiedzialność ponosi Skinner.

Darcia dała ręką znak swoim ludziom, żeby wyszli.

- Proszę mi wyjaśnić, jakim cudem może to być zabójstwo i dlaczego nie miałabym polecić, by odstawiono panią na lądowisko i wywieziono stąd pierwszym wahadłowcem. Dlaczego nie miałabym też, dysponując takimi dowodami rzeczowymi, nie zabrać Roarke'a na przesłuchanie jako podejrzanego o morderstwo Reginalda Weeksa. - W jej głosie było teraz wyraźnie słycać wzburzenie. - I dla pełnej jasności, biorę pensję od pani męża. Ale to nie znaczy, że mnie kupił.

Eve nie odrywała wzroku od Darcii.

- Peabody! Czekając, aż jej partnerka wejdzie do pokoju, Eve z trudem starała się zapanować nad własnym wzburzeniem.

- Tak jest, pani porucznik?

- Co widzisz?

- Kobietę w wieku dwudziestu kilku lat, średniej budowy ciała. Bez śladów walki albo stosowania przemocy. - Urwała, kiedy Eve wzięła od Darcii torbę na dowody rzeczowe i podała jej. - Zwykle barbiturany, powszechnie używane w celach samobójczych. Z recepty wynika, że przepisano cztery tabletki. Brak wszystkich czterech. Na buteleczce jest data sprzed dwóch tygodni. Receptę zrealizowano w Atlancie w stanie Georgia.

Eve skinęła głową, kiedy dostrzegła błysk w oczach Darcii, po czym wręczyła Peabody list.

- Najwyraźniej list samobójcy. Podpisany. Wygenerowany na komputerze. Jego treść jest sprzeczna z pozostałymi dowodami rzeczowymi.

- Bardzo dobrze, Peabody. Wylicz komendant Angelo te sprzeczności.

- No więc, pani porucznik, większość ludzi nie trzyma w podręcznej apteczce tabletek, które zamierza zażyć, by odebrać sobie życie. O ile nie cierpią na nieuleczalną chorobę, sprawiającą ból nie do zniesienia, potrzeba kilku badań i spełnienia szeregu wymogów prawa, by zyskać dostęp do tych tabletek. Darcia uniosła dłoń.

- To dodatkowy powód, żeby je mieć na podorędziu.

- Nie, komendantko.

- Pani komendant - poprawiła ją Darcia, rzucając Eve znaczący uśmiezek. - W moim kraju do przełożonego płci żeńskiej należy się zwracać per „pani komendant”.

- Tak jest, pani komendant. Może w pani kraju panują inne przepisy regulujące dostęp do tego rodzaju środków. W Stanach trzeba się zarejestrować. Jeśli się nie... Jeśli nadal się żyje po trzydziestu dniach od realizacji recepty, następuje automatyczne anulowanie zlecenia. Tabletki są konfiskowane, należy się zgłosić na ponowne badania psychiatryczne. Ale przede wszystkim w całej tej historii jest pełno sprzeczności.

- Mów dalej, Peabody - poleciła jej Eve.

- Z listu wynika, że postanowiła odebrać sobie życie z powodu poczuwania się do winy za to, co wydarzyło się ostatniej nocy. Ale miała tabletki już wcześniej. Dlaczego? I w jaki sposób je zdobyła? Ustaliła pani czas zgonu na czwartą zero zero dziś rano, czyli bardzo niedawno zainkasowała pieniądze i obudziły się w niej te wyrzuty sumienia. I tak się akurat złożyło, że w domu miała dość tabletek, by móc odebrać sobie życie. To wszystko, za przeproszeniem, nie trzyma się kupy.

Umilkła, a kiedy Darcia skinęła głową, żeby mówiła dalej, wzięła głęboki oddech i kontynuowała.

- Poza tym dlaczego założyła jeden ładunek wybuchowy w drzwiach do mieszkania, a drugi w dyżurce, żeby zniszczyć dyski ochrony w budynku? Trzeba też pamiętać o tym - ciągnęła Peabody, wyraźnie rozkoszując się teraz swoją rolą - że z profilu psychologicznego Roarke'a wynika, iż nie ucieka się do wynajmowania płatnych zabójców, szczególnie że Dallas nieźle przyłożyła temu facetowi, za co między innymi Roarke ją podziwia. Jeśli więc uwzględnić to wszystko, widać, że ten list to mistyfikacja, a owo rzekome samobójstwo najprawdopodobniej jest morderstwem.

- Peabody. - Eve otarła nieistniejącą łzę z policzka. - Jestem z ciebie dumna.

Darcia spojrzała najpierw na jedną, potem na drugą. Wciąż była poirytowana, co - sama musiała przyznać - mogło jej utrudniać logiczne myślenie.

- Detektyw Peabody, może mogłaby nam pani teraz wyjaśnić, jak jakaś nieznana osoba czy osoby dostały się do tego mieszkania i nakłoniły tę wykwalifikowaną agentkę

ochrony do tego, by nie stawiając oporu, połknęła tabletki powodujące śmierć.

- No cóż...

- Pozwól, że teraz ja zabiorę głos. - Eve poklepała ją po ramieniu. - Chyba nie chcesz zniszczyć swojego dobrego wizerunku. Nieznaną osobę bądź osoby wpuściła do mieszkania sama ofiara. Najprawdopodobniej, żeby zainkasować pieniądze albo odebrać kolejne instrukcje. Przypuszczam, że tabletki rozpuszczono w winie. Nieznana osoba bądź osoby zaczęły, aż ofiara straci przytomność, wtedy zaniósł ją do sypialni i ułożyły na łóżku. Wystukano list i wszystko umieszczono na swoim miejscu. Kiedy upewniono się, że ofiara nie żyje, założono ładunki wybuchowe i nieznana osoba bądź osoby udały się w swoją drogę.

- Ona to widzi - uprzejmie wtrąciła Peabody. - Nie jak jakiś psychol czy ktoś w tym rodzaju. Zupełnie, jakby towarzyszyła zabójcy. To prawdziwy dar natury.

- Wystarczy, Peabody. Była narzędziem - ciągnęła Eve. - Zwyczajnym narzędziem. Tak samo jak Weeks. Prawdopodobnie wstąpiła do policji przez pamięć dla ojca, a Skinner to wykorzystał, bo chce przyłapać na czymś Roarke'a, żeby go zamknąć za to, co zrobił jego ojciec. Nie traktuje ich jak ludzi, jak żywe istoty. Są tylko orężem, wykorzystywanym w wojnie, którą prowadzi od dwudziestu trzech lat.

- W takim razie może nie orężem - poprawiła ją Darcia - tylko żołnierzami. Niektórzy generałowie nie przejmują się śmiercią swoich żołnierzy. Detektyw Peabody, czy mogłaby pani zostawić nas same?

- Tak jest.

- Domagam się przeprosin. - Uśmiechnęła się, widząc, jak Eve się skrzywiła. - Tak, wiem, że to boli, dlatego się ich domagam. Nie za przejęcie kierownictwa nad śledztwem i tak dalej. Tylko za brak zaufania do mnie.

- Znam panią od niespełna dwudziestu czterech godzin - zaczęła Eve i znów się skrzywiła. - W porządku, niech będzie. Przepraszam, że pani nie ufałam. Powiem więcej. Przepraszam za brak szacunku dla pani władzy.

- Przyjmuję przeprosiny. Każę zabrać zwłoki do lekarza sądowego, mając powody przypuszczać, że kobietę zamordowano. Pani partnerka jest świetnie wyszkolona.

- Przyznaję, że jest dobra - zgodziła się z nią Eve, ponieważ Peabody nie było w pobliżu i tego nie słyszała. Nie chciała, żeby Delii woda sodowa uderzyła do głowy. - I staję się coraz lepsza.

- Nie zwróciłam uwagi na datę, na jej znaczenie, a powinnam była. Przypuszczam, że dostrzegłabym te fakty, kiedy minęłaby mi złość na panią, ale to nie ma nic do rzeczy. Teraz muszę przesłuchać Roarke'a na okoliczność jego porannej rozmowy z komendantem i co go

łączyło z Zitą Vinter. Żeby moje oficjalne sprawozdanie było bez zarzutu, nie będzie pani obecna podczas tego przesłuchania. Byłabym jednak bardzo zobowiązana, gdyby została tu pani i pokierowała moimi ludźmi podczas oględzin miejsca zbrodni.

- Nie ma sprawy.

- Postaram się, żeby przesłuchanie potrwało jak najkrócej, bo przypuszczam, że i pani, i Roarke chcieliby jak najszybciej wrócić do hotelu i ściągnąć te mokre, brudne ubrania.

- Mijając Eve, pociągnęła za rękaw jej zakietu. - Był bardzo elegancki.

*

- Zachowała się wobec mnie uprzejmiej niż ja wobec niej - przyznała Eve, unosząc ramiona, żeby rozruszać mięśnie. Nie sądziła, że tak mocno się potłukła, przywalona przez Roarke'a, ale uznała, że powinna rzucić okiem na siniaki.

Po długim, gorącym prysznicu.

Ponieważ Roarke jedynie bąknął coś w odpowiedzi, kiedy wjeżdżali do swojego apartamentu, zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Doszła do wniosku, że też przydałby mu się prysznic. Wprawdzie wyrzucił zniszczoną marynarkę, ale koszula też nie przedstawiała się najlepiej.

Eve ciekawa była, czy ma równie brudną twarz, jak on.

- Kiedy tylko doprowadzimy się do ładu... - zaczęła, wychodząc z windy do holu. Ale nie mogła iść dalej, bo Roarke przycisnął ją do drzwi windy i zaczął łapczywie szukać ustami jej ust.

Niemal się zatraciła w tym pocałunku.

- Ejże! A cóż to ma znaczyć?

- Brakowało kilku sekund - powiedział, zaciskając dłonie na jej ramionach i patrząc żarliwie w jej oczy - a nie byłoby nas tu teraz.

- Ale jesteśmy.

- Zgadza się. - Zsunął zakiet z ramion Eve i zaczął całować jej szyję. - Zgadza się. Udowodnijmy to. - Ściągnął jej zakiet do końca i rozdarł koszulę na ramieniu. - Chcę cię obejmować. Chcę, żebyś ty objęła mnie.

Eve nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zaczęła się szarpać z jego zniszczoną koszulą, a ponieważ miała zajęte obie ręce, posłużyła się zębami.

Ledwo przekroczyli próg pokoju, osunęli się na podłogę. Obejmując Roarke'a uwolniła go od reszty garderoby, a potem wygięła się w łuk, kiedy przycisnął usta do jej piersi.

Pożądanie, głębokie i pierwotne, paliło jej ciało. Z jej ust wyrwało się jego imię. Zawsze je wymawiała w takich chwilach. Była nienasycona. Chciała więcej dawać i więcej dostać. Wpiła się palcami w jego napięte mięśnie, wilgotną skórę. Jego zapachowi towarzyszyła woń dymu i śmierci, co wywołało w niej nową falę miłości i pożądania.

Wciąż nie miał jej dość. Wydawało się, że nigdy nie będzie miał jej dość ani nie będzie chciał mieć jej dość. Wszystkie żądze, namiętności i apetyty, jakie znał, blakły w porównaniu z pragnieniem, jakie budziła w nim ona i to wszystko, czym była. Jej siła fizyczna i ta jej niezwykła prawość wprawiały go w zachwyt. Stanowiły dla niego wyzwanie.

Największą rozkoszą w jego życiu było czuć, jak ta silna kobieta drży w jego ramionach, jak się przed nim otwiera, jak się z nim łączy w jedność.

Jej oddechy stały się płytkie, urywane. Roarke usłyszał, jak wstrzymała je na chwilę, a potem z jej ust wydobyło się zduszone westchnienie, gdy doprowadził ją do orgazmu. Krew szybko mu krążyła w żyłach, kiedy znów przywarł ustami do jej ust i wniknął w nią ponownie.

Przepęniały ich podniecenie i namiętność. Odgłosy ciał, uderzających o siebie, skóry, ocierającej się o skórę, mieszały się ze szmerem nierównych oddechów.

Usłyszała, jak coś wyszeptał - język jego młodości, którym tak rzadko się posługiwał, brzmiał egzotycznie w połączeniu z jej imieniem. Doznawała coraz większej rozkoszy, która doprowadzała jej krew do wrzenia, kiedy czuła, jak rytmicznie, gwałtownie się w niej poruszał.

Powstrzymywała się resztką sił. Potem zobaczyła, jak utkwiał w niej spojrzenie płonących, niebieskich oczu. Zalała ją fala miłości.

- Dotrzyjmy tam razem - powiedział z silnym irlandzkim akcentem. - Dotrzyjmy tam razem.

Powstrzymywała się, patrząc, jak jego cudowne oczy zachodzą mgłą. Powstrzymywała się, czując go w sobie.

A potem puściła cugle i razem z nim poszybowała na sam szczyt.

*

Eve odkryła, że seks z odpowiednią osobą ma niesłychanie dobroczynny wpływ na ciało, duszę i umysł. Prawie wcale nie protestowała, że musi się wystroić na spotkanie z Belle Skinner na podwieczorku dla pań. Kiedy Roarke wybrał dla niej suknię, która niezbyt odpowiadała wyobrażeniom Eve o tym, jak powinna się ubierać policjantka, powstrzymała się od komentarzy i jedynie wsunęła broń pod długi żakiet z leżącej się tkaniny.

- Zamierzasz nią obezwładniać kobiety, jedząc kanapki z rzeżuchą i kruche ciasteczka? - spytał ją.

- Nigdy nic nie wiadomo. - Wzruszyła ramionami, gdy spojrzała na złote kolczyki, które jej podał, ale i je założyła. - Przez ten czas, gdy będę popijała herbatę z Belle Skinner i próbowała ją zastraszyć, ty możesz za mnie popracować. Pokop trochę, sprawdź, czy Hayesa coś wiąże z policjantami, którzy zginęli podczas sfuszerowanej akcji kierowanej przez Skinnera. Mam wrażenie, że ich stosunki są bardziej zażyłe od tych, jakie zwykle łączą pracodawcę z podwładnym.

- Dobrze. Buty. Utkwiła wzrok w cieniutkich szpilkach.

- Tak to nazywasz? Powiedz mi, dlaczego mężczyźni nie muszą paradować w takich śmiertelnych pułapkach?

- Codziennie zadaję sobie to pytanie. - Przyjrzał się jej uważnie, kiedy je włożyła. - Moja pani porucznik, wygląda pani oszałamiająco.

- Czuję się jak idiotka. Jak mam kogokolwiek zastraszyć w takim stroju?

- Jestem pewien, że ci się to uda.

- Podwieczorek dla pań - gderała, wychodząc. - Nie rozumiem, dlaczego Angelo nie mogła ściągnąć tej kobiety do siebie, żeby się z nią rozmówić.

- Nie zapomnij o gumowym wężu i miniołuszczu. Rzuciła mu spojrzenie pełne wyższości, wsiadając do windy.

- Pocałuj mnie.

- Już to zrobiłem. Podwieczorek już trwał, kiedy pojawiła się Eve. Kobiety w zwiewnych sukienkach, niektóre nawet w kapeluszach, przesuwały się po sali, przysiadły w altankach porośniętych różowymi różami albo wychodziły na taras, gdzie harfistka trącała struny i śpiewała drżącym głosem, który z miejsca zaczął działać Eve na nerwy.

Na półmiskach z przezroczystego szkła piętrzyły się mikroskopijne tartinki i ciasteczka pokryte różowym lukrem. W srebrnych, błyszczących dzbankach stała herbata, której zapach zbyt przypominał Eve woń róż.

W takich chwilach zastanawiała się, dlaczego kobiety nie odczuwają zażenowania, że są kobietami.

Najpierw wypatrzyła Peabody i była bardziej niż trochę zaskoczona, widząc swoją niezawodną partnerkę wystrojoną w kwiecistą, szeroką sukienkę i w słomkowym kapeluszu o szerokim rondzie, ozdobionym długimi wstążkami.

- Jezu, Peabody, wyglądasz jak... jak to się nazywa... pasterka albo ktoś w tym rodzaju.

- Dziękuję, Dallas. Świetne buty.

- Zamknij się. Odszukaj Mirę. Chcę, żeby przyjrzała się bliżej żonie Skinnera. Kręćcie się obie w pobliżu, kiedy będę z nią rozmawiała razem z Angelo.

- Pani Skinner jest na tarasie. Komendant Angelo dopiero co przysłała. Rety, ma doskonałe geny.

Eve obejrzała się za siebie i skinęła głową Darcii. Szefowa policji zdecydowała się na białą suknię, która nie wirowała przy każdym ruchu, tylko opinała wszystkie krągłości.

- Jest na tarasie - poinformowała ją Eve. - Jak chcesz to rozegrać?

- Subtelnie, pani porucznik. Jestem zwolenniczką subtelnych metod. Eve uniosła brwi.

- Nie wydaje mi się.

- Niech to przypomina swobodną rozmowę - powiedziała Darcia i skierowała się na taras. Przystanąła, nalala sobie herbaty, a potem podeszła do stolika, przy którym siedziała Belle. - Cudowny podwieczorek, pani Skinner. Wszystkie chcemy pani podziękować za to, że zgodziła się pani zostać gospodynią tego przyjęcia. Wspaniała okazja, by odpocząć od seminariów i dyskusji panelowych.

- Powinnyśmy pamiętać, że jesteśmy kobietami, a nie tylko matkami, żonami czy też pracownicami robiącymi karierę zawodową.

- Bezwzględnie. Czy mogłabym razem z porucznik Dallas zamienić z panią kilka słów na osobności? Nie zajmiemy pani dużo czasu.

Położyła dłoń na ramieniu jednej z kobiet siedzących przy stoliku. Subtelne, pomyślała Eve. I skuteczne, kiedy tamta wstała, by oddać Darcii swoje miejsce.

- Muszę pani powiedzieć, że bardzo mi się podobał odczyt inauguracyjny, wygłoszony dziś rano przez komendanta - zaczęła komendant Angelo. - Był taki inspirujący. I jemu, i pani musi być bardzo trudno brać udział w konferencji po tragicznej stracie, jaką państwo ponieśli.

- Zarówno Douglas, jak i ja mocno wierzymy w to, że należy wypełniać swoje obowiązki bez względu na problemy osobiste. Biedny Reggie. - Zacisnęła usta. - To straszne. Nawet kiedy się jest przez pół wieku żoną policjanta... Każda tragiczna śmierć jest wielkim wstrząsem.

- Jak dobrze znała pani Weeksa? - spytała Eve.

- Szok, żal i poczucie straty nie zależą wyłącznie od osobistej znajomości ze zmarłym, pani porucznik. - Głos Belle stał się chłodny. - Ale przyznaję, że znałam go dość dobrze. Razem z Douglasem uważamy, że ważne są bliskie osobiste więzi z ludźmi, których

zatrudniamy.

Lubi Angelo, pomyślała Eve. Nienawidzi mnie. No cóż.

- Zapewne właśnie ten szok i żal były powodem, że podsłuchiwała pani naszą rozmowę z sypialni, zamiast wejść do salonu, kiedy informowaliśmy komendanta Skinnera, że zamordowano jednego z jego agentów ochrony.

Belle wyraźnie zbladła.

- Nie wiem, co pani sugeruje.

- Nie sugeruję, tylko mówię bez ogródek. Zajmuje pani drugą sypialnię, nie główną, razem z komendantem. Wiem, że pani nie spała, bo w pokoju paliło się światło. Słyszała pani, jak przekazywaliśmy tę wiadomość, ale mimo bliskiej, osobistej znajomości nie wyszła pani, żeby wyrazić swój szok z powodu tej straty. Dlaczego, pani Skinner?

- Dallas, jestem pewna, że pani Skinner miała swoje powody. - W głosie Darcii można było dosłyszeć lekką nutkę potępienia. Rzuciła Belle uśmiech pełen współczucia. - Bardzo panią przepraszam, pani Skinner. Pani porucznik, co całkiem zrozumiałe, jest w tej chwili bardzo zdenerwowana.

- Nie musi mnie pani przepraszać, komendant Angelo. Rozumiem i do pewnego stopnia solidaryzuję się z pragnieniem porucznik Dallas, by bronić i chronić swego męża.

- Czy pani też to robi? - zapytała Eve. - Jak daleko by się pani posunęła? Ile bliskich, osobistych więzi jest pani gotowa poświęcić? A może nie łączyły pani bliskie stosunki z Zitą Vinter?

- Z Zitą? - Belle drgnęła, jakby ktoś wymierzył jej cios. - A cóż ona ma z tym wszystkim wspólnego?

- Znała ją pani?

- Jest naszą chrześnicą, naturalnie, że ją... Znałam? - Z jej ładnej twarzy odpłynęła cała krew i mimo fachowo nałożonego makijażu Belle zaczęła przypominać umalowaną lalkę.

- Co się stało?

- Nie żyje - powiedziała Eve beznamiętnie. - Dziś wczesnym rankiem ktoś ją zamordował kilka godzin po śmierci Weeksa.

- Nie żyje? Nie żyje? - Belle wstała i zachwiała się. Przewróciła filiżankę z herbatą, kiedy starała się odzyskać równowagę. - nie mogę... Nie mogę teraz z paniami rozmawiać.

- Chcesz dalej ją maglować? - spytała Darcia, kiedy Belle wybiegła z tarasu.

- Nie. Dajmy jej trochę czasu. Jest teraz przerażona. Tym, co wie, i tym, czego nie wie. - Spojrzała na Darcie. - Świetnie znalazłyśmy wspólny rytm.

- Też tak uważam. Ale przypuszczam, że odgrywanie nieczulej, apodyktycznej

policjantki nie nastęcza ci większych trudności.

- To dla mnie równie naturalne, jak oddychanie. Zrezygnujmy z tego podwieczorku i chodźmy się czegoś napić. - Eve dała znak Peabody i Mirze. - Tylko my, dziewczyny.

ROZDZIAŁ 8

Eve siedziała zamyślona przy stoliku w szerokim, eleganckim boksie. Przed nią stała butelka wody gazowanej. Wolałaby coś mocniejszego, na przykład zombie, ale doszła do wniosku, że teraz powinna mieć niczym niezmacony umysł.

- Wspaniale udawałaś współczucie - powiedziała do Darcii. - Przypuszczam, że chętnie by z tobą dalej rozmawiała, gdybyś zachowała ten ton.

- Ja też.

- Obecna tu doktor Mira też chciałaby się czegoś dowiedzieć. Możecie wspólnie ją rozpracować. - Eve spojrzała na Mirę popijającą białe wino.

- Była zaszokowana i wstrząśnięta - zaczęła Mira. - Najpierw sprawdzi, czy wiadomość o śmierci chrześnicy jest prawdziwa. Kiedy to zrobi, pograży się w żalu, nadal nie mogąc się otrząsnąć z szoku.

- Czyli będzie jeszcze bardziej bezbronna, słysząc właściwe pytania, zadane właściwym tonem.

- Jesteś bezwzględna, Dallas - powiedziała Darcia. - Podoba mi się to w tobie. Chętnie przesłucham Belle Skinner w obecności doktor Miry, jeśli pani doktor nie ma nic przeciwko temu.

- Z radością będę służyła swoją pomocą. Przypuszczam, że zamierzasz znów porozmawiać ze Skinnerem, Eve.

- Za pozwoleniem pani komendant. - Nie udawaj teraz takiej grzecznej - powiedziała Darcia. - Niszczysz moje wyobrażenie o tobie. Nie będzie chciał z tobą rozmawiać - ciągnęła.

-

Bez względu na to, jakimi uczuciami darzył cię wcześniej, po jego odczycie inauguracyjnym doszłam do wniosku, że wsadził ciebie i Roarke'a do jednego wora. Nienawidzi was obojga.

- Wspomniał o nas w swoim przemówieniu inauguracyjnym?

- Nie z nazwiska, ale wyraźnie dał wszystkim do zrozumienia, kogo ma na myśli. Jego inspirująca, dodająca otuchy przemowa w drugiej połowie przybrała inny ton. Zaczął się rozwodzić nad policjantami, którzy zeszli na złą drogę, zapomnieli o swoich podstawowych obowiązkach, przedkładając ponad to osobistą wygodę i zyski. Gesty, język ciała... - Darcia wzruszyła ramionami. - Nie ulegało wątpliwości, że mówi o tym miejscu... Powiedział, że to pełne przepychu pałace okupione krwią i cierpieniem ludzi... I o tobie. Dzielącej łożę z

człowiekiem występny. Bardzo dał się ponieść, przemawiał niemal jak kaznodzieja. Wprawdzie znalazło się kilka osób, które z entuzjazmem przyjęły taki tok rozumowania, ale odniosłam wrażenie, że znakomita większość obecnych poczuła się niezręcznie. Była zakłopotana albo zwyczajnie oburzona.

- Nie przejmuję się tym, że postanowił wykorzystać swoje wystąpienie, żeby przyłożyć mnie i Roarke'owi. - Eve zauważyła, że Peabody utkwiała wzrok w swoim kieliszku.
- Peabody?

- Uważam, że jest chory. - Jej partnerka powiedziała to cicho i w końcu uniosła wzrok. - Fizycznie i psychicznie. Chyba nie jest w najlepszej formie. Przykro było na niego patrzeć dziś rano. Zaczął dobrze, ze swadą, a potem przeszedł do tych insynuacji. Podziwiałam go przez całe życie, dlatego trudno mi było tego słuchać - ciągnęła. - Wielu obecnych policjantów się zjeżyło. Dosłownie było widać, jak stopniowo tracą do niego szacunek. Napomknął o morderstwie, o tym, jak wielce obiecujący młody człowiek padł ofiarą bezdusznego mściciela. Jak zabójca kryje się za policyjną odznaką, chociaż powinien zostać postawiony przed sąd przez funkcjonariusza policji.

- Wyraził się dość jasno - zauważyła Eve.

- Salę opuściło wtedy wielu gliniarzy.

- Więc przypuszczalnie jest teraz trochę roztrzęsiony. Zajmę się nim - powiedziała Eve. - Peabody, odszukaj Feeneya, zobacz, co jeszcze uda ci się ustalić o obu ofiarach i innych obecnych tu osobach, które są jakoś powiązane z tamtą fuszerką w Atlancie. Nie ma pani nic przeciwko temu, komendant Angelo?

Darcia dopiła swoje wino.

- Nic a nic. Eve najpierw poszła do swojego apartamentu. Chciała poznać jeszcze kilka szczegółów przed ponowną rozmową ze Skinnerem. Ani przez chwilę nie wątpiła, że Roarke już je odnalazł.

Kiedy weszła, akurat rozmawiał przez łącze z szefem hotelowej ochrony. Nie mogąc usiedzieć na miejscu, Eve wyszła na taras i zaczęła analizować fakty, dowody rzeczowe, możliwe scenariusze.

Dwa trupy. Ojcowie obu ofiar byli policjantami, którzy ponieśli śmierć podczas wykonywania swoich obowiązków. I mieli powiązania z Roarkiem oraz Skinnerem. Zostali zamordowani w świecie stworzonym przez Roarke'a, w miejscu, gdzie aż roiło się od gliniarzy. Bardzo to zgrabnie pomyślane. Czysta poezja.

Czy wszystko to ukartowano? To nie było zabójstwo w afekcie, zaplanowano je z zimną krwią. Poświęcono Weeksa i Vinter, ci dwoje stali się tylko pionkami w tej grze. Tak,

doszła do wniosku, to jak partia szachów. Czarny król przeciwko białemu. Coś jej mówiło, że Skinnera nie usatysfakcjonuje szach i mat. Był spragniony krwi. Odwróciła się, kiedy Roarke wyszedł na taras.

- Nie zadowolili się zniszczeniem ciebie. Systematycznie dąży do tego, żeby cię zabić. Zgromadził tu dużo amunicji. Wywiera presję, gromadzi poszlaki, żeby wszystko wskazywało na to, że to ty polecieś zlikwidować tamtych dwoje. Jedyne, czego potrzebuje, to żołnierza, chętnego do wzięcia na siebie odpowiedzialności. Założę się, że jest nim Hayes. Skinner nie ma już za dużo czasu, żeby to wszystko doprowadzić do końca.

- Masz rację - zgodził się z nią Roarke. - Zajrzałem do jego karty zdrowia. Rok temu stwierdzono u niego rzadko spotykaną dolegliwość. O ile dobrze zrozumiałem, choroba stopniowo niszczy mózg.

- Jak się ją leczy?

- Można stosować pewne środki. Podał się leczeniu dwukrotnie, bez rozgłosu, w prywatnej klinice w Zurychu. Terapia spowalnia rozwój choroby, ale w jego przypadku... Doszło do komplikacji. Odbiło się to na pracy serca i płuc. Kolejna próba by go zabiła. Dano mu rok życia, zostało z tego może ze trzy miesiące. Z tych trzech przez dwa nadal będzie mógł w miarę normalnie funkcjonować. Już zadbał o to, żeby móc odebrać sobie życie.

- Niedobrze. - Eve wsunęła ręce do kieszeni żakietu. Zorientowała się ze spojrzenia Roarke'a, że jeszcze nie powiedział jej wszystkiego. Świadczyło o tym to, jak teraz na nią patrzył. - Pasuje to do całości obrazu. Tamta jedna sprawa od dziesięcioleci nie dawała mu spokoju. Chce mieć czyste konto, nim skończy ze sobą. To, co niszczy mu mózg, prawdopodobnie sprawia, że stał się większym fanatykiem, jest bardziej niezrównoważony i mniej przejmuje się drobiazgami. Musi zobaczyć, jak idziesz na dno, zanim sam umrze. Co jeszcze znalazłeś?

- Pogrzebałem głębiej w aktach dotyczących tej spartaczonyj operacji. Dotarłem do jego notatek. Był przekonany, że trafił na ślad mojego ojca, zanim ten ponownie uciekł z kraju. Skinner wykorzystał swoje znajomości. Powszechnie uważano, że mój ojciec udał się na zachód i spędził kilka dni wśród ludzi równie nikczemnych, jak on sam. W Teksasie. W Dallas, Eve.

Żołądek jej się ścisnął, a serce na chwilę przestało bić.

- To duże miasto. To jeszcze nie znaczy...

- Wszystko zdaje się pasować. - Podeszedł do niej i przesunął kilka razy dłońmi po jej ramionach, jakby ją chciał rozgrzać. - Twój ojciec i mój, drobni przestępcy marzący o wielkim skoku. Znalezione cię w zaułku w Dallas zaledwie kilka dni po tym, jak Skinner

ponownie zgubił ślad mojego ojca.

- Twierdzisz, że nasi ojcowie się znali?

- Mówię tylko, że nie można wykluczyć takiej ewentualności. Zastanawiałem się, czy ci o tym powiedzieć - dodał, dotykając czołem jej czoła.

- Daj mi minutę. - Odsunęła się od niego, oparła o balustradę i zaczęła wpatrywać się w ośrodek. Ale widziała zimny, brudny pokój i siebie skuloną w kącie jak zaszczute zwierzę. Z zakrwawionymi rękami.

- Chyba miał na oku jakiś większy skok - powiedziała cicho. - Nie pił tak dużo, jak zwykle. Dla mnie zawsze gorzej się kończyło, kiedy wracał do domu trzeźwy. Poza tym miał pieniądze. No cóż. - Wzięła głęboki oddech. - To by się zgadzało. Wiesz, co sobie myślę? - Co?

- Że czasami los obchodzi się z nami łaskawie. Jakby mówił: dobrze, dość się nacierpiałas, pora, żebyś poznała coś lepszego. Przekonajmy się, jak wykorzystasz tę szansę. - Odwróciła się w jego stronę. - To nas dopinguje do działania. Nieważne, jacy byli dla nas ani dla siebie nawzajem, liczy się to, kim teraz jesteśmy.

- Najdroższa Eve, kocham cię nad życie.

- W takim razie wyświadcz mi przysługę. Przez najbliższe dwie godziny bądź nieosiągalny. Nie chcę dawać Skinnerowi okazji. Zamierzam z nim porozmawiać, a nie zechce się ze mną, spotkać, jeśli będziesz mi towarzyszył.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem. Musisz mieć przy sobie mikrofon. - Wyciągnął z kieszeni małą szpilkę i wpiął ją w klapę jej zakietu. - Będę tu słyszał każde wasze słowo.

- Prawo zabrania nagrywania rozmów bez wiedzy i zgody wszystkich stron, o ile nie masz specjalnego zezwolenia.

- Naprawdę? - Pocałował ją. - Oto, czego się można spodziewać, kiedy się sypia z niewłaściwym mężczyzną.

- Słyszałeś o tym, prawda? - Tak samo, jak słyszałem, że sporo twoich kolegów policjantów opuściło salę w trakcie mowy inauguracyjnej. Pani porucznik, cieszy się pani dobrą opinią i nic temu nie zagraża. Przypuszczam, że jutro na twoim seminarium będą tłumy.

- Na moim... Jasna cholera! Na śmierć o nim zapomniałam. Nie będę teraz o tym myślała - mruknęła wychodząc. - Nie będę teraz o tym myślała.

*

Eve wsunęła się do sali konferencyjnej, w której Skinner prowadził seminarium na temat taktyki. Z ulgą stwierdziła, że wykład już się zakończył i słuchacze mogli teraz

zadawać pytania. Wiele osób rzucało jej przeciągłe spojrzenia, kiedy szła przez salę, zanim znalazła wolne miejsce mniej więcej w środkowym rzędzie.

Rozejrzała się. Skinner stał na podwyższeniu za mównicą, Hayes w pełnej gotowości na prawo od niego, kilka kroków w głębi. Dwaj ochroniarze po drugiej stronie.

Przesada, pomyślała, ale zrobiono to rozmyślnie. Żeby dać wyraźnie do zrozumienia, że to miejsce, ta sytuacja stanowi realne zagrożenie dla bezpieczeństwa Skinnera. On jednak jest ostrożny i wykonuje to, co do niego należy.

Bardzo sprytnie.

Podniosła rękę, ale Skinner udał, że tego nie widzi. Udzielił odpowiedzi na jeszcze pięć pytań, zanim Eve wstała i zwróciła się do niego. Zauważyła, że Hayes wsunął rękę do kieszeni marynarki.

Wiedziała, że zobaczyli to wszyscy obecni na sali gliniarze. Zapadła kompletna cisza.

- Komendancie Skinner, dowódca często musi wysyłać ludzi na akcje, wiedząc, że istnieje poważne ryzyko, iż będą ofiary śmiertelne wśród cywilów i policjantów. Czy według pana w takich wypadkach lepiej dla prowadzonej operacji, kiedy odsunie się na bok osobiste uczucia do swoich ludzi, czy też kiedy się je wykorzysta, ustalając skład zespołu?

- Każdy, kto podejmuje pracę w policji, jest świadom tego, że w razie potrzeby odda swoje życie, służąc obywatelom oraz chroniąc ich. Każdy dowódca musi to szanować. Trzeba panować nad uczuciami osobistymi, by móc wybrać właściwych ludzi do wykonania danego zadania. To kwestia doświadczenia, zdobywanego przez lata pracy, i nabywanej z czasem umiejętności decydowania, jaki będzie najlepszy skład zespołu do wykonania konkretnego zadania. Ale uczucia osobiste, czyli związek emocjonalny, osobiste powiązania, przyjaźń czy wrogość nigdy nie powinny wpływać na taką decyzję.

- Czyli jako dowódca nie miałby pan skrupułów, poświęcając bliskiego osobistego przyjaciela albo znajomego, by zapewnić powodzenie akcji?

Na jego twarz wystąpiły rumieńce. I zauważyła, że ręka zaczęła mu mocniej drżeć.

- „Poświęcając”, porucznik Dallas? To nieodpowiednie słowo. Policjanci to nie owieczki prowadzone na rzeź. Nie ma tu miejsca na bierne poświęcenie się w imię wyższego dobra, są tylko aktywni, oddani żołnierze, walczący o sprawiedliwość.

- W trakcie walk giną żołnierze. To straty, z którymi trzeba się pogodzić.

- Nie ma takich strat, z którymi można się pogodzić. - Skinner uderzył pięścią w mównicę. - Mogą być konieczne, ale nigdy nie wolno się na nie godzić. Cięży mi śmierć każdego policjanta, który zginął, wykonując moje rozkazy. Mam obowiązki wobec każdego dziecka, które pozostało bez ojca. Tego się wymaga od dowódcy. Oraz żeby był

wystarczająco silny, by udźwignąć to brzemię.

- Czy pańskim zdaniem te straty wymagają od dowódcy szukania rekompensaty?

- Tak, pani porucznik. Nie ma sprawiedliwości bez zapłaty.

- Za dzieci poległych? I za dzieci tych, którzy uniknęli ręki sprawiedliwości? Jakie jest pańskie zdanie?

- Swoim bliskim wybaczymy więcej. - Głos zaczął mu drżeć. - Gdyby bardziej dbała pani o sprawiedliwość niż o swoje osobiste wybory, nie musiałaby pani zadawać tego pytania.

- Zależy mi na sprawiedliwości, panie komendancie. Ale zdaje się, że inaczej ją pojmujemy. Uważa pan, że pańska chrześnica najlepiej się nadawała do tego zadania? Czy jej śmierć ciąży panu teraz, czy też równoważy inne straty?

- Nie ma pani prawa wymawiać jej imienia! Zhańbiła pani swoją odznakę. Przynosi pani wstyd policji. Niech sobie pani nie wyobraża, że pieniądze pani męża albo jego pogrożki powstrzymają mnie przed użyciem wszelkich wpływów, jakie mam, żeby odebrano pani odznakę.

- Nie chowam się za Roarkiem tak samo, jak on nie chowa się za mną. - Nadal mówiła, chociaż Hayes wystąpił do przodu i położył dłoń na ramieniu Skinnera. - Wczoraj i dziś dwoje ludzi straciło tu życie. To dla mnie najważniejsze, panie komendancie. Chodzi mi o sprawiedliwość dla nich.

Hayes wystąpił do przodu.

- Ogłaszam koniec seminarium. Komendant Skinner dziękuje państwu za udział i przeprasza, że porucznik Dallas zakłóciła część przeznaczoną na zadawanie pytań.

Obecni zaczęli wstawać z miejsc. Eve patrzyła, jak Skinner wychodzi, towarzyszyli mu dwaj ochroniarze.

- Jeśli ktoś chce znać moje zdanie - dobiegł ją czyjś głos - takie zakłócenia wyszłyby na dobre wszystkim tym seminarium.

Docisnęła się do pierwszego rzędu i stanęła twarzą w twarz z Hayesem.

- Mam do komendanta jeszcze dwa pytania.

- Ogłosiłem koniec seminarium. I pani małego występu. Czuła w sali obecność innych ludzi, niektórzy byli wystarczająco blisko, by ich słyszeć.

- To zabawne. Myślałam, że przyszłam na występ. Nie wiem tylko, czy to on go prowadzi, Hayes, czy też ty?

- Komendant Skinner jest wspaniałym człowiekiem. Wielkich ludzi często trzeba chronić przed dziwkami.

Podszedł jakiś gliniarz i klepnął Hayesa w ramię.

- Proszę się liczyć ze słowami.
- Dziękuję. - Eve skinęła mu głowę.
- Nie lubię, jak ktoś nazywa policjantkę dziwką. - Cofnął się, ale pozostał w pobliżu.
- Skoro chroni pan wielkiego człowieka - ciągnęła Eve - proszę nie zapominać, że

dwoje z jego żołnierzy jest w kostnicy.

- Czy to groźba, pani porucznik?

- Ależ nic podobnego. To stwierdzenie faktu, Hayes. Tak, jak jest faktem, że ojcowie obojga polegli, wykonując rozkazy Skinnera. A pański ojciec?

Na policzki wystąpiły mu silne rumieńce.

- Nic pani nie wie o moim ojcu i nie ma pani prawa o nim mówić.

- Chciałam tylko, żeby miał pan o czym myśleć. Nie wiem czemu odnoszę wrażenie, że odkrycie, przez kogo ta dwójka znalazła się w kostnicy, bardziej leży na sercu mnie niż panu i pańskiemu wielkiemu człowiekowi. A ponieważ leży mi to na sercu, odnajdę zabójców, zanim się skończy to przedstawienie. Daję panu na to swoje słowo.

ROZDZIAŁ 9

Skoro nie może porozmawiać ze Skinnerem, pomyślała sobie Eve, porozmawia z jego żoną. Jeśli Angelo i Peabody nie zdołały jej pocieszyć i uspokoić, to trudno. Nie zamierzała chodzić na paluszkach wokół chlipiących bab i umierających facetów, bo wtedy będzie musiała przekazać dochodzenie policji międzyplanetarnej.

To jej śledztwo i doprowadzi je do końca.

Wiedziała, że jej gniew częściowo wywołały informacje, którymi podzielił się z nią Roarke. O jego ojcu, jej ojcu, o Skinnerze i poległych policjantach. Skinner miał rację co do jednego, pomyślała, kierując się do jego apartamentu. Głosu krwi nie da się zagłuszyć.

A do niej zawsze najgłośniejszym przemawiała krew zamordowanych.

Zarówno jej ojciec, jak i ojciec Roarke'a zginęli gwałtowną śmiercią. To było jedyne zadośćuczynienie, jakie mogła ofiarować policjantom, którzy wiele lat temu oddali życie, wykonując swoje obowiązki. Ale teraz w kostnicy leżały dwa kolejne trupy. I będzie się dla nich domagała sprawiedliwości bez względu na to, co zrobili.

Zapukała do drzwi i czekała niecierpliwie. Otworzyła jej Darcia i zrobiła przeproszającą minę.

- Zupełnie się załamała - powiedziała szeptem. - Mira głaszcze ją po dłoni i pozwala jej się wyplakać po śmierci chrześnicy. To dobre podstawy, ale jeszcze nam się nie udało nic na nich zbudować.

- Masz coś przeciwko temu, żebym wstrząsnęła tymi podstawami? Darcia przyjrzała się jej uważnie i ściągnęła usta.

- Możemy spróbować tej metody, ale nie potrząsałabym zbyt mocno. Jeśli się kompletnie rozsypie, wrócimy do punktu wyjścia.

Eve skinęła głową i weszła do środka. Mira siedziała na kanapie razem z Belle i rzeczywiście trzymała ją za rękę. Na stoliku przed nimi stał imbryk z herbatą i filiżanki, cały blat usłany był jednorazowymi chusteczkami. Belle płakała cicho, ściskając kolejną chusteczkę.

- Pani Skinner, bardzo mi przykro z powodu odniesionej przez panią straty. - Eve usiadła w fotelu obok kanapy i nachyliła się do kobiety. Przemawiała cicho, ze współczuciem, czekając, aż Belle spojrzy na nią czerwonymi, podpuchniętymi oczami.

- Jak może pani o niej mówić? Pani mąż jest odpowiedzialny za jej śmierć!

- Mojego męża i mnie omal nie rozerwał na kawałki ładunek wybuchowy założony w

drzwiach do mieszkania Zity Vinter. Ładunek, pozostawiony tam przez jej zabójców.

- Któż mógł mieć powód, żeby zabić Zitę?

- Właśnie chcemy to ustalić. To ona unieruchomiła kamery ochrony tej nocy, kiedy zamordowano Weeksa.

- Nie wierzę. - Belle zgmiotła chusteczkę w kulkę. - Zita nigdy nie przyłożyłaby ręki do zabójstwa. Była cudowną młodą kobietą. Zdolną, pełną współczucia.

- I bez reszty oddaną pani mężowi.

- Dlaczego nie miałyby być mu oddana? - Belle uniosła głos, wstając. - Zaopiekował się nią, kiedy zginął jej ojciec. Poświęcał jej czas i uwagę, pomógł zdobyć wykształcenie. Zrobiłby dla niej wszystko.

- A ona dla niego?

Belle zadrżały usta. Znowy usiadła, jakby nogi też odmówiły jej posłuszeństwa.

- Nigdy nie wzięłaby udziału w żadnym morderstwie. A on nigdy nie poprosiłby jej o coś takiego.

- Może o tym nie wiedziała. Może poproszono ją jedynie o wyłączenie kamery, o nic więcej. Pani Skinner, pani mąż jest umierający. - Eve zauważyła, że Belle drgnęła. - Zostało mu już niewiele czasu. I kiedy szykuje się do własnej śmierci, jedna sprawa nie daje mu spokoju: pewna akcja sprzed lat, w której zginęło wielu policjantów. Może mi pani powiedzieć, siedząc teraz tutaj, że jego zachowanie w ciągu kilku ostatnich miesięcy było racjonalne?

- Nie będę z panią rozmawiała o stanie zdrowia mojego męża.

- Pani Skinner, czy uważa pani, że mój mąż jest odpowiedzialny za to, co zrobił jego ojciec? Roarke był wtedy dzieckiem i mieszkał pięć tysięcy kilometrów od miejsca tamtych wydarzeń.

Eve patrzyła, jak do oczu Belle znowy napływają łzy. Nachyliła się, nie zamierzała teraz się wycofać.

- Ten człowiek dla rozrywki katował Roarke'a, niemal zatłukł go na śmierć. Wie pani, co to znaczy dostawać pięścią, kijem czy tym, co akurat znajduje się pod ręką, od osoby, która powinna nas otoczyć opieką? Rodzice mają się troszczyć o swoje dzieci, tak nakazuje prawo i zwyczajna ludzka przyzwoitość. Wie pani, co czuje zakrwawione, posiniaczone i bezradne dziecko, nie mogąc oddać swemu oprawcy?

- Nie. - Łzy potoczyły się po jej twarzy. - Nie.

- Czy takie dziecko ma płacić za brutalność tego człowieka?

- Za grzechy ojców... - zaczęła Belle i urwała. - Nie. - Znużona otarła moką twarz. -

Nie, pani porucznik, nie uważam tego za słuszne. Ale wiem, ile to kosztowało mojego męża, jak się zmienił. Wiem, jak go to prześladowało. Wcześniej był dobrym, uczciwym człowiekiem, który poświęcił całe życie pracy w policji.

- Nie uda mu się pozbyć dręczących go duchów, jeśli spróbuje zniszczyć syna człowieka, przez którego zginęli tamci ludzie. O tym też pani wie.

- Nigdy nie skrzywdziłby Zity ani Reggiego. Kochał ich tak, jakby byli jego dziećmi. Ale... - Znów odwróciła się do Miry i mocno ścisnęła jej rękę. - Jest taki chory... Na ciele, na duchu, na umyśle. Nie wiem, jak mu pomóc. Nie wiem, jak długo dam radę patrzeć, jak powoli kona. Jestem przygotowana na to, by pozwolić mu odejść, ponieważ ból jest czasem nie do zniesienia. A Douglas nie godzi się na moją pomoc. Nie chce dzielić ze mną łoża ani swoich myśli i lęków. Zupełnie jakby powoli się ze mną rozwodził. I nic nie mogę zrobić, żeby do tego nie dopuścić.

- Niektórzy wolą umrzeć w samotności - powiedziała łagodnie Mira. - Bez świadków. Ciężko jest kochać kogoś i patrzeć z boku, jak samotnie pokonuje tę ostatnią drogę.

- Na moją prośbę zgodził się wystąpić o pozwolenie na odebranie sobie życia. - Belle westchnęła. - Jest tego przeciwnikiem. Uważa, że człowiek powinien znieść wszystko, co mu niesie los. Obawiam się, że już nie myśli jasno i logicznie. Są takie chwile...

Zapanowała nad swoim przyspieszonym oddechem i spojrzała na Eve.

- Zdarzają mu się ataki gniewu, huśtawki nastrojów. Częściowo może to być spowodowane lekami, które przyjmuje. Nigdy nie opowiadał mi zbyt dużo o swojej pracy. Ale wiem, że od miesiący, może dłużej, ma swego rodzaju obsesję na punkcie Roarke'a. I uważa, że pani przekłada zło nad obowiązek.

Na chwilę zamknęła oczy.

- Pani porucznik, jestem żoną policjanta. Uważam pracę w policji za zaszczytną służbę i widzę, że godnie ją pani pełni. On też by to rozumiał, gdyby nie był taki chory. Przysięgam, że nie zabił ani Reggiego, ani Zity. Ale może zabito ich dla niego.

- Belle. - Mira podała jej świeżą chusteczkę. - Chce pani pomóc mężowi, zmniejszyć jego cierpienia. Proszę powiedzieć porucznik Dallas i komendant Angelo, co pani wie, czego się pani domyśla. Nikt nie zna serca i umysłu komendanta Skinnera lepiej od pani.

- To go kompletnie załamie. Nie przeżyje tego. Ojcowie i synowie - powiedziała cicho i ukryła twarz w chusteczce.

- Och, przenajświętszy Boże.

- Hayes. - Eve doznała olśnienia. Wiedziała, że znalazła brakujące ogniwo łańcucha. - Hayes nie stracił ojca podczas sfuszerowanej akcji. Jest synem komendanta Skinnera.

- Błąd młodości. - Łzy dławily Belle tak, że ledwo mogła mówić. Znow uniosła głowę. - Podczas kryzysu na początku naszego małżeństwa. W dużym stopniu była to moja wina. Moja wina - powtórzyła, spoglądając błagalnie na Mirę. - Byłam zła, że tak dużo czasu, tak dużo sił poświęca swojej pracy. Poślubiłam policjanta, ale nie chciałam zaakceptować wszystkiego, co się z tym wiązało. Co ta służba znaczyła dla takiego człowieka, jak Douglas.

- Niełatwo jest pogodzić małżeństwo z pracą zawodową.

- Mira naląła jej herbaty. - Szczególnie kiedy praca jest dla naszego partnera czymś najważniejszym. Była pani młoda.

- Tak. - W głosie Belle brzmiała wdzięczność; uniosła swoją filiżankę. - Byłam młoda i samolubna. Od tamtego czasu robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby mu to wynagrodzić. Bezgranicznie go kochałam i chciałam go mieć wyłącznie dla siebie. Chociaż to było nierealne, naciskałam go i przekonywałam, a potem się od niego odsunęłam. Oświadczyłam: wszystko albo nic. Cóż, on jest dumnym człowiekiem, a ja byłam uparta. Przez sześć miesięcy pozostawaliśmy w separacji, w tym czasie związał się z inną kobietą. Nie mogę mieć o to do niego pretensji.

- Zaszła w ciążę - domyśliła się Eve.

- Tak. Nigdy przede mną tego nie ukrywał. Nigdy mnie nie okłamywał ani nie próbował kręcić. Jest człowiekiem honoru. - Jej głos stał się gniewny. Spojrzała na Eve.

- Czy Hayes o tym wie?

- Ależ naturalnie. Douglas nigdy nie wymigiwał się od odpowiedzialności. Wspomagał ich finansowo. Zawarliśmy układ z matką Hayesa. Zgodziła się wychowywać dziecko i nie rozpowiadać, kto jest jego ojcem. Nie było żadnego powodu, by to ujawnić i utrudnić Douglasowi robienie kariery, zniszczyć jego dobre imię.

- Więc zapłaciła pani za jego... chwilowe miłosne uniesienie?

- Jest pani bezwzględna kobietą, pani porucznik. Nigdy w życiu nie popełniła pani żadnego błędu? Niczego pani nie żałuje?

- Wprost przeciwnie, mam ich całą masę. Ale dziecko... Człowiek może mieć mnóstwo problemów, wiedząc, że uważany jest za owoc pomyłki. Mógł mieć żal.

- Douglas okazywał Brysonowi czułość i troskę. Niczego mu nie odmawiał. Dał mu wszystko.

Wszystko z wyjątkiem nazwiska, pomyślała Eve. Jak duże to miało znaczenie?

- Czy rozkazał mu zabić tych ludzi, pani Skinner? Czy rozkazał mu zrobić Roarke'a w morderstwo?

- Wykluczone. Absolutnie wykluczone. Ale Bryson jest... Może jest zanadto oddany

Douglasowi. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Douglas za często się do niego zwracał z różnymi sprawami. Może kiedy Bryson dorastał, Douglas stawiał mu zbyt duże wymagania, niewykonalne dla młodego chłopca.

- Hayes chciał udowodnić, że jest wart swojego ojca.

- Tak. Bryson jest twardy, pani porucznik. Twardy i bezwzględny. Chyba pani to rozumie. Douglas jest... Chory. I jego zmienne humory, jego obsesja na punkcie tego, co się wydarzyło tyle lat temu, niszczą go w równym stopniu, co choroba. Słyszałam, jak się wściekał. Zupełnie jakby siedział w nim jakiś diabeł. I podczas jednego takiego napadu wściekłości powiedział, że trzeba coś zrobić, trzeba za wszelką cenę spowodować, by ktoś za to zapłacił. Że są takie sytuacje, kiedy prawo musi ustąpić miejsca krwawej zemście. Życie za życie. Słyszałam wiele miesięcy temu, jak rozmawiał z Brysonem o tym ośrodku. Że Roarke stworzył go kosztem krwi policjantów, którzy ponieśli męczeńską śmierć. Że nie spocznie, póki nie zniszczy tego miejsca i Roarke'a. A jeśli umrze zanim pomści śmierć tych, którzy zginęli, ten obowiązek spadnie na jego syna.

- Zatrzymajcie go. - Eve zwróciła się do Darcii. - Każ swoim ludziom zatrzymać Hayesa.

- Już się robi - odpowiedziała komendant Angelo, włączając komunikator.

- O niczym nie wie. - Belle wolno wstała z kanapy. - Albo nie chce wiedzieć. Douglas jest przeświadczony, że Roarke odpowiada za to, co się tutaj stało. I przekonał sam siebie, że pani też miała w tym swój udział, pani porucznik. Jego umysł nie pracuje tak, jak kiedyś. Powoli umiera. To go zabije. Proszę mieć litość.

Eve pomyślała o poległych i umierającym.

- Pani Skinner, proszę zadać sobie pytanie, co on by zrobił, gdyby był teraz na moim miejscu. Doktor Mira zostanie z panią.

Wyszła z Darcją i zaczęła, aż znalazły się w głębi korytarza.

- Musi być jakiś sposób rozdzielenia go ze Skinnerem, zanim go aresztujemy. Zrób to dyskretnie.

Darcia nacisnęła guzik windy.

- Przecież jesteś bezwzględna i na nic nie zważasz, prawda, Dallas?

- Jeśli to nie Skinner wydawał mu polecenia, nie ma potrzeby pastwić się nad nim z powodu Hayesa ani aresztować synka w obecności ojca. Chryste, ten człowiek już jest jedną nogą na tamtym świecie - powiedziała, gdy Darcia milczała. - Po co wciągać go w to i niszczyć blisko pół wieku wzorowej służby?

- Rzeczywiście nie ma to sensu.

- Mogę poprosić o jeszcze jedną rozmowę ze Skinnerem. Odciągnę go na tyle daleko, żebyś mogła spokojnie zakuć Hayesa w kajdanki.

- Rezygnujesz z tej przyjemności? - z niedowierzaniem spytała Darcia, kiedy wsiadały do windy.

- To nie moje śledztwo.

- Akurat. Ale zgoda - odparła Darcia z wyraźnym zadowoleniem w głosie. - Jak wpadłaś na to, że Skinner jest ojcem Hayesa?

- W tej sprawie roi się od ojców. Masz ojca?

- Chyba każdy go ma.

- To kwestia punktu widzenia. - Wysiadła z windy na parterze. - Pójdę odszukać Peabody, dam ci czas na przygotowanie twoich ludzi. - Spojrzała na zegarek. - Piętnaście minut powinno... No, no, spójrz, kto bryluje w holu hotelowym.

Darcia przystanęła i przyjrzała się uważnie osobom sfoczoną przy dwóch stolikach. - Wygląda na to, że Skinner odzyskał panowanie nad sobą.

- Ten człowiek lubi mieć wokół siebie wdzięcznych słuchaczy. Prawdopodobnie lepiej to na niego działa niż leki. Możemy rozegrać sprawę następująco: podejmiemy, przepraszam za zamieszanie, jakie spowodowałam podczas seminarium. Zajmę uwagę Skinnera, nakłonię go do mówienia. Ty powiesz Hayesowi, że chcesz z nim zamienić słówko na temat Weeksa. Nie chcesz zawracać głowy komendantowi rutynowymi pytaniami i tak dalej. Dasz sobie z nim sama radę?

Darcia spojrzała na nią obojętnie. - A ty?

- W takim razie dobrze. Zróbmy to szybko i po cichu.

Były w połowie długości holu, kiedy Hayes je zauważył. Po chwili rzucił się do ucieczki.

- Jasna cholera! - zakląła Eve. - Ma instynkt gliniarza. Tędy - rzuciła i skierowała się prosto w tłum. Przeskoczyła przez gładką, złotą barierkę oddzielającą hol od recepcji. Rozległy się krzyki, ludzie się rozbiegli. Usłyszała brzęk tłuczonego szkła, kiedy przewrócił się stół. Dostrzegła Hayesa, gdy wybiegał przez drzwi za barem.

Przeskoczyła przez kontuar, nie zważając na protesty barmanów i klientów. Poleciały butelki i w powietrzu rozszedł się silny zapach drogiego alkoholu. Ściskając broń w dłoni, pchnęła ramieniem drzwi.

Na zapleczu baru panował zgiełk. Android - kucharz leżał na podłodze w wąskim przejściu. Padając, uszkodził sobie głowę. Potknęła się o niego i usłyszała świst, kiedy Hayes posłużył się laserem.

Nie wyprostowała się, tylko przekoziółkowała i ukryła się za stalową szafką.

- Daj spokój, Hayes. Co zamierzasz zrobić? Są tu niewinni ludzie. Rzuć broń.

- Nie ma ludzi niewinnych. - Znów strzelił, smuga ognia dosięgnęła androida i zniszczyła go do końca.

- Twój ojciec nie życzy sobie tego. Nie chce, by u jego stóp piętrzyły się kolejne trupy.

- Nie ma zbyt wysokiej ceny, kiedy się wykonuje swoje obowiązki. - Talerze na półce za nią, rozprysnęły się, zasypując Eve deszczem odłamków.

- Pieprzę to. - Wypuściła smugę ognia nad głową i odskoczyła w lewo. Wysunęła się zza szafki, trzymając broń przed sobą, i znów zaklęła, bo Hayes zdążył zniknąć.

Ktoś krzyczał, ktoś inny płakał. Pochylona Eve rzuciła się w pościg. Odwróciła się w stronę, skąd rozległ się kolejny strzał, i zobaczyła, jak ogień ogarnia stos obrusów.

- Niech ktoś się tym zajmie! - krzyknęła i pobiegła dalej. Zobaczyła drzwi prowadzące na zewnątrz. - Cholera!

Strzelił w zamki i na dobre zablokował drzwi. Z bezsilną złością naparła na nie, parę razy mocno w nie kopnęła, ale ani drgnęły.

Schowała broń i wycofała się przez zdemolowaną i pełną dymu kuchnię. Nie mając zbytnej nadziei, przebiegła przez hol i wypadłszy głównym wejściem, rozejrzała się wokoło. Nim dotarła do rogu, zobaczyła Darcie, idącą w jej kierunku.

- Zgubiłam go. Sukinsyn. Miał nade mną przewagę półtora kwartału. - Darcia schowała broń. - Nigdy bym go nie dogoniła w tych przeklętych butach. Rozesłałam listy gończe. Dopadniemy drania.

- Skurczysyn domyślił się, że go chcemy aresztować. - Wściekła na siebie, Eve chodziła w kółko. - Nie doceniłam go. Na zapleczu baru przewrócił kilka osób. Wykończył androida, zaproszył ogień. Jest szybki i sprytny. A do tego wszystkiego bezwzględny.

- Dopadniemy go - powtórzyła Darcia.

- Jasne, że tak.

ROZDZIAŁ 10

- Pani porucznik.

Eve się skrzywiła, odwróciła i patrzyła, jak Roarke idzie w jej stronę.

- Domyślam się, że słyszałeś o małym incydencie, do jakiego doszło przed chwilą.

- Chyba pójde przypilnować szacowania szkód. - Chociaż Darcia miała gniewną minę, w jej głosie słycać było żartobliwy ton. - Proszę mi wybaczyć.

- Nic ci się nie stało? - spytał Roarke żonę.

- Nie. Ale na zapleczu kuchennym masz martwego androida. Informuję, że to nie ja go zabiłam, gdybyś miał jakieś wątpliwości. Wybuchł też mały pożar, ale nie ja zaproszyłam ogień. Natomiast przyznaję się do uszkodzenia sufitu. I jestem odpowiedzialna za część pobitych naczyń.

- Rozumiem. - Przyjrzał się eleganckiej fasadzie hotelu. - Jestem pewien, że gościom i personelowi bardzo się to spodobało. Ci, którzy mnie nie pozwą do sądu, jeszcze długo będą z lubością opowiadali o tym wydarzeniu swoim krewnym i znajomym. Ponieważ muszę się zaraz skontaktować z prawnikami i uprzedzić, że czeka nas kilka powództw cywilnych, może byłabyś tak uprzejma i wyjaśniła mi, dlaczego w kuchni leży martwy android, kilku gości wpadło w histerię, personel krzyczy, a na zapleczu baru wybuchł pożar?

- Jasne. Może ściągniemy tu Peabody i Feeneya, wtedy nie będę musiała powtarzać jeszcze raz.

- Nie, wolałbym dowiedzieć się o wszystkim teraz. Przejdźmy się kawałek. - Ujął Eve pod ramię.

- Nie mam czasu na...

- To znajdź go. Poprowadził ją wokół budynku hotelu, przez ogrody i kawiarnię na patio, potem przeszli obok jednego z basenów i dotarli do prywatnej windy. Idąc, słucał relacji.

- A więc zamierzałaś oszczędzić Skinnerowi nieprzyjemności i uratować jego dobre imię.

- Udało mi się to jedynie po części. Hayes się zorientował, jak tylko nas zobaczył. - Natychmiast po wejściu do apartamentu otworzyła butelkę z wodą i napiła się. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy z tego, że dym aż tak bardzo wysuszył jej śluzówkę. - Powinnam była to przewidzieć. Teraz prysnął i to moja wina.

- Nie wydostanie się ze stacji.

- Racja, nie wydostanie się stąd. Ale póki jest na wolności, może spowodować poważne szkody. Muszę rzucić okiem na mapy i plany ośrodka. Przeprowadzimy analizę komputerową, oznaczymy obiekty, w których mógłby się ukryć.

- Zajmę się tym. Zrobię to szybciej - powiedział, zanim Eve zdążyła zaprotestować. - Ty musisz wziąć prysznic. Cała przesiąkłaś zapachem dymu.

Podniosła rękę i powąchała.

- Chyba masz rację. Skoro jesteś taki chętny do pomocy, wezwij Peabody i Feeneya, dobrze? Chcę, żeby to polowanie miało ręce i nogi.

*

- Jest tu zbyt wiele miejsc nadających się na kryjówki. - Godzinę później Eve gniewnie patrzyła na ścienne ekrany ze zdjęciami obiektów wyselekcjonowanych przez komputer.

- Zastanawiam się też, czy nie miał przygotowanego jakiegoś awaryjnego środka transportu, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Czy nie przekupił kogoś, by go ukradkiem stąd wywiózł. Jeśli opuści stację, może się skierować wszędzie.

- Mogę razem z Angelo sprawdzić tę ewentualność - powiedział Feeney. - I wystarczy trochę poszperać w systemie komputerowym, by odszukać wszystkie pojazdy, które według planu mają opuścić stację w ciągu następných dwudziestu czterech godzin.

- Prawidłowo rozumiesz. Bądź w kontakcie, dobrze?

- Jasne. - Skierował się do wyjścia, potrząsając torebką migdałów.

- Roarke najlepiej zna to miejsce. Zabierze mnie do wybranych obiektów. Podzielimy się pracą z ludźmi komendant Angelo.

- Czy mam stąd koordynować akcją? - spytała Peabody.

- Niezupełnie. Chcę, abyś dołączyła do Miry. Zadbaj, żeby Skinner i jego żona nigdzie się nie oddalili. Melduj, jeśli Hayes się z nimi skontaktuje. I jeszcze jedno.

- Tak jest, pani porucznik. - Peabody uniosła wzrok znad swojego notesu.

- Jeśli go nie przymkniemy dziś w nocy, rano będziesz musiała mnie zastąpić.

- Jak to zastąpić?

- Notatki i wszystko, co potrzebne, mam tutaj. - Eve rzuciła swój laptop na kolana partnerki.

- Notatki? - Delia z przerażeniem wpatrywała się w minikomputer. - Chodzi o wykład? O, nie, tylko nie to. Dallas, nie poprowadzę za ciebie seminarium.

- Wyobraź sobie, że mnie wspierasz - poradziła jej Eve.

- Roarke? - Wyszła, zostawiając Peabody mamroczącą coś pod nosem.
- Jak bardzo nie chcesz jutro wygłosić tego odczytu? - zapytał Roarke.
- Nie muszę odpowiadać na to pytanie, póki nie zostaną mi odczytane przysługujące prawa. - Eve poruszyła ramionami i gotowa była przysiąc, że czuła, jak spada z nich wielki ciężar. - Czasami wszystko idealnie się układa, prawda?
- Zapytaj o to rano Peabody. Eve, śmiejąc się, wsiadła do windy.
- Ruszajmy na polowanie.

*

Dotarli do każdego miejsca, a nawet sprawdzili te, które przydzielili komendant Angelo. Była to długa, żmudna i wyczerpująca robota. Później Eve zrozumiała, że dzięki tej akcji lepiej poznała skalę przedsięwzięcia zrealizowanego przez Roarke'a. Hotele, kasyna, teatry, restauracje, sklepy i punkty usługowe. Domy i budynki, plaże i parki. Nie przypuszczała, że stworzył tak rozległy świat.

Ale przez to, że był taki imponujący, zadanie, które teraz przed sobą postawiła, okazało się prawie niewykonalne.

O trzeciej nad ranem zarządziła przerwę i położyła się do łóżka.

- Znajdziemy go jutro. Jego twarz wyświetlają wszystkie ekrany na stacji. Namierzmy go, jak tylko spróbuje coś kupić. Musi spać, musi jeść.

- Ty również. - Kiedy już byli w łóżku, Roarke przyciągnął ją do siebie. - Przestań o tym myśleć, moja pani porucznik. Niebawem będzie nowy dzień.

- Nie ucieknie daleko - powiedziała sennie. - Musi dokończyć tę sprawę i zasłużyć na pochwałę ojca. Przekłete spuścizny. Przez całe życie uciekam przed swoją.

- Wiem. - Roarke przesunął ustami po włosach Eve, kiedy zapadła w sen. - Ja też.

Tym razem to jemu przyśniły się zaułki Dublina, co mu się rzadko zdarzało. W swoim śnie był młodym, chudym wyrostkiem o przenikliwym wzroku, zgrabnych palcach i szybkich nogach. I zbyt często miał pusty brzuch.

We śnie nie czuł smród rozkładających się śmieci i starej whisky, deszcz i zimno, przenikające do szpiku kości.

Ujrzał w jednym z tych zaułków siebie, spoglądającego na ojca, który leżał na kupie zgniłych śmieci. Cuchnął częściowo przetrwonioną whisky. Bił też od niego zapach śmierci - odór krwi i kału. Z szyi wciąż sterczał mu nóż; niebieskie oczy, już pokryte bielmem, miał otwarte. Wpatrywał się nimi w chłopca, którego spłodził.

Roarke całkiem wyraźnie pamiętał, co wtedy powiedział.

„A więc ktoś cię dopadł, łobuzie. A myślałem, że kiedyś mnie przypadnie w udziale ta przyjemność”.

Bez skrupułów przykucnął i przeszukał kieszenie w nadziei, że znajdzie pieniądze lub coś, co można byłoby zastawić lub sprzedać. Nie znalazł nic, ale właściwie ojciec nigdy nie miał zbyt dużo. Przez chwilę rozważał, czy nie zabrać noża. Lecz zbyt mu się podobało, kiedy tkwił tam, gdzie tkwił, więc go zostawił.

Wyprostował się, posiniaczony dwunastolatek, wciąż obolały po ostatnim laniu, jakie mu zadały te ręce, należące teraz do trupa.

Splunął i uciekł.

*

Jak zwykle wstał przed nią. Eve przyglądała mu się uważnie, pijąc pierwszą tego dnia kawę. Dochodziła siódma.

- Wyglądasz na zmęczonego. Nie przerwał studiowania doniesień giełdowych na monitorze jednego komputera i analiz komputerowych potencjalnych kryjówek na drugim.

- Tak? Niezbyt dobrze spałem. Kiedy przykucnęła przed nim i położyła mu rękę na udzie, spojrzał na nią. I westchnął. Pomyślał, że doskonale potrafiła czytać w jego twarzy. Tak samo, jak on potrafił czytać w jej twarzy i widział, jak Eve się o niego niepokoi.

- Ciekaw jestem - zaczął - kto wyświadczył mi tę przysługę i poderżnął mu gardło. Przypuszczam, że ktoś, kto należał do kartelu. Wiesz, że nie miał nic przy sobie? Ani złamanego centa. I nic nie zostało w tej norze, w której mieszkaliśmy. Zabrali wszystko, czego nie zdążył wydać na dziwki, przepić albo zwyczajnie przepuścić.

- Czy to ważne, kto to zrobił?

- Niezbyt. Po prostu jestem ciekaw. - Mało brakowało, a nie powiedziała by jej nic więcej, ale to, że tak uważnie go słuchała, uspiło jego czujność. - Byliśmy do siebie bardzo podobni. Staram się o tym zapomnieć, powtarzam sobie, że ukształtowałem sam siebie. Ale wyglądam identycznie jak on.

Usiadła mu na kolanach i zaczęła go głaskać po włosach.

- Nie sądzę - powiedziała i go pocałowała.

- Ostatecznie sami siebie ukształtowaliśmy, prawda, najdroższa Eve? Dwie zagubione dusze, które się odnalazły.

- Chyba tak. I dobrze się stało. Dotknął policzkiem jej policzka i poczuł, jak mu mija zmęczenie.

- Bardzo dobrze. Posiedziała jeszcze chwilę na jego kolanach, a potem wstała.

- Wystarczy tego roztkliwiania nad sobą. Mam robotę.
- Kiedy się z nią uporasz, może naprawdę się nad sobą roztkliwimy. Co ty na to?
- Jestem za. - Wzięła łącze, żeby skontaktować się z Darcją i usłyszeć ostatnie wiadomości na temat pościgu. - Przepadł bez śladu - powiedziała po chwili do Roarke'a i zaczęła chodzić po pokoju. - Feeney zajął się transportem. Żadne pojazdy nie odleciały ze stacji. Jest w potrzasku, ale to duży potrzask, wiele w nim zakamarków. Potrzebny mi Skinner. Nikt nie zna go lepiej od Skinnera.
- Hayes jest jego synem - przypomniał jej Roarke. - Sądysz, że Skinner ci pomoże?
- To zależy od tego, ile zostało w nim z policjanta. Chodź ze mną - powiedziała. - Powinien zobaczyć nas oboje. Powinien uporać się z tą sprawą.

*

Eve pomyślała, że komendant wygląda mizernie. Skórę miał szarą i ziemistą. Nie wiedziała, w jakim stopniu przyczyniła się do tego rozpacz, a w jakim - choroba. Przypuszczała, że połączenie jednego i drugiego wykończy go.

Ale zauważyła, że włożył garnitur, a w klapę wpiął odznakę.

Z pewnym zniecierpliwieniem zwrócił się do żony, która próbowała nie wpuścić Eve do środka.

- Daj spokój, Belle. Pani porucznik. - Spojrzał na Roarke'a, ale nie zdobył się na to, by go powitać. - Chcę panią poinformować, że w imieniu Hayesa skontaktowałem się z moimi adwokatami. Uważam, że pani i komendant Angelo błędnie oceniają sytuację.

- Myli się pan, panie komendancie. Zbyt długo był pan policjantem. Rozumiem pana trudne położenie, ale Hayes jest głównym podejrzanym w sprawie dwóch morderstw, sabotażu i próby wrobienia Roarke'a w te zbrodnie. Podczas ucieczki ranił przygodne osoby i spowodował znaczne straty materialne. Strzelał również do funkcjonariusza policji. Obecnie ukrywa się, żeby uniknąć aresztowania.

- Wszystko to można wytłumaczyć.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Przejął sztandar od ojca, panie komendancie, i kroczy pod nim tam, gdzie, jak przypuszczam, nie zamierzał się pan udać. Wczoraj powiedział mi pan, że żadne ofiary nie są usprawiedliwione. Czy naprawdę tak pan uważa?

- Szukając sprawiedliwości, często... Wykonując swoje obowiązki... - Bezradnie spojrzał na swoją żonę. - Belle, nigdy tego nie chciałem... Czy rzeczywiście zabiłem Reggiego i Zitę?

- Nie, nie. - Pospiesznie do niego podeszła i go objęła. Wydawało się, jakby utonął w

jej ramionach. - To nie twoja wina. Nie ty się do tego przyczyniłeś.

- Jeśli chce pan dla nich sprawiedliwości, panie komendancie, proszę mi pomóc.

Dokąd uciekł Hayes? Co teraz zrobi?

- Nie wiem. Myśli pani, że nie zastanawiałem się nad tym przez całą noc?

- Nie spał - powiedziała jej Belle. - Nie wziął leków przeciwbólowych. Powinien odpocząć.

- Zwierzałem mu się - ciągnął Skinner. - Dzieliłem się z nim swoimi myślami, swoimi poglądami, swoim gniewem. Chciałem, żeby kontynuował moją misję. Ale nie w taki sposób.

- Opał na fotel. - Nie w taki sposób, chociaż to ja wydeptałem ścieżkę. Nie mogę się tego wyprzeć. Pański ojciec zabijał dla sportu, dla pieniędzy, dla samego zabijania - zwrócił się do Roarke'a. - Nawet nie znał nazwisk ludzi, których zamordował. Patrzę na pana i widzę jego. Jest pan jego synem.

- To prawda. - Roarke skinął głową. - Ale wszystko, co robiłem w życiu, zrobiłem wbrew niemu. Nie może go pan nienawidzić bardziej ode mnie, panie komendancie. Żeby nie wiem jak bardzo się pan starał, nigdy mi pan nie dorówna pod tym względem. Ale nie mogę żyć, karmiąc się tą nienawiścią. I z całą pewnością nie dam się dla niej zabić. A pan?

- Przez ostatnie miesiące to jedyne, co mnie trzymało przy życiu. - Skinner spojrzął na swoje dłonie. - Zniszczyła mnie. Mój syn jest człowiekiem skrupulatnym. Dostanie się tu przez tylne drzwi. Ktoś z personelu pomoże mu przedostać się do hotelu. Musi to zrobić, żeby dokończyć to, co zaczął.

- Chce zabić Roarke'a?

- Nie, pani porucznik. Chodzi mu o coś cenniejszego. Obrął sobie za cel panią. - Uniósł rękę do twarzy, która pokryła się potem. - Chce odebrać to, co jego ofiara ceni sobie najbardziej.

Kiedy syknął z bólu, Eve podeszła do niego.

- Panie komendancie, potrzebuje pan pomocy lekarskiej. Powinien pan zgłosić się do szpitala.

- Żadnych szpitali. Żadnych lekarzy. Postaraj się ująć go żywego, Dallas. Chcę, żeby otrzymał potrzebną mu pomoc.

- Proszę nas zostawić samych - powiedziała Belle. - Nie zniesie tego dłużej.

- Przyślę doktor Mirę. - Eve jeszcze nie skończyła mówić, kiedy Skinner osunął się w fotelu.

- Stracił przytomność. - Roarke odruchowo rozluźnił choremu krawat. - Ma bardzo płytki oddech.

- Proszę go nie dotykać! Ja... - Belle cofnęła się gwałtownie, kiedy spotkały się spojrzenia jej i Roarke'a. Wzięła długi, głęboki oddech. - Przepraszam. Czy mógłby mi pan pomóc? Proszę go zanieść do sypialni. Porucznik Dallas, byłabym bardzo zobowiązana, gdyby mogła pani zadzwonić po doktor Mirę.

*

- Organizm odmawia posłuszeństwa - powiedziała Eve, kiedy położyli Skinnera na łóżku i zostawili pod okiem doktor Miry. - Może to i lepiej, że nie będzie świadkiem zatrzymania Hayesa.

- Jego organizm już przestał funkcjonować - poprawił ją Roarke. - Ale on kurczowo trzyma się życia.

- Nie mamy tu już nic do roboty. Zostawmy go pod opieką Miry. Komputer wykluczył powrót Hayesa do hotelu. Skinner uważa inaczej. Raczej skłaniam się do stanowiska komendanta. Hayes chce mnie dopaść, wie, że dni ojca są policzone, więc musi działać szybko. - Spojrzała na zegarek. - Wygląda na to, że jednak poprowadzę to przekłete seminarium.

- I wystawisz się na cel?

- Będąc doskonale osłaniana. Twoi ochroniarze będą współpracowali z ludźmi Angelo i zgarną go, kiedy się tu pojawi. - Idąc wyciągnęła z kieszeni pożyczony komunikator.

W tej samej chwili zobaczyła, jak Hayes wyłania się z klatki schodowej na końcu korytarza. Sięgnęła po broń.

- Stój! - Pobieгла za nim, kiedy cofnął się na schody. - Powiadom ochronę! - krzyknęła do Roarke'a. - Niech go namierzą.

Roarke wyprzedził ją i pierwszy dotarł do drzwi. W ręku trzymał broń, na którą nie miał pozwolenia.

- Nie. Ty to zrób. Ponieważ spieranie się z nim byłoby tylko niepotrzebną stratą czasu, zbiegła po schodach razem z nim.

- Pojawił się ścigany! - krzyknęła do komunikatora, zeskakując po stopniach. - Schodzi południowo - wschodnią klatką schodową, jest teraz między dwudziestym pierwszym i dwudziestym piętrem. Ucieka szybko. Jest uzbrojony i niebezpieczny.

Wyłączyła komunikator i zwróciła się do Roarke'a.

- Nie zabijaj go. Nie używaj broni, chyba że nie byłoby innego wyjścia.

Na chwilę, zanim dotknęli stopami podestu schodów, Hayes strzelił w ich kierunku.

- Tak, jak teraz? - zapytał Roarke. Ale to Eve użyła broni. Wychyliła się zza

balustrady i zamieniła schody na dole w rumowisko. Zaskoczony Hayes próbował się cofnąć, skoczył do drzwi, ale z rozpędu stracił równowagę.

Spadł z impetem na dymiące, zniszczone stopnie. W drzwiach pojawiła się Darcia Angelo, trzymając w obu dłoniach broń.

- Chciałaś zamknąć mojego ptaszka, Dallas?

- Jest twój. - Eve zeszła i przydepnęła pistolet, który wypadł zabójcy z ręki. - Dwoje ludzi nie żyje. Po co? - spytała Hayesa. - Warto było?

Leciała mu krew z ust i nogi. Otarł policzek, utkwivszy w niej szalony wzrok.

- Nie. Powinienem był działać bardziej bezpardonowo. Powinienem na samym początku rozwalić ci głowę i patrzeć, jak łobuz, z którym się pieprzyłaś, rozpacza nad twoim trupem. To byłoby warte wszystkich bogactw świata: świadomość, że musiałby żyć, cierpiąc tak samo, jak inni cierpieli przez jego ojca. Komendant mógłby umrzeć w pokoju, wiedząc, że wymierzyłem sprawiedliwość w jego imieniu. Ale chciałem mu podarować coś więcej.

- Czy dałeś Weeksowi albo Vinter wybór? - zapytała Eve. - Powiedziałeś im, że zginą dla sprawy?

- Nie trzeba się tłumaczyć z wydanych rozkazów. Szanowali swoich ojców tak, jak ja szanowałem swojego. Nie ma innego wyboru.

- Dałeś Weeksowi znak, żeby mnie zaatakował, a on nie miał pojęcia, ile go to będzie kosztowało. Kazałeś Vinter zablokować kamery, a kiedy uświadomiła sobie, w jakim celu, zabiła ją.

- To były nieuniknione straty. Sprawiedliwość wymaga ofiar. Wy mieliście być moimi ostatnimi prezentami dla niego. Ty za kratkami - zwrócił się do Roarke'a. - A ona w trumnie. - Mówiąc to uśmiechnął się do Eve. - Dlaczego nie prowadzi pani seminarium, pani porucznik? Dlaczego, do cholery, nie jest pani tam, gdzie powinna pani być?

- Doszło do konfliktu inte... - Zerwała się na nogi. - O, mój Boże, Peabody!

Wypadła przez drzwi na korytarz.

- Na którym to piętrze? Na którym piętrze?

- Tędy. - Roarke złapał ją za rękę i pociągnął ku windom. - Na czwarte - polecił. - Pójdziemy korytarzem w lewo. Drugie drzwi na prawo zaprowadzą nas do pomieszczenia za podium.

- Ładunki wybuchowe. Lubi ładunki wybuchowe. - Znów wyszarpnęła komunikator, modląc się, żeby winda szybciej zjeżdżała. - Wyłączyła już komunikator. Jasna cholera! Do wszystkich funkcjonariuszy, natychmiast opróżnić salę konferencyjną D. Ewakuować cały personel. Być może podłożono tam ładunek wybuchowy. Powiadomić wydział rozbijania

bomb. Natychmiast opróżnić salę konferencyjną!

Wypadła z windy i skierowała się na lewo. Sama kazałam jej tam pójść. To jedyne, o czym Eve mogła myśleć. I uśmiechałam się z satysfakcją. O, Boże, błagam.

W uszach jej szumiało. Może słyszała własną krew, może gwar w pełnej ludzi sali albo polecenia, by natychmiast opuścić pomieszczenie.

Zobaczyła Peabody, stojącą na mównicy, i jednym susem pokonała trzy stopnie, prowadzące na podwyższenie. Wykonała jeszcze jeden skok, złapała swoją partnerkę w pasie i razem z nią padła na ziemię.

Zaczerpnęła powietrza, ale znów straciła oddech, kiedy Roarke przygniótł je obie swoim ciężarem.

Huk eksplozji sprawił, że Eve aż zadzwoniło w uszach, podłoga pod nią zadrżała. Podmuch gorącego powietrza odrzucił wszystkich troje na drugi koniec podium.

Posypał się na nich deszcz odłamków, niektóre płonęły. Niewyraźnie usłyszała tupot nóg, krzyki, syk ognia.

Po raz drugi w ciągu dwóch dni woda z tryskaczy zainstalowanych w suficie przemoczyła ją do suchej nitki.

- Nic ci się nie stało? - zapytał Roarke, trzymając usta tuż przy jej uchu.

- Nic. Peabody. - Kaszląc, z oczami piekącymi od dymu, Eve wstała i zobaczyła bladą twarz swojej partnerki, jej szklane oczy. - Nic ci nie jest?

- Chyba nie. - Zamrugła powiekami. - Jeśli nie liczyć tego, że masz dwie głowy, Dallas, a jedna z nich należy do Roarke'a. Ta ładniejsza. I chyba naprawdę przybrałaś na wadze. - Uśmiechnęła się i straciła przytomność.

- Z pewnością doznała wstrząśnienia mózgu - doszła do wniosku Eve i odwróciła głowę, uderzając nosem w czaszkę Roarke'a. - Ale dowiedziałam się, że jesteś śliczny. A teraz złaż ze mnie. Nie przystoi tak się zachowywać w miejscu publicznym.

- Zgadzam się, pani porucznik.

Kiedy sanitariusze zajmowali się Peabody, a ludzie z wydziału rozbijania ładunków wybuchowych otaczali kordonem miejsce eksplozji, Eve siedziała przed salą konferencyjną i piła kawę, którą jej przyniosła jakaś nieznajoma, ale poczciwa dusza.

Była kompletnie przemoczona, brudna, miała kilka zadrapań i mnóstwo siniaków. Miała nadzieję, że do świąt Bożego Narodzenia przestanie jej dzwonić w uszach.

Ale ogólnie była w świetnym humorze.

- Będziesz musiał odremontować kilka sal w tym swoim ośrodku - powiedziała Roarke'owi.

- Nie powinienem cię nigdzie ze sobą zabierać, prawda? Uśmiechnęła się, a potem wstała na widok zbliżającej się Darcii.

- Hayes siedzi w areszcie. Zrezygnował z prawa do adwokata. Według mnie trafi do zakładu zamkniętego dla agresywnych przestępców chorych umysłowo. Nie odsiedzi wyroku w zwykłym więzieniu. Jest nienormalny. Jeśli cię to pocieszy, był bardzo rozczarowany, kiedy się dowiedział, że twoje szczątki nie zostały rozrzucone po tym, co pozostało z podium.

- Nie zawsze można mieć to, czego się chce.

- Ale muszę przyznać, że wybrałaś bardzo oryginalny sposób, aby się wykręcić od poprowadzenia seminarium.

- Każda metoda jest dobra. Darcia spoważniała i odwróciła się.

- Zdążyliśmy się uporać z tą sprawą na czas, zanim musielibyśmy ją przekazać policji międzyplanetarnej. Dziękuję.

- Nie powiem: zawsze do usług.

- Pod koniec dnia będę miała gotowy kompletny raport do akt. - Zwróciła się do Roarke'a. - Mam nadzieję, że pańska następna wizyta będzie mniej... skomplikowana - powiedziała.

- To było niezwykle doświadczenie obserwować panią w akcji, komendant Angelo. Jestem pewien, że Olympus znajduje się w dobrych rękach.

- Może pan na mnie polegać. Wiesz co, Dallas, odnoszę wrażenie, że przydałby ci się pobyt w naszym ośrodku. - Rzuciła jej swój olśniewający uśmiech. - Do zobaczenia.

- Mądrała. Podziwiam ją. Muszę iść sprawdzić, jak się czuje Peabody - powiedziała i umilkła na widok Miry, idącej w jej kierunku.

- Nie żyje - poinformowała ją Mira. - Zdążył pożegnać się z żoną i poprosić, żebym ci przekazała, że się mylił. Urodzenie nie decyduje o wszystkim. Byłam świadkiem jego śmierci. Rozstał się z życiem z godnością i odwagą. Pytał mnie, czy sprzeciwisz się, by wyprawiono mu oficjalny pogrzeb.

- Co mu powiedziałaś?

- Że urodzenie nie zawsze decyduje o wszystkim. Co innego charakter. Pójdę teraz do jego żony.

- Powiedz jej, że przykro mi z powodu straty, jaką poniosła, i że policja straciła dziś jednego ze swoich wielkich bohaterów.

Mira nachyliła się, żeby pocałować ją w policzek, i uśmiechnęła się widząc, jak Eve się wykrzywiła.

- Masz dobre serce. - I doskonały wzrok - dodał Roarke, kiedy Mira ich zostawiła.

- Doskonały wzrok?
- Dostrzegasz, co naprawdę tkwi w człowieku.
- Nikomu nie udało się przejść przez życie bez żadnej wpadki. Poświęcił prawie pięćdziesiąt lat służbie w policji.

Nie zawsze było tak, jak powinno być, ale pięćdziesiąt lat to szmat czasu. A teraz muszę iść i sprawdzić, jak się czuje Peabody - dokończyła rzeczowo.

Roarke ujął jej dłoń i pocałował.

- Razem pójdziemy do Peabody. A potem porozmawiamy o miłych wakacjach w kosmicznym ośrodku wypoczynkowym.

Akurat, pomyślała. Zamierzała jak najszybciej wrócić do domu. Najlepiej wypoczywała na ulicach Nowego Jorku.

ŚMIERĆ O PÓŁNOCY

Rok umiera tej nocy.

TENNYSON

Dobro ludu powinno być najwyższym prawem.

CYCERON

ROZDZIAŁ 1

Morderstwo nie ma szacunku dla tradycji. Nie zważa na uczucia.

Nie uznaje świąt.

Ponieważ morderstwa były jej specjalnością, porucznik Eve Dallas stała na zimnie w ranek Bożego Narodzenia, pokrywając substancją zabezpieczającą rękawiczki z jeleniej skóry, które zaledwie kilka godzin temu dostała w prezencie od męża.

Otrzymała wezwanie niespełna godzinę temu i mniej niż sześć godzin po zamknięciu sprawy, która nią wstrząsnęła i kompletnie ją wyczerpała. Jej pierwsze święta z Roarkiem nie zapowiadały się zbyt spokojnie.

Chociaż nie aż tak źle, jak w przypadku sędziego Harolda Waingera.

Jego zwłoki pozostawiono na samym środku ślizgawki przed Centrum Rockefellera. Leżał na wznak, więc mógł patrzeć szklanym wzrokiem na olbrzymią choinkę, będącą symbolem życzliwości nowojorczyków dla całego świata.

Zwłoki były nagie i już przybrały ciemnoniebieski odcień. Zabitemu obcięto włosy, tworzące charakterystyczną grzywę, gęstą, srebrzystą. I chociaż twarz miał mocno pokierszowaną, bez trudu go rozpoznała.

W ciągu dziesięciu lat służby w policji wiele razy była na rozprawach sądowych, którym przewodniczył. Uważała go za człowieka rzetelnego i solidnego, w równym stopniu rozumiał nie zawsze precyzyjną literę prawa, co szanował jego ducha.

Przykucnęła, żeby się przyjrzeć z bliska słowom wypalonym na torsie Waingera.

NIE SADŹCIE, ABYŚCIE NIE BYLI SĄDZENI

Żywiła nadzieję, że wypalono je po uśmierceniu ofiary, chociaż miała poważne wątpliwości, czy tak było.

Został bezlitośnie skatowany, połamano mu palce u obu rąk. Głębokie rany wokół nadgarstków i kostek świadczyły, że go związano. Ale nie zginął w wyniku bestialskiego pobicia ani oparzeń.

Sznur, na którym go powieszono, wpił się głęboko w szyję ofiary. Lecz Eve doszła do wniosku, że nie była to szybka śmierć. Nic nie wskazywało na to, by nastąpiło zmiążdżenie rdzenia kręgowego, a popękane naczynia krwionośne oczu i twarzy denata dowodziły, że duszono go powoli.

- Chciał, żebyś jak najdłużej żył - mruknęła. - Chciał, żebyś wszystko odczuł na własnej skórze.

Kłęcząc, przyjrzała się odręcznie zapisanej kartce trzepoczącej beztrąsko na wietrze. Przyczepiono ją do genitaliów sędziego niczym przepaskę na biodra. Nazwiska wypisano starannie kanciastymi, drukowanymi literami.

**SĘDZIA HAROLD WAINGER PROKURATOR STEPHANIE RING
OBROŃCA Z URZĘDU CARL NEISSAN JUSTINE POLINSKY DOKTOR
CHARLOTTE MIRA PORUCZNIK EVE DALLAS**

- Zostawiłeś sobie mnie na sam koniec, Dave? Rozpoznała sposób działania: zadawanie bólu ze złośliwą satysfakcją, a później powolna śmierć w cierpieniach. David Palmer lubił to, co robił. Swoje doświadczenia, jak je nazwał, kiedy Eve w końcu udało się go dopaść trzy lata temu.

Nim wsadziła go za kratki, zdążył zabić osiem osób i zgromadzić obszerny zbiór dysków, na których uwiecznił swoje czyny. Od tamtej pory odsiadywał osiem wyroków dożywotniego więzienia, zasądzonych przez Waingera, w zakładzie karnym o zaostrzonym rygorze dla psychopatów.

- Ale wydostałeś się, prawda, Dave? To twoje dzieło. Tortury, poniżanie, oparzenia. Porzucenie zwłok w miejscu publicznym. To nie sprawka naśladowcy. Wsadzić go do worka - poleciła, kiedy się wyprostowała.

Nie zanosilo się na to, że ostatnie dni grudnia 2058 roku spędzi, bawiąc się beztrąsko.

Gdy tylko znalazła się w swoim wozie, poleciła, by włączyć ogrzewanie na pełny regulator. Zdjęła rękawiczki i zaczęła rozcierać twarz dłońmi. Będzie musiała sporządzić raport, ale było coś pilniejszego, co nie mogło czekać, aż Eve dotrze do swojego gabinetu w domu. Bo nie zamierzała spędzić Bożego Narodzenia w komendzie policji.

Korzystając z samochodowego łącza, skontaktowała się z dyspozytorem i poleciła, by uprzedzono wszystkie osoby z listy o grożącym im niebezpieczeństwie. I nie bacząc na to, że są święta, zażądała, by każdej z nich przydzielono ochronę.

Jadąc, uruchomiła komputer.

- Komputer, wyświetl informacje o Davidzie Palmerze, umyślowo upośledzonym pensjonariuszu zakładu karnego w Rexal.

Wykonuję zadanie... David Palmer, skazany na osiem wyroków dożywotniego więzienia w zakładzie karnym Rexal poza Ziemią, zbiegł dziewiętnastego grudnia, kiedy go przewożono do więziennej izby chorych. Zarządzono obławę.

- Coś mi się widzi, że Dave postanowił przyjechać na święta do domu. - Eve uniosła wzrok i gniewnie spojrzała na sunący w górze mały sterowiec, z którego rozbrzmiewały świąteczne melodie. Nad miastem wstawał świt. Niech diabli wezmą anioły zwiastujące dobrą

nowinę, pomyślała, i połączyła się z komendantem. - Panie komendancie - powiedziała, kiedy na ekranie pojawiła się twarz Whitneya. - Przepraszam, że pana niepokoję w święta.

- Już mnie powiadomiono o śmierci sędziego Waingera. Porządny był z niego człowiek.

- Zgadzam się, panie komendancie. - Zauważyła, że Whitney ma na sobie gruby, bordowy szlafrok; niewątpliwie prezent od żony. Roarke zawsze dawał jej wymyślne prezenty. Ciekawa była, czy Whitney czuł się tak samo zażenowany, jak ona, gdy coś dostawał. - Zwłoki zabrano do kostnicy. Zabezpieczyłam dowody rzeczowe i jadę teraz do domu, żeby przystąpić do pracy.

- Wolałbym, żeby ktoś inny poprowadził śledztwo w tej sprawie, pani porucznik.

Zobaczył błysk w jej zmęczonych, złotobrazowych oczach, które na moment pociemniały. Ale jej twarz o ostrych rysach, spiczastej brodzie z dołeczkiem i pełnymi, poważnymi ustami pozostała chłodna i opanowana.

- Zamierza mnie pan odsunąć od tej sprawy? - Dopiero co ukończyłaś trudne śledztwo, Dallas.

Napadnięto na twoją partnerkę.

- Nie zwrócę się do Peabody o pomoc - pospiesznie zapewniła go Eve. - Ma chwilowo dość.

- A ty nie?

Otworzyła usta, a po chwili je zamknęła. Musiała przyznać, że wkracza na grząski grunt.

- Panie komendancie, na liście widnieje moje nazwisko.

- No właśnie. Jeszcze jeden powód, abyś tym razem spasowała. Z jednej strony bardzo tego chciała, pragnęła odsunąć to wszystko na bok chociaż na jeden dzień, pojechać do domu i po raz pierwszy w życiu spędzić święta w miarę normalnie. Ale pomyślała o Waingerze, pozbawionym życia i godności.

- Dopadłam Davida Palmera i nakłoniłam go do przyznania się do winy. Nikt nie wie lepiej ode mnie, w jaki sposób działa jego umysł.

- Palmera? - Whitney zmarszczył szerokie brwi. - Palmer siedzi w więzieniu.

- Już nie. Prysnał dziesiętnastego. I wrócił, panie komendancie. Można powiedzieć, że rozpoznałam jego podpis. Wszystkie osoby, których nazwiska są liście - ciągnęła - mają związek z jego aresztowaniem. - Wainger był sędzią w jego procesie. Stephanie Ring pracowała w prokuraturze. Oskarżenie wniosła Cicely Towers, ale nie żyje. Ring była jej asystentką. Carl Neissan został wyznaczony na obrońcę z urzędu, kiedy Palmer odmówił

zatrudnienia własnego adwokata, a Justine Polinsky przewodniczyła ławie przysięgłych. Doktor Mira badała go i zeznawała przeciwko niemu na procesie. Ja go aresztowałam.

- Należy powiadomić osoby z listy.

- Już to zleciłam, panie komendancie, i kazałam im przydzielić osobistą ochronę. Mogę kazać przesłać dane z akt na swój domowy komputer, by odświeżyć pamięć, chociaż doskonale wszystko pamiętam. Nie zapomina się kogoś takiego, jak David Palmer. Inny oficer śledczy będzie musiał zacząć od początku, co zajmie trochę czasu, a my go nie mamy. Ja znam tego człowieka, wiem, jak działa, jak rozumuje. Czego chce.

- A czego on chce, pani porucznik?

- Tego, co zawsze. Uznania dla jego geniuszu.

- Przydzielam ci tę sprawę, Dallas - powiedział Whitney po długiej chwili milczenia. -

Doprowadź ją do końca.

- Tak jest.

Rozłączyła się, kiedy przejeżdżała przez bramę do oszałamiającej posiadłości, którą Roarke uczynił swoim domem.

Po burzy szalejącej poprzedniej nocy lód błyszczał jak srebrny jedwab na nagich gałęziach ozdobnych krzewów i wiecznie zielonych drzewek. Za nimi wznosił się dom, elegancka twierdza, świadectwo maestrii rzemieślników z ubiegłego wieku, z piękną kamienną fasadą i taflami szkła.

W szarym półmroku poranka w kilku oknach widoczne były wspaniałe udekorowane choinki. Roarke'owi, mocno się udzielił świąteczny nastrój, pomyślała z uśmiechem Eve.

Żadne z nich w swoim dotychczasowym życiu nie miało zbyt wielu okazji, by się cieszyć pięknie przybranymi drzewkami, pod którymi leżały prezenty, zawinięte w kolorowy papier. Obydwoje mieli smutne dzieciństwo i w późniejszych latach każde z nich na swój sposób sobie to wynagrodziło. On został jednym z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi na świecie. Osiągnął to wszelkimi możliwymi sposobami. Ona stała się częścią systemu, dbającego o ład i porządek, chociaż w jej przypadku, gdy była dzieckiem, ów system sromotnie zawiódł.

Ona stała na straży prawa. On obchodził prawo, przynajmniej kiedyś.

Teraz, od niespełna roku, kiedy za sprawą pewnego morderstwa ich drogi się skrzyżowały, stanowili jedność. Eve była ciekawa, czy kiedykolwiek zrozumie, jak im się udało to osiągnąć.

Zostawiła wóz przed domem, weszła po szerokich stopniach i, przekroczywszy próg domu, znalazła się w świecie niewyobrażalnego przepychu. Stare, fornirowane drewno,

mieniające się kryształły, pięknie zachowane dywany, dzieła sztuki, których nie powstydziliby się żadne muzeum.

Zsunęła z ramion kurtkę i już zamierzała zarzucić ją na słupek balustrady, ale zacisnęła zęby, cofnęła się i ją powiesiła. Zawarła milczący rozejm z kamerdynerem Roarke'a, z którym toczyła wojnę na przycinki. Postanowiła, że podczas Bożego Narodzenia nie będzie żadnych strzałów.

Skoro jego na to stać, to ona też jakoś wytrwa.

Odczuwając minimalne zadowolenie, że Summerset nie wślizgnął się do holu i nie syknął na nią, jak to miał w zwyczaju, Eve skierowała się do salonu.

Zastała tam Roarke'a. Siedział obok kominka i czytał pierwodruk wierszy Yeatsa, który mu podarowała. To jedyny prezent, jaki udało jej się wymyślić dla człowieka, który nie tylko wszystko miał, ale był również właścicielem większości fabryk, gdzie to wytwarzano.

Uniósł wzrok i uśmiechnął się do Eve. Poczula łaskotanie w żołądku, co często jej się zdarzało. Wystarczyło jedno jego spojrzenie, uśmiech, by wprawić ją w drżenie. Wyglądał tak... perfekcyjnie, pomyślała. Ubrany jak zwykle, na czarno, odpoczywał w fotelu, który prawdopodobnie liczył sobie dwieście lat.

Był szczupły, wysoki, spoglądał na świat z miną boga o nieco złośliwych zamiarach, miał oczy jaskrawoniebieskie i usta, którym nie potrafiła się oprzeć żadna kobieta. Emanowała od niego siła, z czym bardzo mu do twarzy, pomyślała Eve, a gęste, czarne włosy sięgały mu niemal do ramion.

Zamknął książkę, odłożył ją i wyciągnął rękę do Eve.

- Przepraszam, że musiałam wyjść. - Podeszła do niego i splelił palce dłoni. - A jeszcze bardziej mi przykro, że będę musiała iść na górę i przynajmniej kilka godzin popracować.

- Możesz mi najpierw poświęcić minutkę?

- Naturalnie. - Pozwoliła, by ją przyciągnął, i usiadła mu na kolanach. Zamknęła oczy i rozkoszowała się jego zapachem i ciepłem. - Niezupełnie tak zaplanowałeś sobie ten dzień.

- Sam się o to prosiłem, poślubiając policjantkę. - W jego głosie pobrzmiwał irlandzki akcent, śpiewna intonacja zmysłowego poety. - Zakochując się w niej - dodał i uniósł twarz Eve, by ją pocałować.

- Zdaje mi się, że kiepsko na tym wyszedłeś.

- Ja tak tego nie widzę. - Przesunął palcami po jej krótkich, brązowych włosach. - Eve, jesteś kobietą, jakiej chciałem, która wychodzi z domu, by stanąć nad nieboszczykiem. I taką, która wie, co znaczy dla mnie zbiór wierszy Yeatsa.

- Lepiej sobie radzę z nieboszczykami niż z kupowaniem prezentów. W przeciwnym razie udałoby mi się znaleźć dla ciebie jeszcze coś.

Spojrzała na stos podarków pod choinką - ich odpakowanie zajęło jej ponad godzinę. Skrzywiła się, czym go rozśmieszyła.

- Moja pani porucznik, czy wiesz, że jedną z największych przyjemności dawania ci prezentów jest konsternacja i zażenowanie, jakie one u ciebie wywołują?

- Mam nadzieję, że na jakiś czas dasz sobie z tym spokój.

- Mmmm - mruknął jedynie w odpowiedzi. Pomyślał, że nie była przyzwyczajona do otrzymywania prezentów. Kiedy była dzieckiem, nie skąpiono jej jedynie bólu i cierpienia. - Czy już zdecydowałaś, co zrobisz z ostatnim?

Ostatnie pudełko, które jej wręczył, było puste. Z przyjemnością przyglądał się, kiedy zaskoczona Eve zmarszczyła czoło. Z taką samą przyjemnością przyglądał się jej szerokiemu uśmiechowi, kiedy wyjaśnił, że podarował jej dzień. Dzień, który może spędzić tak, jak zechce. Zabierze ją wszędzie, gdzie postanowi pojechać, będą robili to, na co przyjdzie jej ochota. Na Ziemi lub poza nią. W rzeczywistości lub w sali hologramowej.

Mogła go poprosić o wszystko, kiedy i gdzie zechce, w świecie wirtualnym lub prawdziwym.

- Nie, nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanowić. To bardzo hojny dar. Nie chciałam go zepsuć.

Posiedziała mu na kolanach jeszcze przez chwilę, słuchając trzasku ognia na kominku, patrząc na skrzącą się choinkę, a potem wstała.

- No, muszę się brać do pracy. Czeka mnie dużo nudnej roboty, a nie chcę dziś niepokoić Peabody.

- To może ja ci pomogę? - Znów się uśmiechnął, kiedy ujrzał w jej spojrzeniu odruchowy sprzeciw. - Na jeden dzień zajmę miejsce Peabody.

- Ta sprawa nie ma z tobą żadnego związku i chciałam, żeby tak pozostało.

- To nawet lepiej. - Wstał. - Mogę ci pomóc zbierać dane i tak dalej. Dzięki temu nie będziesz musiała spędzić całych świąt, przykuta do swojego biurka.

Już miała odmówić, ale się zastanowiła. Większość potrzebnych informacji i tak była jawna. A tymi, które nie były jawne, i tak zapewne by się z nim podzieliła, gdyby snuła rozważania na głos.

Poza tym był dobry w te klocki.

- Dobra, potraktuję cię jak czarną siłą roboczą. Ale kiedy Peabody odzyska równowagę, spławię cię.

- Najdroższa. - Ujął jej dłoń i ją pocałował. Przyglądał się, jak Eve zmarszczyła brwi.
- Skoro tak ładnie mnie prosisz.
- I żadnego migdalenia się - uprzedziła go. - Jestem na służbie.

ROZDZIAŁ 2

Wielki kocur, Galahad, leżał na oparciu amerykańki Eve niczym pijak na barze tuż przed zamknięciem lokalu. Ponieważ ostatniej nocy spędził kilka godzin, rzucając się na pudełka, walcząc ze wstążkami i rozrywając na strzępy ozdobny papier, porozrzucany na podłodze, pozwoliła mu zostać tam, gdzie był, i odespać wczorajsze harce.

Odstawiła torbę i podeszła do autokucharza, by zamówić kawę.

- Facet, którego szukamy, to David Palmer.

- Już zidentyfikowałaś zabójcę?

- Tak, wiem, kogo szukać. Jesteśmy z Dave'em starymi kumplami. Roarke wziął kubek, który mu podała, i przyglądał jej się znad parującego napoju.

- To nazwisko wydaje mi się znajome.

- Z pewnością je słyszałeś. Trzy, może trzy i pół roku temu wszyscy o nim trąbili. Potrzebne mi są akta z tamtego śledztwa i wszystkie informacje o procesie. Możesz zacząć od... - Urwała, kiedy położył jej dłoń na ramieniu.

- David Palmer, seryjny morderca. Torturował swoje ofiary. - Powoli sobie przypominał kolejne szczegóły. - Dość młody. Dwadzieścia kilka lat?

- Dwadzieścia dwa w chwili aresztowania. Nasz Dave jest wyjątkowo utalentowany. Uważa się za naukowca, wizjonera. Postawił przed sobą jeden cel: zbadać wytrzymałość ludzkiego mózgu na skrajne bodźce - ból, strach, głód, odwodnienie, deprivację sensoryczną. Potrafi też niezłe nawijać. - Wypiła łyk kawy. - Siedział podczas przesłuchania i z przejęciem wyjaśniał, że kiedy poznamy granice wytrzymałości umysłu, będziemy mogli je poszerzyć. Uznał, że ponieważ jestem policjantką, szczególnie zainteresuję się jego wizją. Policjanci są narażeni na spory stres, często spoglądają śmierci w oczy, a strach lub bodźce zewnętrzne łatwo mogą nas rozpraszać. Wyniki jego doświadczeń miały znaleźć zastosowanie w pracy policji i siłach bezpieczeństwa, w wojsku, a nawet w biznesie.

- Nie wiedziałem, że ty prowadziłaś tę sprawę.

- Tak, ja go rozpracowałam. - Wzruszyła ramionami. - Wtedy nie było o mnie jeszcze tak głośno.

Mógłby się uśmiechnąć, słysząc te słowa, bo zdawał sobie sprawę, że sytuacja zmieniła się częściowo za sprawą tego, że Eve się z nim związała. Ale już tyle przypomniał sobie o sprawie Palmera, że odeszła mu ochota na żarty.

- Wydawało mi się, że siedzi za kratkami, pilnie strzeżony.

- Okazało się, że niewystarczająco pilnie. Zbiegł. Ofiara, którą znaleziono tego ranka, została porzucona w miejscu publicznym - kolejna cecha charakterystyczna postępowania Dave'a. Lubi, jak wiemy, że nie siedzi z założonymi rękami. Trzeba będzie przeprowadzić sekcję zwłok, by to potwierdzić, ale ofiarę torturowano, zanim ją uśmiercono. Przypuszczam, że Dave znalazł sobie nową kryjówkę i trzymał tam sędziego przynajmniej jeden dzień, a potem go zabił. Śmierć w wyniku uduszenia nastąpiła około północy. Wesołych świąt, sędzio Wainger - mruknęła.

- To sędzia, który prowadził proces?

- Tak. - Machinalnie odstawiła kubek i sięgnęła do torby po kopię spisu nazwisk, który już wysłała do laboratorium. - Zostawił bilet wizytowy. To też charakterystyczne dla niego.

Wszystkie te osoby miały związek z jego sprawą i wyrokiem skazującym. Domyślałam się, że tym razem chce, aby jego przyszłe ofiary trochę się podenerwowały tym, co dla nich szykuje. Już się z nimi skontaktowano i zapewniono im ochronę. Trudno mu będzie dopaść kogokolwiek z listy.

- A ciebie? - zapytał Roarke z wystudiowanym spokojem, rzuciwszy okiem na listę i zobaczywszy tam nazwisko swojej żony. - Gdzie twoja ochrona?

- Jestem z policji. To my chronimy innych obywateli.

- Na tobie najbardziej mi zależy, Eve. Odwróciła się. Chociaż Roarke starał się panować nad swoim głosem, dosłyszała w nim złość.

- Być może. Ale nie tak, jak mnie na nim.

- Ty go zatrzymałaś - ciągnął. - Wszystko, co nastąpiło potem: badania, proces, wyrok - było wynikiem twojej pracy. Ty jesteś najważniejsza.

- Pozostawmy te sprawy psychologowi kryminalistycznemu. - Chociaż zgadzała się z Roarkiem. - Skontaktuję się z Mirą, gdy tylko ponownie przejrzę akta sprawy. Możesz je dla mnie ściągnąć, kiedy ja będę pisała wstępne sprawozdanie. Dam ci hasło do mojego służbowego komputera i do akt Palmera.

Teraz on uniósł brew i uśmiechnął się kpiąco.

- Ależ Eve. Nie mogę pracować, jeśli mnie obrażasz.

- Przepraszam. - Znów wzięła kubek z kawą. - Nie wiem, dlaczego udaję, że potrzebne ci hasło, by dostać się do jakichkolwiek plików.

- Ja też nie wiem. Usiadł, żeby ściągnąć potrzebne jej dokumenty. Nie stanowiło to dla niego żadnego wyzwania, więc mógł jednocześnie rozważyć sytuację i podjąć decyzje.

Powiedziała, że ta sprawa nie ma związku z nim i że wolałaby, aby przestał się nią

zajmować, kiedy Peabody wróci do pracy. Ale była w błędzie. Jej nazwisko na liście dobitnie świadczyło, że ta sprawa dotyczy go bardziej niż jakakolwiek inna. I nie było takiej siły na ziemi, która zmusiłaby Roarke'a do wycofania się. Nie uda się to nawet kobiecie, którą kocha.

Eve na drugim komputerze pisała raport, ograniczając się do uwzględnienia w nim wyłącznie suchych faktów. Chciała otrzymać wyniki sekcji zwłok, informacje o tym, co udało się ustalić ekipie techników. Ale mało prawdopodobne, by przed końcem jutrzejszego dnia dostała cokolwiek od nielicznych funkcjonariuszy dyżurujących w święta.

Starając się nie zdradzić swojej irytacji, odebrała telefon, gdy tylko zadzwonił.

- Dallas.

- Pani porucznik, mówi Miller.

- O co chodzi, Miller?

- Pani porucznik, mnie i mojemu partnerowi polecono skontaktować się z zastępczynią prokuratora okręgowego Ring i ją ochraniać. Przybyliśmy do jej mieszkania tuż po siódmej trzydzieści. Pukaliśmy, ale nikt nam nie otworzył.

- To wyjątkowa sytuacja, Miller. Macie prawo wejść.

- Tak jest, pani porucznik. Rozumiem. I właśnie tak postąpiliśmy. Nie zastaliśmy w mieszkaniu prokurator Ring. Mój partner wypytał sąsiada z naprzeciwka. Prokurator Ring wyjechała wczoraj wczesnym rankiem do Filadelfii, by spędzić święta z rodziną. Ale tam nie dotarła. Dziś rano ojciec zgłosił jej zaginięcie.

Eve ścisnęła się żołądek. Za późno, pomyślała. Już za późno.

- Czym pojechała do Filadelfii, Miller?

- Miała własny samochód. Właśnie jesteśmy w drodze do garażu, w którym trzymała wóz.

- Informuj mnie na bieżąco, Miller. - Eve rozłączyła się, odwróciła i napotkała wzrok Roarke'a. - Dopadł ją. Chciałabym wierzyć, że napotkała jakieś przeszkody po drodze albo wynajęła licencjonowaną osobę do towarzystwa na krótkie bara - bara, zanim pojechała do Filadelfii, ale wiem, że ją dopadł. Potrzebne mi numery łączy pozostałych osób z listy.

- Zaraz będziesz je miała. Nie potrzebowała numeru jednej z nich. Z bijącym sercem połączyła się z domem Miry. Odebrał mały chłopczyk, chichocząc.

- Wesołych świąt! Tu dom mojej babci. W pierwszej chwili Eve zamrugała powiekami, zastanawiając się, dlaczego wybrała zły numer. Potem usłyszała znajomy łagodny głos i zobaczyła na ekranie Mirę z uśmiechem na twarzy i z zaniepokojonym spojrzeniem.

- Dzień dobry, Eve. Mogłabyś chwileczkę zaczekać? Chciałabym pójść na górę. Nie, skarbie - zwróciła się do chłopca, ciągnącego ją za rękaw. - Biegnij obejrzeć nowe zabawki.

Zaraz wrócę. Jedną chwileczkę, Eve.

Ekran zrobił się niebieski i Eve odetchnęła z ulgą. Ucieszyła się, że przyjaciółka jest w domu, cała i zdrowa, chociaż trudno było się oswoić z myślą, że opanowana doktor psychiatrii jest zarazem babcią.

- Przepraszam. - Na ekranie znów pojawiła się twarz Miry. - Nie chciałam o tym rozmawiać na dole, w obecności rodziny.

- Nic nie szkodzi. Są u ciebie policjanci?

- Tak. - Wyraźnie zdenerwowana, co rzadko jej się zdarzało, Mira przesunęła ręką po kruczoczarnych włosach. - Ale im się trafiło, siedzą w samochodzie w święta. Nie wiedziałam, jak ich wpuścić do środka, nie wtajemniczając w sprawę rodziny. Są u mnie dzieci, Eve, i wnuki. Muszę wiedzieć, czy według ciebie grozi im jakieś niebezpieczeństwo.

- Nie. - Powiedziała to szybko i zdecydowanie. - To nie w jego stylu. Doktor Miro, nie wolno ci opuszczać domu bez ochrony. Nie wolno ci nigdzie wychodzić, ani do pracy, ani do sklepu na rogu, bez obu policjantów. Jutro założą ci elektroniczną bransoletkę.

- Zachowam wszelkie środki ostrożności, Eve.

- To dobrze. Jednym z nich jest odwołanie wszystkich spotkań z pacjentami do czasu, aż Palmer znajdzie się w areszcie.

- To śmieszne.

- Nie wolno ci ani przez chwilę pozostawać samej. Więc o ile twoi pacjenci nie zgodzą się na to, byś zaglądała im do wnętrza duszy w obecności dwóch gliniarzy, weź urlop.

Mira przyjrzała się bacznie Eve.

- Ty też weźmiesz?

- Ja muszę zrobić to, co do mnie należy. Czyli między innymi zadbać o twoje bezpieczeństwo. Stephanie Ring zaginęła.

- Oczekała króciutką chwilę, by w pełni dotarło to do Miry.

- Proszę, rób to, co ci każe, Miro, w przeciwnym razie za godzinę znajdziesz się w areszcie prewencyjnym. Jutro o dziewiątej rano będę potrzebowała konsultacji. Przyjadę do ciebie.

Rozłączyła się i odwróciła, żeby wziąć od Roarke'a numery telefonów do pozostałych osób. Zobaczyła, że bacznie jej się przygląda.

- O co chodzi?

- Dużo dla ciebie znaczy. Gdyby znaczyła mniej, załatwiłabyś to z większą finezją.

- Zawsze brakowało mi finezji. Dawaj te numery. - Kiedy się zawahał, westchnęła i powiedziała: - Dobrze już, dobrze. Dużo dla mnie znaczy i nie pozwolę, by się do niej zbliżył.

A teraz daj mi te przeklęte numery.

- Już przesłałem je na twój komputer, moja pani porucznik. Są zapisane na dysku. Wystarczy podać nazwisko, by uzyskać połączenie.

- Szpaner - mruknęła, wiedząc, że wywoła tym szeroki uśmiech na jego twarzy, i znów odwróciła się do komputera, by skontaktować się z pozostałymi osobami z listy Palmera.

Kiedy się upewniła, że wszyscy są tam, gdzie powinni być i dobrze pilnowani, zajęła się aktami sprawy, które Roarke też przesłał na jej komputer.

Spędziła godzinę, przeglądając dane i raporty, kolejną, przesłuchując dyski, na których zapisano jej rozmowy z Palmerem.

„Dave, opowiedz mi o Michelle Hammel. Dlaczego była taka wyjątkowa?”

David Palmer, dobrze zbudowany, przystojny dwudziestodwuletni mężczyzna z bogatej rodziny z Nowej Anglii uśmiechnął się i pochylił, wyraźnie ożywiony. W jego jasnoniebieskich oczach płonął zapał. Gładka, kremowo karmelowa cera świadczyła o pełnym zdrowiu i witalności.

Eve, patrząc na siebie sprzed trzech lat, przypomniała sobie, jak pomyślała: Wreszcie ktoś go słucha. W końcu zyskał okazję, by pochwalić się swoim geniuszem.

Miała źle ostrzyżone włosy - w tamtych czasach sama je sobie obcinała. Buty były wtedy nowe i prawie bez skazy. Na jej palcu nie błyszczała obrączka.

Poza tym, pomyślała, nic się nie zmieniło.

„Była młodą, sprawną fizycznie sportsmenką - powiedział jej Palmer. - W pełni panowała nad swoim ciałem i umysłem. Biegaczka długodystansowa, nadzieja olimpiady. Wiedziała, jak blokować ból, jak skupiać się na celu. Znajdowała się na samej górze skali. Tak jak Leroy Greene znajdował się na samym jej końcu. Przez lata otumaniał się zakazanymi substancjami. Zero tolerancji na destrukcyjne bodźce. Stracił kontrolę nad sobą, zanim jeszcze zadano mu ból. Załamał się, jak tylko odzyskał przytomność i zobaczył, że jest przymocowany pasami do stołu. Natomiast Michelle... „

„Walczyła? Opierała się?”

Palmer radośnie skinął głową.

„Była cudowna, naprawdę. Próbowwała się uwolnić od więzów, a kiedy zrozumiała, że nie da rady, przestała. Bała się. Przyrządy zarejestrowały przyspieszony puls, podwyższone ciśnienie krwi, zmianę wszystkich parametrów, dotyczących stanu fizycznego i emocjonalnego. Dysponowałem doskonałym sprzętem”.

„Tak. Widziałam. Rzeczywiście pierwszorzędny”.

„To ważne dzieło. - Oczy zaszyły mu mgłą, stały się rozbiegane, jak wtedy, kiedy mówił o znaczeniu swoich eksperymentów. - Przekona się pani, kiedy zapozna się pani z danymi Michelle, że wykorzystwała swój strach, by utrzymać się przy życiu. Początkowo miała nad nim kontrolę, próbowała mnie przekonywać. Składała obietnice, udawała, że rozumie mój program badawczy, nawet mi pomagała. Była inteligentna. Kiedy zrozumiała, że nic jej to nie da, zaczęła mnie przeklinać, powodując wzrost poziomu adrenaliny we krwi, kiedy zastosowałem nowe bodźce bólowe”.

- Złamał jej obie stopy - powiedziała Eve, wiedząc, że Roarke też to ogląda zza jej pleców. - Potem ręce. Miał rację, jeśli chodzi o sprzęt. Dysponował elektrodami, które przykładał do różnych części ciała albo umieszczał w różnych jego otworach, by razić ofiarę prądem o różnym natężeniu. Michelle przeżyła trzy dni tortur, zanim się załamała. Pod koniec błagała go, by ją zabił. Posłużył się sznurem i systemem wielokrążków, by ją powiesić. Dusił ją powoli. Miała dziewiętnaście lat.

Roarke położył dłonie na jej ramionach.

- Powstrzymałaś go raz, Eve, powstrzymasz go znowu.

- Jasne, że tak. Uniosła wzrok, słysząc, że ktoś idzie szybko korytarzem.

- Zapisać dane i zamknąć plik - poleciła, tuż za nim do pokoju weszła Nadine Furst. Idealnie, pomyślała, wizyta jednej z czołowych reporterek telewizyjnych z Kanału 75. Fakt, że były przyjaciółkami, nie miał wpływu na to, że Eve pozostała czujna.

- Składasz świąteczne wizyty, Nadine? - Dostałam dziś rano prezent. - Rzuciła na biurko dysk.

Spojrzała na nośnik, a potem znów na Nadine. Dziennikarka była blada, miała ściągniętą twarz. Po raz pierwszy Eve widziała Nadine bez idealnego makijażu, umalowanych ust, bez każdego włoska na swoim miejscu. Uświadomiła sobie, że jej przyjaciółka wygląda na więcej niż zdenerwowaną. Bała się.

- O co chodzi?

- O Davida Palmera. Eve wolno wstała.

- A konkretnie?

- Najwyraźniej wie, jak zarabiam na życie, i że się przyjaźnimy. Przysłał mi to. - Spojrzała na dysk, starając się nie wzdrygnąć. - Z nadzieją, że zrobię program o nim i jego działalności oraz podzielę się zawartością dysku z tobą. Czy mogę prosić o coś do picia? Coś mocnego.

Roarke obszedł biurko i podprowadził ją do krzesła.

- Usiądź. Jesteś przemarznięta - mruknął, kiedy ujął jej dłonie.

- Tak. Zimno mi, odkąd zobaczyłam, co jest na tym dysku.

- Należę ci brandy. Nadine skinęła głową, a potem zacisnęła dłonie w pięści i spojrzała na Eve.

- Na filmie są pokazane dwie osoby. Jedną z nich jest sędzia Wainger. A raczej to, co z niego pozostało. Drugą jakąś kobieta, ale jej nie rozpoznałam. Już się do niej zabrał.

- Proszę. - Roarke przyniósł Nadine kieliszek brandy i wcisnął jej do ręki. - Wypij to.

- Dobrze. - Uniosła kieliszek, pociągnęła długi łyk i poczuła, jak ogień pali jej wnętrzności. - Dallas, widziałam różne okropieństwa. Analizowałam je, robiłam o nich programy. Ale jeszcze nigdy nie zetknęłam się z czymś takim. Nie wiem, jak ty dzień w dzień możesz zajmować się takimi sprawami.

- Zwyczajnie, biorę to, co niesie kolejny dzień. - Eve wzięła do ręki dysk. - Nie musisz tego oglądać jeszcze raz.

- Mylisz się. - Nadine znów się napiła i odetchnęła głęboko. - Muszę. Eve obróciła dysk w dłoniach. Należał do powszechnie używanych, nie uda się ustalić, gdzie został kupiony. Wsunęła go do odtwarzacza.

- Skopiować dysk i odtworzyć. Wyświetlić na ściennym ekranie. Na ekranie ukazała się młodzieńcza urodziwa twarz Davida Palmera.

- Pani Furst, a może wolno mi się zwracać do pani „Nadine”? Tak jest znacznie mniej oficjalnie. To, co robię, traktuję bardzo osobiście. À propos, podziwiam twoją pracę. To jeden z powodów, dlaczego wybrałem właśnie ciebie, żebyś opowiedziała o mnie w telewizji. Wierzysz w to, co robisz, prawda, Nadine?

Miał teraz poważny wzrok, jak profesjonalista, rozmawiający z profesjonalistą. Jego twarz zachowała młodość i niewinność kandydata na mnicha, odbywającego nowicjat.

- Ci z nas, którzy dążą do perfekcji, wierzą w to, co robią - ciągnął. - Wiem, że przyjaźnisz się z porucznik Dallas. Ja i pani porucznik też się znamy. Może nie łączy nas przyjaźń, ale mamy ze sobą wiele wspólnego. Podziwiam jej wytrzymałość. Mam nadzieję, że jak najszybciej pokażesz jej zawartość tego dysku. Powinna już wtedy kierować śledztwem w sprawie śmierci sędziego Waingera. Uśmiechnął się szerzej.

- Witam, pani porucznik. Proszę mi wybaczyć, Nadine, ale chciałbym zakończyć naszą rozmowę. Zależy mi na tym, żeby Dallas wyjątkowo mocno się w to zaangażowała. Ma to dla mnie szczególne znaczenie. Przedstawisz widzom moją sylwetkę, prawda, Nadine? Niech osądzą mnie ludzie, a nie jakiś głupiec w czarnej todze, który ma wąskie horyzonty myślowe.

Na ekranie pojawił się inny obraz, głośność ustawiona była na cały regulator, więc

krzyki kobiety zdawały się przeszywać powietrze w pokoju, w którym siedziała Eve, oglądając film.

Sędzia Wainger, przywiązany za rękę i nogę, wisiał kilkanaście centymetrów nad betonową posadzką. Tym razem Palmer posłużył się prostym wielokrążkiem, stwierdziła Eve. Zadał sobie sporo trudu, by urządzenie było w miarę wyrafinowane, ale daleko mu było do złożoności i pomysłowości maszyny do zadawania tortur, jaką stworzył poprzednio.

Chociaż pracowało bez zarzutu.

Twarz Waingera była sina z bólu, drgały mu mięśnie, kiedy Palmer ręcznym laserem wypalał mu litery na klatce piersiowej. Tylko jęczał, głowa zwisała mu bezwładnie. Tuż obok kilka monitorów brzęczało i dzwoniło.

- Widać, że wysiada - rozległ się zza kadru ożywiony głos Palmera. - Jego umysł już nie reaguje na ból, nie może go dłużej znieść. Jego organizm będzie próbował pogрузić się w nieświadomości. Ale jak zaraz zobaczysz, ten proces można powstrzymać. - Pstryknął jakimś przełącznikiem. Rozległ się głośny skowyt. Ciało Waingera drgnęło i mężczyzna krzyknął.

W drugim końcu pomieszczenia jakaś kobieta wyła i łkała. Klatka, w której ją zamknęto, była taka mała, że mogła w niej jedynie klęczeć, podpierając się rękami. Klatka chybotwała się na kablu. Prawie całą twarz kobiety zasłaniały ciemne włosy, ale Eve ją rozpoznała.

Stephanie Ring.

Palmer odwrócił się i włączył inną kontrolkę. Klatka się zatrzęsła, posypały się z niej iskry. Z ust kobiety wydobyło się przenikliwe zawodzenie, jej ciałem wstrząsnął konwulsyjny dreszcz i zemdląła.

Uśmiechnięty Palmer zwrócił się do kamery.

- Rozprasza mnie, ale nie mam zbyt wiele czasu. Musiałem zabrać się do kolejnej osoby, nim skończyłem doświadczenia z poprzednią. Ale wkrótce całą uwagę skupię wyłącznie na niej. Waingerowi zaczyna wysiadać serce. Mam już prawie wszystkie potrzebne mi dane.

Złapał za liny i opuścił ciało sędziego na podłogę. Eve zauważyła naprężone mięśnie ramion młodego mężczyzny.

- Dave ćwiczył, żeby zyskać formę - mruknęła. - Wiedział, że tym razem będzie się musiał bardziej wysilić. Lubi się z awansu przygotować.

Palmer zarzucił sędziemu na szyję idealnie zawiązany stryczek i starannie wsunął drugi koniec liny w metalowe kółko w suficie. Następnie przewlekł go przez kółko w podłodze i pociągnął. Wainger najpierw znalazł się na kolanach, potem się wyprostował i

zaczął z trudem łapać powietrze.

- Wyłącz to, proszę! - Dziennikarka zerwała się na nogi. - Nie mogę drugi raz tego oglądać. Myślałam, że dam radę, ale się myliłam.

- Zatrzymać odtwarzanie. - Eve zaczekała, aż ekran zrobił się biały, a potem podeszła do Nadine i przykucnęła przed nią. - Przepraszam.

- Nie, to ja przepraszam. Myślałam, że jestem twarda.

- Jesteś. Ale nikt nie jest aż tak twardy. Nadine pokręciła głową, jednym haustem dopiła brandy i odstawiła kieliszek.

- Ty jesteś. Nie pozwalasz, by cię to wyprowadziło z równowagi.

- Nieprawda. Ale nie mówmy o mnie. Poproszę dwoje policjantów, żeby odwieźli cię do domu. Nie będą cię odstępować ani na krok, dopóki nie przyskrzynimy Palmera.

- Myślisz, że chce mnie dostać w swoje łapy?

- Nie, ale po co ryzykować? Jedź do domu, Nadine. Zapomnij o tym. Eve poprosiła Roarke'a, by zaprowadził Nadine na dół, gdzie mogła poczekać na ochronę, a sama wróciła do oglądania dysku. Pod koniec filmu spojrzenia jej i Palmera się spotkały, kiedy morderca podszedł bliżej do kamery.

- Wainger zmarł o północy dwudziestego czwartego grudnia. Ty wytrzymasz dłużej, Dallas. Oboje o tym wiemy. Będziesz moim najbardziej fascynującym obiektem badań. Zaplanowałem dla ciebie fantastyczne rzeczy. Odnajdziesz mnie. Wiem to. Liczę na to. Wesołych świąt.

ROZDZIAŁ 3

Samochód Stephanie Ring nadal stał na swoim miejscu w garażu. W bagażniku znajdowały się spakowane walizki. Eve okrążyła auto, szukając jakichś śladów walki, czegoś, co być może upadło podczas porwania i wciąż tu leżało, niezauważone przez nikogo.

- Porywa swoje ofiary na dwojaki sposób - powiedziała w równym stopniu do siebie, co do czekających w pobliżu umundurowanych policjantów. - Albo dostaje się do ich domu, uciekając się do podstępów: jako dostawca, konserwator lub żeby coś naprawić. Albo napada na nie na jakimś pustkowiu. Poświęca nieco czasu na poznanie ich zwyczajów i codziennych zajęć, tras, którymi zwykle się poruszają, planu dnia. Zapisuje to wszystko w specjalnym dzienniku - w sposób bardzo uporządkowany, naukowy, razem z danymi biograficznymi każdej ofiary.

Nie uważał ich za króliki doświadczalne, pomyślała sobie. Każdego traktował w sposób indywidualny, wielce osobisty. Właśnie to tak go podniecało.

- W obu przypadkach - ciągnęła - posługuje się paralizatorem, szybko ogłusza swoje ofiary i zabiera własnym samochodem. Czy to obiekt strzeżony?

- Tak, pani porucznik. - Jeden z mundurowych podał jej zalakowaną paczkę dysków. - Skonfiskowaliśmy dyski z trzech ostatnich dni, wychodząc z założenia, że zabójca mógł przed porwaniem ofiary ją śledzić. Eve uniosła brew.

- Nazywasz się Miller, tak?

- Tak, pani porucznik.

- Prawidłowe rozumowanie. Nic tu po was. Wracajcie do domu na świąteczną gęsinę.

Nie pobiegli w podskokach, ale też nie ociągali się zbyt długo. Eve wsunęła dyski do torby i zwróciła się do Roarke'a.

- Może pójdziesz w ich ślady? Zajmie mi to tylko parę godzin.

- Zajmie nam to tylko parę godzin.

- Nie potrzebuję pomocnika, żeby rozejrzeć się po mieszkaniu ofiary. Roarke tylko ujął ją pod ramię i zaprowadził do samochodu.

- Zwolniłeś dwóch umundurowanych funkcjonariuszy - zaczął, uruchamiając silnik. - Wszystkie pozostałe osoby z listy Palmera mają ochronę. Dlaczego ty nie?

- Już o tym rozmawialiśmy.

- Wstępnie. - Wrzucił wsteczny i wyjechał z garażu. - Ale znam cię, moja pani porucznik. Masz nadzieję, że zmieni kolejność i teraz zasadzi się na ciebie. I nie chcesz, żeby

jacyś barczyści gliniarze w mundurach go odstraszyli.

Przez chwilę tylko bębniła palcami w kolano. W ciągu niespełna roku ten mężczyzna poznał ją na wylot. Wcale jej się to nie podobało.

- Do czego zmierzasz? Prawie się uśmiechnął, słysząc irytację w jej głosie.
- Podziwiam odwagę mojej żony, jej obowiązkowość.
- Wtrąciłeś „mojej żony”, żeby mnie wpienić, prawda?
- Naturalnie. - Usatysfakcjonowany Roarke ujął jej dłoń i pocałował. - Nie uwolnisz się ode mnie, Eve. Musisz się z tym pogodzić.

*

Ogłędziny mieszkania Stephanie Ring przebiegły rutynowo i nie ujawniły niczego poza uporządkowanym życiem samotnej kobiety, robiącej karierę, lubiącej otaczać się ładnymi przedmiotami i wydawać pensję na modne ciuszki.

Eve przypomniała sobie nagą kobietę, skuloną w klatce jak zwierzę, krzyczącą z przerażenia.

Odbiera jej życie. Była tego pewna. I nie mogła nic zrobić, żeby do tego nie dopuścić.

Po powrocie do domu jeszcze raz obejrzała dysk, który Palmer przysłał Nadine. Tym razem zmusiła się, by nie zwracać uwagi na to, co się dzieje, a skupić wyłącznie na wyglądzie pomieszczenia.

- Brak okien - zauważyła. - Podłoga i ściany są chyba z betonu i cegły. Całe pomieszczenie ma nie więcej, jak sześć na dziewięć metrów. To prawdopodobnie piwnica. Komputer, zatrzymaj obraz. Powiększ sektory od ósmego do piętnastego.

Chodziła tam i z powrotem, kiedy komputer wykonywał polecenie, a potem stanęła przed ekranem.

- Widać schody, część balustrady. Za nią... Co to takiego? Stary piec albo zbiornik na wodę. Znalazł sobie dobrą kryjówkę. Musi być na prywatnej posesji - ciągnęła, przyglądając się uważnie obrazowi. - Nie może tego robić w budynku, bo ktoś postronny mógłby go usłyszeć. Nawet jeśli pomieszczenie jest dźwiękoszczelne, istnieje ryzyko, że jakiś człowiek by się napatoczył. Konserwator, ekipa remontowa i tym podobni.

- To nie budynek mieszkalny ani biurowiec - zgodził się z nią Roarke. - A z uwagi na te schody raczej nie wygląda na magazyn. Sądząc po piecu, to spory dom i bynajmniej nie nowy. Od piętnastu, dwudziestu lat nie instaluje się w budynkach takich pieców kąpielowych. Palmer szukałby czegoś w mieście, prawda?

- Tak, chciałby być blisko wszystkich swoich ofiar. Nie zdecydowałby się na

przedmieścia, a nawet na peryferyjne dzielnice. Dave to prawdziwy mieszczuch, Nowy Jork to jego rewir. To musi być prywatny dom. Ale jakim cudem załatwiłby sobie metę w prywatnym domu?

- Przez przyjaciół? - zasugerował Roarke. - Rodzinę?

- Palmer z nikim się nie przyjaźnił. Jest samotnikiem. Jego rodzice wyprowadzili się po procesie w ramach programu ochrony ofiar.

- Utajnione pliki! Dosłyszała rozbawienie w jego głosie, odwróciła się, by rzucić mu gniewne spojrzenie. Przez chwilę zmagala się sama ze sobą. Mogła uzyskać zgodę na poznanie miejsca pobytu Palmerów. Ale przynajmniej dwa dni walczyłaby z biurokratami, by otrzymać zezwolenie. Albo mogła zostawić wszystko Roarke'owi i dostać to, na czym jej zależało, w ciągu kilku minut.

Znów usłyszała krzyki Stephanie Ring.

- Będziesz się musiał posłużyć niezarejestrowanym sprzętem. CompuGuard automatycznie zablokuje dotyczący ich plik.

- Nie zajmie mi to dużo czasu.

- Ja dalej będę rozpracowywała to. - Wskazała ekran. - Może popełnił jakiś błąd i zdołam wypatrzeć coś, co uda się zidentyfikować.

- Dobrze. - Ale podszedł do Eve i ujął jej twarz w dłonie. Pochylił się i pocałował ją długo, wolno, namiętnie. Poczuł, że trochę się odprężyła.

- Dam sobie radę, Roarke.

- Zrobisz to bez względu na trudności. Czy mogłabyś chociażby na chwilę przytulić się do mnie?

- Chyba tak. - Oplotła go rękami, poczuła znajome linie ciała, znajome ciepło. Objęła go mocniej. - Dlaczego nie wystarczyło raz go schwytać? Dlaczego nie wystarczyło raz wsadzić go za kratki? Na co to wszystko, jeśli człowiek zrobi, co do niego należy, a potem znów musi się zajmować tym samym?

Przytulał ją, milcząc.

- Chce mi udowodnić, że może zrobić, co mu się podoba. Chce, żebym znowu musiała przeprowadzić pełne śledztwo, tak jak poprzednio. Tylko tym razem ze świadomością, że to wszystko dzieje się właśnie teraz. „Spójrz, jaki jestem sprytny, Dallas”.

- Wiedząc to i rozumiejąc, łatwiej ci będzie go powstrzymać drugi raz.

- Tak. - Odsunęła się od niego. - Zdobądź dla mnie dane o jego rodzicach, żebym mogła się z nimi skontaktować.

Roarke przesunął palcem po jej policzku.

- Pozwól, żebym cię obserwował przy pracy. To takie inspirujące przyglądać się, jak zastraszasz świadków.

Kiedy się roześmiała, na co w duchu liczył, poszedł do swojego studia, by obejść CompuGuard i dostać się do utajnionych plików. Zdążyła obejrzeć zaledwie kawałek nagrania, gdy wrócił.

- To nie mogło być takie łatwe.

- Owszem, mogło. - Uśmiechnął się i podał jej dysk z nowymi danymi. - Thomas i Helen Palmer, obecnie znani jako Thomas i Helen Smith, co świadczy, jak mało wyobraźni mają biurokraci, mieszkają teraz w małej miejscowości Leesboro w Pensylwanii.

- W Pensylwanii. - Eve spojrzała na swoje łącze, pomyślała chwilę i przeniosła wzrok na Roarke'a. - Gdyby mieć dostęp do jakiegoś poręcznego środka transportu, szybko można tam dotrzeć.

Zrobił rozbawioną minę.

- Jaki poręczny środek transportu wolisz, moja pani porucznik?

- Tym twoim miniodrzutowcem bylibyśmy tam za niespełna godzinę.

- To w takim razie czemu nie ruszamy w drogę? Gdyby Eve bardziej lubiła wysokości, może spodobałby się jej szybki lot na południe. Ale ponieważ była, jaka była, siedziała, nerwowo kiwając nogą, kiedy Roarke pilotował odrzutowiec. Przypuszczała, że pasmo górskie, przesuwające się w dół, zdaniem niektórych jest niezwykle malownicze.

Dla niej były to tylko skały, a pola między nimi - to jedynie spłachetki ziemi.

- Powiem to tylko raz - zaczęła. - I wyłącznie dlatego, że mamy Boże Narodzenie.

- Schodzimy do lądowania - uprzedził ją, kiedy znaleźli się w pobliżu prywatnego lotniska. - Co takiego chcesz mi powiedzieć tylko raz?

- Że może kupowanie wszystkich tych twoich zabawek nie oznacza wyrzucania pieniędzy w błoto. Może to przejaw pewnej ekstrawagancji, ale czasami okazują się nawet przydatne.

- Najdroższa, jestem wzruszony. Po wylądowaniu przesiedli się ze szpanerskiego dwuosobowego odrzutowca do samochodu, który na polecenie Roarke'a już na nich czekał. Oczywiście nie mogło to być zwyczajne auto, pomyślała sobie w duchu Eve, przyglądając mu się uważnie. Był to czarny wóz o opływowych kształtach, zrywny i elegancki.

- Ja poprowadzę. - Wyciągnęła rękę po kluczyki, które mu dał kierowca. - Ty będziesz moim pilotem.

Roarke spojrzał na nią, podrzucając kluczyki w dłoni.

- Dlaczego?

- Ponieważ ja noszę odznakę. - Złapała kluczyki, kiedy były w górze, i uśmiechnęła się z zarożumiałą miną.

- Ale ja jestem lepszym kierowcą. Prychnęła, kiedy wsiadali.

- Lubisz się popisywać. To wcale nie czyni cię lepszym kierowcą. Zapnij pasy, mistrzu. Spieszę się.

Uruchomiła silnik i na pełnym gazie opuścili lotnisko. Wjechali na krętą, wiejską drogę, po obu stronach której rosły pokryte śniegiem drzewa i sterczały gołe skały.

Roarke zaprogramował cel ich podróży i spojrzął na trasę zaproponowaną przez nawigację samochodową.

- Przejedź tą drogą trzy kilometry czterysta metrów, skręć w lewo, po przejechaniu siedemnastu i pół kilometra ponownie skręć w lewo i przejedź dziesięć kilometrów.

Zanim skończył mówić, już brała pierwszy zakręt w lewo. Dostrzegła wąski strumyk, z trudem przedzierający się przez lód i skały. Kilka domów, drzewa, porastające strome zbocze, grupka dzieci, jeżdżących na nowych powietrznych wrotkach lub deskach na pokrytych śniegiem podwórkach.

- Dlaczego ludzie mieszkają na takich pustkowiach? Niczego tu nie ma. Widzisz niebo? - spytała Roarke'a. - Nie powinno być widać z dołu tyle nieba. To z pewnością szkodliwe. I gdzie jadają? Nie minęliśmy ani jednej restauracji, kiosku z jedzeniem, delikatesów, niczego.

- Może w domowym zaciszu? - powiedział Roarke. - Siedząc wokół kuchennego stołu.

- Zawsze? Jezu! - Aż się wzdrygnęła. Roześmiał się, przesunął palcem po jej włosach.

- Eve, ubóstwiam cię.

- Świetnie. - Przyhamowała, by wziąć kolejny zakręt. - Czego szukam?

- Trzeci dom po prawej stronie. Ten dwupiętrowy, z prefabrykatów, z minicieżarówką na podjeździe.

Zwolniła i przyjrzała się domowi, kiedy parkowała za ciężarówką. Wzdłuż okapu dachu paliły się świąteczne lampki, na drzwiach wisiał wieniec, przez frontowe okno widać było zarysy ubranej choinki.

- Domyślam się, że nie ma sensu prosić cię, żebyś zaczekał w samochodzie.

- Najmniejszego - potwierdził i wysiadł.

- Nie ucieszą się na mój widok - uprzedziła go Eve, kiedy szli wysypaną żwirem alejką do drzwi frontowych. - Jeśli się nie zgodzą ze mną rozmawiać, nie będę się z nimi patyczkowała. Jeśli do tego dojdzie, idź za moim przykładem.

Nacisnęła guzik dzwonka i przeszedł ją dreszcz.

- Powinnaś założyć ten płaszcz, który ci dałem. Kaszmir jest ciepły.

- Nie będę go nosiła na służbie. - Był cudowny, pomyślała. I sprawiał, że czuła się w nim bardzo kobieco. To nieodpowiednie ubranie dla gliniarza.

Bo kiedy otworzyły się drzwi, Eve przemieniła się w stuprocentową policjantkę.

Helen Palmer miała inne włosy i oczy. Drobną korektą kształtu i odcienia, ale to wystarczyło, by wyglądała inaczej. Nadal miała ładną twarz, syn był bardzo do niej podobny. Uśmiech zniknął z jej oblicza, kiedy rozpoznała Eve.

- Pamięta mnie pani, pani Palmer?

- Co pani tu robi? - Helen położyła rękę na framudze drzwi, jakby chciała zagrozić drogę nieproszonym gościom. - Jak nas znaleźliście? Jesteśmy objęci ochroną.

- Nie zamierzam ściągać na panią żadnego niebezpieczeństwa. Ale sytuacja jest wyjątkowa. Przypuszczam, że już państwa poinformowano o ucieczce syna z więzienia.

Helen zacisnęła usta i przygarbiła się, broniąc się przed zimnym powietrzem, wpadającym przez otwarte drzwi.

- Powiedzieli, że go szukają, zapewnili nas, że szybko trafi z powrotem do zakładu zamkniętego i znów będzie leczony. Nie ma go tutaj. Nie wie, gdzie mieszkamy.

- Czy mogę wejść, pani Palmer?

- Musi pani od nowa rozdrapywać rany? - Łzy napłynęły do jej oczu, chyba w jednakowym stopniu wywołane bezsilnością, co gniewem. - Razem z mężem próbujemy jakoś ułożyć sobie życie. Od prawie trzech lat nie kontaktowaliśmy się z Davidem.

- Kto przyszedł, skarbie? Leci zimno. - Wysoki mężczyzna o ciemnych włosach z uśmiechem podszedł do drzwi. Miał na sobie stary, rozpinany sweter, stare dżinsy i nowiutkie kapcie. Zamrugnął powiekami raz, drugi i położył dłoń na ramieniu żony. - Pani porucznik. Porucznik Dallas, prawda?

- Tak jest, panie Palmer. Przykro mi, że państwa niepokoję.

- Wpuść państwa, Helen.

- O, Boże, Tom.

- Wpuść państwa. - Poglądził ramię żony, nim wciągnął ją do środka. - Pan z pewnością jest Roarkiem. - Podając rękę, Tom zdobył się na coś, co niemal można było wziąć za uśmiech. - Poznaję pana. Proszę wejść i usiąść.

- Tom, proszę...

- Może zaparzyłabyś nam kawy? - Odwrócił się i przycisnął usta do czoła żony. Coś do niej powiedział, a wtedy westchnęła głęboko i skinęła głową.

- Postaram się maksymalnie streszczać, panie Palmer - powiedziała Eve, kiedy Helen szybko ruszyła w głąb domu.

- Bardzo ładnie się pani z nami obeszła w tamtym trudnym okresie, pani porucznik. - Zaprowadził ich do małego salonu. - Nie zapomniałem tego. Helen... Moja żona od samego rana jest zdenerwowana. A właściwie od kilku dni - poprawił się. - Odkąd nas poinformowano o ucieczce Davida. Bardzo się staraliśmy o tym nie myśleć, ale... - Bezradnie rozłożył ręce i usiadł.

Eve doskonale pamiętała tych porządných ludzi, ich szok i rozpacz, kiedy się dowiedzieli, kim jest ich syn. Wychowywali go z miłością, z poświęceniem, z troską, a wyrósł na potwora.

Ten potwór nie był w dzieciństwie maltretowany ani wykorzystywany, nie doznał żadnej krzywdy, nic, co mogłoby karmić jego mściwość. Badania i analizy Miry pokrywały się z pierwszym wrażeniem Eve, że ma do czynienia ze zwykłą parą, która obdarzyła swojego jedynaka miłością i na miarę swoich możliwości zapewniała mu dobra materialne.

- Nie mam dla pana dobrych wiadomości, panie Palmer. Niełatwo mi o tym mówić.

Położył ręce na kolanach.

- Nie żyje?

- Nie, nie. Tom zamknął oczy.

- Boże, pomóż mi. Miałem nadzieję... Naprawdę miałem nadzieję, że umarł. - Pospiesznie wstał, słysząc, że idzie jego żona. - Pozwól, że ci pomogę. - Pochylił się, żeby wziąć od niej tacę. - Damy sobie radę, Helen.

- Wiem. Wiem. - Weszła, usiadła i zajęła się nalewaniem kawy. - Pani porucznik, sądzi pani, że David wrócił do Nowego Jorku?

- Jesteśmy tego pewni. - Zawahała się, ale doszła do wniosku, że wkrótce i tak dowiedzieliby się wszystkiego z mediów. - Dziś wczesnym rankiem na Rockefeller Plaza znaleziono zwłoki sędziego Waingera. To robota Davida - ciągnęła, kiedy Helen jęknęła. - Skontaktował się ze mną, dostarczając mi dowód. Czyli nie ma cienia wątpliwości.

- Miał być leczony. Miał zostać odizolowany, żeby nie mógł krzywdzić innych ludzi, krzywdzić siebie samego.

- Czasami system zawodzi, pani Palmer. Czasami człowiek wszystko robi, jak należy, a i tak ponosi klęskę.

Helen wstała, podeszła do okna i wyjrzała przez nie.

- Poprzednio też pani mi powiedziała coś podobnego. Nam. Że robiliśmy wszystko jak trzeba, że daliśmy mu wszystko, co mogliśmy. Że zawiodło coś, co tkwi w Davidzie. Było

to bardzo miłe z pani strony, pani porucznik, ale nie może pani wiedzieć, jak to jest, nie może pani wiedzieć, co się czuje, kiedy człowiek sobie uświadomi, że urodził potwora.

Rzeczywiście, pomyślała Eve. Wiedziała za to, jak to jest być córką potwora, być przez niego wychowywaną przez pierwszych osiem lat swojego życia. I nadal musiała z tym żyć.

- Potrzebna mi państwa pomoc - powiedziała. - Musicie mi państwo powiedzieć, czy domyślają się państwo, dokąd mógł się udać, do kogo mógł pojechać. Znalazł sobie lokum - ciągnęła. - Miejsce, gdzie może robić swoje. Dom, mały budynek gdzieś w Nowym Jorku. W samym mieście lub bardzo blisko niego.

- Niczego już nie ma. - Tom wznosił ręce. - Zanim się wyprowadziliśmy, sprzedaliśmy wszystko: nasz dom, moją firmę, firmę Helen. Nawet letni domek w Hamptons. I dom, w którym przez ostatni rok mieszkał David. Zerwaliśmy wszelkie więzi. Żyjemy sobie tutaj spokojnie, zwyczajnie. Pieniądze z oszczędności i ze sprzedaży leżą na koncie. Nie mieliśmy serca, żeby... Nie potrzebujemy ich.

- Miał własne pieniądze - napomknęła Eve.

- Tak, zdeponowaliśmy pewną kwotę, przeznaczoną dla niego, na funduszu powierniczym. W taki sposób finansował swoją działalność. - Tom wyciągnął rękę do swojej żony i mocno ścisnął jej dłoń. - Przekazaliśmy te pieniądze na działalność charytatywną. Pani porucznik, wszystkie nieruchomości, w których mógłby się zatrzymać, należą teraz do innych ludzi.

- Rozumiem. Może później coś wam przyjdzie do głowy. Nawet gdyby to było coś mało prawdopodobnego, proszę do mnie zadzwonić i mi o tym powiedzieć. - Wstała.

- Poinformuję państwa, kiedy David znów znajdzie się w areszcie. Potem zapomnę, gdzie państwo mieszkają.

Nie powiedziała nic więcej, dopóki razem z Roarkiem nie znalazła się z powrotem w samochodzie.

- Wciąż go kochają. Po tym wszystkim, co zrobił, kim się okazał, nadal go kochają.

- Tak. I według mnie wystarczająco mocno, by pomóc ci go powstrzymać, gdyby tylko wiedzieli, jak to zrobić.

- O nas nikt nigdy tak się nie troszczył. - Na chwilę oderwała wzrok od drogi i spojrzała na niego. - Nikt nigdy nie czuł się tak silnie z nami związany.

- To prawda. - Odgarnął włosy z jej policzka. - Dopóki nie odnaleźliśmy siebie nawzajem. Nie smuć się, Eve.

- Ma oczy swojej matki - mruknęła. - Łagodne, niebieskie i czyste. Przypuszczam, że

musiała je zmienić, bo nie mogła znieść ich widoku, kiedy codziennie przeglądała się w lustrze.

Westchnęła i wzruszyła ramionami.

- Ale jemu to nie przeszkadza - dodała cicho.

ROZDZIAŁ 4

Eve nie miała nic więcej do roboty, żadnych nowych danych do analizy, żadnych nowych teorii do sprawdzenia. Wiedziała, że jutro się pojawią. Teraz mogła jedynie czekać.

Weszła do sypialni, żeby uciąć sobie drzemkę. Pomyślała, że muszą uratować chociaż trochę dnia. Zjeść razem świąteczny obiad, zrobić coś zwyczajnego.

Silny zapach sosny sprawił, że pokręciła głową. Ten człowiek naprawdę poszedł na całość, starając się, żeby ich pierwsze wspólne święta przebiegły zgodnie z tradycją. Bóg jeden wie, ile zapłacił za żywe drzewka, które umieścił w różnych pomieszczeniach domu. I nalegał, żeby to, które stało w oknie ich sypialni, ubrali razem.

Takie rzeczy miały dla niego znaczenie. I ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że również dla niej mają.

- Włączyć lampki choinkowe - poleciała i uśmiechnęła się lekko, patrząc, jak migoczą.

Weszła do pokoju i zdjęła pas z bronią. Siedziała na kanapie i ściągała buty, kiedy pojawił się Roarke.

- Świetnie. Miałem nadzieję, że zechcesz zrobić sobie chwilę przerwy. Muszę zadzwonić do kilku osób. Powiedz mi, kiedy będziesz miała ochotę zjeść obiad, dobrze?

Przechyliła głowę i przyglądała mu się, gdy tak stał w drzwiach. Ściągnęła drugi but i wolno się wyprostowała.

- Chodź no tu.

Rozpoznał ten błysk w jej oku i poczuł lekkie łaskotanie w całym ciele.

- Znaczy się tam?

- Słyszałeś, mądralo. Nie odrywając od niej wzroku, przeszedł przez pokój.

- Co mogę dla pani zrobić, pani porucznik? Wszystkie tradycje, pomyślała Eve, mają kiedyś swój początek. Złapała go za jedwabną koszulę i przyciągnęła do siebie.

- Chcę cię widzieć nagim, i to już. Więc jeśli nie chcesz, żebym stała się nieprzyjemna, wyskakuj z portek.

Jego uśmiech był równie szelmowski, co jej. Eve miała ochotę zatopić zęby w jego ciele.

- Może lubię ostre kobiety.

- Tak? - Zaczęła go popychać w kierunku łóżka. - W takim razie z pewnością przypadnie ci do gustu to.

Zrobiła to szybko jak błyskawica, tylko oczy zaświeciły jej się na chwilę, nim rozdarła

mu koszulę, aż guziki poleciały na wszystkie strony. Złapał ją za biodra i mocno ścisnął, kiedy wpiła mu zęby w ramię i go ugryzła.

- Chryste! Chryste! Kocham twoje ciało. Daj mi je.

- Chcesz? - Podniósł ją, aż stanęła na palcach. - To musisz sobie wziąć.

Już miał przywrzeć gorącymi ustami do jej ust, kiedy się obróciła. Objął ją. Pochyliła się i byłaby go przerzuciła, gdyby nie przewidział jej ruchu. Już wcześniej to przećwiczyli z wielce zadowolającym rezultatem.

Znów znaleźli się twarzą w twarz. Oddychali szybko.

- Pokonam cię - uprzedziła go.

- Spróbuj. Mocowali się, a żadne z nich nie chciało się poddać. Siłą rozpędu znaleźli się na podwyższeniu, na którym stało łóżko. Eve wsunęła rękę między nogi Roarke'a i delikatnie ścisnęła. Zrobiła to nie pierwszy raz. Lekko zmienił pozycję, zmylił jej czujność i pchnął ją na łóżko. Zrobiła przewrót i przykucnęła.

- No, dalej, chojraku. Uśmiechała się szeroko, twarz miała zaróżowioną po zapasach, pożądanie sprawiło, że jej oczy stały się złote. Za nią migotały lampki na choince.

- Wyglądasz ślicznie, Eve. Zamrugęła powiekami, wyprostowała się i zaczęła się na niego gapić. Chociaż tak ją kochał, chyba nigdy dotąd jej nie powiedział, że wygląda ślicznie.

- Co?

Tylko na tyle się zdobyła, nim rzucił się na nią i przewrócił ją na łóżko.

- Łobuz - wydusiła z siebie z trudem, tak ją rozśmieszył. Zrobiła nożyce i udało jej się znaleźć na nim. Ale wykorzystał siłę rozpędu i okręcił się tak, że znów był górą. - Śliczna! Gówno prawda.

- Masz śliczną dupcię. - Wbiła mu łokieć w brzuch, aż mu zabrakło tchu. - I całą resztę. Wezmę sobie twoją śliczną dupcię i całą resztę.

Szarpnęła się, odwróciła i niemal udało jej się spod niego wydostać. Wtedy przywarł ustami do jej piersi i zaczął ją całować przez materiał bluzki. Eve jęknęła, wygięła się w łuk, złapała go za włosy i raczej przyciągnęła bliżej do siebie, niż odepchnęła.

Kiedy rozerwał jej bluzkę, uniosła się, objęła go długimi nogami w pasie, znów odnalazła wargami jego usta, kiedy ukląkł pośrodku łóżka.

Spletli się z całych sił, ich spocone ciała poruszały się zgodnym rytmem.

Pierwszy raz wziął ją szybko, jego zręczne palce znały już jej słabe i mocne punkty, jej potrzeby. Drząc cała, wydała głośny okrzyk, kiedy Roarke doprowadził ją do orgazmu.

Potem znów się obrócili, dysząc, jęcząc i szepcząc. Pożądanie ogarniało ich niczym fale przyływu, skóra ich paliła. Roarke poczuł na swoich wargach rozpalone usta Eve, kiedy

usiadła na nim okrakiem.

- Teraz ja, teraz ja, teraz ja - powtarzała mu śpiewnie prosto do ucha, podnosząc się. Splotła mocno dłonie z jego dłońmi i przyjęła go w siebie. Wypełnił jej ciało, umysł i serce.

Szybko i gorączkowo doprowadziła ich oboje prawie do orgazmu, tak jak tego pragnęła, kiedy go ujrzała w drzwiach pokoju. Ogarnęła ją niewypowiedziana rozkosz.

Odrzuciła głowę do tyłu, z całych sił starając się przedłużyć tę chwilę przed całkowitym spełnieniem.

- Ty pierwszy - wykrztusiła, starając się skupić wzrok na jego przystojnej twarzy. - Ty pierwszy, a potem pociągnij mnie za sobą.

Wpatrywała się w jego oczy, niesamowicie niebieskie, przechodzące w granat. Poczowała, jak wykonał ostatnie, silne pchnięcie. Wciąż trzymając go mocno za ręce, rzuciła się razem z nim w otchłań bez dna.

Kiedy opuściła ją resztką sił, tak jak wypala się świeca, osunęła się z drzeniem, i przycisnęła twarz do jego szyi.

- Wygrałam - udało jej się powiedzieć.

- Niech ci będzie. Wykrzywiła usta, kiedy usłyszała zrozumiałość i satysfakcję w jego głosie.

- Wygrałam. Dostałam od ciebie to, co chciałam, kolego.

- Dzięki niech będą Bogu. - Ułożył się tak, żeby mogła się w niego wtulić. - Zdrzemnij się, Eve.

- Tylko na godzinkę. - Wiedząc, że sam nie uśnie na dłużej, objęła go, by mieć go blisko.

*

Eve obudziła się o drugiej i doszła do wniosku, że krótka, przedobiednia drzemka całkowicie ją zregenerowała. Teraz, kiedy się w pełni rozbudziła, jej umysł zaczął pracować i analizować informacje, które zdobyła do tej pory.

David Palmer był w Nowym Jorku. Gdzieś na terenie miasta z radością oddawał się swojej pasji. Czuła wewnętrznie, że Stephanie Ring już nie żyje.

Nie uda mu się tak łatwo dotrzeć do pozostałych osób z listy, pomyślała, przewracając się na łóżku. Zadufanie będzie mu kazało zaryzykować i popełni jakiś błąd. Najprawdopodobniej już popełnił. Tylko jeszcze tego nie odkryła.

Zamknęła oczy i spróbowała rozumować tak, jak Palmer, podobnie jak to zrobiła kilka lat temu, kiedy na niego polowała.

Kochał to, co robił, nawet wtedy, kiedy był jeszcze małym chłopcem i eksperymentował na zwierzętach. Udawało mu się ukrywać przed całym światem śmierć tych stworzeń, bo przybierał minę niewiniątka. Wszyscy, którzy go znali - rodzice, nauczyciele, sąsiedzi - opisywali Dave'a jako pogodnego, chętnego do pomocy, bystrego chłopca, który pilnie się uczył i nie sprawiał żadnych kłopotów.

Ale już kiedy był chłopcem, miał w sobie pewne klasyczne cechy psychopaty. Był obsesyjnie pedantycznym samotnikiem, chorobliwie zorganizowanym. Nigdy nie miał zdrowych relacji z kobietami, źle się czuł w ich obecności. Znaleźli setki dysków z dziennikami, prowadzonymi od dziesiątego roku życia, w których drobiazgowo przedstawiał swoje teorie, cele, osiągnięcia.

Z czasem, dzięki nauce i praktyce, stał się niezwykle biegły w tym, co robił.

Gdzie się zainstalowałeś, Dave? - zastanawiała się Eve. Gdzieś, gdzie są wszystkie wygody. Lubisz wygody. Musiało ci ich bardzo brakować w więzieniu. Wkurzało cię to, prawda? Dlatego teraz postanowiłeś dopaść tych, przez których trafiłeś za kratki.

To błąd, że podałeś nam nazwiska osób, które sobie obrałeś za cel. Ale to też wynika z zarozumiałości. W rzeczywistości to pojedynek między tobą a mną.

To kolejny błąd, bo nikt nie zna cię lepiej ode mnie.

Dom, pomyślała. Ale nie jakiś tam dom. Musi być w dobrej dzielnicy, w pobliżu dobrych restauracji. Te lata więziennego żarcia stanowiły obrazę dla twojego podniebienia. Potrzebujesz mebli, wygodnych i z klasą. Dobrej pościeli. I centrum rozrywki - musisz oglądać telewizję, bo w przeciwnym razie nie wiedziałbyś, co ludzie o tobie mówią.

A na to wszystko potrzeba pieniędzy.

Kiedy usiadła na łóżku, Roarke poruszył się obok niej.

- Już coś wymyśliłaś?

- Musi mieć gdzieś otwartą linię kredytową. Zawsze byłam ciekawa, czy gdzieś ukrył pieniądze, ale nie wydawało się to istotne, skoro i tak nigdy miał z nich nie korzystać. Myliłam się. Pieniądze dają władzę, znalazł sposób, by mieć do nich dostęp z więzienia.

Odrzuciła kołdrę i już miała wyskoczyć z łóżka, kiedy zadzwoniło łącze. Przez chwilę gapiała się na nie, zanim wszystkiego się domyśliła.

ROZDZIAŁ 5

Dwójka spragnionych silnych wrażeń nastolatków, wymknęła się z domów i spotkała we wcześniej umówionym miejscu. Wzięli ze sobą nowe hulajnogi, by pojeździć w Central Parku.

Początkowo uznali Stephanie Ring za włóczęgę, może licencjonowaną żebraczkę albo narkomankę, odsypiającą noc, więc omijali ją z daleka.

Ale włóczędzy na ogół nie leżą nago na karuzeli w Central Parku.

Eve kazała ich obu wsadzić do radiowozu. Jeden się pochorował, w ostrym powietrzu nadal czuć było wymiocinami. Poleciała mundurowym zainstalować lampy, więc było jasno jak w dzień.

Tym razem ofiara nie została pobita ani nie miała obciętych włosów. Palmer lubił urozmaicenie. Na rękach i nogach widniało kilkanaście długich, wąskich nacięć, ciało wokół ran było wysuszone i odbarwione. Eve przypuszczała, że od jakiejś substancji toksycznej, od czegoś, co nałożone na otwartą ranę wywołuje nieznośny ból. Krew zaschła. Stephanie miała stopy wyciągnięte jak baletnica. Morderca wykręcił jej nogi w kostkach.

Na brzuchu znajdował się wycięty napis charakterystycznymi, drukowanymi literami:

ZABIJMY WSZYSTKICH PRAWNIKÓW

W końcu ją zabił, pomyślała Eve, dusząc ją wolno, tak, jak najbardziej lubił. Przyjrzała się pętli i stwierdziła, że sznur jest identyczny z tym, którym uduszono sędziego Waingera.

Kolejny błąd, Dave. Tym razem popełniasz wiele drobnych pomyłek, uznała.

Sięgnęła po swój zestaw podręczny i przystąpiła do rutynowego badania, jakim poddawane są wszystkie ofiary morderstw.

Pojechała do domu, żeby napisać raport, przedkładając panujący tam spokój nad poświęteczne zamieszanie w komendzie. Przekazała kopię sprawozdania szefowi, a potem wysłała wiadomości zarówno do Peabody, jak i do Feeneya. Gdy tylko jej partnerka i szef wydziału przestępstw elektronicznych obudzą się i sprawdzą pocztę, zaprzęgnie ich do roboty.

Wzmocniła się kawą, a potem przystąpiła do żmudnego zadania przekopywania się przez zawiłości finansów Palmera.

Ledwo wstał świt, kiedy otworzyły się drzwi między gabinetem jej i męża. Roarke wszedł całkowicie ubrany, słyszała szum już pracującego sprzętu w pokoju za jego plecami.

- Pracujesz dziś w domu? - zapytała od niechcienia, popijając kawę i przyglądając się mu badawczo.

- Tak. - Zerknął na monitor. - Zajął się pieniędzmi, moja pani porucznik?

- Chwilowo. Nie jesteś moim ochroniarzem, Roarke. Tylko się uśmiechnął.

- Ciekaw jestem, kto mógłby być bardziej zainteresowany twoim bezpieczeństwem.

- Jestem policjantką. Nie potrzebuję niańki. Ujął ją pod brodę.

- A co prawie spotkało Peabody dwa dni temu?

- Nic się nie stało. Nie pozwolę, żebyś krążył w pobliżu, kiedy powinienes zajmować się swoimi sprawami.

- Mogę zajmować się swoimi sprawami równie dobrze stąd, co z biura. Niepotrzebnie tracisz czas na sprzeczkę. I wątpię, czy wpadniesz na ślad pieniędzy, analizując oficjalne wyciągi Palmera.

- Wiem. - Ta odpowiedź dotyczyła dwóch ostatnich uwag, obie w równym stopniu wywoływały w niej bezsilną złość. - Muszę od czegoś zacząć. Zmykaj i pozwól mi pracować.

- Już ci jestem niepotrzebny, tak? - Pochylił głowę i musnął wargami usta Eve.

Od progu dobiegło głośne i wymowne chrząknięcie.

- Przepraszam. - Peabody niemal udało się uśmiechnąć. Była blada, miała opuchnięte powieki, ale jej mundur był jak zwykle czyściutki i odprasowany.

- Wcześniej jesteś. - Eve wstała i wsunęła ręce do kieszeni, trochę speszona.

- Napiszałaś, żeby zameldować się jak najszybciej.

- Zostawię was same. - Roarke pomyślał, że kiedy zostaną tylko we dwie, szybciej przejdzie im skrupowanie. - Cieszę się, że cię widzę, Peabody. Pani porucznik - dodał, kiedy już zamknął drzwi pomiędzy pokojami - może warto sprawdzić nazwiska krewnych ofiar. Przekazy i wypłaty, dotyczące kont osób o takich samych nazwiskach i spokrewnionych ze sobą rzadko są brane pod lupę.

- Masz rację. Dziękuję. - Eve przestąpiła z nogi na nogę. Kiedy ostatni raz widziała swoją pomocnicę, Peabody była owinięta kocem, a twarz miała mokrą od łez. - Dobrze się czujesz?

- Właściwie tak. Akurat, pomyślała Eve.

- Słuchaj, nie powinnam cię była tu ściągać. Weź sobie jeszcze parę dni wolnego, żeby dojsć do siebie.

- Pani porucznik, wołałabym pracować. Nie chcę spędzić kolejnego dnia, siedząc w domu, oglądając filmy na wideo i jedząc chipsy sojowe. Pracując, szybciej się otrząsnę.

Ponieważ Eve też była takiego zdania, tylko wzruszyła ramionami. - W takim razie

nalej sobie kawy, Peabody. Mamy tu masę roboty.

- Tak jest, pani porucznik. - Zrobiła kilka kroków w jej stronę, wyciągnęła z kieszeni małe pudełeczko, położyła je na biurku i podeszła do autokucharza. - Prezent na Gwiazdkę. Nie miałam okazji wcześniej go wręczyć.

- Zdaje się, że byliśmy trochę zajęte. - Eve rozwiązała wstążeczkę. Zawsze ogarniało ją skrepowanie, kiedy dostawała prezenty. Czuła na sobie wzrok Delii. Rozerwała czerwoną folię i uniosła wieczko. W środku była srebrna gwiazda, trochę powyginana i wytarta.

- To gwiazda dawnych szeryfów - powiedziała Peabody.

- Nie przypuszczam, by należała do Wyatt Earpa czy kogoś w tym rodzaju. Ale to autentyk. Pomyślałam sobie, że sprawi ci frajdę. No wiesz, długa tradycja utrzymywania prawa i porządku.

Niezwykle wzruszona Eve uśmiechnęła się szeroko.

- Tak. Jest piękna. - Dla hecy wyjęła gwiazdkę i przypięła sobie do koszuli. - A czy to znaczy, że jesteś teraz zastępcą szeryfa?

- Pasuje ci, Dallas. Zawsze i wszędzie bronisz prawa. Eve uniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały.

- Ty też, Peabody. Nie wezwałabym cię dziś, gdybym uważała inaczej.

- Chyba chciałam to usłyszeć. Dziękuję. No więc... - Zawahała się i pytająco uniosła brwi.

- Jakiś problem?

- Nie. Tylko... - Wydęła usta i w tej chwili przypominała małą dziewczynkę. - Hmmm.

- Nie spodobał ci się twój prezent? - lekko spytała Eve.

- Będziesz to musiała wyjaśnić z Leonardem.

- Jaki prezent? I co on ma z tym wspólnego?

- To on zaprojektował dla ciebie garderobę do pracy pod przykrywką. Jeśli ci się nie podoba...

- Ubrania? - Jakby za sprawą czarów twarz Peabody się rozpromieniła. - Mogę zatrzymać wszystkie te fantastyczne ciuszki? Wszystkie wszyściuteńkie?

- A niby po co mi one? Czy będziesz teraz stała i głupio się uśmiechała, czy też możemy przystąpić do pracy?

- Mogę się jednocześnie uśmiechać i pracować, pani porucznik.

- Siadaj. Zaczynaj od tego sznura. - Podsunęła jej wydruk opisu sznura. - Chcę mieć informacje o jego sprzedaży w ciągu ostatniego tygodnia. W hurtowych ilościach. Dużo go

zużywa.

- Kto?

- Jeszcze do tego dojdziemy. Kiedy skończysz z tym, sporządź listę prywatnych rezydencji - luksusowych - sprzedanych lub wynajętych na terenie aglomeracji w ciągu ostatniego tygodnia. A także luksusowych prywatnych pojazdów - wynajętych albo dostarczonych w ciągu ostatniego tygodnia. Potrzebny mu jakiś środek transportu, a nie zadowala się byle czym. Klatka - mruknęła, kiedy zaczęła chodzić po pokoju tam i z powrotem. - Skąd, u diabła, wziął klatkę? Z ogrodu zoologicznego, schroniska dla zwierząt? Sprawdzimy to. Bierz się do roboty, Peabody, zapoznam cię ze sprawą, kiedy pojawi się Feeney.

Wezwała Feeneya, pomyślała Peabody, siadając przed komputerem. Czyli to jakaś duża sprawa. Właśnie takiej teraz potrzebowała.

*

- Obydwoje będziecie chcieli przejrzeć dyski ze śledztwa, zapoznać się z portretem psychologicznym i stenogramami z procesu Palmera sprzed trzech lat. Ty - zwróciła się Eve do Feeneya - szybko wszystko sobie przypomnisz. To ty odszukałeś i zidentyfikowałeś sprzęt elektroniczny, którym się posługiwał, kiedy popełniał tamte morderstwa.

- Tak, pamiętam tego małego sukinsyna. - Feeney siedział z nachmurzoną miną i wpatrywał się w swoją kawę. Jego zwykle znużoną twarz okalały sztywne, rude włosy, które nigdy nie mogły się zdecydować, w którą stronę rosnać.

Miał na sobie niebieską koszulę, tak nieskazitelną i starannie wyprasowaną, że Eve przypuszczała, iż dopiero tego ranka ją wypakował, oglądając prezenty. Po południu będzie już pognieciona.

- Ponieważ go znamy, a także jego sposób postępowania, motywy, którymi się kieruje, i tym razem nawet nazwiska jego przyszłych ofiar, mamy przewagę. Wie o tym; bawi go ta sytuacja, ponieważ jest pewien, że i tak nas przechytry.

- Nienawidzi cię, Dallas. - Feeney uniósł wzrok i ich spojrzenia się spotkały. - Od samego początku nienawidził twojej intuicji. Zatrzymałaś go, a potem tak podeszłaś, że wszystko wyśpiewał. Nie daruje ci tego.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz, bo chcę, żeby to mnie przypadła przyjemność jego ponownego zatrzymania. Załatwił dwie pierwsze osoby ze swojej listy, ponieważ nas zaskoczył - ciągnęła. - Pozostałe poinformowano, ostrzeżono, dostały ochronę. Nie wiadomo, czy spróbuje je likwidować w takiej kolejności, w jakiej je umieścił na liście. Ale kiedy

napotka jakąś trudność, weźmie się do kolejnej ofiary.

- I dotrze do ciebie - wtrąciła Peabody.

- Wszystko, co zrobili pozostali, było następstwem tego, że go zapuszkowałam. Ten szajbus rozumuje bardzo racjonalnie. Cokolwiek robi, kieruje się logiką. To jego logika, więc jest nieco pokrętna, ale zawsze to jakaś logika.

Eve spojrzała na zegarek.

- Za dwadzieścia minut mam spotkanie z Mirą w jej domu. Peabody, Feeney powie ci wszystko, co pominęłam.

Kiedy przyjdą informacje, o które prosiłam, sprawdź prawdopodobieństwa. Może uda nam się trochę zawęzić krąg. Feeney, kiedy obejrzyś dysk, który przysłał przez Nadine, może uda ci się zidentyfikować przynajmniej część sprzętu. Wtedy będzie można dotrzeć do źródła jego pochodzenia. Będziemy pracowali systematycznie, ale szybko. Jeśli nie uda mu się dopaść nikogo z listy, może zadowolony się kimś innym, kimkolwiek. Jest na wolności od tygodnia, a już zabił dwie osoby.

Urwała, bo zabrzączał jej komunikator. Odebrała, idąc po kurtkę. Dwie minuty później wsunęła go do kieszeni. Oczy miała zimne i obojętne.

- Wprowadzam korektę: uderzył nie dwa, a trzy razy. Dorwał Carla Neissana.

Eve wciąż była nabuzowana, kiedy nacisnęła guzik dzwonka w eleganckiej kamienicy, w której mieszkała Mira. Fakt, że strażnik, warujący przy drzwiach, kazał jej pokazać dowód tożsamości i zweryfikował go, zanim wpuścił Eve, trochę ją udobruchał. Gdyby ten, którego przydzielono Neissanowi, postąpił tak samo, Palmer nie dostałby się do środka.

Mira powitała ją w holu. Miała na sobie spodnie i sweter, a na nogach miękkie pantofle. Jej wzrok był poważny. Zanim Eve się odezwała, Mira uniosła rękę.

- Doceniam, że przyszedł do mnie. Możemy porozmawiać na górze w moim gabinecie. - Spojrzała w prawo, skąd przez otwarte drzwi dobiegł dziecięcy śmiech. - W innych okolicznościach przedstawiłabym cię swojej rodzinie. Ale wolałabym nie narażać moich bliskich na dodatkowy stres.

- Nie będziemy ich w to mieszać.

- Chciałabym, żeby to było możliwe - powiedziała Mira i zaprowadziła ją na górę.

Eve doszła do wniosku, że dom odzwierciedla osobowość przyjaciółki. Uspokajające kolory, łagodne krawędzie, jeden styl. Jej domowy gabinet był o połowę mniejszy od tego w komendzie, kiedyś z pewnością służył za małą sypialnię. Eve zauważyła, że wstawiono do niego przepastne fotele i coś, co uznała za sekretarzyk na wygiętych, toczonych nóżkach.

Mira opuściła żaluzje w oknie i podeszła do miniautokucharza, stojącego we wnęce

ściennej.

- Z pewnością przeczytałaś mój poprzedni portret psychologiczny Davida Palmera - zaczęła, ciesząc się, że nie trzęsą się jej ręce, kiedy programowała herbatę. - Nic w nim nie zmieniłam, ale dodałam kilka punktów w związku z jego pobytem w więzieniu.

- Nie przyszłam po jego profil psychologiczny. Już rozgryzłam Palmera.

- Naprawdę?

- Poprzednio próbowałam rozumować tak, jak on. Obie to zrobiliśmy.

- Tak. - Mira podała jej delikatną filiżankę z aromatyczną herbatą, na którą Eve wcale nie miała ochoty. - Pod pewnymi względami pozostaje wyjątkiem od wielu reguł. Dorastał otoczony miłością i w dostatku. U żadnego z jego rodziców nie stwierdzono zaburzeń emocjonalnych ani psychicznych. Dobrze sobie radził w szkole, należał raczej do ambitnych uczniów, a nie tych, którym na niczym nie zależy, chociaż w żadnej dziedzinie się nie wyróżniał. Badania nie wykazały żadnych uszkodzeń mózgu ani wad fizycznych. Jego zachowanie nie ma podłoża psychologicznego ani fizjologicznego.

- Lubi to - powiedziała krótko Eve. - Czasem zło ma swoje własne korzenie.

- Chciałabym się nie zgodzić - mruknęła Mira. - Powody, te wszystkie „dlaczego” nienormalnego zachowania są dla mnie ważne. A w przypadku Davida Palmera nie widzę powodów, nie widzę „dlaczego”.

- Miro, proszę, tym się nie przejmuj. Muszę go powstrzymać i chronić osoby, które sobie wybrał. Dwie pierwsze z jego listy nie żyją.

- Stephanie Ring też? Jesteś tego pewna?

- Dziś rano znaleziono jej zwłoki. Dorwał Carla Neissana.

Tym razem dłoń Miry zadrżała. Rozległ się brzęk filiżanki zbyt gwałtownie odstawionej na spodeczek.

- Przecież miał ochronę.

- Palmer przebrał się za policjanta, zapukał do drzwi i przedstawił się jako zmiennik. Funkcjonariusz, który był na służbie, nie wylegitymował go. Poszedł do domu na późny, świąteczny obiad. Kiedy policjant, który miał służbę dziś rano, zgłosił się do pracy, stwierdził, że dom jest pusty.

- A ten z nocnej zmiany? Ten prawdziwy?

- Znaleźli go w bagażniku jego samochodu. Uśpiony i związany, ale poza tym nic mu nie jest. Jeszcze nie oprzytomniał na tyle, by można go przesłuchać. Ale i tak nie ma to znaczenia. Wiemy, że zrobił to Palmer. Poprosiłam, żeby Justine Polinsky przeniesiono do bezpiecznego domu. Spakuj kilka drobiazgów, Miro. Ciebie też stąd zabieramy.

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić, Eve. To w równym stopniu moja sprawa, co twoja.
- Mylisz się. Jesteś tylko konsultantką. Nie potrzebuję opinii konsultanta. Nie mam pewności, że jesteś tu wystarczająco bezpieczna. Dlatego zabieram cię stąd.

- Eve...

- Nie wkurwiał mnie - przerwała jej ostro i Mira aż się zachnęła, zaskoczona. - Zabieram cię do aresztu. Możesz wziąć ze sobą kilka osobistych rzeczy albo udać się tak, jak stoisz. Ale nie zostaniesz tutaj.

Mira, w pełni zachowując panowanie nad sobą, co przyszło jej o tyle łatwo, że miała to we krwi, skrzyżowała ręce na piersiach.

- A ty? Też się przeniesiesz do aresztu?

- To nie twoja sprawa.

- Mylisz się - odpowiedziała cicho Mira, uważnie przyglądając się burzy emocji widocznych w oczach Eve. - Niepokoję się o ciebie tak samo, jak ty o mnie. I o moją rodzinę. Nie jest bezpieczna.

- Zajmę się tym. Dopilnuję, żeby nic im się nie stało. Mira skinęła głową i na chwilę zamknęła oczy.

- Czuję wielką ulgę, gdybym wiedziała, że ich tu nie ma i są bezpieczni. Trudno mi się skupić na pracy, kiedy martwię się o moich bliskich.

- Nie tknie ich. Obiecuję ci to. - Trzymam cię za słowo. A przechodząc do mojej osoby...

- Nie dałam ci żadnego wyboru, Miro.

- Chwileczkę. - Znów opanowana, Mira wzięła filiżankę z herbatą. - Uważam, że zgodzisz się, iż... Mam równie duże wpływy u twoich przełożonych, jak ty. Z pewnością żadnej z nas nie wyjdzie na dobre, kiedy zaczniemy pociągać za sznurki. Nie jestem uparta ani odważna - dodała. - To twoje cechy.

Cień uśmiechu błąkał się na jej ustach, kiedy Eve spojrzała na nią, marszcząc czoło.

- Podziwiam je. Jesteś również kobietą, która potrafi zapanować nad swoimi emocjami, dążąc do osiągnięcia celu. Celem jest powstrzymanie Palmera. Mogę się przydać, obie o tym wiemy. Kiedy moja rodzina wyjedzie, nie będę taka rozkojarzona. A nie mogę być ze swoimi bliskimi, Eve, ponieważ wtedy denerwowałabym się, że skrzywdzi któregoś z nich, by dorwać mnie.

Umilkła na chwilę, widząc, że Eve rozważa jej słowa.

- Nie mam nic przeciwko temu, by tu lub w biurze pilnowali mnie policjanci. Prawdę mówiąc, chcę, żeby mnie pilnowali. I to bardzo. Nie zamierzam niepotrzebnie ryzykować.

Proszę cię tylko, żebyś pozwoliła mi wykonywać moją pracę.

- Możesz pracować tam, gdzie cię umieszczę.

- Eve. - Mira wzięta głęboki oddech. - Jeśli ja i Justine będziemy poza jego zasięgiem, istnieje duże prawdopodobieństwo, że znajdzie sobie kogoś innego. - Skinęła głową. - Już to rozważałaś. Nie przyjdzie po ciebie, dopóki nie będzie gotowy. Ty stanowisz główną nagrodę. Skoro nikt inny nie będzie osiągalny, weźmie kogokolwiek. Będzie chciał trzymać się swojego planu działania, nawet jeśli pociągnie to za sobą konieczność uciekania się do substytutu.

- Już mam pomysły, jak go dopaść. - I znajdziesz go. Ale jeśli uwierzy, że jestem dostępna, jeśli przynajmniej będę widoczna, chętnie skupi swoje wysiłki na próbach dotarcia do mnie. Spodziewam się, że do tego nie dopuścisz. - Znów się uśmiechnęła, teraz swobodniej. - I zamierzam zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

- Mogę cię zmusić, żebyś trafiła do aresztu. Wszystkie twoje wpływy nie będą miały znaczenia, jeśli cię zakuję w kajdanki i każę cię stąd wywlec. Wpienisz się, ale będziesz bezpieczna.

- Wiem, że jesteś do tego zdolna - zgodziła się z nią Mira. - Ale ty wiesz, że mam rację.

- Podwoję strażę. Będziesz nosiła elektroniczną bransoletę. Będziesz pracowała tutaj. Pod żadnym pretekstem nie wolno ci opuszczać domu. - Rzuciła Mirze groźne spojrzenie, kiedy ta zaczęła protestować. - Jeśli mnie nie posłuchasz, przekonasz się, jak to jest nosić kajdanki. - Wstała. - Twoi strażnicy muszą co godzinę robić obchód. Twoje łącze ma być monitorowane.

- Nie będę wtedy łatwo dostępna.

- Palmer wie, że tutaj jesteś. To musi mu wystarczyć. Mam dużo pracy. - Eve skierowała się do wyjścia, zawahała się i powiedziała, nie odwracając się: - Twoja rodzina dużo dla ciebie znaczy.

- Naturalnie, że tak.

- A ty dużo znaczysz dla mnie. - Wyszła szybko, nim Mira zdążyła wstać.

ROZDZIAŁ 6

Od Miry Eve udała się do laboratorium. Stamtąd zamierzała pojechać do kostnicy, a później wstąpić do Carla Neissana.

Pamiętając, jak Mira niepokoi się o rodzinę, Eve, zaparkowawszy, połączyła się z Roarkiem i poszła w stronę budynku.

- Dlaczego jesteś sama? - Brzmiały jego pierwsze słowa.

- Daj spokój. - Pokazała odznakę strażnikowi, a potem przeszła przez hol do laboratorium. - Jestem w strzeżonym budynku, pełnym ochroniarzy, monitorów i laborantów. Muszę zrobić to, co do mnie należy. Pozwól mi wykonywać moje obowiązki.

- Załatwił już trzy osoby z szczęściu. Przystanęła i wzniosła oczy do góry.

- Ach, rozumiem. Widzę, że bardzo we mnie wierzysz. Nieważne, że jestem policjantką z dziesięcioletnim stażem, i tak stanowią równie łatwy cel, co siedemdziesięcioletni sędzia i dwoje delikatnych prawników.

- Denerwujesz mnie, Eve.

- Dlaczego? Bo mam rację?

- Tak. I zadzierasz nosa. - Ale jego uśmiech stał się trochę cieplejszy. - Dlaczego zadzwoniłaś?

- Żeby móc trochę pozadzierać nosa. Jestem w laboratorium, zaraz wezmę w obroty Baraniego Łba. Potem muszę wstąpić w kilka miejsc i wracam do domu. Będę ci się meldowała.

W taki sposób chciała okazać mężowi, że rozumie jego niepokój. Przyjął jej ton.

- Dziś po południu mam kilka telekonferencji, więc dzwoń na linię zastrzeżoną. I uważaj na swój tyłeczek, moja pani porucznik. Bardzo mi się podoba.

Zadowolona z siebie, weszła do laboratorium. Zastała tam bladego i zaspanego Dickiego, głównego laboranta. Gapił się w monitor.

Kiedy była tu ostatni raz, trwała szalona impreza. Teraz ci, którzy łaskawie zechcieli pojawić się w pracy, snuli się ospale.

- Dickie, potrzebne mi raporty. Chodzi o Waingera i Ring.

- Jezu, Dallas. - Spojrzał na nią jak zbity pies, zgarbiwszy się. - Czy ty nigdy nie bywasz w domu?

Ponieważ wyglądał bardzo marnie, postanowiła, że nie będzie go dodatkowo gnębić. Bez słowa rozchyliła marynarkę i dotknęła srebrnej gwiazdy, którą przypięła do koszuli.

- Jestem stróżem porządku - powiedziała z powagą. - My nie mamy domów.
- Lekko się uśmiechnął, a potem jęknął.
- Rany, mam kosmicznego kaca.
 - Przygotuj sobie jakąś magiczną miksturę, Dickie, i pozbądź się kaca. Dave dopadł trzecią osobę.
 - Jaki Dave?
 - Palmer. David Palmer. - Pohamowała się, by nie okazać zniecierpliwienia i nie zdzielić Dickiego po głowie. Ale wyobraziła sobie, jak to robi. - Przeczytałeś cholerne wytyczne?
 - Jestem tu zaledwie od dwudziestu minut. Jezu. - Poruszył ramionami, przetarł twarz i zrobił trzy wdechy przez nos. - Palmer? Ten świr siedzi za kratkami.
 - Już nie. Uciekł i aktualnie przebywa w Nowym Jorku. Ma już na swoim koncie dwie ofiary: Waingera i Ring.
 - Cholera. Jasna cholera. - Nie wyglądał nic a nic lepiej, ale jego spojrzenie stało się czujne. - Największy świr pod słońcem musiał dać o sobie znać akurat w święta Bożego Narodzenia.
 - Tak. Aza chwilę będzie Nowy Rok. Potrzebne mi są dane o sznurze. Na piśmie. I chcę wiedzieć, czym wyrył te litery. Technicy przekazali ci jakieś włosy albo włókna?
 - Nie. Zaczekaj. Zaczekaj chwilkę. - Podjechał na swoim fotelu na kółkach do komputera i ostrym tonem wydał polecenia maszynie. Czytając wyniki, coś sobie mrucał pod nosem. - Ofiary są czyste. Znaleziono wyłącznie ich włosy i żadnych włókien.
 - Zawsze dbał, żeby nie zostawić żadnych śladów - mruknęła Eve.
 - Tak. Przypomniałem sobie. U obu ofiar znaleziono między palcami nóg jakiś pył, jakby piasek.
 - Pył cementowy.
 - Tak. Podam ci gatunek, może uda się ustalić, ile ma lat. Teraz sznur. - Odepchnął się od biurka. - Właśnie się mu przyglądałem, przeprowadzałem analizy. Nic szczególnego ani niecodziennego. Zwyczajna nylonowa linka. Daj mi trochę więcej czasu, to podam ci producenta.
 - Trochę to znaczy ile?
 - Dwie godziny, góra trzy. W przypadku zwyczajnych rzeczy trwa to nieco dłużej.
 - Postaraj się uwinąć z tym jak najszybciej. - Odwróciła się. - Będę w terenie.

Następnie udała się do kostnicy, by podręczyć głównego patomorfologa. Morse nie dawał się tak łatwo zastraszyć ani popędzać.

Brak śladów napaści na tle seksualnym czy molestowania. Żadnych okaleczeń zewnętrznych narządów płciowych.

Charakterystyczne dla Palmera, pomyślała Eve, przypominając sobie treść wstępnego raportu Morse'a. Był najbardziej aseksualnym mężczyzną, z jakim się zetknęła w całej karierze zawodowej. Wątpiła, czy w ogóle zwraca uwagę na płeć swoich ofiar. Chyba zapisuje ją jedynie w celach statystycznych.

Ośrodkowy układ nerwowy Waingera uległ poważnym uszkodzeniom. Podczas porwania i tortur u ofiary doszło do lekkiego zawału mięśnia sercowego. W odbytnicy i jamie ustnej stwierdzono ślady oparzeń od elektrod. Obie dłonie zmiażdżone gładkim, ciężkim narzędziem. Złamane trzy zębra.

Lista obrażeń była długa. Na koniec Morse potwierdził, że przyczyną śmierci było uduszenie. Zgon nastąpił o północy dwudziestego czwartego grudnia.

Godzinę spędziła w domu Carla Neissana, kolejną - w domu Waingera. Przypuszczała, że w obu przypadkach ofiary otworzyły drzwi i wpuściły Palmera. Był w tym dobry. Umiał sympatycznie się uśmiechać i miał dar przekonywania.

Wyglądał tak niewinnie, pomyślała Eve, wchodząc po stopniach do drzwi frontowych własnego domu. Nawet oczy, które zwykle zdradzają człowieka, wydawały się oczami łagodnego młodzieńca. Palmerowi nie drgnęła powieka, jego spojrzenie nie stało się szklane czy błyszczące nawet kiedy siedział naprzeciwko niej w sali przesłuchań i opisywał każde morderstwo po kolei.

Zaczynały przypominać oczy szaleńca tylko wtedy, gdy rozmawiał o zakresie i znaczeniu swojego dzieła.

- Pani porucznik. - Wysoki, kościsty, Summerset ubrany na czarno, wyłonił się z głębi domu. - Czy pani zdaniem goście zostaną na obiad?

- Goście? Nikogo nie zapraszałam. - Zdjęła kurtkę i rzuciła ją na słupek balustrady. - Jeśli masz na myśli moją ekipę, to damy sobie radę.

Zabrał kurtkę ze słupka, jeszcze zanim Eve zaczęła wchodzić po schodach. Obejrzała się przez ramię, słysząc, jak jęknął z obrzydzeniem. Trzymał w palcach jej rękawiczki, które wcisnęła do kieszeni.

- Co pani z nimi zrobiła?

- To tylko substancja zabezpieczająca. - Zapomniała ją usunąć, zanim wsadziła rękawiczki do kieszeni.

- To ręcznie szyte włoskie rękawiczki, ocieplane futrem norek.

- Futrem norek? O, cholera. Czy on oszalał? - Pokręciła głową, nie zatrzymując się. - Rękawiczki ocieplane futrem norek! Za kilka dni je zgubię, co by znaczyło, że jakaś głupia norka na próżno straciła życie. - Spojrzała przez hol na drzwi do gabinetu Roarke'a, jeszcze raz pokręciła głową i weszła do swojego pokoju.

Okazało się, że miała rację. Jej ekipa sama potrafiła zatroszczyć się o posiłek. Feeney żuł wielopiętrową kanapkę, cicho wydając polecenia komputerowi i patrząc na monitor. Peabody w jednej ręce trzymała głęboką miskę makaronu, a drugą układała na stos wydruki.

W gabinecie pachniało jak w eleganckiej knajpie, jednak słychać było, że pracują tu policjanci. Ludzie przekrzykiwali komputery, drukarka szumiała, główne łącze dzwoniło, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Podeszła do biurka i sama odebrała.

- Dallas.

- Ej, mam informacje o tym twoim sznurze. - Kiedy zobaczyła, jak Dickie wkłada do ust ogórka konserwowego, zadała sobie pytanie, czy żołądki wszystkich funkcjonariuszy w mieście zaczęły domagać się jedzenia o tej samej porze. -

Jak powiedziałem, to nylonowa linka. Akurat ta konkretna jest najwyższego gatunku, mocna. Wyprodukowana przez Kytell gdzieś w Jersey. Sprawdzenie dystrybutora zostawiam wam, bo to wasza działka.

- Dziękuję. - Rozłączyła się, myśląc sobie, że Dickie nie zawsze jest skończonym baranem. Zrobił, o co go prosiła, nie żądając nic w zamian.

- Pani porucznik - zaczęła mówić Peabody, ale Eve podniosła dłoń i weszła do gabinetu Roarke'a.

- Czy jesteś właścicielem fabryki Kytell w New Jersey? Przystanęła i skrzywiła się, kiedy zobaczyła, że przeszkodziła mu w samym środku konferencji holograficznej. Kilka postaci zwróciło się w jej stronę i zmierzyło ją od stóp do głów nieco poirytowanym wzrokiem.

- Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Proszę państwa, przedstawiam moją żonę. - Roarke rozsiadł się w fotelu, niesamowicie zadowolony, że Eve niechcący spełniła swoją groźbę, iż wtargnie, kiedy będzie załatwiał jedną z wielomilionowych transakcji, wyłącznie po to, żeby go zdenerwować. - Proszę mi wybaczyć. To zajmie tylko chwilkę. Caro?

Hologram jego sekretarki wstał i się uśmiechnął.

- Naturalnie. Za chwilę znów przeniesiemy się do sali konferencyjnej. - Postać się

odwróciła, dotknęła palcami przycisków, które tylko ona widziała, i hologramy zniknęły.

- Powinna była najpierw zapukać albo co.

- Nic się nie stało. Poczekają. Za chwilę dzięki mnie bardzo się wzbogacą. Czy jestem właścicielem czego?

- Czy musiałeś powiedzieć „oto moja żona” takim tonem, jakbym właśnie przybiegła z kuchni?

- Wolałem to, niż wyjaśniać im, że właśnie przyjechałaś z kostnicy. A właściciele firmy, którą zamierzam kupić, są dość konserwatywni. No więc czy jestem właścicielem czego i czemu chcesz to wiedzieć?

- Kytell w New Jersey. Produkują sznury.

- Naprawdę? Nie mam pojęcia. Jedną chwilę. - Odwrócił się za biurkiem i poprosił o informacje na temat Kytell. Co, pomyślała Eve z lekką irytacją, mogła równie dobrze zrobić sama.

- Tak, to oddział Yancy, wchodzącej w skład Roarke Industries. Domyślam się, że tam wyprodukowano linkę, która posłużyła jako narzędzie zbrodni.

- Słusznie się domyślasz.

- Czyli potrzebna ci nazwa dystrybutora, sklepy w Nowym Jorku i okolicach, gdzie w ostatnim tygodniu sprzedano jej dużą ilość jednemu nabywcy.

- Peabody może zdobyć te informacje. - Ale ja zrobię to szybciej. Daj mi trzydzieści minut na dokończenie spotkania, prześlę ci dane na twój komputer.

- Dzięki. - Już miała wyjść, ale się odwróciła. - Trzecia kobieta po prawej stronie, ta z rudymi włosami, próbowała cię oczarować swoimi nogami. Gdyby podciągnęła skraj spódnicy dwa centymetry wyżej, widać byłoby jej majtki.

- Zauważyłem. Ma świetne nogi. - Uśmiechnął się. - Ale i tak nie dostanie więcej niż osiemdziesiąt przecinek trzy za udział. Jeszcze coś?

- Farbuje sobie włosy na rudo - powiedziała Eve dla porządku i zamykając drzwi usłyszała, jak wybuchnął śmiechem.

- Pani porucznik. - Peabody zerwała się na równe nogi. - Chyba udało mi się zidentyfikować samochód. Wytypowałam trzy. Trzej dilerzy ekskluzywnych aut sprzedali dwudziestego i dwudziestego pierwszego grudnia samochody mężczyźnie w wieku dwudziestu kilku lat. Dwie transakcje zawarto w East Side, jedną w Brooklynie.

- Wydrukuj zdjęcia Palmera.

- Już to zrobiłam.

- Feeney?

- Redukuję.

- Redukuj dalej. Roarke powinien nam w przeciągu pół godziny przekazać jakieś informacje o narzędziu zbrodni. Prześlij mi to z łaski swojej. Peabody, jedziesz ze mną.

*

Pierwsza podejście okazało się chybione; kiedy Eve zatrzymała się u drugiego dilera, miała nadzieję, że nie będzie musiała jechać do Brooklynu. Na widok lśniących, nowiutkich aut w salonie Peabody zaświeciły się oczy z zazdrości. Tylko dlatego, że Eve szturchnęła ją łokciem w bok, Peabody nie pogłaskała maski boostera - 6Z, samochodu terenowego roku.

- Zachowaj chociaż odrobinę godności - mruknęła Eve i dała znak pracownikowi salonu. Facet wcale nie był szczęśliwy, kiedy machnęła mu przed nosem odznaką. - Chcę porozmawiać ze sprzedawcą, który w zeszłym tygodniu opylił taką brykę. - Wskazała boostera. - Kupił ją młody gość.

- Lana sprzedała boostera - 6Z kilka dni przed Bożym Narodzeniem. - Teraz miał jeszcze bardziej nieszczęśliwą minę. - Często bajeruje młodszych klientów. - Wskazał kobietę za biurkiem w drugim końcu salonu wystawowego.

- Dziękuję. Eve skierowała się w tamtą stronę. Zauważyła, że Lana ma burzę błyszczących, czarnych, kręconych włosów, opadających na plecy. Na głowie miała słuchawki i rozmawiała przez telefon z potencjalnym klientem, jednocześnie wstukując coś na klawiaturze palcami o paznokciach, pomalowanych na jaskrawoczerwony kolor.

- Mogę go panu zaproponować za osiem miesięcznie. Osiem miesięcznie i siądzie pan za kółkiem najbardziej wypasionego, najmocniejszego pojazdu lądowo - powietrznego, jakie są obecnie produkowane. Niemal całkowicie zrezygnowałam ze swojej prowizji, ponieważ chcę zobaczyć, jak odjeżdża pan wozem, który da panu szczęście.

- Lano, odłóż uszczęśliwianie go na później. - Eve pokazała jej odznakę.

Lana zasłoniła słuchawkę ręką, przyjrzała się odznace i zaklęła pod nosem. Potem znów przemówiła kuszącym głosem.

- Jerry, jeszcze raz obejrzyj sobie wideo, spróbuj przejażdżki hologramowej. Jeśli pod koniec nie będziesz się uśmiechał, ta bryka nie jest dla ciebie. Oddzwoń i mi powiedz. I pamiętaj, chcę, żebyś był szczęśliwy. Słyszysz mnie?

Rozłączyła się i rzuciła Eve gniewne spojrzenie.

- Zapłaciłam te cholerne mandaty drogowe. Wszystkie co do jednego.

- Miło mi to słyszeć. Nasze miasto potrzebuje twojego wsparcia. Potrzebne mi informacje o transakcji z ubiegłego tygodnia. Chodzi o boostera. Potwierdziła pani, że

sprzedała pani taki wóz, kiedy policja skontaktowała się dziś z panią telefonicznie.

- Zgadza się. Miły gość, przystojny. - Uśmiechnęła się.

- Od razu wiedział, czego chce.

- Czy to ten? - Eve dała znak Peabody, która wyjęła zdjęcie.

- Tak. Milutki.

- Rzeczywiście jest bardzo milutki. Chcę dostać wszystkie dane: nazwisko, adres.

- Nie ma sprawy. - Odwróciła się do komputera i poprosiła o odczyt. Potem spojrzała ponownie na Eve, mrużąc oczy.

- Skądś panią znam. Czy sprzedałam pani samochód? Eve przypomniała sobie swój służbowy wóz, jego brzydką, zieloną jak groszek tapicerkę i kanciastą sylwetkę. - Nie.

- Naprawdę wygląda pani... Och! - Lanie rozbłysnęły oczy niczym lampki na choince.

- Ależ tak, pani jest żoną Roarke'a! Policjantka, która poślubiła Roarke'a. Widziałam panią w telewizji. Podobno on ma dużą kolekcję aut. Gdzie się w nie zaopatruje?

- Wszędzie, gdzie chce - powiedziała krótko Eve i Lana roześmiała się radośnie.

- Och, jestem tego pewna. Bardzo bym chciała zaprezentować mu naszego nowiutkiego Barbarzyńcę. Nie pojawi się na rynku jeszcze przez trzy miesiące, ale mogę załatwić prywatny pokaz. Gdyby mogła mu pani dać moją wizytówkę, pani Roarke, byłabym...

- Widzisz to? - Eve znów wyjęła odznakę i podsunęła ją tuż pod zadarty nos Lany. - Jest tu napisane „Dallas”. Porucznik Eve Dallas. Nie przyszedłam tutaj, żeby napędzać wam klientów. Prowadzę śledztwo. Proszę mi podać te cholerne dane.

- Naturalnie. Już się robi. - Jeśli Eve trochę ją zirytowała, Lana nie dała tego po sobie poznać. - Nazywa się Peter Nolan, mieszka przy Wschodniej Sześćdziesiątej Ósmej sto dwadzieścia trzy mieszkanie cztery B.

- Jak zapłacić?

- To pamiętam doskonale. Bezpośrednio przekazem elektronicznym. Całą kwotę. Nie chciał kredytu. Zlecił przelew, otrzymaliśmy należność i potwierdzenie, wyjechał z naszego salonu niezwykle szczęśliwy.

- Potrzebne mi wszystkie dane o samochodzie, łącznie z czasowym pozwoleniem i numerem rejestracyjnym. Pełny opis.

- W porządku. Jezu, co takiego zrobił? Zabił kogoś?

- Owszem.

- Rany. - Lana pospiesznie skopiowała dane. - Nie można nikomu ufać - powiedziała i wsunęła swoją wizytówkę do pudełka z dyskiem.

ROZDZIAŁ 7

Peter Nolan nie mieszkał na Sześćdziesiątej Ósmej. Pod tym adresem od piętnastu lat mieszkali niejacy państwo Kowalsky, starsze małżeństwo, i ich chwiejący się na nogach sznaucer.

Po skontaktowaniu się z bankiem okazało się, że Nolan osobiście otworzył rachunek dwudziestego grudnia tego roku i zlikwidował dwudziestego drugiego grudnia.

Wystarczająco długo, by dokonać zakupu, pomyślała Eve. Ale skąd wziął pieniądze?

Idąc za radą Roarke'a, na zakończenie bardzo pracowitego dnia przystąpiła do szukania kont, otwartych na nazwisko Palmer. Pomyślała, trąc oczy, że zajmie to sporo czasu.

Ile czasu zostało Carlowi? - zastanowiła się. Przypuszczała, że jeszcze jeden dzień. Jeśli Palmer zachował dawne nawyki, za bardzo będzie rozkoszował się tym, co robi, by chcieć szybko to skończyć. Ale według niej w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin spróbuje dorwać Justine Polinsky.

Kiedy komputer pracował, rozsiadła się wygodnie w fotelu i zamknęła oczy. Prawie północ, pomyślała. Minał kolejny dzień. Feeney zajmował się swoją działką. Była pewna, że wkrótce ustalą, skąd Palmer wziął sprzęt, potem trzeba będzie jeszcze rozstrzygnąć kwestię domu. Znali markę, model i numer rejestracyjny samochodu.

Zostawił ślad, pomyślała. Chciał, żeby nim podążyła, żeby była blisko. Sukinsyn.

Chodzi o ciebie i o mnie, prawda, Dave? - pomyślała, czując, jak powoli ogarnia ją senność. Jaka jestem szybka i sprytna. Uznałeś, że wtedy będziesz miał jeszcze większą satysfakcję, gdy już zamkniesz mnie w tej klatce. A ponieważ tak bardzo tego pragniesz, popełniasz błędy. Drobne błędy.

I dzięki temu cię dopadnę.

Szum komputera uspił Eve. Obudziła się, kiedy poczuła, że ktoś ją bierze na rękę.

- Co się dzieje? - Odruchowo sięgnęła po broń, którą wcześniej odpięła.
- Musisz się położyć. - Roarke wyniósł ją z pokoju.
- Tylko chciałam dać odpocząć oczom. Komputer ściąga dla mnie informacje. Zostaw mnie.
- Jesteś wykończona, informacje do rana nie znikną, więc cię nie zostawię.
- Jestem coraz bliżej, choć jeszcze niewystarczająco blisko. Zobaczył na monitorze informacje finansowe.
- Rano przejrzę konta - powiedział, kładąc ją na łóżku.

- Już się tym zajęłam. Odpiął jej odznakę i odłożył.
- Tak, szeryfie, ale pieniądze to moja specjalność. Więc zostaw to mnie.
- Z pewnością teraz śpi. - Pozwoliła, żeby Roarke ją rozebrał. - W dużym, miękkim łóżku z czystą pościelą. Dave lubi wygody i czystość. W sypialni zainstalował monitor, żeby móc obserwować Neissana. Lubi sobie przed snem popatrzeć na swoje ofiary. Powiedział mi to.

- O niczym nie myśl. - Roarke położył się obok i przytulił Eve.
- Chce mnie dorwać.
- Wiem o tym. - Musnął ustami jej włosy, żeby uspokoić w równym stopniu ją, jak i siebie. - Ale nie dopadnie cię.

*

Sen pomógł. Spała jak kamień przez sześć godzin. Nie dostała telefonu w środku nocy, że znaleziono zwłoki Carla Neissana.

Kolejny dzień, znów pomyślała, wchodząc do swojego gabinetu. Za biurkiem siedział Roarke, studiując dane.

- Co robisz? - Niemal się na niego rzuciła. - To tajne informacje.
- Daj spokój, kochanie. Wczoraj w nocy niewystarczająco zawężyłaś obszar poszukiwań. Zajęłoby ci kilka dni sprawdzanie wszystkich kont na nazwisko Palmer. Potrzebny ci rachunek, na którym dość dużo się dzieje, są przekazywane spore kwoty. To konto jest też połączone z innymi rachunkami, co, oczywiście, wydaje się trochę skomplikowane, skoro się ma do czynienia z kimś, kto zna różne sztuczki.

- Nie możesz tak po prostu usiąść i przeglądać sobie informacje zgromadzone podczas śledztwa.

- Naturalnie, że mogę. Powinnaś napić się kawy. - Na moment uniósł wzrok. - Zaraz lepiej się poczujesz, a ja ci pokażę, co mam.

- Zupełnie dobrze się czuję. - Chociaż musiała przyznać, że akurat teraz była zła i poirytowana. Sztywnym krokiem podeszła do autokucharza stojącego w kuchni i zamówiła kubas gorącej, czarnej kawy. Duża dawka kofeiny w prawdziwej kawie, którą kupował Roarke, szybko postawiła ją na nogi.

- No więc co masz? - spytała, kiedy wróciła do gabinetu.
- Sam „Palmer” to zbyt proste, zbyt oczywiste - zaczął Roarke i Eve zmrużyła oczy.
- Wczoraj tak nie uważałaś.
- Powiedziałem, żebyś sprawdziła krewnych o tym samym nazwisku. Powinienem ci

poradzić, żebyś spróbowała też z nazwiskiem panińskim jego matki. Riley. I oto mamy konto niejakiego Palmera Rileya. Otwarte sześć lat temu, zwykły rachunek inwestycyjny. Ponieważ w ciągu ostatnich sześciu miesięcy co nieco się na nim działo, przypuszczam, że twój człowiek w więzieniu znalazł dostęp do łącza lub komputera.

- Nie powinno to być możliwe. Skąd możesz mieć pewność?

- Rozumie istotę pieniądza i to, jaki jest płynny. Widać tutaj, że sześć miesięcy temu saldo na rachunku wynosiło nieco ponad milion trzysta tysięcy dolarów. W ciągu poprzednich trzech lat wszystkie operacje przeprowadzane były automatycznie, bez ingerencji właściciela konta. Ale później zaczął przelewać pieniądze. Tutaj mamy przekaz na rachunek Petera Nolana. Nawiasem mówiąc to nazwisko męża jego ciotki ze strony ojca. Konta za granicą, konta poza Ziemią, konta w Nowym Jorku, otwarte na różne nazwiska. Miał te pieniądze od pewnego czasu i czekał, przyczaił się, póki nie znalazł sposobu, jak z nich skorzystać.

- Kiedy poprzednio go złapałam, zablokowaliśmy jego rachunki na nazwisko David Palmer. Nie kopaliśmy głębiej. Nie pomyślałam o tym.

- Dlaczego miałabyś pomyśleć? Złapałaś go, wsadziłaś za kratki. Miał tam pozostać.

- Gdybym zamroziła wszystkie jego konta, nie miałby funduszy, by tu wrócić.

- Eve, znalazłby jakiś sposób. - Zaczekał, aż na niego spojrzała. - Wiesz o tym.

- Tak. - Westchnęła głęboko. - Tak, wiem. To wszystko świadczy, że planował sobie powrót, robił inwestycje, żonglował pieniędzmi, przekazując je na tajne konta. Muszę je zablokować. Nie przypuszczam, by sędzia miał coś przeciwko temu, nie po tym, co spotkało jednego z nich.

- Wpienisz Palmera. - I właśnie o to mi chodzi. Potrzebne mi nazwiska, numery, nazwy wszystkich kont, jakie uda ci się z nim powiązać. - Wypuściła powietrze z płuc. - Będę twoją dłużniczką.

- Wykorzystaj swój prezent, to uznam, że jesteśmy kwita.

- Mój prezent? Ach, tak. Gdzie i kiedy chcę wyjechać na jeden dzień. Pozwól, że się nad tym zastanowię. Jeśli zamkniemy tę sprawę, może wybierzemy się gdzieś na sylwestra.

- Umowa stoi. Straszna myśl przyszła jej do głowy.

- Nie zaplanowaliśmy sobie nic na Nowy Rok, prawda? Żadnego przyjęcia ani niczego w tym rodzaju?

- Nie. Chciałem być tylko z tobą. Spojrzała na niego, mrużąc oczy, chociaż nie udało jej się powstrzymać uśmiechu.

- Ćwiczysz mówienie takich rzeczy?

- Nie. - Wstał, ujął twarz Eve w obie dłonie i pocałował ją namiętnie i żarliwie. -

Mam to wszystko na płycie.

- Niezły z ciebie numer, Roarke. - Przesunęła dłońmi po włosach i przez chwilę rozkoszowała się jego obecnością. Potem się opanowała i odsunęła od niego. - Muszę popracować.

- Zaczekaj. - Złapał Eve za rękę, zanim się odwróciła.

- Co to było?

- Nie wiem. Po prostu czasami nachodzi mnie coś takiego. Chyba są takie chwile, że nie potrafię ci się oprzeć. Ale teraz nie mam na to czasu.

- Najdroższa. - Przesunął palcem po kostkach jej dłoni.

- Pamiętaj, żebyś później go znalazła.

- Dobrze, obiecuję.

*

Pracowali razem przez godzinę, zanim pojawiła się Peabody. Zostawiła Roarke'owi to, w czym był najlepszy - operowanie danymi - a sama skupiła się na prywatnych domach zakupionych w Nowym Jorku i okolicach, rozciągając przedział czasowy do sześciu miesięcy, ponieważ wtedy Palmer zaczął korzystać z rachunku.

Zadzwoił Feeney z informacją, że udało mu się zidentyfikować część sprzętu widocznego na filmie i podąży tym tropem. Eve zebrała wydruki i wstała.

- Mamy do sprawdzenia ponad trzydzieści domów. Będziemy musiały pojechać do nich wszystkich, ponieważ nie wierzę nazwiskom ani innym danym. Mógł posłużyć się zmyślonymi danymi. Peabody...

- Jadę z panią, pani porucznik.

- Tak. Roarke, będę w terenie.

- Powiadomię cię, kiedy to skończę.

Spojrzała na niego. Pracował wolno, dokładnie, metodycznie. Ciekawa była, kto teraz zajmuje się tym, co często nazywała w myślach jego imperium.

- Słuchaj, mogę ściągnąć człowieka do tego. McNab...

- McNab. - Peabody się skrzywiła, słysząc to nazwisko, zanim udało jej się powstrzymać. Zawarła chwilowy rozejm z pracownikiem wydziału przestępstw elektronicznych, ale to nie oznaczało, że chciała dzielić się z nim swoim śledztwem. Ponownie. - Dallas, daj spokój. Jest tu tak miło i cicho.

- Dokończę to. - Roarke rzucił spojrzenie Eve i mrugnął do Peabody. - Też mam w tym swój interes.

- Jak chcesz. Kiedy ty i Feeney będziecie coś mieli, poinformujcie mnie. Zamierzam też dowiedzieć się czegoś o linie. Prawdopodobnie wszystko załatwił osobiście, ale wystarczy, żeby raz kazał dostarczyć towar do domu, a dotrzemy do jego kryjówki.

*

Po trzech godzinach pukania do drzwi, wypytywania zawodowych rodziców, gospoś i innych osób, które wybrały model pracy w domu, Eve zlitowała się nad Peabody i przystanąła obok budki z jedzeniem.

W tych okolicach były one czyste, miały kolorowe parasole lub markizy, a obsługa zachowywała się grzecznie. Ale ceny - nieprzyzwoicie wysokie.

Peabody aż się skrzywiła, kiedy musiała posłużyć się kartą kredytową, chociaż zamówiła jedynie kawę, kebab i garstkę cienkich jak papier frytek.

- To przez moją przemianę materii - mruknęła, wsiadając z powrotem do samochodu.
- Muszę regularnie dostarczać paliwa organizmowi.

- W takim razie zjedz - poradziła jej Eve. - Zapowiada się długi dzień. Przynajmniej połowa z tych osób nie wróci do domu przed piątą, kiedy się kończy druga zmiana.

Wyciągnęła łącze, kiedy zapiszczało.

- Dallas.

- Witam, moja pani porucznik. - Roarke przyjrzał jej się poważnie. - Mam dla ciebie informacje.

- Dzięki. Zaraz wystąpię o nakaz.

- Jedna uwaga. Nie znalazłem żadnego rachunku, z którego pobrano albo przelano kwotę wystarczająco dużą na zakup domu albo zaliczkę na jego kupno. Paru nie można do końca wykluczyć, tylko jeśli, jak mi powiedziałaś, nie chciał kupić samochodu na kredyt, prawdopodobnie nie chciał, żeby banki i CompuGuard śledziły jego transakcje i sprawdzały zdolność kredytową.

- Ma dom, Roarke, wiem to.

- Nie wątpię, że masz rację. Tylko nie jestem pewien, czy kupił go ostatnio.

- Zostało mi jeszcze do sprawdzenia dwadzieścia kilka - wyjaśniła. - Muszę to doprowadzić do końca. Może coś wynajął. Lubi być właścicielem domu, ale może tym razem coś wynajął. To też sprawdzę.

- Nie znalazłem żadnych standardowych przelewów z konta ani wypłat, które można by uznać za przeznaczone na zapłatę czynszu albo raty kredytu hipotecznego.

Eve gwizdnęła cicho.

- To niesamowite. - Co?
- Jakim byłbyś doskonałym policjantem.
- Nie wydaje mi się, by obrażanie mnie było w tej sytuacji na miejscu. Muszę zająć się swoimi sprawami - powiedział Roarke, kiedy wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Ale później znów będę ci mógł pomóc.

*

Palmer kupił i osobiście odebrał sto dwadzieścia metrów nylonowej linki z hurtowni, znajdującej się niedaleko Canal. Sprzedawca, który go obsługiwał, rozpoznał klienta na zdjęciu i dodał, jakim miłym młodzieńcem był pan Dickson. Posługując się nazwiskiem Dickson Palmer zakupił również kilkanaście bloczków, stalowych pierścieni o przekroju okrągłym, przewód i komplet narzędzi do obróbki metali, przeznaczonych dla majsterkowiczów, oraz laser.

Dwudziestego drugiego grudnia rano załadował wszystko do bagażnika swojego nowiutkiego, lśniącego boostera - 6Z, który wzbudził u sprzedawcy nieklamany zachwyty.

Eve pomyślała, że tamtego dnia, a także następnego Palmer pracował jak pszczółka, przygotowując własną salę tortur.

Do ósmej wyeliminowały wszystkie domy z listy.

- Koniec. - Eve wsiadła do samochodu i przycisnęła powieki palcami. - Wszystkie są w porządku. Podwiozę cię do przystanku, Peabody.

- Wracasz do domu? Eve opuściła rękę.

- Czemu pytasz?

- Ponieważ nie zejdę ze służby, jeśli zamierzasz zająć się mieszkaniami do wynajęcia ze sporządzonej przeze mnie listy.

- Słucham? Peabody zacisnęła usta. Eve potrafiła wywołać zimny dreszcz, kiedy przybierała ton przełożonej.

- Nie zejdę ze służby, pani porucznik, żeby zostawić panią samą w terenie, kiedy Palmer jest na wolności i obrał sobie panią za cel. Z całym szacunkiem, pani porucznik.

- Uważasz, że nie dam sobie rady z jakimś umysłowo niedorozwiniętym dupkiem?

- Uważam, że za bardzo chce pani się nim zająć. - Peabody wzięła głęboki oddech. - Zostaję z tobą, Dallas.

Eve zmrużyła oczy.

- Rozmawiałaś z Roarkiem? - Eve zobaczyła, jak jej partnerce drgnęła powieka, i zaklęła pod nosem. - Cholera.

- Ma rację, a pani się myli. Pani porucznik. - Przygotowała się na reprimendę i była zdecydowana dzielnie ją znieść, dlatego aż wybałuszyła oczy, zaskoczona reakcją Eve.

- Być może - powiedziała jedynie, ruszając od krawężnika. Peabody postanowiła wykorzystać okazję i rzuciła jej spojrzenie z ukosa.

- Przez cały dzień nic nie jadłaś. Nawet nie zabrałaś mi jednej frytki. Może byś coś przekąsiła.

- Dobrze już, dobrze. Chryste, Roarke ma twój numer, prawda?

- Chciałabym.

- Zamknij się, Peabody. Wrzucimy coś na ruszt, a potem zabierzemy się do sprawdzania wynajętych lokali.

- Z największą chęcią się zamknę, pani porucznik.

ROZDZIAŁ 8

Koło północy zaczął sypać śnieg; płatki były grube, zimne, o zmrożonych krawędziach. Patrząc na nie przez przednią szybę samochodu, Eve powiedziała sobie, że pora przerwać pracę. Nic więcej nie mogli zrobić.

- Trzyma wszystkie asy - mruknęła.

- Masz całkiem dobre karty, Dallas. - Peabody poprawiła się na fotelu, zadowolona, że w samochodzie jest tak ciepło. Przemarżała do szpiku kości.

- Nieważne, co mam. - Eve ruszyła sprzed ostatniego domu do wynajęcia, który sprawdziły. - Nie dziś w nocy. Wiem, kim jest, wiem, kogo zamierza zabić. Wiem, jak to robi, i wiem, dlaczego. A dziś wieczorem nie ma to najmniejszego znaczenia. Prawdopodobnie już załatwił Carla.

Rzadko się widziało, żeby Eve była zniechęcona. Wściekła owszem, pomyślała Peabody z lekkim niepokojem. I zdeterminowana. Ale nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wcześniej słyszała w głosie Dallas rezygnację.

- Zrobiłaś wszystko, co należało zrobić. Podjęłaś wszystkie konieczne kroki.

- Dla Carla nie ma to zbytniego znaczenia. A gdybym zrobiła wszystko, co należy, miałabym tego sukinsyna. Więc czegoś nie dopilnowałam. Wymyka mi się, ponieważ nie potrafię czegoś dostrzec.

- Prowadzisz tę sprawę zaledwie od trzech dni.

- Nie. Prowadzę ją od trzech lat. - Kiedy zatrzymała się na światłach, zabręczało jej łącze. - Dallas.

- Pani porucznik, mówi detektyw Dalrymple, przydzielony do obserwowania mieszkania państwa Polinsky. Mamy mężczyznę dwudziestokilkuletniego, przeciętnego wzrostu i budowy ciała. Jest pieszko, ma przy sobie mały worek marynarski. Chyba posłużył się kluczem, by dostać się do domu. Jest teraz w środku.

- Jestem trzy przecznice od was na wschód. Zaraz tam będę. - Już zawróciła na skrzyżowaniu. - Zablokować wszystkie wyjścia, wezwać posiłki. To nie trzyma się kupy - mruknęła do Peabody, kiedy pędziły wzdłuż Madison. - Tak otwarcie? Żeby wpaść prosto w nasze ręce? To się nie trzyma kupy.

Z piskiem opon zatrzymała się w połowie kwartału. Kiedy znalazła się na chodniku, już trzymała w ręku broń.

- Peabody, mieszkanie Polinsky jest na czwartym piętrze po południowej stronie. Idź

od tyłu po schodach pożarowych. Jeśli wyjdzie tamtędy, zatrzymaj go.

Eve weszła do budynku drzwiami frontowymi i zbyt niecierpliwa, by zaczekać na windę, wbiegła po schodach. Na czwartym piętrze zobaczyła Dalrymple'a, czekał pod drzwiami, wyciągnąwszy broń.

- Pani porucznik. - Skinął jej krótko głową. - Mój partner jest z drugiej strony budynku. Podejrzany jest w mieszkaniu od niespełna pięciu minut. Posiłki w drodze.

- Dobrze. - Uważnie przyjrzała się Dalrymple'owi. - Nie będziemy na nie czekać. Wejść tam - dodała, wyciągając klucz uniwersalny. Odblokowała zamki.

- Nie mam nic przeciwko temu. - Był gotów na jej rozkazy.

- Na trzy. Raz, dwa... - Otworzyli drzwi i wpadli do środka. Stojąc tyłem do siebie, zatoczyli koło bronią. Słysząc było muzykę, prymitywne dudnienie perkusji towarzyszyło głośnym akordom na gitarze. W schludnym pokoju dziennym ekrany nastawione były na głęboką czerwień i błękit, przenikające się nawzajem.

Dała znak Dalrymple'owi, by poszedł w lewo, sama zrobiła dwa kroki w prawo, kiedy z kuchni wyszedł nagi mężczyzna, niosąc butelkę wina i czerwoną różę.

Krzyknął i upuścił butelkę. Wino wylało się na dywan. Mężczyzna przykucnął, zasłaniając się różą.

- Nie strzelajcie! Jezu, nie strzelajcie. Weźcie wszystko, co chcecie. Wszystko. To nie moje.

- Policja nowojorska - warknęła do niego Eve. - Na podłogę, twarzą do ziemi, ręce za głowę. Już!

- Tak jest, pani władzo! Tak jest, pani władzo! - Padł plackiem na dywan. - Nic nie zrobiłem. - Skrzywił się, kiedy Eve złapała go za ręce i założyła mu kajdanki. - Chciałem się tylko zobaczyć z Sunny. Powiedziała, że mogę przyjść.

- Kim jesteś, do jasnej cholery?

- Nazywam się Jimmy. Jimmy Ripsky. Chodzę z Sunny na uczelnię. Mamy teraz ferie zimowe. Zawiadomiła mnie, że jej rodzice na kilka dni wyjechali z miasta, więc mamy wolną chatę.

Eve z niesmakiem wsunęła broń z powrotem do kabury. Chłopak trząśnięty jak osika.

- Przyniesz mi koc, Dalrymple. To nie ten, którego szukamy. - Postawiła go na nogi i znalazła w sobie dość współczucia, żeby zdjąć chłopakowi kajdanki, nim wskazała mu krzesło. - Opowiedz nam wszystko po kolei, Jimmy.

- Już powiedziałem. No więc... - Skulił się, zawstydzony, i zasłonił dłońmi genitalia. - Sunny i ja jesteśmy razem.

- Co za Sunny?

- Sunny Polinsky. Zdaje się, że ma na imię Sheila, ale wszyscy wołają na nią Sunny. To mieszkanie jej rodziców. Rany, jej ojciec mnie zabije, jeśli się dowie.

- Zadzwoiła do ciebie?

- Tak. No więc nie. - Uniósł wzrok z bezbrzeżną wdzięcznością, kiedy przyszedł Dalrymple z szenilowym kocem. -

Dziś rano przysłała mi e - mail i paczuszkę. Napisała, że jej rodzice wyjeżdżają na tydzień na południe, więc żebym przyszedł dziś wieczorem. Koło północy miałem wejść, posługując się kluczem, który od niej dostałem. Powiedziała, żebym... hmm... się rozgościł. - Owinął sobie ściślej nogi kocem. - Powiedziała, że będzie w domu o wpół do pierwszej, i kazała mi poczekać na nią w łóżku. - Oblizał wargi. - Wyraziła się dość jasno.

- Czy wciąż ma pan ten e - mail? Kopertę, w której przyszedł klucz?

- Kopertę wrzuciłem do recyklera, ale mam e - mail. Wydrukowałem go. Na pamiątkę.

- Rozumiem. Detektywie, wezwij swojego partnera i moją pomocnicę.

- Proszę pani... - zaczął Jimmy, kiedy Dalrymple się odwrócił, wyjmując komunikator.

- Porucznik Dallas.

- Rozumiem. Pani porucznik, co się dzieje? Czy Sunny nic się nie stało?

- Wszystko u niej w porządku. Jest ze swoimi rodzicami. - Ale przecież... Powiedziała, że będzie tutaj.

- Wydaje mi się, że ktoś inny wysłał tę wiadomość. Ktoś, kto chciał, żebym dziś w nocy miała trochę dodatkowej pracy. - Ale usiadła i wyjęła swoje kieszonkowe łącze. - Sprawdź, czy mówisz prawdę, Jimmy. Jeśli wszystko się zgadza, detektyw Dalrymple wezwie mundurowego, który odwiezie cię do domu. Możesz mu dać ten wydruk... I swój komputer.

- Mój komputer? Ale...

- Jest nam potrzebny - przerwała mu. - Dostaniesz go z powrotem.

- Niezła zabawa - powiedziała Peabody, kiedy Eve ponownie zamknęła drzwi.

- Beczka śmiechu.

- Biedaczek. Był taki przerażony. Myślał, że przeżyje upojną noc ze swoją dziewczyną, a tu niespodzianka, zakuto go w kajdanki.

- Fakt, że nasz kawaler był taki zawstydzony, świadczy, że sny o upojnej nocy okazały się lepsze niż rzeczywistość. - Eve skierowała się do wind, nie zważając na

prychnięcie Peabody. - Sunny potwierdziła jego słowa, że są razem. Chociaż właściwie nie miałam cienia wątpliwości. Gówniarz za bardzo się przeraził, żeby kłamać. Czyli że... Dave śledził na bieżąco prywatne życie upatrzonych przez siebie osób. Zna ich rodziny, przyjaciół, i wie, jak to wykorzystać.

Wysiadła z windy i przeszła przez hol.

- Jak na świra, zamkniętego w więzieniu o zaostrzonym rygorze, udało mu się zdobyć wiele informacji. - Zatrzymała się przed drzwiami i stała, patrząc na sypiący równo śnieg. - Peabody, masz pozwolenie na loty pozaplanetarne?

- Jasne. Bez niego nie zatrudniliby mnie w policji.

- Racja. W takim razie jedź do domu i się spakuj. Chcę, żebyś pierwszą okazją, jaką uda nam się załatwić, udała się do Rexal. Razem z McNabem możecie wszystko na miejscu obejrzeć. Znajdźcie komputer, do którego miał dostęp Palmer.

Początkowe podniecenie Delii, wywołane perspektywą lotu poza Ziemię, szybko zgasło.

- Z McNabem? Niepotrzebny mi McNab.

- Kiedy znajdziesz komputer, będzie ci potrzebny dobry elektronik. - Eve otworzyła drzwi i podmuch zimnego powietrza ochłodził gniewne wypieki na policzkach Peabody.

- Jest okropnie upierdliwy.

- Nie przeczę, ale zna się na swojej robocie. Jeśli Feeney może się bez niego chwilowo obejść, stworzycie ekipę pozaziemską. - Sięgnęła po komunikator, zamierzając przerwać Feeneyowi sen i puścić maszynę w ruch. Ale usłyszawszy krzyk, dobiegający od strony najbliższego skrzyżowania, zamiast komunikatora wyciągnęła broń.

Popędziła na zachód, ślizgając się na przysypanym śniegiem chodniku. Dała znak Dalrymple'owi, żeby został na swoim stanowisku w furgonetce do obserwacji.

Najpierw zobaczyła kobietę w eleganckim, czarnym futrze, która przywarła do mężczyzny w płaszczu narzuconym na smoking. Mężczyzna próbował osłaniać twarz krzyczącej i nieco ją uciszyć. Ale ostry piskliwy głos świadczył, że niezbyt mu się to udawało.

- Policja! - krzyknął, widząc Peabody i Eve, biegnące w ich stronę. - Jest policja, skarbie. Mój Boże, mój Boże, co się dzieje z tym miastem? Wyrzucił je nam prosto pod nogi.

Eve zobaczyła, że „je” odnosiło się do ciała Carla Niessana. Jego nagie i zmaltretowane zwłoki leżały na wznak tuż przy krawężniku. Zauważyła, że ogolono mu głowę, delikatna skóra była poobcierana i poparzona. Kolana miał roztrzaskane, z ust wystawał czarny język. Charakterystyczna pętla głęboko wpijała się w szyję. A z liter,

wyciętych na klatce piersiowej, jeszcze sączyła się krew.

BIADA WAM, UCZONYM W PRAWIE!

Krzyk kobiety przemienił się teraz w zawrodoenie. Eve starała się go nie słyszeć. Nie odrywając wzroku od ciała, wyjęła komunikator.

- Tu porucznik Eve Dallas. Mam przypadek zabójstwa. - Podała dyżurnemu potrzebne informacje, a potem zwróciła się do mężczyzny: - Mieszka pan w pobliżu?

- Tak, tak, w tym budynku na rogu. Właśnie wracaliśmy z imprezy, kiedy...

- Moja pomocnica zaprowadzi pana towarzyszkę do domu, żeby nie musiała na to patrzeć i marznąć na dworze. Będzie nam potrzebne jej zeznanie. Byłabym wdzięczna, gdyby pan został tu ze mną kilka minut.

- Naturalnie. Kotku. - Starał się uwolnić od kobiety, która kurczowo, trzymała go za szyję. - Żabciu, pójdziesz z policjantką do domu.

- Peabody - zwróciła się do niej Eve półgłosem. - Zabierz stąd tę żabię i postaraj się wyciągnąć z niej, ile się da.

- Tak jest, pani porucznik. Proszę pozwolić ze mną. - Peabody odciągnęła kobietę od mężczyzny.

- Doznaliśmy wstrząsu - ciągnął. - Moja żona jest bardzo wrażliwa. Co za przeżycie.

- Zgadza się z panem. Czy mogę prosić o państwa dane?

- Co? Och. George i Maria Fitzgerald. Eve zapisała ich nazwisko i adres. Wiedziała, że za kilka minut zbiegnie się tłum gapiów. Nawet zblazowani nowojorczyki zainteresują się nagim trupem na Madison Avenue.

- Czy mógłby pan... Proszę spojrzeć na mnie - dodała, kiedy George Fitzgerald dalej gapił się na zwłoki. Lekko zzieleniał. - Proszę spojrzeć na mnie - powtórzyła - i spróbować mi powiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

- Wszystko działo się tak szybko, było takie niespodziewane. - Powoli zaczynało w pełni do niego docierać, co się stało, bo ręka, którą przycisnął do twarzy, drżała. - Akurat wracaliśmy od Andersonów. Dziś wieczorem wydali przyjęcie. Mieszkają zaledwie jedną przecznicę od nas, więc wybraliśmy się do nich pieszo. Akurat przechodziliśmy przez jezdnię, kiedy rozległ się pisk opon. Właściwie nie zwróciłem na to uwagi... Wie pani, jak ludzie jeżdżą w Nowym Jorku.

- Tak, proszę pana. Co pan zobaczył?

- Chyba odruchowo się obejrzałem za siebie. Zobaczyłem samochód, chyba czarny. Właściwie nie samochód, tylko terenówkę. Zatrzymała się tutaj. Dokładnie tu. Na śniegu wciąż widać ślady opon. Potem otworzyły się drzwiczki. Ktoś wypchnął... Dosłownie

wyrzucił tego biedaka tuż obok nas.

- Widział pan kierowcę? - Tak, i to całkiem wyraźnie. To skrzyżowanie jest bardzo rześcicie oświetlone. To był młody, przystojny mężczyzna. Jasnowłosy. Uśmiechnął się... Uśmiechnął się do mnie, kiedy otworzył drzwiczki. Chyba odpowiedziałem mu uśmiechem. Miał twarz, która skłania ludzi do uśmiechu. Jestem pewien, że mogę go zidentyfikować. Na sto procent. - Tak.

Eve wypuściła powietrze z płuc i patrzyła, jak wiatr porywa biały obłoczek pary. Nadjechały pierwsze radiowozy. Chciałeś, żeby cię widziano, prawda, Dave?, pomyślała. I chciałeś, żebym była blisko, bardzo blisko, kiedy będziesz się pozbywał zwłok Carla.

- Może pan iść do domu, do swojej żony, panie Fitzgerald. Będę w kontakcie.

- Tak, naturalnie. Dziękuję. Jest... Jest poświęteczny tydzień - powiedział szczerze zdumiony. - Mieszkam w tym mieście, wiem, że zdarzają się okropne rzeczy. Ale przecież mamy poświęteczny tydzień.

- Raduj się, świecie - mruknęła Eve, spoglądając za oddalającym się mężczyzną. Odwróciła się i rozkazała mundurowym, żeby zabezpieczyli miejsce wydarzenia i przygotowali je na przybycie ekipy techników. Potem przykucnęła obok zwłok Carla i przystąpiła do pracy.

ROZDZIAŁ 9

Spędziła większość następnych trzydziestu godzin, szukając tego, co przeoczyła. Bo była pewna, że coś jej umknęło. Ponieważ Peabody znajdowała się poza Ziemią, Eve wszystko robiła sama. Raz za razem przeglądała zdjęcia, analizowała informacje i studiowała sprawozdania.

Osobiście udała się zarówno tam, gdzie umieszczono Justine i jej rodzinę, jak i do domu Miry. Sprawdziła elektroniczne bransolety, żeby się upewnić, że są w idealnym stanie.

Nie dotrze do nich, zapewniała sama sobie, krążąc po gabinecie. Ponieważ byli poza jego zasięgiem, nie będzie miał wyboru, tylko spróbuje dopaść ją.

Jezu, jak chciała, żeby to zrobił.

Wiedziała, że popełnia błąd, traktując to śledztwo jak osobisty pojedynek. Ale zbyt wyraźnie widziała jego twarz, słyszała jego łagodny głos:

„Bo widzi pani, porucznik Dallas, pani praca to nic więcej, jak tymczasowe rozwiązanie. Niczego pani nie zmienia. Bez względu na to, ilu kryminalistów pani dziś zamknie, jutro będzie ich tyle samo, jeśli nie więcej. Natomiast to, co ja robię, wszystko odmieni. Dam odpowiedź na pytania, zadawane przez każdego człowieka. Ile to jest «zbyt dużo», ile zaakceptuje, zniesie, jeśli pani woli, ludzki mózg, nim się wyłączy? I zanim to nastąpi, jakie myśli, jakie impulsy powstają w mózgu, kiedy umiera ciało?

Pani porucznik, śmierć stanowi główny przedmiot zainteresowania zarówno pani pracy, jak i mojej. I chociaż obydwójce lubimy brutalność, która jej towarzyszy, na końcu to ja będę znał odpowiedzi. A pani będzie miała jedynie więcej pytań”.

Eve pomyślała, że teraz ma tylko jedno pytanie: Gdzie jesteś, Dave?

Znów wróciła do swojego komputera.

- Otwórz akta Palmera, H3492 - G. Porównaj wszystkie pliki i informacje, dotyczące Davida Palmera. Sprawdź, jakie jest prawdopodobieństwo, że David Palmer przebywa obecnie w Nowym Jorku?

Pracuję... Na podstawie posiadanych informacji prawdopodobieństwo, że Palmer obecnie przebywa na terenie miasta Nowy Jork wynosi dziewięćdziesiąt siedem przecinek sześć.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że Palmer zamieszkał w prywatnym domu?

Pracuję... Prawdopodobieństwo, że Palmer mieszka teraz w prywatnym domu, wynosi dziewięćdziesiąt pięć przecinek osiem.

- Wiedząc, kim są trzy pozostałe ofiary Palmera, kogo spróbuje teraz porwać?

Pracuję... Największe prawdopodobieństwo, że będzie to porucznik Eve Dallas. Uwzględniając aktualną sytuację, próby porwania pozostałych osób, to jest Polinsky i Miry, są pozbawione logiki.

- I właśnie taką masz nadzieję. Odwróciła głowę. Roarke stał w drzwiach pomiędzy ich gabinetami i przyglądał się jej.

- Na to liczę.

- Dlaczego nie nosisz elektronicznej bransolety?

- Nie mają takiej, która pasuje do mojego stroju. -

Wyprostowała się i odwróciła, by znaleźć się twarzą w twarz z nim. - Wiem, co robię.

- Czyżby? - Podeszedł do niej. - A może straciłaś dystans? Palmer nie daje ci spokoju, Eve. Wyprowadził cię z równowagi. To, co was łączy, przemieniło się niemal w zażyłość.

- Zawsze tak jest.

- Być może. - Przesunął palcem po jej policzku. Oczy miała podkrążone, była blada. Wiedział, że teraz kieruje nią upór. Już wcześniej ją taką widział. - Tak czy owak, sprawiłaś, że musiał przerwać swoje doświadczenia. Nie ma obecnie nikogo, na kim mógłby je przeprowadzać.

- Nie będzie długo siedział beczynnie. Żeby to wiedzieć, niepotrzebna mi analiza komputerowa. Do końca roku pozostało nam niespełna czterdzieści godzin. Nie chcę rozpoczynać nowego roku wiedząc, że Palmer jest na wolności. On nie będzie go chciał rozpocząć beze mnie.

- Ja też nie.

- Ty nie będziesz musiał. - Ponieważ wyczuła, że Roarke tego potrzebuje, przytuliła się do niego i pocałowała go w usta. - Jesteśmy umówieni.

- Trzymam cię za słowo. Kiedy chciała się od niego odsunąć, objął ją i przyciągnął do siebie.

- Jeszcze nie skończyłem - mruknął i pocałował ją tak namiętnie, aż krew zaczęła jej szybciej krążyć w żyłach.

Przez chwilę nie istniało nic innego tylko jego zapach, jego mocny uścisk, pożądanie, które za każdym razem budzili w sobie nawzajem. Poddanie się temu było czymś równie naturalnym, jak oddychanie.

- Roarke, pamiętasz, jak w Wigilię rozebraliśmy się do naga i poszliśmy na całość?

- Mmm. - Zaczął całować ucho Eve, poczuł, jak przeszedł ją dreszcz. - Chyba coś niecoś sobie przypominam.

- Przygotuj się na powtórkę w sylwestra. - Ujęła dłońmi jego twarz i uśmiechnęła się do niego. - Postanowiłam, że stanie się to jedną z naszych świątecznych tradycji.

- Wielce sobie cenię tradycje.

- Ja też. Ale jeśli teraz jeszcze bardziej się rozgrzeję, nie skończę swojej roboty, więc...

Zadzwiećtało jej łącze. Zostawiła Roarke'a, by odebrać wiadomość.

- Dallas.

- Pani porucznik. - Twarz Peabody pojawiła się, potem zniknęła, znów się pojawiła, chociaż obraz był trochę niewyraźny.

- Peabody, albo połączenie jest kiepskie, albo wyrósł ci drugi nos.

- Mają tu jeszcze gorszy sprzęt od tego w naszej komendzie. - Jej słowom towarzyszył syk wywołany przez zakłócenia elektrostatyczne. - A o jedzeniu w ogóle lepiej nie mówić. Planując następny wyjazd urlopowy, unikaj Rexala.

- A był na pierwszym miejscu na mojej liście. Co masz dla mnie?

- Chyba nastąpi przełom. Dotarliśmy przynajmniej do jednego komputera, do którego Palmer miał dostęp. Znajduje się w kaplicy. Przekonał księdza, że odnalazł Boga. Chciał czytać Pismo Święte i napisać książkę o zbawieniu.

- Alleluja! Czy McNab może się włamać do jego plików?

- Twierdzi, że tak. Zamknij się, McNab. - Peabody odwróciła głowę. To, że jej twarz stała się pomarańczowa, mogło być spowodowane złością lub zakłóceniami na linii. - Składam raport. I melduję, pani porucznik, że detektyw McNab nadal jest strasznie upierdliwy.

- Zrozumiałam. Co udało mu się ustalić do tej pory?

- Znalazł pliki o książce, którą posłużył się Palmer, by zbajerować księdza. I twierdzi, że powoli dotrze do wszystkiego. Ej!

Szumy stały się głośniejsze, na wyświetlaczu pojawiły się kolorowe plamy, linie, cyfry. Eve przycisnęła palce do powiek, modląc się o cierpliwość.

Pojawiła się wesoła, urodziwa twarz McNaba. Eve zauważyła, że spec od elektroniki w jednym uchu miał sześć malutkich srebrnych kółeczek. Czyli nie zdobył się na to, by wyglądać nobliwiej podczas wizyty w ośrodku resocjalizacyjnym.

- Dallas, ten gość zna się na elektronice, więc zabezpieczył swoje osobiste pliki, ale... Spadaj, Peabody, to moja działka. Tak czy inaczej, pani porucznik, usuwam teraz zabezpieczenia. Ukrył te pliki w swoim dziele chwalcącym Pana. Ale już wkrótce zacznę je wyłuskiwać. Jedyne utrudnienie, pomijając Peabody, stanowi łączność z panią. Dysponujemy

tu bardzo kiepskim sprzętem, poza tym trwa burza meteorytowa lub coś w tym rodzaju. Przewiduję, że sprawi nam to trochę kłopotów.

- Czy moglibyście pracować na komputerze na pokładzie transportowca?
- Jasne. Czemu nie?
- Skonfiskujcie komputer, złapcie pierwszą okazję powrotną. Meldujcie po drodze, jeśli coś znajdziecie.
- Rety, ale heca. Konfiskata. Słyszałaś, Peabody? Konfiskujemy to małe draństwo.
- Nie traćcie czasu - poleciła Eve. - Gdyby sprawiali wam jakieś kłopoty, niech naczelnik skontaktuje się ze mną. Rozłączam się.

*

Eve pojechała do komendy, po drodze trzy razy niepotrzebnie się zatrzymując. Jeśli Palmer postanowi ją dorwać, zrobi to na ulicy. Wie, że nigdy by mu się nie udało pokonać zabezpieczeń, broniących dostępu do twierdzy Roarke'a. Ale nie zauważyła, by ktokolwiek za nią jechał, czy też ją śledził.

Nawet więcej. Nie czuła jego obecności.

Czyżby zamierzał ją dopaść w komendzie? - zastanawiała się, jadąc na górę, do wydziału przestępstw elektronicznych, by skonsultować się z Feeneyem. Już raz przebrał się za gliniarza, żeby dostać się do Carla. Mógł znów włożyć mundur, wślizgnąć się do przypominającego labirynt budynku i wmieszać się w tłum innych policjantów.

Byłoby to ryzykowne, ale takie ryzyko tylko zwiększało emocje, dawało dodatkowe zadowolenie.

Jadąc, przyglądała się twarzom mijanych funkcjonariuszy mknących na Ślizgaczach w górę, pod wiatami, na korytarzach, obok boksów i gabinetów.

Kiedy przekazała Feeneyowi najświeższe wiadomości i załatwiła mu możliwość konsultowania się z McNabbem podczas jego powrotu na Ziemię, wcisnęła się do zatłoczonej windy, żeby pojechać do komendanta Whitneya.

Cały ranek krążyła po budynku, wprost prosząc się o spotkanie z Palmerem, a po południu znów udała się w teren.

Ponownie pojechała do domów, które wcześniej obejrzała razem z Peabody. Spacerowała ulicami. Kupiła okropną kawę w ulicznej budce, stała na zimnie i przy budce, w dymie sojdogów opiekanych na ruszcie.

Na co, u diabła, on czeka? - zastanawiała się z niesmakiem, wrzucając kubeczek po kawie do kosza na śmieci. Słyszac warkot silnika, obejrzała się za siebie. I znalazła się oko w

oko z Palmerem.

Siedział w samochodzie, uśmiechając się szeroko. Teatralnym gestem posłał jej całusa. Rzuciła się przed siebie, ale dodał gazu i pognął na południe.

Wskoczyła do swojego wozu i ruszając z piskiem opon, połączyła się z dyspozytorem.

- Tu porucznik Eve Dallas. Zawiadomić wszystkie jednostki w pobliżu Park Avenue i Osiemdziesiątej. Ścigam podejrzanego o zabójstwo. Porusza się nowym, czarnym boosterem - 6Z na nowojorskich numerach rejestracyjnych DA - 04821. Jedzie przez Park na południe.

- Dyspozytor do Dallas. Potwierdzam przyjęcie zgłoszenia. Jednostki powiadomione. Czy masz w zasięgu wzroku pojazd ściganego?

- Nie. Podejrzany wzbil się w powietrze na rogu Park i Osiemdziesiątej i z dużą szybkością skierował na południe. Jest niebezpieczny, może być uzbrojony.

- Rozumiem.

- Dokąd pojechałeś, dokąd pojechałeś, ty mały skurwielu? - Eve waliła pięściami w kierownicę, jadąc Park Avenue, mijając przecznice, zawracając. - Za szybko zniknąłeś. Twoja meta musi być gdzieś blisko.

Starła się opanować, kierować się rozumem, a nie emocjami. Szukała go jeszcze przez pół godziny, chociaż już wiedziała, że to daremne. Wjechał do garażu albo na parking w kilka minut po tym, jak go zobaczyła. Kiedy miał pewność, że go zobaczyła.

To oznaczało sprawdzanie wszystkich miejsc parkingowych w trzech sektorach. Prywatnych i publicznych. Zajmie to wiele dni. Wydział nie oddeleguje więcej ludzi, żeby szybciej przeprowadzić tę akcję.

Siedziała w samochodzie w nadziei, że Palmer spróbuje jeszcze raz zagrać jej na nosie. Po odwołaniu pościgu sama wolno przeczesywała teren, by w ten sposób wyładować frustrację. W końcu, kiedy zapadł zmrok, pojechała do domu, przeklinając samochody sunące w żółtym tempie.

Nawet nie przygadała Summersetowi, chociaż dał jej liczne powody. Wzięła na ręce kota, który ocierał jej się o nogi, i poszła na piętro. Zamierzała wziąć gorący prysznic, wypić wiadro kawy i znów zabrać się do pracy.

Ale zamiast tego padła na łóżko. Galahad wskoczył na nią, umościł się wygodnie, zwinął w kłębek i czuwał, wpatrując się zmrużonymi ślepiami w drzwi.

I tak ich zastał Roarke godzinę później.

- Przejmuję wartę - mruknął, drapiąc kota między uszami. Ale kiedy zaczął okrywać żonę kocem, Eve się poruszyła.

- Nie śpię. Ja tylko...

- Dajesz odpocząć oczom. Wiem. - Roarke położył się obok i odgarnął włosy z jej policzka. - Daj im odpocząć jeszcze trochę.

- Widziałam go dziś. Ten sukinsyn był trzy metry ode mnie i zgubiłam go. - Znów zamknęła oczy. - Chce mnie wkurzyć, żebym przestała myśleć. Może mu się to udało, ale teraz znów mogę myśleć.

- I co sobie myślisz, moja pani porucznik?

- Że zbyt liczyłam na to, że go znam, że wiem, jak rozumuje. Szukałam go, nie biorąc pod uwagę jednego istotnego czynnika.

- Mianowicie? Znów otworzyła oczy.

- Że to świr. - Przekręciła się na wznak i spojrzała na ciemne niebo, widoczne przez świetlik. - Nie można przewidzieć, co zrobi szaleniec. Jakkolwiek nazwą to psychiatrzy, rzecz sprowadza się do jednego. Nie ma żadnego logicznego wytłumaczenia takiego stanu. Po prostu jest się szaleńcem i tyle. Starłam się przewidzieć coś, co jest nieprzewidywalne. Dlatego nie udaje mi się go dopaść. Tym razem nie chodzi mu o eksperymenty. To odpłata. Pozostałe nazwiska na liście są przypadkowe. Chodzi mu o mnie. Potrzebował tamtych osób, żeby dotrzeć do mnie.

- Już wcześniej doszłaś do takiego wniosku.

- Owszem, ale nie widziałam tego, co teraz: że jest gotów umrzeć, o ile mnie załatwi. Nie zamierza wrócić do więzienia. Widziałam dziś jego oczy. Już są martwe.

- Co jedynie czyni go bardziej niebezpiecznym.

- Musi znaleźć sposób, jak do mnie dotrzeć. I będzie ryzykował. Ale nie pójdzie na całość, póki mnie nie załatwi. Potrzebna mu przynęta. Dobra przynęta. Musi wiedzieć o tobie.

Usiadła i odgarnęła włosy do tyłu.

- Chcę, żebyś nosił elektroniczną bransoletę. Roarke uniósł brew.

- Zgodzę się, jeśli ty też ją włożysz.

Na twarzy Eve drgnął mięsień; zacisnęła zęby.

- Źle się wyraziłam. Będziesz nosił tę bransoletę.

- Wydaje mi się, że nie można nikogo do tego zmusić, chyba że ktoś popełnił przestępstwo. - Roarke też usiadł i ujął ją pod brodę. - Nie dotrze do ciebie, wykorzystując mnie. To mogę ci obiecać. Ale jeśli chcesz, żebym paradował w elektronicznych kajdankach, sama też musisz je włożyć. Ponieważ tego nie zrobisz, uważam, że ta rozmowa jest bezprzedmiotowa.

- Do jasnej cholery, Roarke. Mogę cię wsadzić do aresztu prewencyjnego. Mogę rozkazać, żeby podsłuchiowano wszystkie twoje rozmowy, żeby nie odstępowano cię ani na

krok...

- Nie - przerwał jej i rozwścieczył Eve, całując ją lekko. - Nie możesz. Moi prawnicy zakwestionują wszystkie twoje nakazy. Więc daj spokój. - Mocniej zacisnął dłoń na jej brodzie, żeby nie mogła znów go przekląć. Tym razem nie był to lekki pocałunek, w oczach Roarke'a nie zabłyśły iskierki rozbawienia. - Codziennie wychodzisz z domu, by wykonywać pracę, w której stale narażasz swoje życie na niebezpieczeństwo. Nie proszę cię, żebyś to rzuciła. Między innymi dlatego się w tobie zakochałem. W tym, kim jesteś, co robisz i dlaczego. Nie proszę, żebyś z tego zrezygnowała - powtórzył. - Więc ty też mnie o to nie proś.

- To tylko środek ostrożności.

- Nie, to kapitulacja. W przeciwnym razie sama byś je nosiła. Eve otworzyła usta, po chwili je zamknęła, odsunęła się od niego i wstała.

- Nienawidzę, kiedy masz rację. Naprawdę. Wezmę prysznic. I nawet nie myśl o tym, żeby przyjść do mnie i próbować czegokolwiek, ponieważ w tej chwili nie bardzo mam ochotę na ciebie patrzeć.

Roarke tylko wyciągnął rękę, złapał Eve i pociągnął z powrotem na łóżko.

- Spróbuj to powtórzyć za pięć minut - rzucił jej wyzywająco i położył się na niej.

Przez pięć minut nie odzywała się, przez pół godziny ledwo mogła coś z siebie wydusić. A kiedy w końcu udała się do łazienki, żeby wziąć prysznic, krew nadal buzowała w jej żyłach. Doszła do wniosku, że lepiej nic nie mówić, kiedy Roarke do niej dołączył. Tylko rozbudzi w nim chęć rywalizacji.

Milcząc wyszła spod prysznicza, żeby się osuszyć. Miała bardzo ładny widok. Na tyle się odprężyła, że mogła się nim rozkoszować. Przyglądała się, jak strumienie wody smagają Roarke'a, kiedy ją owiewało gorące powietrze.

Była w sypialni i akurat wkładała starą bluzę, ozdobioną napisem NYPSD, myśląc o kawie i długim wieczorze wypełnionym pracą, kiedy zadzwonił jej telefon. Nieco zirytowana, że ktoś połączył się na jej domowy numer, wzięła aparat z szafki nocnej.

- Dallas.

- Miło było spotkać się dziś z panią twarzą w twarz.

- Cześć, Dave. - Wolną ręką sięgnęła do kieszeni, włączyła komunikator i wstukała kod Feeneya. - Niezła fura.

- Tak. Bardzo mi się podoba. Szybka, niezawodna, przestronna. Wygląda pani na nieco zmęczoną, pani porucznik. Jest pani błada. Jak zwykle przepracowana? Wielka szkoda, że nie mogła się pani cieszyć świętami.

- Były miłe chwile.

- Moje dały mi bardzo dużo zadowolenia. - Jego urodziwą twarz rozpromienił uśmiech. - Jak dobrze móc znów pracować. Chociaż przez ostatnie lata nie siedziałem beczynnie. Ale jestem pewien, że zgodzi się pani ze mną, iż nie ma to, jak Nowy Jork. Nie ma to, jak być w domu i robić to, co się najbardziej kocha.

- Wielka szkoda, że niezbyt długo tu zabawisz.

- Och, zamierzam tu być wystarczająco długo, by jutro obejrzeć uroczystości na Times Square. Powitać Nowy Rok. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że razem to obejrzymy.

- Przykro mi, Dave, ale mam inne plany. - Kącikiem oka obserwowała, jak Roarke wyszedł z łazienki. Jak trzymając się poza zasięgiem telefonu, podszedł do komputera, stojącego w sypialni, i zaczął coś wstukiwać na klawiaturze.

- Sądzę, że je pani zmieni. Kiedy się pani dowie, kogo jeszcze zaprosiłem. Zabrałem ją dopiero co. Wkrótce powinna pani mieć telefon od strażników, których tam pani zostawiła. Policjanci nic a nic nie zmyślili przez te lata, kiedy mnie tu nie było. - Roześmiał się czarująco. - Nakręciłem dla pani krótki film, Dallas. Proszę na niego rzucić okiem. Skontaktuję się z panią później, żeby powiedzieć, co ma pani zrobić, żeby nadal cieszyła się życiem.

Na wyświetlaczu pojawił się inny obraz. Eve krew ścięła się w żyłach, kiedy zobaczyła w klatce nieprzytomną, bladą kobietę. Jedna bezwładna ręka wisiała między prętami.

- Połączenie z publicznego aparatu - powiedział Roarke za jej plecami. - Na Grand Central.

Niewyraźnie usłyszała, jak Feeney przekazywał na jej komunikator tę samą informację. Radiowozy już tam jechały.

Umknie im. Naturalnie wiedzieli, że im umknie.

- Ma Mirę. - Tylko tyle zdołała z siebie wykrztusić. - Ma Mirę.

ROZDZIAŁ 10

Starła się nie ulec panice, ale żołądek jej się ścisnął, a serce podeszło do gardła. Ręce tak jej się trzęsły, aż musiała je zacisnąć w pięści.

Eve walczyła, by nie pozwolić, żeby panika zupełnie nią zawładnęła, kiedy chodziła po mieszkaniu Miry, kiedy znalazła na podłodze w gabinecie elektroniczną bransoletę.

- Posłużył się narzędziami laserowymi. - Jej głos był pewny i opanowany, kiedy wkładała bransoletę do torby. - Przewidział, że będzie ją miała, i zabrał ze sobą to, co trzeba, by ją zdjąć.

- Sanitariusze zajęli się strażnikami. Dwaj, czuwający przed domem, zostali tylko ogłuszeni, ale jeden z tych, którzy pilnowali jej w środku, jest w kiepskim stanie. - Feeney przykucnął obok Eve. - Wygląda na to, że Palmer dostał się od podwórka, ominął alarm jak zawodowiec, i zaatakował strażnika w kuchni, posłużył się paralizatorem, żeby załatwić go szybko i po cichu. Sądząc po wyglądzie pokoju dziennego, z drugim miał trochę więcej zachodu. Stoczyli tu regularną bitwę. Mira musiała być na górze. Jeśli zamknęła drzwi i pracowała, niczego nie słyszała. Pokój jest w pełni dźwiękoszczelny.

- Czyli eliminuje strażników, czterech doświadczonych gliniarzy, wparowuje do gabinetu, przecina jej bransoletę i jak gdyby nigdy nic opuszcza mieszkanie. Nie doceniliśmy go, Feeney. - Nigdy sobie tego nie wybaczy. - To nie ten sam człowiek, którego poprzednio zatrzymałam. Nie tracił czasu, doksztalcał się, dbał o sprawność fizyczną. Dobrze wykorzystał trzy lata za kratkami.

- Mira wie, jak pracuje jego umysł. - Feeney położył dłoń na jej ramieniu. - I jak postępować z takimi ludźmi. Wykorzysta tę wiedzę. Zachowaj spokój i wykorzystaj swoją wiedzę.

- Nikt nie potrafi przewidzieć, jak pracuje jego umysł. To, że tak uważałam, od samego początku było źródłem naszych problemów. Zawaliłam sprawę, Feeney, i Mira za to zapłaci.

- Mylisz się. Twój jedyny błąd polega na tym, że teraz tak myślisz.

- Przypuszczałam, że wykorzysta Roarke'a jako przynętę. Bo jeśli się interesował moją osobą, wie, jak najdotkliwiej mnie zranić. - Starła się oddychać wolno, prostując się. - Ale zna mnie lepiej, niż podejrzewałam. Wie, jak bardzo mi na niej zależy.

- I liczy na to, że teraz się rozkleisz. Pozwolisz mu na to?

- Nie. - Znów wciągnęła głęboko powietrze w płuca i po chwili je wypuściła. - Nie.

Potrzebny mi McNab. Kiedy wracają?

- Jutro w południe. Są jakieś opóźnienia. I zakłócenia na łączach, ale wiem, że dokopał się do jakichś operacji finansowych.

- Prześlij wszystko, co masz, na mój domowy komputer. Będę pracowała u siebie.

- Chcemy założyć podsłuch na twój domowy telefon.

- Domyśli się tego, ale i tak to zrobimy. - Spojrzała Feeneyowi prosto w oczy. - Podejmiemy wszelkie kroki.

- Odbijemy ją, Dallas.

- Jasne, że tak. - Obróciła w rękach torbę na dowody rzeczowe, w której umieściła elektroniczną bransoletę Miry.

- Jeśli coś jej zrobi, zabiję go. - Znow uniosła wzrok. - Nie cofnę się przed niczym, żeby go załatwić.

Kiedy wyszła z mieszkania Miry, czekał na nią Roarke. Nie oponowała, gdy postanowił z nią pojechać, a teraz była mu wdzięczna, że tu jest i zawiezie ją do domu, bo mogła całą uwagę skupić na śledztwie.

- Feeney prześle mi informacje - powiedziała, wsiadając do samochodu. - Dotyczą finansów. Ty szybciej się w nich połapiesz. Technicy sprawdzą dom Miry, ale wątpię, by zostawił jakieś ślady. Zresztą tym razem nie chodzi o zidentyfikowanie sprawcy. Peabody i McNab wrócą dopiero jutro w południe, więc musimy się opierać na tym, co uda im się nam podesłać podczas lotu.

- Rzuciłem okiem na alarm i zabezpieczenia. Bardzo dobry system. Posłużył się skomplikowanym urządzeniem, by go obejść, nie uruchamiając aparatury. To nie coś, do czego ma łatwy dostęp zwykły obywatel. Mogę ci pomóc ustalić, skąd to wziął.

- W tej chwili nie ma to znaczenia. Zajmiemy się tym później. To jeszcze jeden trop, który pozostawił, sądząc, że będę traciła czas, podążając nim, by ostatecznie nic nie wskórać.

Potarła oczy, żeby się pozbyć bólu głowy.

- Mundurowi przepytują okolicznych mieszkańców. Może któryś z sąsiadów coś widział lub słyszał. Nic to nie da, ale takie są wymogi procedury. Może będziemy mieli szczęście.

Zamknęła oczy i zmusiła się do myślenia, przewyciężając lęk.

- Mira ma czas do jutra do północy. Dave chce, żeby to było coś symbolicznego i zgodnego z tradycją. Chce powitać Nowy Rok ze mną, będzie mu potrzebna, żeby mnie do siebie zwabić.

Roarke pomyślał, że głos Eve jest zbyt opanowany. Zbyt go kontroluje. Dostrzegł

w jej oczach cień paniki i rozpacz. Nie skomentował tego. Kiedy dotarli do domu, Eve ruszyła prosto do swojego gabinetu i otworzyła wszystkie potrzebne pliki.

Przypięła do tablicy wydruki. Kiedy przesuwiała zdjęcie Miry z jednego miejsca na drugie, palce jej drżały.

- Eve. - Ujął ją za ramiona i odwrócił w swoją stronę. - Nie duś tego w sobie.

- Nie mogę. Nie rozmawiaj ze mną.

- Nie dasz rady pracować w takim stanie. - Mocniej ją złapał, kiedy próbowała mu się wyrwać. - Nie duś tego w sobie - powtórzył łagodniej. - Wiem, ile ona dla ciebie znaczy.

- Boże. - Objęła go i wtuliła twarz w jego szyję. - O, Boże. Nic przez chwilę nie mów. Nic nie mów.

Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze, jedna fala za drugą. Nie płakała, ale kiedy ją tulił jej oddechy były niemiarkowe.

- Nie mogę myśleć o tym, co może jej zrobić. Jeśli zacznę się nad tym zastanawiać, przegram.

- Więc pamiętaj, że ona jest silna i inteligentna. Będzie wiedziała, jak się zachować.

- Tak. - Jej łącze poinformowało, że odebrało wiadomość.

- To informacje dotyczące finansów.

- Już się do nich biorę. - Puścił ją. - Nie wygra tej rundy.

- Masz rację.

*

Pracowała, aż oczy i umysł zaszły jej mgłą, potem napiła się kawy i znów wróciła do roboty. Tuż po drugiej w nocy Feeney podesłał jej więcej danych. Dzięki temu wiedziała, że on, Peabody i McNab też jeszcze działają.

- W zasadzie - powiedział Roarke - to tylko potwierdzenie tego, o czym już wiemy. Konta, przekazy. Trzeba znaleźć coś jeszcze. Trzeba na to spojrzeć pod innym kątem. -

Uniósł wzrok i zobaczył, że Eve wprost siania się na nogach. - A tobie potrzeba snu.

Sprzeciwiłaby się, ale byłaby to tylko strata czasu.

- Obojgu nam potrzebny sen. Zdrzemniemy się trochę. Możemy się położyć na amerykańce. Chcę być blisko komputera.

Nawet kofeinie nie udawało się pokonać jej skrajnego wyczerpania. Ledwo zamknęła oczy, a natychmiast zapadła w sen. I dopadły ją koszmary.

Obrazy Miry, trzymanej w klatce, zlewały się ze wspomnieniami z jej własnego dzieciństwa, kiedy zamykano ją w pokoju. I tu, i tu rządziły rozpacz, ból, przerażenie.

Przyjdzie - Palmer, jej ojciec - przyjdzie i zrobi jej krzywdę, bo mógł to zrobić. Bo sprawiało mu to przyjemność. Bo nie mogła go powstrzymać.

Póki go nie zabiła.

Ale nawet wtedy wracał i dręczył ją w snach.

Jęknęła przez sen i mocniej przytuliła się do Roarke'a.

Obudził ją zapach kawy i jedzenia. Usiadła gwałtownie, zamrugła powiekami w panujących ciemnościach i zorientowała się, że leży sama na amerykańskiej łóżeczce. Chwiejnym krokiem poszła do kuchni i zobaczyła, że Roarke już wyjmując śniadanie z autokucharki.

- Musisz coś zjeść.

- Dobrze. - Ale najpierw napiła się kawy. - Zastanawiałam się nad tym, co powiedziałaś, że trzeba na to spojrzeć pod innym kątem. - Usiadła, bo przysunął jej krzesło, i zaczęła jeść, bo postawił talerz tuż pod jej nosem. - A jeśli kupił lub wynajął coś w Nowym Jorku, zanim tu przyjechał? Rok temu, dwa lata temu?

- Całkiem możliwe. Wciąż nie znalazłem żadnych dowodów zapłaty.

- Muszą gdzieś być. - Usłyszała, jak w drugim pokoju dzwoni jej telefon, i zerwała się z krzesła. - Zostań tu i postaraj się to odszukać.

Rozmyślnie usiadła za biurkiem, przybrała obojętną minę.

- Dallas.

- Dzień dobry, pani porucznik. Mam nadzieję, że dobrze pani spała.

- Doskonale, Dave. - Zaciśnęła w pięść rękę, którą trzymała pod biurkiem.

- To dobrze. Chcę, żeby była pani wypoczęta przed naszym spotkaniem dziś wieczorem. Ma pani... Sprawdźmy... Och, ponad szesnaście i pół godziny, żeby tu dotrzeć. Wierzę w panią.

- Jeśli mi powiesz, gdzie jesteś, możemy wcześniej zacząć naszą randkę.

Roześmiał się, wyraźnie zachwycony.

- I zepsuć zabawę? Wolę nie. Obydwoje lubimy rozwiązywać zagadki, Dallas. Jeśli znajdzie mnie pani przed północą, doktor Mirze nic się nie stanie. Oczywiście pod warunkiem, że pojawi się pani u mnie sama. Będę wiedział, czy przyprowadziła pani nieproszonych gości, bo mam pełną kontrolę. W razie pojawienia się jakichś intruzów, pani doktor zginie w wielkich męczarniach. Chcę zatańczyć z panią, Dallas. Tylko z panią. Czy to jasne?

- Zawsze byłeś tylko ty i ja, Dave.

- No właśnie. Proszę przyjść przed północą, a dokończymy to, co zaczęliśmy trzy lata temu.

- Nie wiem, czy doktor Mira wciąż żyje. Tylko się uśmiechnął.
- Ale nie wie pani też, czy jest martwa - powiedział i się rozłączył.
- Znów dzwonił z publicznego automatu - poinformował ją Roarke. - W zarządzie portu.

- Muszę wiedzieć, gdzie się ukrył. Jeśli nie dotrę tam przed północą, zabije ją. - Wstała i zaczęła krążyć po pokoju. - Ma jakieś w pełni strzeżone lokum. Nie wciska mi kitu. Z kamerami w środku i na zewnątrz. Z czujnikami. Nie miał czasu, żeby to wszystko sam zainstalować w ciągu tygodnia, więc albo jego kryjówka już wcześniej była w to wyposażona, albo zamówił to z więzienia, korzystając z uprzywileżności kapelana.

- Możemy dotrzeć do zeznań podatkowych, planów, specyfikacji. Ale to trochę potrwa.

- Nie mamy dużo czasu. Zaczynamy.

*

O drugiej dostała wiadomość, że Peabody i McNab wylądowali. Poleciała, żeby przywieźli komputer do jej domu. Dave jest gdzieś niedaleko, znów pomyślała, i nie powinni tracić czasu na jazdę do śródmieścia.

Jak tylko pojawili się na progu, zaczęła im przedstawiać plan działania.

- McNab, zainstaluj się tutaj. Sprawdź wszystkie operacje finansowe, przekazy, połączenia na nazwisko kapelana. Albo kombinację nazwiska kapelana i Palmera. Peabody, skontaktuj się z Whitneyem, poproś o zarządzenie przeszukania wszystkich prywatnych garaży na obszarze, gdzie może przebywać sprawca. Chcę, żeby mundurowi dotarli do każdego publicznego parkingu z nakazem konfiskaty w celu przejrzenia wszystkich taśm z ostatniego tygodnia.

- Wszystkich, pani porucznik?

- Wszystkich, co do jednej. Odwróciła się na pięcie i wpadła do gabinetu Roarke'a. Korzystając z jego pomocniczego komputera, otworzyła pliki i kazała je wyświetlić na ekranie.

- Zaznaczyłam miejsca zamieszkania ofiar Palmera na niebiesko - powiedziała Roarke'owi. - Są od środkowego do górnego Manhattanu, najwięcej na East Side. Musimy się skoncentrować na prywatnych domach w tym rejonie, obejmującym dziesięć kwartałów. O ile nic szczególnego cię nie uderzy, pomiń wszystko, co do tego nie pasuje.

Poruszyła ramionami, żeby rozciągnąć napięte mięśnie i zamknęła oczy, żeby mieć czysty umysł.

- To prawdopodobnie piętrowy dom z piwnicą. W pełni dźwiękoszczelny, najprawdopodobniej z własnym garażem. Kazałam sprawdzić publiczne parkingi, ale założyłam się, że ma własny garaż. Do jasnej cholery, chce, żebym go odnalazła, więc nie może to być zbyt trudne. Chce, żebym trochę musiała pogłótkować, ale nie chce, żebym się poddała. Traktuje to jak sprawę osobistą, a beze mnie...

Urwała i się odwróciła.

- Jestem mu potrzebna. Jezu. Sprawdź akty własności, hipoteki, umowy najmu na moje nazwisko.

- To właśnie spojrzenie pod innym kątem, moja pani porucznik - mruknął Roarke i przystąpił do pracy. - Bardzo dobrze.

- Rzuć to na ekran - poprosiła, chociaż stanęła za nim, by patrzeć na monitor. Kiedy pojawiło się jej nazwisko obok wykazu ksiąg wieczystych z numerami stron, znów zakłęła. - Jak, do jasnej cholery, kupił te wszystkie nieruchomości?

- Nie należą do niego, tylko do ciebie.

- Jak to „do mnie”? Niczego nie posiadam.

- To nieruchomości, które przepisałem na ciebie - powiedział od niechcienia Roarke, przeglądając kolejne pozycje.

- Przepisałeś na mnie? Po co, do cholery? Lekko dotknął palcem jej ślubną obrączkę i oberwał kuksańca w bok.

- Nie ma za co.

- Przepisz to z powrotem na siebie. Wszystko.

- To nie takie proste. Chodzi o podatki. Naprawdę wyświadczasz mi przysługę. Nie, nie ma tu niczego, co nie należy do ciebie. Spróbujemy kombinacji nazwisk.

Miała ogromną ochotę dać upust swojemu niezadowoleniu, ale nie było na to czasu.

Znaleźli na Manhattanie trzy nieruchomości na nazwisko David Dallas.

- Uzyskaj opis nieruchomości.

- Już się robi. Trzeba minutki, żeby się włamać do archiwum ratusza. Eve zauważyła, że Roarke'owi rzeczywiście wystarczyła chwila, bo na ekranie pojawiły się informacje.

- Nie, to jakiś seksklub w centrum. Sprawdź kolejną pozycję. - Zaciśnęła ręce na oparciu jego fotela, z trudem przewyciężając zniecierpliwienie. - To poza granicami obszaru, który wytypowaliśmy, ale całkiem prawdopodobne. Zachowaj to i sprawdź ostatnią pozycję. A niech mnie. - Wypowiedziała to niemal szeptem. - Wyszła jego prawdziwa natura. To dom jego rodziców. Kupił go.

- Dwa i pół roku temu - potwierdził Roarke. - Posługując się nazwiskiem David

Dallas. Twój człowiek myśli perspektywicznie. Bardzo daleko wybiega w przyszłość. Znajdziemy konta na to nazwisko albo konto, które otworzył i zlikwidował.

- Pięć przecznic stąd. Ten sukinsyn jest pięć przecznic stąd. - Nachyliła się, pocałowała Roarke'a w czubek głowy i wróciła do swojego gabinetu. - Znalazłam go - oświadczyła. Spojrzała na zegarek. - Mamy siedem godzin, żeby wymyślić, jak go ująć.

*

Pojedzie do niego sama. Eve uparła się przy tym. Zgodziła się mieć przy sobie mikrofon. Przystała na to, żeby w promieniu pięćdziesięciu metrów od domu czekały radiowozy i posiłki. Przypięła sobie na szczęście gwiazdę szeryfa, którą dostała od Peabody, i nie ukrywając narastającego zniecierpliwienia czekała, aż Feeney sprawdzi nadajnik.

- W porządku - oświadczył. - Na filmie wideo nie widziałem żadnego sprzętu, zdolnego wykryć tę pluskwę. Zainstalowaliśmy atrapę, żeby pomyślał, że coś znalazł, i to unieszkodliwił.

- Prawidłowe rozumowanie.

- Musisz zrobić tak. - Skinął do niej głową. - Ja też tak zrobię. Ale pamiętaj, że jeśli usłyszę coś, co mi się nie spodoba, wkroczę. O, Roarke. - Cofnął się, kiedy Roarke wszedł do pokoju. - Dam wam minutę.

Roarke podszedł do niej i dotknął palcem gwiazdy szeryfa.

- Zabawne, ale wcale nie wyglądasz, jak Gary Cooper. - Jak kto? Uśmiechnął się.

- „W samo południe”, najdroższa Eve, chociaż tym razem wszystko rozegra się o północy. Za parę godzin mamy randkę.

- Pamiętam. Czeka na mnie prezent. Uda mi się.

- Tak. - Pocałował ją delikatnie. - Wiem. Pozdrów ode mnie Mirę.

- Jasne, że to zrobię. Członkowie ekipy już są na swoich miejscach. Muszę iść.

- Do zobaczenia wkrótce. Zaczekał, aż wyszła, a potem sam wyszedł z domu i jak gdyby nigdy nic wsiadł do radiowozu Feeneya.

- Pojadę z tobą. Feeney podrapał się w brodę.

- Dallas by się to nie spodobało. - Trudno. Przez ostatnie godziny zapoznawałem się z planami alarmu w domu Palmera. Mogę go zdalnie wyłączyć.

- Naprawdę? - zapytał obojętnie kapitan. Roarke odwrócił głowę i rzucił Feeneyowi spokojne spojrzenie.

- Wystarczy mi dwadzieścia minut. Feeney zasznurował usta i uruchomił silnik.

- Zobaczę, co się da zrobić.

*

Weszła do środka o dziesiątej. Uznała, że lepiej nie czekać do ostatniej chwili. Stara, urocza kamienica była w doskonałym stanie. Kamery i czujniki dyskretnie ukryto w listwach, żeby nie szpeciły fasady.

Kiedy podchodziła do drzwi, była pewna, że Palmer ją obserwuje. I cieszy się. Na chwilę spojrzała na kamerę nad głową i otworzyła zamki swoją kartą uniwersalną.

Zamknęła za sobą drzwi. Usłyszała, jak zamki automatycznie się zatraskują. W tej samej chwili w holu zapaliło się światło.

- Dobry wieczór, Dallas. - Z głośnika rozległ się głos Palmera. - Bardzo się cieszę, że tu jesteś. Właśnie zapewniałem doktor Mirę, że wkrótce się pojawisz i będziemy mogli przystąpić do świętowania końca roku. Na marginesie, czuje się świetnie. Gdyby była pani tak dobra i zostawiła broń...

- Nie. - Powiedziała to od niechcienia, idąc w głąb domu. - Nie odłożę broni, Dave, żebyś mógł mnie obezwładnić, kiedy będę schodziła po schodach. Nie obrażajmy się nawzajem.

Roześmiał się.

- Chyba masz rację. Zatrzymaj broń. Wyjmij ją i odbezpiecz. Bardzo dobrze. Nie zapominaj, że los doktor Miry spoczywa w twoich rękach. Proszę do nas, pani porucznik. Zabawimy się.

Była już kiedyś tutaj: kiedy przesłuchiwała jego rodziców. Wprawdzie nie pamiętała rozkładu pomieszczeń, ale poświęciła trochę czasu na przestudiowanie planów. Ale i tak szła wolno, rozglądając się, czy nie zastawił gdzieś na nią pułapek.

Znalazła się w kuchni, otworzyła drzwi do piwnicy. Zabrzmiały wiwaty. Paliły się silne lampy. Zobaczyła serpentyny, baloniki i świąteczne dekoracje.

Wyciągnęła broń i zaczęła schodzić.

W wiaderku chłodził się szampan, na stole, przykrytym kolorowym obrusem, leżały srebrne tace ze smakowitymi tartinkami.

A w klatce pod sufitem siedziała Mira.

- Porucznik Dallas. - Mira powiedziała to spokojnie, chociaż jej umysł pracował gorączkowo. Zwróciła się do Eve oficjalnie, żeby utrzymać między nimi dystans.

- Pani doktor. - Palmer cmoknął językiem. - Uprzedziłem panią, że to ja będę mówił. Pani porucznik, widzi pani to urządzenie, które trzymam? Dla uniknięcia wszelkich nieporozumień informuję panią, że jeśli naciśnę ten guzik, bardzo silny prąd przepłynie przez

stalowe pręty tymczasowego miejsca pobytu pani doktor. W ciągu kilku sekund poniesie śmierć. Nawet jeśli użyje pani swojej broni, zdążę nacisnąć guzik. Prawdę mówiąc, mój system nerwowy w taki sposób zareaguje na wstrząs, że palec bez udziału mojej woli zaciśnie się i pani doktor się usmaży, że się tak wyrażę.

- W porządku, Dave, ale chcę się przekonać, że doktor Mirze naprawdę nic nie jest. Pani doktor, czy doznała pani jakichś obrażeń?

- Nie. - I jak na razie udało jej się nie wpaść w histerię. - Nic mi nie zrobił. I nie sądzę, by cokolwiek chciał mi zrobić. Nie skrzywdzisz mnie, prawda, Davidzie? Wiesz, że chcę ci pomóc. Rozumiem, jak ci było ciężko. Nikt nie doceniał tego, co chciałeś osiągnąć.

- Jest naprawdę dobra, prawda? - zwrócił się Palmer do Eve. - Mówi tak kojącym głosem. Zwracam pani uwagę na to, że nie rozebrałem jej do naszego małego eksperymentu. Ponieważ nie chcę jej obrazić... Może byłaby pani tak dobra i powiedziała jej, żeby się zamknęła? Zgadzasz się, Dallas?

- Doktor Miro, musimy to z Dave'em sami załatwić. - Eve podeszła bliżej. - Prawda, Dave? Tylko ja i ty.

- Tak długo na to czekałem. Sama pani widzi, że sporo się natrudziłem. - Zatoczył koło wolną ręką. - Może ma pani ochotę się napić, coś przekąsić. Świętujemy koniec starego roku i początek nowego. Och, i zanim wyłączę ten mikrofon, który pani ma przy sobie, proszę powiedzieć swoim kolegom, że jeśli ktokolwiek spróbuje tu wejść, obie zginiecie.

- Jestem pewna, że cię słyszeli. Już wcześniej otrzymali rozkazy, żeby się nie zbliżać. Powiedziałeś, żebym przyszła sama - przypomniała mu. - Więc jestem sama. Zawsze grałam z tobą czysto.

- Racja. Nauczyliśmy się ufać sobie nawzajem.

- Dlaczego mielibyśmy przestać sobie ufać? Mam dla ciebie propozycję, Dave. Wymianę Miry za mnie. Wypuść ją z klatki, pozwól jej stąd wyjść, a ja zostanę z tobą. Będziesz miał to, czego chciałeś.

- Eve, nie... - Mira zaczęła tracić opanowanie.

- To sprawa pomiędzy mną i Dave'em. - Nie odrywała od niego wzroku. - Tego chcesz, prawda? Żeby wsadzić mnie za kratki, tak jak ja wsadziłam ciebie. Myślałeś nad tym przez trzy lata. Planowałeś to sobie, przygotowywałeś się do tego. I tym razem naprawdę odwaliłeś kawał dobrej roboty. Wypuść ją, Dave. Jest tylko przynętą, wykorzystałeś ją, żeby mnie tu ściągnąć. Wypuść ją, a ja odłożę broń. Wejdę do klatki i będziesz mógł przeprowadzić swój eksperyment na kimś, na kim zawsze chciałeś go przeprowadzić.

Zrobiła jeszcze jeden krok w jego stronę, patrząc mu prosto w oczy. Widziała, jak

rozważał jej propozycję. Widziała w nich pragnienie.

- Mira to terapeutka, psycholog i nie jest w takim dobrym stanie fizycznym i psychicznym, jak ja. Siedzi za biurkiem i stara się wnikać w umysły innych ludzi. Kiedy poczuje ból, szybko się podda, nie dając ci satysfakcji. Pomyśl, jak długo ja wytrzymam. To nie będą godziny, tylko dni. Może tygodnie, jeśli ci się uda na tak długo powstrzymać ekipę czekającą w pobliżu domu. Wiesz, że oboje tu zginie.

- Tak, jestem na to przygotowany.

- Ale w ten sposób odpłacisz się i zakończysz swoje prace. Upieczesz dwie pieczenie przy jednym ogniu. Tylko musisz ją wypuścić.

Z głośników płynęła głośna muzyka. Na ekranie widać było ludzi, ciągnących na Times Square niczym niespokojne mrówki.

- Odłóż broń.

- Powiedz mi, że zgadzasz się na taki układ. - Wstrzymała oddech, uniosła broń i wycelowała w jego klatkę piersiową. - Powiedz, że się zgadzasz, albo cię zabiję. Ona zginie, ale ja przeżyję. A ty stracisz wszystko. Zgódź się, Dave. Nigdy nie dostaniesz lepszej propozycji.

- Zgoda. - Niemal drżąc z podniecenia, przesunął dłonią po ustach. - Odłóż broń. Odłóż broń i odsuń się od niej.

- Najpierw opuść klatkę. Opuść klatkę, żebym wiedziała, że nie próbujesz mnie oszukać.

- I tak mogę ją zabić. - Ale sięgnął do konsoli i przekreślił wyłącznik. Klatka zaczęła opadać, kołysząc się lekko.

- Wiem. Ty tu masz władzę. Ja tylko wykonuję swoją pracę. Moim obowiązkiem jest ją chronić. Otwórz klatkę.

- Odłóż broń! - wydarł się, żeby przekrzyczeć muzykę i gwar rozmów. - Powiedziałaś, że odłożysz broń. Zrób to teraz!

- Dobrze. Dobiliśmy targu. - Czuła, jak pot ścieka jej po plecach, kiedy się pochyliła, żeby położyć pistolet na podłodze. - Nie zabijasz dla samego zabijania. Tylko w imię nauki. Otwórz klatkę i wypuść panią doktor. - Eve uniosła do góry ręce odwrócone wewnętrzną częścią dłoni w jego stronę.

Dave roześmiał się krótko, złapał paralizator i machnął nim w powietrzu.

- Na wszelki wypadek. Dallas, zostań tam, gdzie jesteś. Serce znów zaczęło jej bić, kiedy odłożył pilota i nacisnął guzik, żeby zwolnić zamki.

- Przykro mi, że musi pani opuścić to przyjęcie, doktor Miro. Ale obiecałem ten

taniec pani porucznik.

- Muszę pomóc jej wyjść. - Eve przykucnęła, żeby wziąć Mirę za rękę. - Zupełnie zdrętwiała. Nie miałbyś z niej dużego pożytku, Dave. - Mocno uścisnęła dłoń przyjaciółki.

- Wchodź do środka.

- Jak tylko będzie bezpieczna. - Eve, wciąż pochylona odepchnęła Mirę. Kiedy zasłoniła ją swoim ciałem jak tarczą, dostrzegła jakiś ruch na schodach. W następnej chwili trzymała w ręku pistolet.

- Okłamałam cię, Dave. Patrzyła, jak oczy robią mu się okrągłe z niedowierzania, widziała, jak złapał pilota, upuściwszy ogłuszacz. Tłum wiwatował głośno, kiedy Eve wycelowała prosto w klatkę piersiową Palmera i nacisnęła spust.

Jego ciałem wstrząsnęły konwulsyjne drgawki. Wykonał szybki i nieprzyzwoity taniec. Eve zobaczyła, że miał rację z tym skurczem palca. Zacisnął się na przycisku, kiedy Palmer osunął się na klatkę.

Posypały się iskry z prętów i z jego podrygującego ciała. Eve, odciągnęła Mirę, zasłaniając ją własnym ciałem.

- Pani porucznik, zapaliła się pani kurtka. - Z godnym podziwu spokojem Roarke pochylił się i zgasił iskry, które wypaliły dziury w skórzanej kurtce.

- Co ty tu robisz, do jasnej cholery?

- Przyszedłem po swoją żonę, z którą jestem umówiony. - Wyciągnął rękę i pomógł Mirze wstać. - Palmer nie żyje - mruknął Roarke i otarł łzy z jej policzków.

- Nie mogłam do niego dotrzeć. Próbowałam, próbowałam przez wiele godzin po tym, jak się ocknęłam w... w tym. Ale nie mogłam do niego dotrzeć. - Mira zwróciła się do Eve. - Tobie się to udało w jedyny sposób, jaki pozostał. Bałam się, że... - Urwała i pokręciła głową. - Bałam się, że przyjdiesz, i bałam się, że się nie pojawisz. Powinnam ci zaufać, że zrobisz to, co należy zrobić.

Mocno objęła Eve i przycisnęła policzek do jej policzka. Eve pozwoliła jej na to przez chwilę, a potem się odsunęła i niezgrabnie poklepała Mirę po plecach.

- To był wysiłek całego zespołu, łącznie z tym cywilem, który się tu kręci. Jedź, spędź Nowy Rok ze swoimi bliskimi. Później będziemy się martwić o procedury.

- Dziękuję ci za uratowanie życia. - Mira pocałowała Eve w policzek, a potem się odwróciła, by pocałować również Roarke'a. Rozplakała się ponownie, dopiero kiedy znalazła się na górze.

- No, moja pani porucznik, bardzo dobre zakończenie. Popatrzyła tam, gdzie spoglądał Roarke, uważnie przyjrzała się Palmerowi i poczuła jedynie ulgę.

- Dla niego czy roku?
- Jednego i drugiego. - Podeszedł do kubelka z szampanem, wyjął butelkę i powąchał. -
Twoja ekipa już tu jedzie. Ale chyba zdążymy wznieść toast.
- Nie tutaj. Nie tym. - Wzięła od niego butelkę i włożyła ją z powrotem do wiaderka.
Powodowana impulsem, odpięła od koszuli gwiazdę szeryfa i przypięła ją Roarke'owi. -
Formalności mogą poczekać. Chcę dostać swój prezent.
- Dokąd chciałybyś pojechać? - Do domu. - Objęła go w pasie i skierowała się ku
schodom, akurat kiedy zaczęli po nich zbiegać policjanci. - Do domu z tobą. - Usłyszała
kolejny okrzyk tłumu. - Szczęśliwego Nowego Roku!
- Jeszcze niezupełnie skończył się stary. Ale nowy z całą pewnością będzie
szczęśliwy.

PRZEŚLADOWANA PRZEZ ŚMIERĆ

W szaleństwie prawie zawsze jest metoda.

CHESTERTON

Do objawienia nam tego nie trzeba,
Żeby aż duchy wychodziły z grobów.

SZEKSPIR

ROZDZIAŁ 1

Zimy potrafią być zabójcze. Na śliskich ulicach i oblodzonych chodnikach ludzie regularnie łamią ręce i nogi, rozbijają sobie głowy. Niska temperatura powoduje, że każdej nocy kilku nieszczęśliwych mieszkańców Nowego Jorku umiera w wyniku wyziębienia.

Nawet ci szczęściarze, którzy mają ciepłe, przytulne domy, są w nich uwięzieni przez przenikliwe wiatry i lodowate deszcze. Podczas dwóch pierwszych tygodni stycznia 2060 roku szczególnie ostra zima spowodowała drastyczny wzrost liczby telefonów do nowojorskiej policji i wydziału bezpieczeństwa publicznego, jako że częściej dochodziło wówczas do rodzinnych sprzeczek.

Nawet w miarę zgodne stadła zaczynają na siebie warczeć, kiedy zmuszone są długo przebywać wyłącznie w swoim towarzystwie, unieruchomione przez okowy zimy.

Porucznik Eve Dallas nie zajmowała się interwencjami w sprawie przemocy domowej. Chyba że jacyś doprowadzeni do ostateczności małżonkowie z nudów pozabijali się nawzajem.

Pracowała w wydziale zabójstw.

W ten ponury, zimny ranek stała nad trupem. Ale Radcliffa C. Hopkinsa III nie uśmierciły zimno ani lód. Jeszcze nie ustaliła, czy sine szpony zimy przyczyniły się w jakiś sposób do jego zgonu. Widziała jednak, że ktoś zrobił w piersi Radcliffa C. liczne dziury. I jedną w samym środku jego szerokiego czoła.

Partnerka Eve, detektyw Delia Peabody, przykucnęła, by lepiej przyjrzeć się zwłokom.

- Nigdy nie widziałam tego typu obrażeń, jeśli nie liczyć filmów instruktażowych.
- A ja owszem. Raz. Eve przypomniała sobie, że wtedy też była zima; stała nad pierwszą, jak się później okazało, z całej serii ofiar gwałciciela - mordercy. Zakaz posiadania broni niemal całkowicie wyeliminował przypadki śmierci w wyniku użycia broni palnej, więc rzadko widywało się rany postrzałowe. Nie żeby ludzie w ogóle przestali się nawzajem mordować. Ale w dzisiejszych czasach nieczęsto wybierano prostą metodę eliminowania przeciwnika przez częstowanie go ołowianą kulką.

Radcliffa C. załatwiono w anachroniczny sposób acz równie skuteczny, co inne.

- Chłopaki z laboratorium będą zacierać ręce z zadowolenia - mruknęła Eve. - Rzadko trafia im się taka gratka, jak analizy balistyczne.

Była wysoką, szczupłą kobietą o pociągłej twarzy i dużych bystrych oczach barwy bursztynu. Miała na sobie długi, czarny skórzany płaszcz. Z uwagi na niską temperaturę

wciągnęła czarną, wełnianą czapkę na krótkie, brązowe, zazwyczaj potargane włosy. I znów gdzieś zapodziała rękawiczki.

Stała, pozwalając swojej partnerce określić czas śmierci ofiary.

- Widać sześć ran - powiedziała do Delii. - Cztery w klatce piersiowej, jedna na prawej nodze, jedna na głowie. Ze śladów krwi wynika, że pierwsza kula dosięgnęła go tam. - Wskazała miejsce kilka kroków dalej. - Siła strzału przewróciła go, próbował się czołgać. Jest postawny, sprawia wrażenie silnego. Może kawałek się przeczołgał, może próbował wstać.

- Godzina zgonu - druga dwadzieścia. - Peabody uniosła wzrok; ciemne włosy miała krótko, elegancko przystryżone nad karkiem. Na jej kwadratowej twarzy malowała się powaga, ale oczy, równie ciemne jak włosy, błyszczały. - Potwierdziłam tożsamość. Wiesz, kto to, prawda?

- Radcliff C. Hopkins z rzymską cyfrą po nazwisku.

- Znów wylaź twój brak zainteresowania sprawami związanymi z kulturą. Jego dziadkiem był Hop Hopkins, który dorobił się majątku podczas swingujących lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Seks, prochy i rock'n'roll. Nocne kluby, imprezy muzyczne. Głównie w Los Angeles, zanim Kalifornię dotknęło wielkie trzęsienie. Ale miał też modny klub tutaj, w Nowym Jorku. - Peabody przestąpiła z nogi na nogę. - Przez kilka dziesięcioleci dobrze mu się powodziło, a potem jakiś czas prześladował go pech. Jeszcze bardziej legendarna Bobbie Bray była...

- Wiem, kim była Bobbie Bray. - Eve wsunęła ręce do kieszeni i kołysząc się do przodu i do tyłu na piętach, przyglądała się ofierze i miejscu zbrodni. - Nie jestem kompletna noga w sprawach popkultury. Gwiazda rocka, ćpunka, teraz postać kultowa. Zniknęła bez śladu.

- Zgadza się. Była trzecią czy czwartą żoną Hopa. Pewnego dnia po prostu zniknęła. Krążyły plotki, że może załatwił ją mąż albo kazał ją komuś sprzątnąć. Ale policji nie udało się zgromadzić dość dowodów, żeby go postawić w stan oskarżenia. Zdziwaczał, zaczął wieść pustelnicze życie, stracił kupę forsy i skończył, przedawkowawszy jakiś narkotyk... Nie pamiętam, jaki... Tutaj, w Nowym Jorku. - Peabody się wyprostowała. - Wtedy narodziła się legenda. Przedawkował, tam, gdzie się zaszył przed całym światem, nad klubem. W luksusowym mieszkaniu na ostatnim piętrze. Budynek zmieniał właścicieli, ale nigdy nikomu nie udało się rozkręcić interesu. Ponieważ... - Urwała dla wywołania większego efektu. - Jest nawiedzony. I przeklęty. Każdego, kto próbował tam zamieszkać albo prowadzić jakąś działalność zarobkową, spotykały nieszczęścia.

- „Pod Dwunastką”. Tak, słyszałam o tym. Ciekawe. - Z rękami nadal w kieszeniach,

Eve rozejrzała się po dużym pomieszczeniu, które było w opłakanym stanie. - Nawiedzony i przeklęty. Wygląda na niewykorzystywany. Może Radcliff C. sądził, że uda mu się pokonać fatum.

- Jak to? - Peabody aż otworzyła usta ze zdumienia i na chwilę zamilkła. - To jest to miejsce? Naprawdę? O, rany.

- Jakiś anonim zadzwonił pod dziewięćset jedenaście. Muszę przesłuchać nagranie, bo wielce prawdopodobne, że zadzwonił zabójca. Wiem, że denat był właścicielem budynku, kazał go wyremontować i inaczej zaprojektować. Może chciał przywrócić mu świetność z czasów jego dziadka. Tylko co nasz chłoptaş robił o drugiej w nocy w wyklętym, nawiedzonym budynku?

- To to miejsce - powtórzyła Peabody z nabożeństwem. - „Pod Dwunastką”.

- Jako że jesteśmy na Dwunastej Wschodniej numer dwanaście, postawię wszystko na jedną kartę i powiem: tak. Odwróćmy go.

- Dobrze. Kiedy odwróciły zwłoki, Eve ściągnęła usta.

- Komuś naprawdę bardzo zależało na jego śmierci. Na plecach jeszcze trzy rany postrzałowe. Technicy to potwierdzają, ale sądzę, że... - Ruszyła przez pokój do starych, żeliwnych, kręconych schodów.

- Stał mniej więcej tutaj, twarzą do napastnika. Pif, paf. Został trafiony w klatkę piersiową. - Uderzyła się ręką w piersi. - Odrzuciło go, osunął się na ziemię. Ślady krwi świadczą, że próbował się odczołgać, prawdopodobnie zmierzał ku drzwiom.

- Ale były zamknięte na klucz od środka. Tak zeznała pierwsza osoba, która pojawiła się na miejscu zbrodni - dodała Peabody.

- Tak. Czołga się, a zabójca idzie za nim. Pif, paf, strzelił mu w plecy. - Eve pomyślała, że huk strzałów musiał być ogłuszający. Aż dźwięczało w uszach. - Ale to za mało. Nie, jeszcze nie skończyliśmy. Radcliff leży na podłodze, nie żyje albo kona, ale to jeszcze za mało. Sprawca odwraca ciało, przykłada mu lufę pistoletu do skroni. Widzisz ślady prochu wokół rany na czole? Świadczą, że strzał oddano z bliskiej odległości. Poznałam dokładnie rodzaje ran postrzałowych, prowadząc dwa lata sprawę DeBlassa. Przytknął broń do głowy i pociągnął za spust. Dobił go.

Ujrzała to oczami duszy. Wszystko słyszała, wszystko czuła.

- W taki sposób przykłada się broń. - Dotknęła palcem do własnej skroni. - Przystawia się ją do ciała ofiary i pociąga za spust. Jeśli zabójca pakuje w kogoś tyle kulek, to musi być na ofiarę porządnie wkurzony.

- Denat ma lśniący, rzucający się w oczy zegarek... Wygląda na zabytkowy... Portfel,

a w nim gotówkę i kredyty, klucze kodowe, palmtop, kieszonkowe łącze. Zabójca nawet nie zawracał sobie głowy, żeby upozorować napad rabunkowy.

- Sprawdzimy sprzęt elektroniczny. A teraz rzućmy okiem na łącze.

Eve otworzyła aparat rękami, zabezpieczonymi Seal - It i odtworzyła ostatnią rozmowę. Rozległ się szept. Musiała przyznać, że przeszły ją ciarki, kiedy go usłyszała. Głos, lekko chropowaty, należał do kobiety.

- „Pod Dwunastką”. Druga nad ranem. Przynieś to. Przynieś, a będziemy kwita.

- Może jednak coś zabrano.

- Słuchałaś tego głosu? - Peabody ostrożnie obejrzała się przez ramię. - Brzmiał... No wiesz, jak nie z tego świata.

- Zabawne. Mnie skojarzył się z głosem, generowanym komputerowo. Ale może dlatego, że wiem, iż duchy nie rozmawiają przez telefon ani nie strzelają z broni palnej.

Ponieważ... A może to być dla ciebie coś nowego, Peabody... Duchy nie istnieją.

Ale partnerka tylko pokręciła głową.

- Tak? Powiedz to mojej ciotecznej babce Josie, która zmarła osiem lat temu i pojawiała się kilka razy, by suszyć głowę mojemu ciotecznemu dziadkowi Philowi o cieknący kran w toalecie. Dała mu spokój dopiero wtedy, kiedy wezwał hydraulika.

- A jak dużo pije twój cioteczny dziadek Phil?

- Och, daj spokój, ludzie ciągle widują duchy.

- Tylko dlatego, że ludzie są na ogół naćpani. Peabody, wracajmy do sprawy. To nie duch pociągnął za spust. I nie zjawa zwabiła ofiarę do pustego budynku w środku nocy. Sprawdźmy małżonkę, rodzinę, osoby, które odniosą korzyść ze śmierci Hopkinsa, jego partnerów w interesach, przyjaciół, wrogów. Ograniczymy się do osób żyjących.

Eve zbadała zwłoki, zastanawiając się, czy zmarły przyniósł owo coś, cokolwiek to było.

- Niech je wsadzą do worka i opiszą. Zacznij od sprawdzenia drzwi i okien. Spróbujmy ustalić, którędy zabójca opuścił budynek. Ja jeszcze raz porozmawiam z osobą, która znalazła zwłoki.

- Chcesz, żebym tu została? Żebym sama się tu kręciła?

- Żartujesz sobie ze mnie? - Eve wystarczył jeden rzut oka na twarz Peabody, żeby zrozumieć, że jej partnerka mówi jak najbardziej serio. - No dobrze, porozmawiaj z osobą, która znalazła zwłoki, a ja się zajmę oględzinami budynku.

- To dużo lepszy pomysł. Mam ściągnąć tu techników i polecić, żeby zabrano zwłoki?

- Tak, zajmij się tym. Eve rozejrzała się po głównym pomieszczeniu. Może w

ubiegłym wieku był to modny lokal, ale teraz znajdował się w opłakanym stanie. Widziała, gdzie rozpoczęto prace remontowe. Część brudnych ścian usunięto, odkrywając starą, zdecydowanie przestarzałą instalację elektryczną. Zainstalowano przenośne lampy i podgrzewacze, materiały budowlane ułożono w zgrabne stosy.

Ale płachty malarskie, materiały budowlane, lampy, wszystko wokół pokrywała warstwa kurzu. Może Hopkins przystąpił do prac remontowych, ale wyglądało na to, że minęło sporo czasu, odkąd cokolwiek tu zrobiono.

W samym środku pomieszczenia zachowały się pozostałości dawnego baru. Ponieważ okryto go szczelnie płachtami malarskimi, przypuszczała, że Hopkins zamierzał przywrócić mu wygląd z czasów jego największej świetności.

Sprawdziła drzwi na zapleczu i przekonała się, że też są zamknięte od środka. Za innymi drzwiami zobaczyła coś, co kiedyś mogło być podręcznym magazynem, teraz mieścił się tam skład rupieci. Dwa okna były takiej wielkości, że ledwo mógłby się przez nie przecisnąć kot. Oba miały kraty.

Toalety na głównym poziomie nie były podłączone do instalacji kanalizacyjnej.

- Dobra, jeśli nie czekasz gdzieś tutaj, aż cię skuję i odczytam przysługujące ci prawa, to wydostałeś się stąd górą.

Spojrzała na starą windę, ale wybrała żeliwne schody.

Pomyślała, że technicy nieźle się nagimnastykują, żeby znaleźć odciski lub dowody rzeczowe, które na coś się przydadzą. Wszystko pokrywał kurz, który gromadził się od dziesięcioleci, poważne zniszczenia spowodowała też woda, kiedy przed laty gaszono pożar.

Eve dostrzegła i oznakowała niewyraźne ślady butów na brudnej podłodze.

Ale zimno, pomyślała. Pieroński ziąb.

Przeszła się po antresoli i wyobraziła ją sobie w czasach największej świetności klubu. Stoliki, przy których siedzieli goście. Głośna muzyka, od której o mało nie popękały bębunki w uszach. Modne w owym czasie narkotyki, którymi klienci częstowali się nawzajem. Chromowane balustrady z pewnością lśniły, odbijały się w nich kolorowe światła.

Stała i spoglądała na dół, na androidy - sanitariuszy, wkładających zwłoki do worka. Dobry stąd widok, pomyślała. Można było zobaczyć wszystko, co tylko się chciało widzieć. Spoceni ludzie, ściśnięci w dole, tańczący na parkiecie z nadzieją, że ktoś ich obserwuje.

Przyszedłeś tu dziś wieczorem, Hopkins? Czy miałeś dość rozumu, nim cię zastrzelono, żeby przyjść tu wcześniej, sprawdzić, jak to miejsce wygląda? Czy po prostu pojawiłeś się o umówionej porze?

Stwierdziła, że w oknie na piętrze jest wyjście awaryjne, drzwi były otwarte, schody

pożarowe opuszczone.

- A więc wyjaśniła się jedna zagadka. Podejrzany najprawdopodobniej opuścił budynek - podyktowała do mikrofonu - tędy. Technicy sprawdzą okno, schody i ich sąsiedztwo, w poszukiwaniu odcisków i innych dowodów. I proszę, proszę. - Ukucnęła i poświeciła latarką na parapet okna. - Mamy tu krew, prawdopodobnie należy do ofiary. Może krew ofiary trysnęła na zabójcę, albo może sprawca ubrudził się, kiedy się nachylił, żeby strzelić ofierze w głowę.

Ściągnęła brwi i poświeciła latarką kawałek dalej. Na podłodze coś błysnęło.

- Wygląda to na biżuterię. Albo... Hmm. Jakaś ozdoba do włosów - poprawiła się, kiedy podniosła znalezisko pęsetą z podłogi. - Bardzo mi to przypomina brylanty na czymś w rodzaju spinki. O szerokości centymetra, długości z pięciu centymetrów. Nie ma na niej kurzu, kamienie są czyste i błyszczące, osadzone chyba w platynie. Spinka wygląda na starą.

Umieściła ją w torebce na dowody rzeczowe.

Już zamierzała zejść na dół, kiedy wydało jej się, że słyszy skrzypnięcie podłogi na górze. Przypomniała sobie, że jest w starym budynku, ale i tak wyciągnęła broń. Podeszła do częściowo rozebranej ściany, za którą były stare, metalowe schody.

Znów rozległo się ciche skrzypnięcie. Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy kobiecy głos, chrapliwy i gardłowy, śpiewający o krwawiącym sercu.

Na samej górze podłogi zostały starannie zamiecione. Były zniszczone i porysowane, ale nie pokrywał ich kurz. Niektóre wewnętrzne ściany były osmalone i uszkodzone przez ogień, ale widziała, że znajdowało się tu duże mieszkanie i coś w rodzaju biura.

Omiotła pomieszczenie światłem latarki, ale zobaczyła tylko gruz. Jedyne odgłosy, jakie teraz się tu rozlegały, to jej własny oddech. Przy każdym wydechu z jej ust wydobywał się obłoczek pary.

Skoro ciepłe powietrze unosi się do góry, dlaczego, u diabła, było tu wyraźnie chłodniej? Przeszła przez pozbawiony drzwi otwór z lewej strony, by dokładnie obejrzeć pomieszczenie.

Pomyślała, że podłogi są zbyt czyste. I nie widziało się tu śmieci, jak w drugim, mniejszym pomieszczeniu, ani splowiałych graffiti na ścianach. Eve przechyliła głowę, patrząc na duży otwór w ścianie po prawej stronie w głębi. Wyglądał, jakby został starannie wymierzony i wybity, by pełnić funkcję drzwi.

Przeszła przez pokój, żeby poświecić latarką.

I ujrzała szkielet. W samym środku czaszki widniał mały, okrągły otwór.

Żółte palce ścisnęły błyszczącą spinkę z brylantami. A obok leżała półautomatyczna

broń z chromowaną lufą.

- A to sukinsyn - mruknęła Eve i wyciągnęła komunikator, żeby wezwać Peabody.

ROZDZIAŁ 2

- To ona. To musi być ona.
- Masz na myśli zmarłą żonę przodka obecnej ofiary.
- Eve jechała przez oblodzone miasto z miejsca zbrodni do domu ofiary.
- Albo kochankę. Nie jestem pewna, czy wzięli ślub. Muszę to sprawdzić - dodała Peabody, zapisując sobie coś w notesie. - Ale założę się, że Hopkins numer jeden zabił Bobbie, a potem замуrował zwłoki w ścianie mieszkania nad klubem.
- A policjanci nie zauważyli w mieszkaniu świeżo wzniesionej ceglanej ściany?
- Może nie rozglądali się zbyt uważnie. Hopkins miał masę pieniędzy i zakazanych substancji oraz liczne znajomości. Prawdopodobnie sporo wiedział, a jego wysoko postawieni znajomi nie chcieli, by niektóre z tych informacji ujrzały światło dzienne.
- Czyli przekupił gliniarzy. - Czy stało się to osiemdziesiąt pięć lat temu, czy wczoraj, smród takiego postępowania drażnił powonienie Eve. Ale... - Nie można tego wykluczyć - musiała przyznać. - Mógł nie zgłosić zaginięcia przyjaciółki czy żony, póki wszystkiego nie uprzątnął. Potem dał łapówkę albo zaszantażował prowadzących śledztwo i wszystko uszło mu na sucho.
- Niemal postradał zmysły. Jezu, Dallas, przecież on właściwie zamknął się tam na górze na ponad dziesięć lat, wiedząc, że za ścianą jest trup.
- Być może. Zanim wyciągniemy jakieś dalsze wnioski, trzeba ocenić wiek kości i je zidentyfikować. Technicy niemal popłakali się ze szczęścia na ich widok. Oni mają frajdę, a my wyjaśnienie zabójstwa popełnionego w tym stuleciu.
- Przyznaj, że jesteś ciekawa, co? Zastanawiasz się, czy znaleźliśmy Bobbie Bray. I te spinki do włosów... To dość osobliwe, no nie?
- Nie ma nic osobliwego w podrzuceniu ich przez zabójcę. Niewątpliwie chciał, żebyśmy znaleźli kości. Dzięki spinkom widać związek między szkieletem i obecną ofiarą, przynajmniej w mniemaniu naszego zabójcy. Co udało się do tej pory ustalić o Hopkinsie?
- W chwili śmierci miał sześćdziesiąt dwa lata. Na koncie trzy małżeństwa i trzy rozwody. Jedno dziecko - syna z drugiego małżeństwa. - Peabody zajrzała do swojego notesu.
- Krążył między Nowym Jorkiem i Nowym Los Angeles, parę razy wybrał się do Europy. Działał w przemyśle rozrywkowym, ale bez większych sukcesów. Nie odziedziczył talentów po swoim dziadku. Rodzice zginęli dwadzieścia pięć lat temu w katastrofie prywatnego samolotu. Nie ma rodzeństwa. - Spojrzała na Eve. - Rodowi Hopkinsów grozi wymarcie. A

wszystko to sprawiła kłątwa.

- Według mnie to zwykły pech i rezultat stosowania antykoncepcji - poprawiła ją Eve.

- Co jeszcze mamy... Istotnego?

- Trudno się oprzeć domysłom - ciągnęła Peabody. - Mam na myśli to, że Hopkins numer dwa był czterokrotnie żonaty. Czterokrotnie. A przeżył tylko jeden syn. Przynajmniej do wczoraj. Hopkins miał też córkę z innego małżeństwa, która utonęła, kiedy była nastolatką, i jeszcze jednego syna z inną żoną, który się powiesił w wieku dwudziestu trzech lat. Taki ciąg nieszczęść nasuwa mi skojarzenia z kłåtwą.

- Dla mnie te informacje są nieistotne. Powiedz mi coś na temat ofiary.

- Dobrze już, dobrze. Rad Hopkins odziedziczył masę pieniędzy po ojcu, któremu udało się zgromadzić niezłą fortunę, i po matce, znanej bywalczyńi salonów. W jej żyłach płynęło nieco błękitnej krwi. Zarzucano mu handel narkotykami, nagabywanie mężczyzn w celach nierządu, działalność w szarej strefie. Nie siedział w więzieniu. I nie miał licencji na broń kolekcjonerską.

- Co porabiają jego byłe żony?

- Pierwsza mieszka w Nowym Los Angeles. Jest aktorką, gra w filmach klasy B. A właściwie nawet niekwalifikujących się do klasy B. Trzecia poślubiła jakiegoś pomniejszego angielskiego arystokratę i wyniosła się do Europy. Ale druga została tutaj, w Nowym Jorku. To niejaka Fanny Gill, instruktorka tańca. Prowadzi szkołę tańca razem z synem, Cliffem Gillem Hopkinsem, który w wieku dwudziestu jeden lat oficjalnie zrezygnował z posługiwania się nazwiskiem ojca.

- Nowy Jork to miasto, do którego łatwo przyjechać i które łatwo opuścić. Sprawdźmy to. Partnerzy w interesach?

- Aktualnie nie ma żadnych. Miał ich wielu, często się zmieniali. Ale był jedynym właścicielem firmy Number Twelve Productions, zarejestrowanej pod jego adresem zamieszkania. Jakies sześć miesięcy temu kupił na aukcji budynek, w którym został dziś zabity.

- W ciągu sześciu miesięcy niewiele tu zrobiono.

- Skontaktowałam się z firmą budowlaną, której nazwa widnieje na pozwoleniu na budowę. Dowiedziałam się od jej właściciela, że po trzech tygodniach Hopkins zrezygnował z ich usług. Przypuszczają, że zabrakło mu pieniędzy i szukał sponsorów. Właściciel firmy budowlanej powiedział, że kilka dni temu Hopkins do niego zadzwonił, chcąc, żeby wznowili prace w budynku.

- Czyli może miał trochę pieniędzy albo skądś je skołował. Pół kwartału od domu

Hopkinsa Eve jakimś cudem znalazła miejsce do parkowania na poziomie ulicy.

- Nie wyglądał na splekanego - zauważyła Eve. - Oryginalny, zabytkowy zegarek na rękę, markowy portfel, drogie buty. - Machnęła portierowi odznaką. - Radcliff C. Hopkins - powiedziała.

- Zadzwoń do niego i poinformuj, że chce pani z nim porozmawiać.

- Szkoda zachodu, leży w kostnicy. Kiedy widział go pan ostatni raz?

- Nie żyje? - Portier, niski, barczysty mężczyzna koło czterdziestki, gapił się na Eve wyraźnie zszokowany. - Pan Hopkins nie żyje? Zginął w wypadku?

- Owszem, nie żyje. Nie, nie zginął w wypadku. Kiedy ostatni raz go pan widział?

- Wczoraj. Wszedł koło dwunastej trzydzieści w południe, wrócił koło drugiej. O czwartej skończyła się moja zmiana. Mój zmiennik pracował do północy. Od północy do ósmej w budynku nie ma portiera.

- Czy ktoś do niego przyszedł z wizytą?

- Nikt się u mnie nie meldował. Budynek jest chroniony, trzeba mieć przepustkę, żeby dostać się do windy. Mieszkanie pana Hopkinsa jest na szóstym piętrze. - Portier pokręcił głową i dłonią w rękawiczce pomasaował kark. - Nie żyje. Wprost nie mogę w to uwierzyć.

- Mieszkał sam?

- Tak.

- Urządzał w domu jakieś imprezy?

- Od czasu do czasu.

- Zabawiał się całą noc? Spokojnie, Cleeve - dodała Eve, odczytawszy imię portiera na mosiężnym identyfikatorze. - Facet nie żyje.

- Od czasu do czasu - powtórzył i wydał policzki. - Lubił urozmaicenie, więc nie mogę powiedzieć, czy była jakaś jedna kobieta. Poza tym miał słabość do młodych dziewczyn.

- Jak młodych?

- Na moje oko większość z nich miała dwadzieścia kilka lat. Nie zauważyłem, żeby przez ostatnie dwa tygodnie składały mu wizyty. Niemal codziennie wychodził z domu. Przypuszczam, że na spotkania w związku z planowanym otwarciem klubu.

- Dziękuję, na razie to mi wystarczy. Idziemy na górę.

- Uruchomię dla pań windę. - Cleeve przytrzymał drzwi, a potem skierował się do pierwszej z dwóch kabin. Przeciągnął kartę w czytniku, a następnie wstukał kod. - Przykro mi, że pan Hopkins nie żyje - powiedział, kiedy drzwi się rozsunęły. - Nigdy nie miałem z nim żadnych kłopotów.

- Niezłe epitafium - doszła do wniosku Eve, jadąc windą na szóste piętro.

Mieszkanie było jednopoziomowe, ale przestronne. To wrażenie potęgował jeszcze niemal zupełny brak mebli. W salonie stała kozetka zwrócona w stronę ściennego ekranu. Poza tym znajdował się tu drogi sprzęt elektroniczny i liczne pudełka z filmami wideo. Ściana z kolorowego szkła oddzielała sypialnię od reszty pomieszczenia.

- Na ścianach wisiały obrazy - zauważyła Eve. - Świadczą o tym kwadraty i prostokąty ciemniejszej farby. Prawdopodobnie sprzedał je, żeby zdobyć pieniądze na remont.

Drugą sypialnię przerobiono na gabinet. Rozglądając się po wnętrzu, Eve uznała, że Hopkins nie był zorganizowanym ani lubiącym porządek biznesmenem. Na biurku leżały stosy odręcznie zapisanych karteczek i szkiców, piętrzyły się kubeczki po kawie oraz jednorazowe talerze.

Po odtworzeniu rozmów przeprowadzonych z biurowego łącza, okazało się, że są to wyłącznie telefony Hopkinsa, który przypochlebiał się potencjalnym sponsorom albo umawiał się na spotkania, na których, jak przypuszczała, robił to samo.

- Niech ludzie z wydziału przestępstw elektronicznych sprawdzą wszystkie pliki i połączenia. - Komputerowcy zrobią to szybciej i sprawniej, niż ona. - Nie wygląda na to, by ostatnio urządzał tu jakieś bibki, co by się zgadzało z tym, co powiedział portier. Na domowym łączu nie ma żadnych rozmów dotyczących życia osobistego, wyłącznie kwestie finansowe.

Przeszła się po mieszkaniu. Facet nie tyle tu mieszkał, ile egzystował. Wyprzedawał to, co miał, szukał środków na sfinansowanie remontu.

- Motywem postępowania zabójcy nie była chęć zdobycia pieniędzy, bo Hopkins nie miał ich zbyt dużo. Morderca kierował się pobudkami osobistymi. Zależało mu, żeby zabić Hopkinsa tam, gdzie ukryto kości poprzedniej ofiary. Wszystko sobie dokładnie zaplanował. Sześć miesięcy temu ogłoszono przetarg na sprzedaż budynku. Otwarty czy zamknięty?

- Mogę to sprawdzić - zaczęła Peabody.

- Znam kogoś, kto zrobi to szybciej od ciebie. Odnosiła wrażenie, że facet, którego poślubiła, zawsze był na spotkaniu, w drodze na spotkanie albo akurat wracał z jakiegoś spotkania. Ale najwyraźniej to lubił. Różni są ludzie na tym świecie.

I musiała przyznać, że kiedy twarz Roarke'a pojawiła się na wyświetlaczu, z lekką dumą pomyślała: należy do mnie.

- Mam jedno krótkie pytanie - zaczęła. - „Pod Dwunastką”. Znasz jakieś szczegóły na temat przetargu?

Uniół ciemne brwi i spojrzał na nią intensywnie niebieskimi oczami.

- Budynek sprzedano za grosze, ale nowy właściciel wkrótce prawdopodobnie pożałuje, że go kupił. A może już żałuje? - zapytał.

- Jesteś bystry. Tak, aktualny właściciel trafił do kostnicy. Czyli nabył go tanio?

- Poprzedni właściciele od kilku lat próbowali się pozbyć budynku, w końcu, kilka miesięcy temu, po ostatnim pożarze, ogłosili przetarg otwarty na kupno nieruchomości.

- Po ostatnim pożarze?

- Tak. Wybuchło ich tam kilka. Z niewyjaśnionych przyczyn - dodał z lekkim irlandzkim akcentem Roarke. - Hopkins, prawda? Potomek cieszących się nieszczerłą sławą przodków. Jak go zabito?

- Ze smitha and wessona kaliber dziewięć milimetrów. Na twarzy Roarke'a pojawiło się zaskoczenie.

- No, no. Ciekawe, co? Rozumiem, że znalazłaś broń.

- Tak, mam ją. Powiem ci o niej później. Wiedziałaś o tym przetargu, prawda?

- Owszem. Przez kilka tygodni szeroko go reklamowano. Poza tym budynek o takiej historii zawsze budzi spore zainteresowanie mediów.

- Domyślam się. Skoro to była taka gratka, dlaczego z niej nie skorzystałaś i nie zwiększyłaś stanu swojego posiadania w grze w megamonopol?

- Ten dom jest nawiedzany przez go duchy. Rzucono na niego klątwę.

- No tak. - Eve parsknęła śmiechem, ale Roarke spoglądał na nią poważnie z wyświetlacza. - Dobra, dzięki. Do zobaczenia.

- Z całą pewnością.

- Czy nie mogłabyś go posłuchać? - Peabody westchnęła. - Chodzi mi o to, żebyś zamknęła oczy i go posłuchała.

- Zapomnij o tym, Peabody. Zabójca Hopkinsa musiał wiedzieć, że budynek wystawiono na sprzedaż. Może wziął udział w przetargu, a może nie. Nie zabił poprzednich właścicieli, czekał na swoją ofiarę. Czyli potwierdza się, że to sprawa osobista. Zwabił go do budynku, zastrzelił, porzucił broń i spinkę do włosów obok szkieletu za ścianą. Jakby chciał coś wyraźnie dać do zrozumienia.

Peabody głośno wypuściła powietrze z płuc.

- W tym mieszkaniu nie dostrzegam nic, co by mi miało dawać cokolwiek do myślenia.

- Nie szkodzi. Teraz wybierzemy się na tańce.

Szkoła tańca Gillów mieściła się na trzecim piętrze przysadzistego budynku, wzniesionego przy West Side po wojnach miast. Zajęcia prowadzono w przestronnej sali z lustrzaną ścianą i drążkiem. W pomieszczeniu stało kilkanaście krzeseł, a za ozdobnym przepierzeniem widać było mikroskopijne biurczko.

W sali czuło się zapach potu i silną, kwiatową woń odświeżacza powietrza.

Chuda jak tyczka Fanny Gill spojrzała na nie podejrzliwie. Jasne włosy miała związane czerwoną wstążką. Jej szczupła twarz stała się jeszcze bardziej ściągnięta, kiedy wysłuchiwała ich relacji, oparta swoim małym tyłeczkiem o biurko.

- A więc ktoś zabił tego łobuza. Kiedy pogrzeb? Mam czerwoną sukienkę, którą trzymam na specjalne okazje.

- Widzę, że ze szczerego serca go pani nienawidzi, pani Gill?

- Tak, cała moja miłość do niego już dawno przeminęła. Widzicie tam mojego syna? - Wskazała brodą w kierunku przepierzenia, za którym mężczyzna w obcisłym trykocie bez rękawów liczył tempo i kroki grupce niezbyt schludnie wyglądających balerin. - To jedyna dobra rzecz, jaka mi została po Radcliffie. Miałam dwadzieścia dwa lata, byłam młoda i naiwna jak dziecko.

Nie tyle westchnęła, ile prychnęła, jakby chciała dać do zrozumienia, że tamte czasy już dawno przeminęły.

- Jasne, że straciłam dla niego głowę. Trzeba mu przyznać, że nieźle umiał czarować. Pobraliśmy się, zaszłam w ciążę.

Miałam trochę oszczędności, ze dwadzieścia tysięcy. Zabrał mi je i zainwestował. - Jej usta przemieniły się w cienką, czerwoną linię. - Stracił wszystko, co do dolara. Zawsze planował jakiś wielki interes, obiecywał, że pokaże całemu światu, na co go stać. Akurat. Na dodatek mnie zdradzał. Ale wytrzymałam z nim prawie dziesięć lat, bo chciałam, żeby mój syn miał ojca. W końcu doszłam do wniosku, że lepszy żaden ojciec niż zły ojciec. Rozwiodłam się, wynajęłam pieprzonego adwokata - oszusta, przepraszam za wyrażenie.

- Nic nie szkodzi. My, policjanci, często słyszymy takie słowa, jak „adwokat”.

Fanny parsknęła krótkim śmiechem i wyraźnie się odprężyła.

- Nie było tego dużo, ale wywalczyłam, co moje. Wystarczyło, żeby otworzyć tę szkołę. I wie pani, że dwa miesiące temu ten skurwysyn próbował pożyczyć ode mnie pieniądze? Nazwał to, oczywiście, inwestycją. Nic a nic się nie zmienił.

- Czy ta inwestycja dotyczyła klubu „Pod Dwunastką”?

- Tak. Jakbym chciała mieć coś wspólnego z tym miejscem albo z Radem.

- Pani Gill, czy może nam pani powiedzieć, gdzie pani spędziła ostatnią noc? Od

północy do trzeciej nad ranem?

- Spałam w swoim łóżku. Mam pierwsze zajęcia o siódmej rano. - Pociągnęła nosem, bardziej rozbawiona niż oburzona, że uznano ją za podejrzaną w sprawie o zabójstwo. - Gdybym chciała zabić Rada, zrobiłabym to dwadzieścia lat temu. Przesłuchacie również mojego syna, prawda?

- Taka jest procedura. Fanny skinęła głową.

- Ja spałam sama, ale on nie.

*

- Nie żyje? Ktoś go zamordował? - Cliff wytarł spoconą twarz ręcznikiem. - Jak? Kiedy?

- Dziś w nocy. Na razie jeszcze nie mogę ujawnić szczegółów zabójstwa. Czy może nam pan powiedzieć, co pan robił pomiędzy północą a trzecią nad ranem?

- Przyszliśmy do domu koło pierwszej. Spotkaliśmy się z przyjaciółmi... Przepraszam na sekundę. - Wziął butelkę wody, popatrzył na nią, a potem się napił. Był dobrze zbudowanym trzydziestolatkiem. Jasne, kręcone włosy związał w koński ogon, sięgający do połowy pleców. - Z Larsem Gawinem, moim partnerem, spotkaliśmy się z przyjaciółmi w Achillesie, klubie w centrum miasta. Zaraz po powrocie do domu położyliśmy się spać. Wstałem koło siódmej, wpół do ósmej. Proszę mi wybaczyć, ale muszę usiąść.

- Potrzebne nam będą nazwiska osób, z którymi spędził pan wieczór, oraz ich telefony, żebyśmy mogli się z nimi skontaktować. A także numer, pod którym możemy złapać pańskiego partnera.

- Jasne, nie ma sprawy. Jak do tego doszło? - Spojrzał na Eve oszołomionym wzrokiem. - Czy ktoś napadł go na ulicy?

- Nie. Nie mogę panu udzielić dokładnych informacji na ten temat. Kiedy po raz ostatni widział się pan z ojcem?

- Dwa miesiące temu. Przyszedł i próbował wyciągnąć od mojej mamy pieniądze. Jakby mogła się na to nabrać! - Cliff zmusił się do uśmiechu. - Potem zwrócił się do mnie. Dałem mu pięćset.

Obejrzał się tam, gdzie Fanny prowadziła z grupą uczniów ćwiczenia przy drążku.

- Mama obedrze mnie ze skóry, kiedy się o tym dowie, ale dałem mu pięć stów.

- I zrobił to pan nie pierwszy raz - wywnioskowała Eve.

- Nie. Od czasu do czasu dawałem mu parę setek. Dzięki temu nie nachodził matki.

Dobrze nam się wiedzie. Mam na myśli szkołę. Dajemy sobie radę. A Lars mnie rozumie.

- Tym razem jednak ojciec najpierw zwrócił się do pańskiej matki.

- Dopadł ją, nim udało mi się w tym przeszkodzić. Bardzo ją zdenerwował. Wyobrażał sobie, że uda mu się ją namówić na pożyczkę na tę jego inwestycję. Miał na oku jakiś wielki interes. Jak zwykle. - Cliff przesunął dłońmi po twarzy.

- Pokłócili się? - spytała go Eve.

- Nie. Mama już dawno temu przestała się z nim kłócić. A mój ojciec nie należy do tych, co się awanturują. Raczej się... Przymila. Powiedziała, że prędzej jej kaktus urośnie, niż mu pożyczy choć złamanego centa. Więc zwrócił się do mnie, ukradkiem, o pięć stów. Powiedział, że się ze mną skontaktuje, kiedy inwestycja zacznie przynosić zyski, ale to jego kolejna znana śpiewka. Nieważne. To tylko pięć stów. Nie wiem, co czuję. Nie wiem, co powinienem czuć.

- Nie mogę tego panu powiedzieć, panie Gill. Dlaczego zrezygnował pan z posługiwania się nazwiskiem Hopkins?

- Z uwagi na tę szkołę. I ze względu na matkę. - Wzruszył ramionami, nieco speszony. - Poza tym Hopkins źle się kojarzy. Przynosi pecha.

ROZDZIAŁ 3

Eve wcale nie zdziwiło, że lekarz sądowy Morris ochoczo zabrał się do sekcji zwłok Hopkinsa. Liczne rany postrzałowe musiały stanowić nie lada gratkę dla patomorfologa. Pożądana odmiana po ranach kłutych i tłuczonych, po autopsjach ofiar dusicieli i pechowców zmarłych w wyniku przedawkowania narkotyków.

Morris z długimi, ciemnymi, lśniącościami włosami, związanymi w kitkę, w eleganckim, brązowym garniturze, na który włożył przezroczysty, ochronny kitel, stał nad trupem, uśmiechając się promiennie do Eve.

- Przysyłasz mi najciekawsze przypadki.

- Robimy, co możemy - odparła. - Co mi powiesz takiego, czego jeszcze nie wiem?

- Owady, należące do jednej rodziny muszek owocówek nazwano pawiami, ponieważ dumnie kroczą po owocu.

- Aha. Zapamiętam to sobie. Wyrażę się ściślej. Co mi możesz powiedzieć o naszym nieboszczyku?

- Pierwsze cztery rany postrzałowe w klatce piersiowej i piąta, w nogę, nie stanowiłyby zagrożenia dla życia, gdyby w porę zainterweniował chirurg. Kolejna kula uszkodziła kręgosłup, następna - nerkę. Ósma nie wyrządziła większych szkód, trafiła w mięsień ramienia. Ale mężczyzna był już martwy. Ostatni strzał, z bliska, uszkodził mózg, który już wcześniej przestał funkcjonować.

Wskazał ścienny ekran i polecił uruchomić program.

- Pierwsze kule wystrzelono niemal poziomo - wyjaśniał Morris w miarę, jak na ekranie pojawiały się kolejne wykresy. - Jak widzisz, komputer sugeruje, a ja się z nim zgadzam, że napastnik strzelił czterokrotnie, raz za razem, celując w klatkę piersiową. Po czwartym strzale mężczyzna upadł.

Eve razem z Morrisem uważnie przyglądała się wykresom obrazującym przebieg strzelaniny. Wynikało z nich, że pierwsze dwie kule dosięgły Hopkinsa, kiedy stał, a następne dwie, gdy już lekko się pochylił do przodu, zanim upadł.

- Potężnie zbudowany gość - zauważyła Peabody. - Trochę się zachwiał, ale utrzymał równowagę po tym, jak go trafiły te dwie pierwsze kule. Widziałam śmierć w wyniku użycia broni palnej tylko na filmach instruktażowych i fabularnych - dodała. - Myślałam, że powali go pierwszy strzał.

- Z uwagi na swoją posturę - powiedział Morris - a także dlatego że strzały padły

jeden po drugim, nie od razu się przewrócił. Sądząc po tym, pod jakim kątem trafiły go kolejne kule, przypuszczalnie zatoczył się do tyłu, potem lekko przechylił w przód, wreszcie upadł. Gros ciężaru ciała przyjęły na siebie kolano i nadgarstki dłoni. - Odwrócił się do Eve. - W twoim raporcie wyczytałem, iż ślady krwi świadczyły o tym, że ofiara próbowała się czołgać albo podnieść z podłogi.

- Zgadza się.

- Napastnik szedł za nim i dalej strzelał. Trafił go w plecy, nogę, ramię.

Eve zmrużyła oczy i przyglądała się wygenerowanemu komputerowo przebiegowi strzelaniny.

- Podążał za nim i strzelał. Nie zważał na to, że jego ofiara krwawi, czołga się. Morris, strzelałeś kiedyś z broni palnej?

- Prawdę mówiąc, nie.

- A ja tak - ciągnęła. - Ciekawe uczucie, kiedy się ją ściska w dłoni. Przy każdym strzale czuje się lekki odrzut. Za sprawą niewielkiego wstrząsu, który przebiega przez całe ciało, człowiek jest w pełni świadomy tego, co robi. Założę się, że zabójcę to kręciło. Ten odrzut, ten huk. Trzeba mieć mocne nerwy, żeby dalej walić do faceta, który się czołga, zostawiając za sobą smugę krwi.

- Ludzie stale znajdują nowe wstrętne sposoby zabijania. Byłbym skłonny twierdzić, że posłużenie się bronią palną sprawia, że odbieramy komuś życie, nie brudząc sobie rąk. Zachowując dystans. Ale w tym przypadku było zupełnie inaczej.

Skinęła głową.

- Masz rację. Widać tu bliski kontakt, niemal zażyłość. Szczególnie w tym dziewiątym strzale.

- Żeby strzelić Hopkinsowi w głowę, trzeba było faceta, jak sama powiedziałaś, postawnego mężczyznę, przewrócić na wznak. Zabójca przyłożył mu pistolet do czoła. Świadczą o tym nie tylko poparzenia i ślady prochu, ale również sine kółko widoczne na skórze. Gotów jestem się założyć, że kiedy będę je mógł porównać z lufą broni, okaże się, iż idealnie odpowiada jej średnicy. Zabójca z całych sił przytknął lufę do czoła ofiary, nim pociągnął za spust.

- Przekonajmy się, jak ci to przypadnie do gustu, łobuzie - mruknęła Eve.

- No właśnie. Pomijając to, że twój nieboszczyk jest podziurawiony przez kule jak sito, za życia cieszył się całkiem dobrym zdrowiem, chociaż miał dziesięć kilogramów nadwagi. Farbował włosy, a w ciągu ostatnich pięciu lat podciągnął sobie skórę wokół oczu i na policzkach, żeby się pozbyć zmarszczek. Ostatni raz jadł jakieś dwie godziny przed

śmiercią. Frytki sojowe, pikle, ser topiony. Wszystko to popił krajowym piwem.

- Gdzie są pociski?

- W drodze do laboratorium. Najpierw sam je zbadałem. Kaliber dziewięć milimetrów. - Morris zmienił program i na ekranie pojawiły się zdjęcia pocisków, wydobytych z ciała ofiary.

- Człowieku, przecież w ten sposób je uszkodziłeś!

- Podobnie jak uszkodziły je mięśnie, kości i narządy wewnętrzne. Na dłoniach ofiary nie znalazłem resztek prochu ani żadnych ran świadczących o tym, że się bronił. Na lewym kolanie siniak powstały w wyniku upadku. I na skórze obu dłoni kilka otarć, spowodowanych kontaktem z powierzchnią podłogi.

- Czyli że nie walczył ani nie miał takiej okazji. I się nie odwrócił. - Eve zrobiła półobrót, jakby szykowała się do ucieczki. - Nic nie wskazuje, że na widok broni próbował uciekać.

- Badanie zwłok tego nie potwierdza. Nic nie wskazywało też na to, kiedy oglądała miejsce zbrodni.

- Facet zwykle nie zajada się frytkami i piklami, jeśli jest zdenerwowany albo czymś zmartwiony - wtrącała się Peabody. - Sprawdzili jego magnetowid. W czasie, kiedy spożywał ostatni posiłek, oglądał miękkie porno. To spotkanie nie budziło w nim lęku.

- To musiał być ktoś, kogo znał. Uznał, że sobie z nim poradzi - zgodziła się Eve. Znów spojrzała na trupa. - No i grubo się pomylił.

- „Pod Dwunastką” - powiedział Morris, kiedy Eve skierowała się do wyjścia.

- Zgadza się.

- Czyli koniec legendy Bobbie Bray.

- Masz na myśli tę zaginioną kobietę, która prawdopodobnie zmarła?

- Tak. Była cudowną kobietą o głosie udręczonego anioła.

- Jeśli pamiętasz Bobbie Bray, cholernie dobrze się trzymasz jak na swój wiek, Morris.

Znów rzucił jej ten swój olśniewający uśmiech.

- Są tysiące stron internetowych poświęconych jej osobie. Można powiedzieć, że stała się postacią kultową. Piękna kobieta, której gwiazda dopiero co zaczęła wschodzić, nagle znika bez śladu. Naturalnie przez kolejne dziesięciolecia wielokrotnie ją widywano. A opowieści o tym, że jej duch prześladowuje klub „Pod Dwunastką”, przetrwały do dziś. Zimne światła, duchy, muzyka, rozlegająca się ni stąd, ni zowąd. Doświadczyłaś kiedyś czegoś z tego?

Eve przypomniała sobie urywek piosenki i przenikliwy chłód.

- Natknęłam się najprawdopodobniej na jej kości. To mi wystarczy.
- Zbadam je w laboratorium z antropologiem - patomorfologiem. - Morris wciąż uśmiechał się promiennie. - Już się nie mogę doczekać, kiedy trafi w moje ręce.

*

Po powrocie do centrali Eve udała się do swojej klitki, żeby odtworzyć przebieg ostatniego dnia życia Hopkinsa. Ustaliła, że zjadł obiad z dwójką wpływowych mieszkańców Nowego Jorku, oboje mieli niepodważalne alibi na czas popełnienia zabójstwa. Po dokładniejszym sprawdzeniu stanu finansów Hopkinsa okazało się, że w ciągu ostatniego roku od czasu do czasu wpływały na jego konto pewne kwoty ze sklepu „Było, minęło”. Ostatni raz w połowie grudnia.

- Cienko przedłeś, Rad. Jak, u diabła, zamierzałeś sfinansować remont? Może spodziewałeś się nieoczekiwanego zastrzyku gotówki? Cóż takiego miałaś ostatniej nocy przynieść „Pod Dwunastkę”?

Zadzwonili na jego kieszonkowe łącze, pomyślała. Starali się wzbudzić w nim dreszczyk. Ale on nie wpadł w panikę. Przygotował sobie coś do jedzenia, obejrzał miękkie porno.

Rozsiadła się w fotelu i zamknęła oczy. Z dysku ochrony w budynku, w którym mieszkał Hopkins, wynikało, że wyszedł o pierwszej trzydzieści pięć. Był sam. Wyglądał, jakby sobie pogwizdywał jakąś melodię, przypomniała sobie Eve. Bez troski jak skowronek. Niczego nie niósł. Nie miał teczki, żadnego pakunku, torby.

- Bum! Eve otworzyła oczy i spojrzała na Feeneya. Kapitan z wydziału przestępstw elektronicznych miał na sobie pomięte ubranie, sztywne, rude włosy sterczały mu na wszystkie strony, a na jego twarzy jak zwykle malowała się mina winowajcy.

- Coś znalazłeś?
- Więcej niż ty - powiedział i wszedł do środka. - Klub „Pod Dwunastką”.
- Jezu, dlaczego wszyscy mi to powtarzają? Jakby to było państwo w państwie.
- Bo właściwie było. Hop Hopkins, Bobbie Bray, Andy Warhol, Mick Jagger. - Przez chwilę Feeney miał taką minę, jak wyznawca jakiejś sekty przed ołtarzem swego bóstwa. - Chryste, Dallas, co to musiał być za klub, kiedy jeszcze działał.
- Teraz to ruina.
- Do tego przekłeta - rzucił od niechcenia. Eve zamrugła powiekami.
- Daj spokój. Mówisz poważnie?

- Jak najpoważniej. Przecież sama znalazłaś zamurowany szkielet, prawda? I trupa, zabytkową broń, brylanty. Nieodłączne elementy każdej legendy. A robi się coraz bardziej ciekawie.

- Naprawdę? Uniósł do góry dysk.

- Sprawdziłem ostatnią rozmowę twojej ofiary i zgłoszenie pod dziewięćset jedenastą. Dla draki porównałem głosy obu rozmówców. Okazało się, że należą do tej samej osoby. Zgadnij, do kogo.

- Do Bobbie Bray.

- Skąd wiesz? - Wydał usta, obrażony.

- Domyśliłam się. Zabójca wykorzystał głos Bray, prawdopodobnie posklejał jej wypowiedzi ze starych wywiadów dla mediów i tym podobnych. Chyba że zamierzasz mi powiedzieć, że według ciebie to głos z zaświatów.

- Staram się mieć otwarty umysł.

- Bardzo ładnie. Udało ci się dotrzeć do starszych rozmów? Pomachał w górę drugim dyskiem.

- Mam tu nagrania z ostatnich dwóch tygodni. Aż ociekają wazeliną. Facet starał się zdobyć fundusze na remont. Rozmowy z łącza domowego są takie same. Telefony do restauracji, parę do biura oferującego usługi licencjonowanych pań do towarzystwa. I kilka do jakiegoś „Było, minęło”.

- Zamierzam to sprawdzić. Zdaje się, że wyprzedawał wszystko, co posiadał.

- Prawdopodobnie miał kilka oryginalnych dzieł sztuki z czasów, kiedy żył jego dziadek. Plakaty muzyczne, zdjęcia, pamiątki.

Eve przechyliła głowę.

- Dość, żeby kupić klub „Pod Dwunastką”, a potem sfinansować jego remont?

- Nigdy nie wiadomo, ile ludzie gotowi są zapłacić za dany przedmiot. Masz już kogoś na oku?

- Rozmawiałam z jedną z jego byłych żon i ich synem. Nie wydają mi się podejrzani, ale staram się zachować otwarty umysł. Sprawdzam kilku partnerów biznesowych, potencjalnych sponsorów, pozostałe były żony. Nie natknęłam się na żadną aktualną przyjaciółkę ani taką, którą ostatnio porzucił. Facet wygląda mi na nieco podejrzanego, ale w zasadzie nieszkodliwego typu. Palanta, który lubił się przechwalać. Nie mam jeszcze żadnego motywu, jeśli nie liczyć owego tajemniczego „czegoś”, co wziął bądź nie ze sobą do klubu „Pod Dwunastką”.

Eve rozsiadła się wygodnie.

- Potężnie zbudowany facet. Ale łatwy cel dla kobiety, która w jakiś sposób zdobyła broń i mniej więcej wiedziała, jak się nią posługiwać. Druga była żona wciąż ma do niego pretensje, stąd mój otwarty umysł. Peabody sprawdza, skąd pochodzi broń.

*

- Rzecz w tym - wyjaśniła jej Peabody - że jest naprawdę stara. W tamtych czasach nie trzeba było rejestrować broni przy zakupie, przynajmniej nie w każdym stanie i w zależności od tego, w jaki sposób ją nabyto. Ta niewątpliwie pochodzi z czasów Hopa Hopkinsa i Bobbie Bray. Przestali produkować ten model w latach dziewięćdziesiątych. Zdobyłam listę kolekcjonerów, posiadających licencje i mieszkających w stanie Nowy Jork, którzy mają w swoich zbiorach taki model, ale...

- Nie będzie go tam. Nie, jeśli specjalnie pozostawiono go na miejscu zbrodni. Zabójca chciał, żeby znaleziono narzędzie zbrodni i je zidentyfikowano. Jeśli laboratorium się uwinie, jutro powinniśmy wiedzieć, czy z tej samej broni zabito Hopkinsa i naszą nieznajomą.

- Przez chwilę się zastanawiała, a potem wstała od biurka. - Dobra, wstąpię do laboratorium, trochę ich pogonię.

- Zawsze to jakaś rozrywka.

- Tak, lubię rozrywki. Potem pojedę do tego sklepu z pamiątkami, rozejrzę się po nim. Jest w centrum, więc stamtąd wrócę do domu. Feeney dał mi spis połączeń telefonicznych Hopkinsa. Chcesz się tym zająć? Skontaktować się z dzwoniącymi?

- Jestem do twojej dyspozycji.

*

Dick Berensky, szef laboratorium, nie bez powodu nosił przydomek Barani Łeb. Ale był również geniuszem w swojej dziedzinie. Na ogół Eve załatwiała z nim wszystko, przekupując go, znieważając albo otwarcie mu grożąc. Ale tym razem nie musiała się uciekać do żadnej z tych metod.

- Dallas! - Niemal zaśpiewał na jej widok.

- Nie szczerz się tak do mnie. - Wzdrygnęła się lekko. - Można się przestraszyć.

- Przyniosłaś mi nie jedno, a dwa cuda. Opiszę je w fachowych czasopismach i przez następnych dziesięć lat będę sławny.

- Powiedz mi, co masz. Obrócił się na stołku i stuknął długimi, cienkimi palcami w ekran komputera. Z jego twarzy wciąż nie schodził uśmiech.

- Mój człowiek od kości współpracował z Morrisem, a ja nimi dyrygowałem. Znalazłaś kobietę w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Bobbie Bray miała

dwadzieścia, dwadzieścia trzy lata, kiedy zniknęła. Rasy białej, metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, waga pięćdziesiąt trzy kilogramy, czyli taki sam wzrost i waga, jak Bobbie w chwili, kiedy zaginęła. W wieku dwunastu lat doznała złamania kości piszczelowej. Kość zrosła się prawidłowo. Trzeba będzie spróbować dotrzeć do dokumentacji medycznej Bobbie, żeby sprawdzić, czy też miała złamaną kość piszczelową. Mój człowiek już rekonstruuje wygląd twarzy. To Bobbie Bray, jak babkę kocham.

- Kolejny wielbiciel.

- A żebyś wiedziała. Niezła była z niej laska. Przyczyna śmierci - pojedyncza rana postrzałowa w głowę. Kula wydobyta z czaszki jest takiego samego kalibru, co kule, od których zginęła twoja ofiara. Badania balistyczne potwierdzają, że obie kule wystrzelono z broni, znalezionej na miejscu zbrodni. Posłużono się tą samą bronią w odstępie osiemdziesięciu pięciu lat. Cudo.

- Założę się, że zabójca uważa tak samo. Sarkazm nie dotarł do Dicka.

- Broń była czysta i naoliwiona. Naprawę łączyła. Ale... - Znów się uśmiechnął i postukał w ekran. - To, na co teraz patrzysz, to pył. Pył ceglany, pył ze ścianki gipsowej. Próbkę pobrane przez techników z miejsca popełnienia drugiej zbrodni. A tutaj? Próbkę pyłu, znalezione w środku broni. Są identyczne.

- Co by świadczyło, że broń zamurowano razem z ciałem.

- Przypuszczam, że Bobbie miała dość snucia się jako duch po tym miejscu i postanowiła odegrać bardziej aktywną rolę.

Eve doszła do wniosku, że w takiej sytuacji szkoda się wysilać na jakikolwiek sarkazm.

- Prześlij raporty na mój komputer w pracy i w domu, a także kopie do Peabody. Kiedy twój człowiek skończy rekonstruować twarz, chcę zobaczyć jego dzieło.

Wyszła i wyjęła z kieszeni łącze. Nie zdążyła wybrać numeru, kiedy zabrzączało.

- Dallas.

- Aresztowałaś ostatnio jakieś duchy?

- Nie. I nie planuję. Dlaczego nie jesteś na jakimś spotkaniu poświęconym przejęciu kontroli nad światem?

- Właśnie przed chwilą się zakończyło - powiedział jej Roarke. - Przez cały dzień umierałem z ciekawości. Już trafiłaś na jakiś ślad?

- Ślad to za dużo powiedziane. Ale są pewne poszlaki. Właśnie wybieram się do sklepu, w którym ofiara wyprzedawała swój majątek... domyślam się, że autentyczne pamiątki popkultury z dawnych czasów... Rzucę na nie okiem.

- Gdzie mieści się ten sklep?
- Czemu pytasz?
- Spotkam się tam z tobą. Będę twoim konsultantem od pamiątek i popkultury.

Możesz mi zapłacić w naturze: jedzeniem i seksem.

- Przygotuj się na pizzę. Ale obawiam się, że na seks będziesz musiał długo poczekać. Jednak podała mu adres.

Kiedy się rozłączyła, zadzwoniła do sklepu z pamiątkami, żeby uprzedzić właściciela, by nie zamknął kramu. Kierując się intuicją, zapytała, czy mają jakieś pamiątki po Bobbie Bray.

Zapewniono ją, że zgromadzili największy w mieście zbiór przedmiotów związanych z osobą Bobbie Bray.

Ciekawe.

ROZDZIAŁ 4

Przyszedł pierwszy i młoda, elegancka, rudowłosa pracownica w obcisłym, czarnym kostiumie już mu podawała kawę, przymilając się do niego, kiedy pojawiła się Eve.

Nie mogła mieć pretensji do kobiety. Roarke był nieprawdopodobnie przystojny i jeśli uznał, że odniesie z tego jakąś korzyść, potrafił być naprawdę niezwykle czarujący. Widocznie teraz miał ochotę, żeby rudowłosa mu nadszakiwała, proponując ciasteczka do kawy.

Eve pomyślała, że przy okazji też skorzysta z uroku osobistego Roarke'a. Kiedy była na służbie, prawie nigdy nie częstowano jej ciasteczkami.

- Ach, a oto i nasza pani porucznik. Porucznik Dallas, to Maeve Buchanan, nasza przeurocza gospodyni i córka właściciela.

- A gdzie sam właściciel?

- Cała moja żona. Z miejsca przystępuje do rzeczy. Napijesz się kawy, kochanie?

- Jasne. Niczego sobie lokal.

- Bardzo jesteśmy z niego zadowoleni - powiedziała Maeve. Sklep był kolorowy, ładny - jak ich gospodyni - i uroczo urządzony.

Nie leżały tu zwalone na stos rupiecie, jak się tego spodziewała Eve. Na ścianach wisiały obrazy i plakaty, ale rozmieszczone w taki sposób, jak zrobiłby to ktoś we własnym domu, jeśli byłby na tyle szalony, by nimi zapełnić każdy skrawek ściany.

Różne pamiątkowe przedmioty rozstawiono na stolikach, w witrynach i na lśniących półkach, tak że całość nie budziła skojarzeń z graciarnią, jak to się dzieje w przypadku wielu sklepów tego typu. Muzyka też nie była nachalna - akurat leciał jakiś utwór instrumentalny, z całą pewnością nie z aktualnej listy przebojów. I jeszcze podkreślał wyjątkowy charakter tego miejsca.

- Proszę usiąść - powiedziała Maeve. - Chyba że woli pani rozejrzeć się po sklepie. Mój ojciec jest na zapleczu. Rozmawia z Londynem.

- Późna tam pora na załatwianie interesów - zauważyła Eve.

- Tak. Ale to kolekcjoner. Większość naszych klientów to prywatni kolekcjonerzy. - Maeve odgarnęła z twarzy rude włosy. - Czy mogę państwu w czymś pomóc, do czasu aż ojciec będzie mógł do nas przyjść?

- Ostatnio kupiłem kilka przedmiotów od Radcliffa C. Hopkinsa. - Ach, pan Hopkins. Głównie lata sześćdziesiąte do osiemdziesiątych.

Również nabyliśmy od niego kilka rzeczy. Czy wyniknął jakiś problem?

- Dla pana Hopkinsa z całą pewnością. Został zabity dziś w nocy.

- Och! - Radosny uśmiech zniknął z jej twarzy, zastąpiła go zaszokowana mina. - Został zabity? Mój Boże.

- Od rana informują o tym media.

- Nie... Nie słyszałam. - Maeve przycisnęła ręce do policzków, jej niebieskie oczy zrobiły się wielkie. - Otwieramy o dziesiątej. Nie słuchamy w sklepie bieżących wiadomości radiowych ani telewizyjnych. Psułoby to... atmosferę ponad - czasowości. Mój ojciec bardzo się zmartwi.

- Byli przyjaciółmi?

- Utrzymywali przyjazne stosunki. Nie wiem, co powiedzieć. Był u nas zaledwie kilka tygodni temu. W jaki sposób zginął?

- Nie mogę ujawnić żadnych szczegółów. - Na razie, pomyślała Eve. Zawsze dochodziło do przecieków i dziennikarze nie mogli się wprost doczekać, kiedy uda im się dowiedzieć czegoś więcej. - W tej chwili mogę jedynie powiedzieć, że go zamordowano.

Maeve miała jasną cerę, typową dla rudowłosych. Teraz jej twarz zrobiła się biała jak prześcieradło.

- Zamordowano go? To straszne. To... - Odwróciła się, kiedy otworzyły się drzwi na zaplecze.

Wyszedł przez nie wysoki, chudy mężczyzna. Miał zielone oczy i rude włosy, lekko przyprószone siwizną. Zbliżał się z powitalnym uśmiechem na ustach. Kiedy zobaczył minę córki, natychmiast spowaźniał.

- Maeve, co się stało? Jakiś problem?

- Tatusiu, pan Hopkins nie żyje. Zamordowano go. Złapał córkę za ramię i spoglądał swoimi zielonymi oczami to na Roarke'a, to na Eve.

- Rad Hopkins?

- Zgadza się. - Eve pokazała swoją odznakę. - Jestem porucznik Dallas. Prowadził pan interesy z panem Hopkinsem?

- Tak. Tak. Mój Boże, to takie niespodziewane. Czy ktoś się do niego włamał?

- Skąd to panu przyszło do głowy?

- Miał bardzo bogatą kolekcję staroci.

- Kupił pan od niego sporą jej część.

- To i owo. To i owo, ale pierwszorzędnej klasy. - Zaczął masować ramiona córki. Po chwili usiadł i pociągnął ją za sobą. Przysiadła na oparciu fotela. Takie zachowanie wyraźnie

pomogło im obojgu odzyskać panowanie nad sobą.

- Miałem nadzieję, że kiedyś dokonam pełnej wyceny i zaproponuję mu kupno całości. Ale był... - Poglądził włosy i się uśmiechnął. - Był sprytny. Zwodził mnie i zaostrzał apetyt.

- Co pan wie o klubie „Pod Dwunastką”?

- „Pod Dwunastką”? - Przez chwilę siedział zaskoczony, a potem pokręcił głową. - Przepraszam, ale mam mętlik przez to wszystko. Jeśli wierzyć ludziom, to miejsce, nawiedzane przez duchy. Jedni mówią, że straszy tam duch Hopa Hopkinsa, inni - że Bobbie Bray. Są też tacy, którzy twierdzą, że pojawiają się tam duchy ich obojga i jeszcze wielu sławnych ludzi z tamtej epoki. Ten klub przynosi pecha wszystkim jego właścicielom, ale przyznaję, że sam niestrudzenie szukam autentycznych pamiątek pochodzących z czasów jego największej świetności. Radowi udało się kilka miesięcy temu kupić cały budynek. W końcu wrócił w ręce rodziny.

- Wie pan, w jaki sposób rodzina go straciła?

- O ile dobrze pamiętam to, co mi mówił Rad, sprzedali lokal, kiedy Rad był jeszcze chłopcem. Jego ojciec odziedziczył klub po śmierci swojego ojca, który zmarł w wyniku przedawkowania narkotyków. Rad zamierzał przywrócić temu miejscu jego dawną świetność.

- Cały czas o tym opowiadał - dodała Maeve. - Zawsze, kiedy do nas wpadał. Teraz już nigdy... Jakie to smutne.

- Mówiąc szczerze - ciągnął Buchanan - przypuszczam, że trochę się przeliczył z możliwościami. To ogromne przedsięwzięcie i chyba dlatego uznał, że musi sprzedać część swoich dzieł sztuki i pamiątek. A ponieważ znam wiele osób, które mogłyby pomóc w urządzeniu klubu, nasza znajomość obu nam przynosiła korzyści. Przykro mi, że Rad nie żyje.

- Kiedy ostatni raz pan się z nim kontaktował?

- W zeszłym tygodniu. Zaprosił mnie na drinka. Było to... - Na chwilę zamknął oczy i uniósł palec do góry. - W środę. W ostatnią środę wieczorem. Wiedziałem, że znów będzie mnie namawiał na zainwestowanie w ten jego klub. Zwykle nie przyjmuję takich zaproszeń, ale jest dobrym klientem i żyjemy na przyjacielskiej stopie.

Westchnął, a Maeve położyła rękę na jego dłoni.

- Więc się z nim spotkałem. Był taki przejęty. Powiedział, że jest gotów wznowić prace remontowe. Tym razem na poważnie. Planował otwarcie klubu latem.

- Ale nie zaryzykował pan i nie przyjął jego propozycji?

- Zgadza się, ale nie miał o to do mnie pretensji. Mówiąc szczerze, kiedy kilka miesięcy temu po raz pierwszy mi to zaproponował, zasięgnąłem języka na temat tego

budynku. Żadne przedsięwzięcie w nim nie wypała. Właściciele i sponsorzy bankrutują albo kończą jeszcze gorzej. Nie miałem podstaw sądzić, że tym razem będzie inaczej.

- To prawda - potwierdził Roarke. - Poprzedni właściciele planowali otwarcie małego, ekskluzywnego ośrodka odnowy biologicznej z restauracją i punktem sprzedaży. Właściciel przewrócił się i złamał obie nogi, kiedy razem z architektem oglądał wnętrza. Jego brata, a zarazem współwłaściciela, napadnięto i brutalnie pobito tuż przed budynkiem. Potem księgowy uciekł z jego żoną, zabrawszy prawie wszystkie pieniądze.

- Czasami ludzi spotykają nieszczęścia - skwitowała to obojętnie Eve. - Czy mogą mi państwo powiedzieć, co państwo robili ostatniej nocy między północą a trzecią nad ranem?

- Czy jesteśmy podejrzani? - Oczy Maeve zrobiły się okrągłe. - O, mój Boże!

- To zwykła formalność. Im więcej wiem, tym lepiej dla śledztwa.

- Miałam randkę... Wróciłam koło jedenastej.

- Kwadrans po jedenastej - poprawił ją Buchanan. - Słyszałem, jak przyszłaś.

- Tatusiu... - Maeve wzniosła oczy do góry. - Czeka na mój powrót. Mam dwadzieścia cztery lata, a tata nadal czeka, aż wrócę do domu.

- Czytałem w łóżku. - Ale uśmiechnął się nieco zakłopotany. - Maeve wróciła, a ja... No cóż... - Znów rzucił spojrzenie córce. - Koło północy zszedłem na dół i sprawdziłem alarm. Wiem, wiem - powiedział, zanim Maeve zdążyła otworzyć usta. - Zawsze włączasz alarm po powrocie, kiedy ja już leżę w łóżku, ale jestem spokojniejszy, jeśli wszystko sam sprawdzę. Potem położyłem się spać. Maeve była w swoim pokoju. Dziś koło ósmej zjedliśmy razem śniadanie, przyjechaliśmy tutaj o wpół do dziesiątej. Otwieramy o dziesiątej.

- Dziękuję. Czy możemy się rozejrzeć po sklepie?

- Naturalnie. Proszę bardzo. W razie jakichś pytań... Jeśli moglibyśmy w czymś pomóc... - Buchanan podniósł obie ręce. - Jeszcze nigdy nie miałem do czynienia z czymś takim, więc nie bardzo wiem, co możemy lub powinniśmy zrobić.

- Proszę być pod ręką - powiedziała mu Eve. - I zadzwonić do mnie do komendy, jeśli coś sobie pan przypomni. A teraz może mi pan pokaże pamiątki po Bobbie Bray.

- Och, mamy ich cały zbiór. Mnie najbardziej się podoba jej portret. Kupiłem go od Rada kilka miesięcy temu. Proszę tędy. - Odwrócił się, żeby ich oprowadzić po ekspozycji. - Namalowany został na podstawie zdjęcia zrobionego na okładkę jej pierwszej płyty. Zamówił go Hop, pierwszy z Hopkinsów, i powiesił w swoim mieszkaniu nad klubem. Krążyły plotki, że prowadził z nią długie rozmowy po tym, jak zniknęła. Naturalnie zażywał najróżniejsze środki halucynogenne. Oto i ona. Jest olśniewająca, prawda?

Portret miał ze czterdzieści pięć na pięćdziesiąt centymetrów i przedstawiał Bobbie w

pozycji półleżącej na łóżku przykrytym wściekle różową narzutą, na której piętrzyły się białe poduszki.

Eve przyglądała się kobiecie o długich, jasnych, kręconych włosach, w których błyszcząły dwie spinki z brylantami. Oczy miała zielone jak pierwsze wiosenne liście, po jej policzku płynęła jedna łza, która też lśniła jak brylant. Była to twarz skazanego na zgubę anioła, raczej ujmująca niż piękna, pełna tragizmu i patosu.

Bobbie miała na sobie białą, zwiewną sukienkę z ciemnoczerwoną plamką w kształcie serca.

- Album był zatytułowany *Krwawiące serce*, tak, jak jedna z piosenek. Zdobyła za niego trzy nagrody Grammy.

- Miała dwadzieścia dwa lata - wtrąciła Maeve. - Była dwa lata młodsza ode mnie. Niespełna dwa lata później zniknęła bez śladu.

Zawsze zostaje jakiś ślad, pomyślała Eve. Zawsze, nawet jeśli musi minąć prawie sto lat, by wyszedł na światło dzienne.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Eve wsunęła ręce do kieszeni. Przestało padać, ale wiatr jeszcze przybrał na sile. Była prawie pewna, że zostawiła czapkę w pracy.

- Każdy ma alibi, nikt nie ma motywu. Ale chyba pojedę jeszcze raz na miejsce zbrodni, żeby się rozejrzeć.

- W takim razie po drodze możesz mnie zapoznać ze szczegółami, bo z pewnością jest ich cała masa. Kazałem odstawić mój wóz do domu - ciągnął Roarke, kiedy Eve spojrzała na niego, marszcząc brwi. - Żebym mógł wrócić ze swoją cudowną żoną.

- Miałaś nadzieję, że obejrzysz klub „Pod Dwunastką”.

- A człowiek żyje nadzieją. Chcesz, żebym prowadził? Eve usiadła za kierownicą i zaczęła w nią stukać palcami.

- Ile jest wart na wolnym rynku taki obraz?

- Dla kolekcjonera? Właściwie nie ma górnej granicy ceny. Ale przypuszczam, że najmniej milion.

- Milion? Za portret zmarłej kobiety? Co jest nie tak z tym gościem? Najwyższa kwota, która wpłynęła na rachunek Hopkinsa ze sklepu „Było, minęło”, wynosiła jedną czwartą tego. Dlaczego facet tak tanio wyzbywał się swojej kolekcji?

- Bo pilnie potrzebował pieniędzy. Wróbel w garści jest wart znacznie więcej niż obraz na ścianie.

- Chyba masz rację. Buchanan musiał wiedzieć, że trafiła mu się wyjątkowa gratka.

- Więc czemu miałby zabijać kurę znoszącą złote jajka?

- No właśnie. Ale wydaje mi się dziwne, że żadne z nich nie wiedziało przed naszym przybyciem, że Hopkinsa zamordowano w klubie „Pod Dwunastką”. Jedzą śniadanie o ósmej i nie słuchają wiadomości, programując autokucharza albo wciągając spodnie?

- Nie wszyscy mają zwyczaj słuchać wiadomości.

- Może nie. Ale nikt nie wpadł do nich w ciągu dnia i o tym nie wspomniał? Nikt nie powiedział: „Hej! Słyszeliście, co spotkało Hopkinsa? Kolejna ofiara w klubie”. Po prostu nie wydaje mi się to prawdopodobne.

Wzruszyła ramionami i odjechała od krawężnika.

- Zdążyłam jeszcze wpaść do laboratorium. Z tej samej broni, z której zabito Hopkinsa, zastrzelono jeszcze niezidentyfikowaną kobietę; jej szczątki były zamurowane nad klubem „Pod Dwunastką”.

- Ciekawe.

- Broń została zamurowana razem z ciałem. Zabójca musiał znaleźć jedno i drugie. Oczyszczył pistolet. Zwróciłeś uwagę na te spinki, które miała na portrecie? Znajdowały się na miejscu zbrodni, były wypolerowane i błyszczące. Jedna leżała koło okna, którym zabójca najprawdopodobniej uciekł, druga - obok zwłok kobiety.

- Ktoś chce mieć pewność, że te szczątki zostaną prawidłowo zidentyfikowane. Masz jakieś wątpliwości co do tego, że to ona?

- Nie, nie wątpię, że to ona. Jestem pewna, że Hop Hopkins ją zastrzelił, a potem zabawił się w murarza. Nie wiem, dlaczego to zrobił. Nie wiem, dlaczego osiemdziesiąt pięć lat później ktoś z tej samej broni zabił wnuka Hopa.

- Ale przypuszczasz, że coś wiąże te sprawy. I że morderca kierował się chęcią zemsty.

- Musiał ponownie naładować broń, żeby strzelić mu w głowę. To wyjątkowo wyrachowane. Facet nie żyje albo jest bliski śmierci, a zabójca ponownie nabija broń, przewraca ofiarę na wznak, przyciska lufę na tyle mocno, by poparzyła skórę i zostawiła ślad na czole, i pociąga za spust. To cholernie wyrachowane zachowanie.

ROZDZIAŁ 5

Podczas jazdy przez miasto Eve zapoznała Roarke'a z tokiem śledztwa. Kiedy mu opowiadała o dochodzeniu, poszczególne elementy zawsze układały jej się w logiczną całość. Co istotniejsze, na ogół wiedział coś lub znał kogoś i mogła wypełnić luki.

- Czy kiedykolwiek robiłeś jakieś interesy z Hopkinsem?

- Nie. Cieszył się opinią człowieka, który przemieniał w gówno wszystko, czego dotknął.

- Wielkie zamiary, marny koniec - podsumowała.

- Mniej więcej. Ale był człowiekiem pod każdym względem nieszkodliwym. Nie należał do tych, co to wyłudzą ostatni grosz od wdów i sierot, chociaż nie wzdragał się przed pozbawianiem ich części majątku w nadziei, że szybko się wzbogaci.

- Zdradzał swoje kolejne żony. Ostatnio wyłudził pięćset dolarów od syna, którego zostawił.

- Nieszkodliwy nie zawsze oznacza „przyzwoity” czy „godny podziwu”. Zadzwoiłem do kilku osób handlujących nieruchomościami... Z ciekawości - wyjaśnił.

- Sam też do nich należysz.

- Zdecydowanie. Dowiedziałem się, że Hopkins wpadł po same uszy dwa tygodnie po tym, jak podpisał dokumenty na kupno klubu „Pod Dwunastką”. Miał spore wydatki: musiał zapłacić za lokal, uregulować opłaty notarialne, do tego doszły honoraria architektów i projektantów, wynagrodzenia ekipy budowlanej i tak dalej. Nieźle się nagimnastykował, żeby sfinansować to, co najważniejsze, i zaczęło mu brakować kasy.

Poczynił pewne kroki, co wiązało się z dodatkowymi kosztami, by sprawdzić, czy uda mu się odzyskać część zainwestowanych środków na podstawie twierdzenia, że nieruchomość jest pechowa. Próbował wyciągnąć jakieś pieniądze z różnych agencji federalnych, stowarzyszeń miłośników historii. Próbował wszystkiego i nie powiem, z pewnym powodzeniem. Wywalczył parę niewielkich subwencji. Ale to za mało, jeśli uwzględnić jego ambitne zamierzenia.

- O jakich pieniądzach mówimy?

- Och, co najmniej o stu pięćdziesięciu milionach. Na samym początku musiał się zorientować, że potrzebuje większego kapitału. Przed kilkoma dniami, jeśli wierzyć temu, co mówią ludzie, znów zapaliło się zielone światło. Twierdził, że teraz prace w klubie ruszą z kopyta.

- Czekam na informacje z laboratorium, kiedy rozebrano tę ścianę. Może to nam wiele wyjaśni. - Eve rytmicznie stuknęła palcami w kierownicę, zastanawiając się nad czymś. - Hopkins znalazł zwłoki. Takie coś zapewnia spory rozgłos w mediach. Może stanowić kanwę do nakręcenia filmu, napisania książki. Przedsiębiorczy facet potrafiłby na różne sposoby zarobić na tym szkielecie.

- Zgadza się - odrzekł Roarke. - Ale po pierwsze: skąd wiedział, gdzie szukać?

- Albo jak dowiedział się o tym zabójca.

- Zabił ją Hop - ciągnęła Eve, szukając miejsca do zaparkowania. - Podczas awantury albo kiedy był naćpany, nieważne. Zamurował zwłoki, co wymagało nieco zachodu. Facet lubił kokainę. Daje człowiekowi kopa na kilka godzin. Musiał zamaskować nową ścianę, przywrócić pomieszczeniu dawny wygląd. Staram się o dostęp do raportów policji z tamtych czasów. Do tej pory mi się to nie udało. Ale tak czy inaczej wykluczone, żeby policjanci przeoczyli fragment nowiutkiej ściany, więc z pewnością ich przekupił albo zaszantażował.

- Sprzedajni gliniarze? Niemożliwe. Jestem zszokowany.

- Zamknij się. Hop przeżywa kryzys. Ma wyrzuty sumienia, boi się zdemaskowania. Staje się samotnikiem. Jeśli ktoś zamyka się w pomieszczeniu, gdzie za ścianą jest zamurowany trup, musi mieć niezłego szmergla. Nie zdziwiłabym się, gdyby coś o tym napisał albo komuś się zwierzył. Może policja była w tę sprawę zamieszana, wiedziała o tym albo coś podejrzewała. Zabójca albo Hopkins powęszył tu i tam. I szczęście się do niego uśmiechnęło. Albo miał pecha.

- Potrzeba było osiemdziesięciu pięciu lat, żeby szczęście się uśmiechnęło?

- To miejsce cieszy się osobliwą sławą - powiedziała Eve, kiedy wyszli z samochodu.

- Bray stała się legendą. Ludzie twierdzą, że ją widzieli, że z nią rozmawiali. Wiele osób uważa, że ukryła się, bo nie mogła znieść presji, jaka wiązała się z odniesionym przez nią sukcesem. Hop miał dość forsy, żeby, póki żył, nie wpuszczać ludzi do swojego mieszkania. Już wtedy zaczęły krążyć pogłoski o kłątwie i duchach. Z czasem przybrały na sile. Kilka osób miało pecha i już nikt nie chce grać w klubie „Pod Dwunastką”.

- Więcej niż kilka. - Roarke ze zmarszczonym czołem patrzył na drzwi, kiedy Eve rozkodowała policyjną pieczęć. - Każdy, kto próbował coś tu zrobić, bez względu na to, czym się kierował, ostatecznie musiał zapłacić wysoką cenę.

- To tylko cegły, drewno i szkło.

- Cegły, drewno i szkło tworzą konstrukcję, ale nie duszę. Eve uniosła pytająco brwi.

- Chcesz zaczekać w samochodzie, Sally?

- Teraz ty się zamknij. - Odepchnął ją, żeby wejść pierwszy. Zapaliła światło i na

wszelki wypadek wyjęła z kieszeni latarkę.

- Hopkins był między tymi żeliwnymi schodami a barem. - Przeszła przez pomieszczenie i stanęła koło schodów. - Z analiz wynika, że zabójca stał tutaj. Uważam, że zjawił się wcześniej i zszedł na dół, kiedy przyjechał Hopkins. Hopkins miał wciąż na sobie płaszcz, rękawiczki, szalik. Wprawdzie jest tu zimno, ale każdy przypuszczalnie zdjąłby rękawiczki i szalik, może rozpiąłby płaszcz po wejściu do środka. Ty to zrobiłeś.

Rozumiejąc, o co jej chodzi, Roarke skierował się tam, gdzie według niego stał Hopkins.

- Chyba że coś nam to uniemożliwi.

- Zabójca zszedł. Powiedział Hopkinsowi, żeby coś przyniósł, ale ten pojawił się z pustymi rękami. Może to było coś małego, co zmieściłoby się w kieszeni, tylko czemu zabójca miałby tak od razu zastrzelić faceta, do tego z taką wściekłością, gdyby Hopkins wykonał jego polecenie?

- Ten człowiek lubił grać na zwłokę. Jeśli przyszedł z pustymi rękami, może sobie pomyślał, że uda mu się ubić jakiś interes.

- Więc kiedy zaczął swoje „porozmawiajmy o tym”, zabójca się zdenerwował i zaczął strzelać. Trafił Hopkinsa w klatkę piersiową, w nogę. Wpakował w niego cztery kulki. Hopkins upada, próbuje się czołgać, zabójca nie przestaje strzelać, podchodząc do swojej ofiary. Trafia go w plecy, w ramię. Oddał siedem strzałów. Tyle pocisków mieści magazynek tego modelu. Ponownie ładuje broń, przekręca ciało na wznak, pochyla się. Patrzy swojej ofierze prosto w oczy. Hopkins już nie żyje, ale zabójca patrzy mu prosto w oczy, kiedy po raz ostatni pociąga za spust. Chce zobaczyć jego twarz. Tak samo, jak chce powtórzyć tamten strzał w głowę, od którego zginęła Bobbie Bray. Obserwuje twarz i oczy Hopkinsa, gdy posyła mu ostatnią kulkę.

Mówiąc to Eve skierowała się tam, gdzie według niej poszedł zabójca.

- Mógł wyjść drzwiami frontowymi. Ale wołał iść na górę. Odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach.

- Mógł zabrać broń i wyrzucić ją do rzeki. Nigdy byśmy jej nie odnaleźli. Ale chce, żeby wpadła w nasze ręce, żebyśmy wiedzieli. Gliny nie zamknęły Hopa. Dlaczego mielibyśmy się zainteresować jego wnukiem? Więc sam zajął się wymierzeniem sprawiedliwości. Wyrównał rachunki. Ale chce, żebyśmy wiedzieli, żeby wszyscy wiedzieli, że w końcu Bobbie została pomszczona.

Przystanęła przed częściowo rozebraną ścianą.

- „Spójrzcie, co jej zrobił. Wycelował prosto w tę młodą, pełną tragizmu twarz,

uciszył jej głos. Zabił ją, kiedy jej życie dopiero się zaczynało. Potem wznosił ścianę, odgrodził ją od całego świata. Teraz jest wolna. Ja ją uwolniłem”.

- Będzie słynniejsza, niż kiedykolwiek. Jej fani przemienia to miejsce w świątynię. Na zewnątrz będą zostawiali kwiaty, będą stali na zimnie z płonącymi świeczkami, by oddać jej cześć. A gadzety związane z postacią Bobbie Bray będą się cieszyły niesłabnącym powodzeniem. Będzie można na nich zbić majątek.

Eve odwróciła się w stronę Roarke'a.

- Masz rację. Hopkins o tym wiedział. Wyobrażał sobie pieniądze, spadające mu z nieba jak manna. Klub „Pod Dwunastką” stałby się mauzoleum. A on byłby właścicielem największej atrakcji. Dzięki jej szkieletowi zyskałby sławę i pieniądze. Ale jestem gotowa się założyć, że zabójca postanowił do tego nie dopuścić. „Myślisz, że ją wykorzystasz? Myślisz, że ci na to pozwolę?”

- Większość tych, którzy ją znali osobiście czy byli w jakiś sposób z nią związani, już nie żyje. Albo jest w podeszłym wieku.

- Nie trzeba być młodym, żeby pociągnąć za spust. - Ale zmarszczyła czoło, patrząc na otwór w ścianie. - Trzeba natomiast mieć niezłą krzepę, żeby wybić taką dziurę. Nie wydaje mi się, żeby to była robota Hopkinsa. Nic w jego wyciągach bankowych nie świadczy o tym, że kupił lub wypożyczył narzędzia, którymi można by wykuć otwór w ścianie. I nie wygląda mi też na kogoś, kto potrafiłby się nimi z taką wprawą posługiwać. Przynajmniej nie dałby rady dokonać tego sam. Poza tym to zabójca miał broń, spinki. Zabójca otworzył ten grobowiec.

Nagle zrobiło się bardzo zimno, jakby ktoś na całą szerokość otworzył drzwi i wpuścił lodowate powietrze. A w tym zimnym powietrzu rozległ się osobliwy głos.

„W moich ciemnościach nie ma świtu, nie ma światła w moim świecie, odkąd odszedłeś. Myślałam, że moja miłość wytrzyma próbę, ale teraz serce krwawi mi w piersi”.

Chociaż Eve sięgnęła po broń, śpiew stał się donośniejszy, towarzyszyły mu mocne, rytmiczne tony gitary basowej i perkusji.

Wbiegła na antresolę, skąd rozciągał się widok na główne pomieszczenie klubowe.

Śpiew był coraz głośniejszy, zdawał się wypełniać budynek. Przebijały przez niego okrzyki, gwar rozmów, gwizdy. Przez ułamek sekundy odniosła wrażenie, że czuje ciężki zapach perfum, potu i dymu.

- Ktoś płata nam figla - mruknęła. Nim zdążyła podbiec ku schodom, by to zbadać, z mieszkania na górze dobiegł krzyk. Jakaś kobieta błagała:

- Nie! Jezu, Hop, nie!

Rozległ się huk wystrzału i głuchy odgłos upadku. Ściskając broń w rekach, Eve wbiegła po schodach razem z Roarkiem. Kiedy stanęli na progu, położył dłoń na jej ramieniu.

- Matko Przenajświętsza, widzisz to? Powiedziała sobie, że to tylko cień, złudzenie, wywołane przez pył i słabe światło. Ale przez chwilę miała wrażenie, że widzi kobietę z kręconymi, jasnymi włosami, opadającymi na ramiona, która stała w otworze wybitym w ścianie. I przez chwilę Eve nie mogła oprzeć się myśli, że kobieta patrzy jej prosto w oczy.

Potem wszystko zniknęło i znów byli w zimnym, pustym pokoju.

- Widziałaś ją - upierał się Roarke, kiedy ostrożnie podeszła do ściany.

- Widziałam cienie. Może obraz. Jeśli widziałam obraz, to tylko dlatego, że ktoś go wyświetlił. Tak samo, jak ktoś nacisnął jakiś guzik, żeby rozbrzmiała ta muzyka. Gdzieś tu umieścili jakieś urządzenie elektroniczne. Najprawdopodobniej sterowane pilotem.

Roarke przykucnął. Włosy, twarz i ręce Eve pokrywały kurz i pył.

- Czulaś tę falę zimna.

- Obniżył temperaturę w pomieszczeniu. Odegrał cały spektakl, ot, co zrobił. Pora igrzysk. Żeby policjantka wróciła do komendy i zameldowała, jakiego osobliwego wydarzenia była świadkiem, i że widziała ducha. Nic z tego! - Eve otarła brudną twarz. - Hopkins zostawił długi. Jego syn właściwie nic nie odziedziczył. Budynek pozostał ziemią niczyją, póki nie ogłoszono publicznego przetargu na jego kupno. Tak długo, jak ludzie gadają o kłątwie, cena pozostaje śmiesznie niska. Można nabyć nieruchomość za bezcen.

- Ale po tym, co się tu stało, po odkryciu tutaj zwłok, trend może się odwrócić. Cena może poszybować w górę.

- Jeśli coś takiego nastąpi, założę się, że pojawi się ktoś z jakimś dokumentem, z którego będzie wynikało, że był współnikiem Hopkinsa. Może się myliłam podejrzewając, że to sprawa osobista. Może od samego początku chodziło o pieniądze.

- Nie myliłaś się i dobrze o tym wiesz. Ale siedzisz tutaj, dodam, że wyglądasz jak strach na wróble, i próbujesz tak to przedstawić, żebyś nie musiała się przyznać, że widziałaś ducha.

- Widziałam coś, co jakiś cwaniak chce, żebym wzięła za ducha. Najwyraźniej udało mu się nabrać przynajmniej ciebie, asie.

Ton jej głosu sprawił, że po twarzy Roarke'a przebiegł cień lekkiej irytacji. - Potrafię odróżnić obrazy komputerowe, kiedy mam z nimi do czynienia. Wiem, co widziałem, co słyszałem, co czułem. Popełniono tutaj morderstwo, a później potraktowano ciało bez należytej czci.

Znów zajrzał przez wąski otwór tam, gdzie przez wiele lat znajdowały się zwłoki.

Teraz w jego oczach można było dostrzec również litość.

- Przez cały czas udawał taki niepokój, taką troskę, wyznaczył nagrodę za zwrócenie jej całej i zdrowej albo za niezbity dowód, że żyje i nic jej nie jest. Przez cały ten czas gniła za ścianą, którą sam wzniósł, by ukryć przed światem swoją zbrodnię - zauważyła Eve.

- Skoro jej ciało nigdy nie opuściło tego miejsca, to czemu dusza miałaby się błąkać po świecie?

- Ponieważ... - Potrząsnęła głową, żeby pozbyć się kurzu z włosów. - Nie ma już tutaj jej szczątków. Czy nie powinna straszyć w kostnicy?

- To miejsce było jej domem przez tyle lat, prawda? - Pragmatyzm, pomyślał, na imię mu Eve. Potem wyciągnął chusteczkę i otarł nią najgorszy brud z jej twarzy.

- Sklecone domowym sposobem krypty nie są czymś, co nazwałabym domem - odparowała. - I wiesz co? Duchy nie czyszczą broni ani z niej nie strzelają. Mam w kostnicy trupa. A jutro przyślę tu ekipę techników oraz ludzi z wydziału przestępstw elektronicznych. Rozłożą ten budynek na czynniki pierwsze.

Nim włożyła płaszcz, otrzepała z grubsza kurz z koszuli i spodni.

- Chcę wziąć prysznic.

- Ja też chcę, żebyś wzięła prysznic. Kiedy schodzili na dół, poleciła, żeby dwie jednostki przeczesaly klub „Pod Dwunastką” w poszukiwaniu urządzeń elektronicznych. Jeśli wydawało jej się, że usłyszała gardłowy śmiech kobiety, nim zamknęła drzwi i je zaplombowała, Eve udała, że to nic takiego.

ROZDZIAŁ 6

Wziąwszy prysznic i wciągnąwszy ciepłą, wygodną bluzę, Eve zastanowiła się, czy nie zamówić pizzy. Uznała, że może zjeść kawałek czy dwa, siedząc przy biurku i pracując.

Skierowała się do swojego gabinetu, kiedy usłyszała głos Bobbie Bray. Artystka wykonywała swoją popisową piosenkę.

Złamane, zbolate, skrwawione, Mimo to cię proszę, błagam. Wróć. Wróć i ukój moje serce. Wróć. Wróć i ukój moje serce.

Eve biegiem pokonała odległość, dzielącą ją od drzwi pokoju. Nie licząc kota Galahada, chrapiącego w jej fotelu, w gabinecie nie było nikogo.

Zmrużyła oczy i spojrzała na otwarte drzwi, łączące jej gabinet z gabinetem Roarke'a. Zastała go za biurkiem, z głośników znów zaczęły płynąć dźwięki tytułowej piosenki z albumu Bray.

- Próbujesz mnie nastraszyć?

- Nie. - Uśmiechnął się lekko. - A przestraszyłaś się? - Kiedy obrzuciła go kamiennym spojrzeniem, wzruszył ramionami. - Chciałem się lepiej poznać z naszym duchem. Urodziła się w Louisville w stanie Kentucky i zgodnie z tym, co napisano w jej biografii, w wieku szesnastu lat opuściła dom i wyjechała do Haight - Ashbury, jak wiele osób z jej pokolenia. Śpiewała w klubach, głównie za jedzenie i miejsce do spania, kręciła się tu i tam, przyłączyła się do zespołu Luv... Pisz się L - U - V... W którym wyróżniała się jak róża pomiędzy chwastami. Śpiewała w chórkach towarzyszących jednemu czy dwóm sławnym wykonawcom z tamtych czasów, a potem w Los Angeles poznała Hopkinsa.

- Miała pecha. Możesz to wyłączyć?

- Wyłączyć muzykę - polecił Roarke i Bobbie umilkła. - Nie daje ci spokoju - uświadomił sobie. - Dlaczego?

- Nieprawda, że nie daje mi spokoju. Należałoby powiedzieć, pomyślała Eve, że wywołuje u mnie gęsią skórę. Ale za nic się nie przyzna, że uwierzyła w te wszystkie opowieści o pechowym klubie i duchu Bobbie Bray.

- Ma związek z prowadzonym przeze mnie śledztwem i została zamordowana. A chociaż poniosła śmierć pół wieku przed tym, zanim przyszedł na świat, jest teraz moja, tak samo jak Hopkins. No i zawsze stanowi część motywu.

- Dlatego pomyślałem, że chciałabyś dowiedzieć się o niej jak najwięcej.

- Tak. I się dowiem. Ale nie muszę słuchać jej śpiewu. - Eve musiała przyznać, że te

piosenki były zbyt smutne. I zbyt straszne. - Zamierzam zamówić pizzę. Masz ochotę?

- Jasne. - Roarke wstał, żeby pójść za Eve do kuchni sąsiadującej z jej gabinetem. - Miała dwadzieścia lat, kiedy wpadła w oko Hopowi. On liczył ich sobie wtedy czterdzieści trzy. Ale minęły dwa lata, nim ukazał się jej album. Ponoć był jego producentem i osobiście wybrał wszystkie utwory. W owym czasie występowała wyłącznie w lokalach należących do Hopkinsa.

- Czyli całkowicie ją sobie podporządkował.

- Wygląda na to, że niemal stanowiła jego własność. Młoda, naiwna dziewczyna, przynajmniej z punktu widzenia interesów, należąca do pokolenia i kultury, które szczyliły się tym, że nie są na sprzedaż. Starszy, obrotny, doświadczony mężczyzna, który ją odkrył, romansował z nią i z całą pewnością zaspokajał w pełni jej apetyt na wszelkie zabronione substancje.

- Przez pięć lat sama sobie radziła. - Eve przez kilka sekund zastanawiała się, czy wybrać pepperoni, zanim się na nie zdecydowała. - Nie wydaje mi się więc, żeby była naiwna.

- Ale ty nie jesteś sentymentalną fanką ani biografką. Lecz i tak skłonny jestem uznać ją za naiwną w sprawach kontraktów, tantiem, interesów, finansów. A Hopkins był starym wygą. Został jej agentem, menedżerem, producentem.

- Ale to ona miała talent - przypomniała mu Eve, wyciągając serwetki. - Jest młoda, urodziwa. Może jej pokolenie pogardzało pieniędzmi, lecz jeśli je zarabiała, jeśli dzięki nim błyszczała, z pewnością pragnęła ich mieć coraz więcej.

- Zgoda. Rozstała się z nim na kilka miesięcy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku. Zwyczajnie zapadła się pod ziemię. Był to zapewne jeden z powodów, dla których trzy lata później udało mu się uniknąć oskarżenia o jej zamordowanie. Zniknęła raz, czemu miałyby znów nie zniknąć?

Roarke podszedł do stojaka na butelki, żeby wybrać jakieś wino.

- Kiedy znów się pojawiła, wszędzie jej było pełno, na imprezach, w klubach. Znów zaczęły się narkotyki i seks. Nowy album odniósł wielki sukces, przez sześć miesięcy koncertowała po całym świecie. Więcej seksu, więcej prochów, trzy nagrody Grammy. Przygotowywała kolejny album, kiedy nagle zniknęła.

- Hop musiał dostawać procent od jej honorariów. - Eve przyniosła pizzę i talerze, które postawiła na swoim biurku.

- Z pewnością pokażny jako jej producent i menedżer.

- Głupota zabijać kurę.

- Emocje plus narkotyki może się równać skrajna głupota.

- Okazał się jednak na tyle sprytny, żeby wszystko zatuszować, i przez osiemdziesiąt pięć lat nikomu nie udało się ujawnić prawdy. Skończyło się na tym, że za jego zbrodnie zapłacił wnuk. Dlaczego? Kiedy to się wydarzyło, jeszcze go nawet nie było na świecie. Jeśli to miała być zemsta... - zastanawiała się głośno.

- Podawać dobrze schłodzone - powiedział Roarke, nalewając wino.

- Zabójcę musi coś wiązać z poprzednią zbrodnią, z poprzednimi osobami dramatu. Może w grę wchodzi więź finansowa, emocjonalna, osobista. Albo wszystkie trzy.

Wzięła porcję pizzy i z wprawą zagarnęła ciągnący się ser na ciasto.

- Jeśli sprawa ma jakiś związek z finansami - kontynuowała - kto na tym skorzystał? Dziedziczny syn, ale ma alibi. Zresztą po spłaceniu długów nie zostanie zbyt wiele. Może więc chodziło o jakiś drogocenny przedmiot, o coś, co zabójca kazał Hopkinsowi przynieść do klubu „Pod Dwunastką”. Ale jeśli to sprawa z rodzaju: „daj mi to, czego chcę, co mi się słuszenie należy”, po co cała ta szopka? Po co ten cały spektakl dla nas dziś wieczorem?

Kiedy Roarke nic nie powiedział, Eve w zamyśleniu zaczęła jeść swoją pizzę.

- Chyba nie wierzysz, że ukazał nam się duch? Bądź realistą.

- A ty uważasz, że zabójca przez osiemdziesiąt pięć lat uprzykrzał życie kolejnym właścicielom tego budynku? Czyż nie jest bardziej logiczne założenie, że robił to niemogący znaleźć spokoju, rozsierdzony duch?

- Nie, bo zmarli nie wpadają w złość. Są martwi. - Wzięła kieliszek z winem. - To ja wściekam się w ich imieniu.

Zamyślony Roarke spoglądał na nią uważnie znad swojego kieliszka.

- Czyli potem nie ma nic? Jesteś tak blisko zmarłych, nie widzisz niczego po śmierci?

- Nie wiem, co widzę. - Takie rozmowy zawsze wprawiały ją w zakłopotanie, czuła się nieswojo. - Ponieważ nie widzi się tego... Jeśli w ogóle jest co oglądać... póki się nie umrze. Ale nie wierzę, żeby zmarli zjawiali się i straszili nas albo śpiewali. Hop Hopkins dał w łapę komu trzeba, żeby umorzono dochodzenie, zabójca Rada ucieka się do pomocy duchów, żebyśmy zrezygnowali ze śledztwa. Ale mu się to nie uda.

- A nie przeszło ci przez myśl - zapytał Roarke - że duch Bobbie Bray w takim samym stopniu szuka zemsty, jak ty sprawiedliwości? Oba te pragnienia są bardzo silne.

- Nie dopuszczam do siebie takiej ewentualności.

- Masz ciasny umysł.

- Stąpam mocno po ziemi - poprawiła go z pewną żarliwością. - Jezu, Roarke, ona nie żyje, został tylko szkielet. Dlaczego więc akurat teraz? Dlaczego akurat tu i teraz? Jak jej się

udało nakłonić człowieka z krwi i kości, żeby załatwił potomka jej zabójcy? Jeżeli Hop Hopkins rzeczywiście ją zabił, czego jak do tej pory nie udowodniono.

- Może czekała na ciebie, chciała, żebyś ty to udowodniła.

- O, tak, to bardzo racjonalne rozumowanie. Przyczaiła się, czekając na pojawienie się odpowiedniego gliniarza zajmującego się zabójstwami. Słuchaj, mam do czynienia z prawdziwym trupem i zabytkową bronią, z której zabito poprzednią ofiarę. Brakuje mi jasnego motywu, a dziennikarze już się nie mogą doczekać, żeby zacząć pisać o tej sprawie. Nie mam czasu na snucie rozważań i analizowanie zachowania kobiety, która nie żyje od osiemdziesięciu pięciu lat. Chcesz tracić czas, zabawiając się z duchami, proszę bardzo. Ale ja mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Świetnie. Skoro tak cię to wkurza, zostawię cię, żebyś mogła się zająć swoją ważną pracą, a ja będę tracił czas na głupstwa.

Spojrzała na niego spode łba, kiedy wstał, wziął kieliszek wina i poszedł do swojego gabinetu. I zakłęła pod nosem, gdy zamknął za sobą drzwi.

- Pięknie, świetnie, cudownie. Proszę, oto duch wywołał rozdźwięk w małżeństwie. Jeszcze tylko tego mi brakowało.

Wstała od biurka, żeby rozstawić tablicę, którą się posługiwała w domu. Powiedziała sobie, że musi się kierować w tej sprawie logiką. Logiką, faktami i dowodami rzeczowymi.

Chyba irlandzcy przodkowie sprawili, że Roarke okazał się taki przesądny. Kto by przypuszczał?

Ale ona była osobą racjonalną i nie wierzyła w takie bzdury.

Dwa morderstwa, jedno narzędzie zbrodni. Pierwszy punkt styczny. Dwa morderstwa, jedno miejsce. Drugi punkt styczny. Druga ofiara jest potomkiem osoby podejrzewanej o popełnienie pierwszego morderstwa. To też jakiś punkt styczny, pomyślała.

Dobrze, czyli skoro nie może przejść do porządku dziennego nad kwestią pierwszego morderstwa, wykorzysta je.

Logika i dowody świadczyły o tym, że obie ofiary znały swoich zabójców. Pierwsze morderstwo sprawiało wrażenie popełnionego w afekcie. Bardzo możliwe, że sprawca był pod wpływem narkotyków. Może Bobbie Bray zdradzała Hopa. Albo chciała zerwać z nim kontakty zawodowe czy też prywatne. Może coś na niego miała i zagroziła, że to ujawni.

Musiało to być zabójstwo w afekcie, pod wpływem chwili. Hop miał pieniądze, środki. Jeśli zamierzał zabić Bobbie, czemu miałby to zrobić we własnym mieszkaniu?

Natomiast drugie morderstwo popełniono z premedytacją. Zabójca zwał Rada, miał przy sobie broń. Najprawdopodobniej odkrył zwłoki poprzedniej ofiary. Dopuszczał się

morderstwa, powodowany silnymi emocjami, ale zarazem z pełną premedytacją.

- Zawsze chciałeś go zabić, prawda? - mruknęła, przyglądając się zdjęciom z miejsca zbrodni. - Chciałeś coś od niego, ale bez względu na to, czy byś to dostał, czy też nie, on już i tak był martwy. Ile ona dla ciebie znaczyła?

Spojrzała na zdjęcia Bobbie Bray. Zagorzały wielbiciel? Nie można tego wykluczyć, pomyślała, ale uznała, że to mało prawdopodobne.

- Komputer, bazując na dotychczas uzyskanych informacjach, sprawdź, jakie jest prawdopodobieństwo, że istnieje związek między zabójcami Bobbie Bray i Radcliffa C. Hopkinsa.

Przystępuję do pracy...

Eve machinalnie wzięła kieliszek z winem i upiła łyk, rozważając w myślach różne scenariusze wydarzeń.

Zadanie wykonane. Prawdopodobieństwo wynosi osiemdziesiąt dwa przecinek trzy...

Całkiem spore, uznała, i postanowiła pójść krok dalej.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że zabójca Radcliffa C. Hopkinsa jest powiązany z pierwszą ofiarą, Bobbie Bray?

Przystępuję do pracy...

Członek rodziny, rozważała Eve. Bliski przyjaciel, kochanek. Bray miałyby... Przeklęta matematyka, mruknęła, licząc w głowie. Bray miałyby jakieś sto dziewięć lat, gdyby dożyła naszych czasów. Ludzie żyją teraz dłużej niż w połowie ubiegłego wieku. Więc całkiem możliwe, że to kochanek albo bliski przyjaciel.

Ale nie potrafiła sobie wyobrazić stulatka, nawet sprawnego fizycznie, wybijającego otwór w ścianie.

Zadanie wykonane. Prawdopodobieństwo, że istnieje związek pomiędzy pierwszą ofiarą i zabójcą drugiej ofiary wynosi dziewięćdziesiąt cztery przecinek jeden...

- Tak jak przypuszczałam. I wiesz co? Więzy krwi są najsilniejsze. Kogo więc zostawiła tutaj Bobbie? Komputer, sporządź listę wszystkich członków rodziny pierwszej ofiary. Wyświetl nazwiska na ekranie ściennym numer jeden.

Pracuję... Lista na ekranie numer jeden.

Rodzice i starszy brat nie żyją, przeczytała. Młodsza siostra, lat osiemdziesiąt osiem, mieszka w domu opieki w Scottsdale w Arizonie.

Młoda jak na dom opieki, zauważyła Eve, i zapisała sobie, żeby sprawdzić, jaki jest stan zdrowia siostry Bobbie.

Gdyby Bobbie żyła, miałyby bratanka i siostrzeńca oraz kilkoro wnuków swojego

brata i siostry.

Warto to sprawdzić, uznała Eve, i przystąpiła do standardowego sprawdzania wszystkich żyjących krewnych Bobbie.

Kiedy komputer wykonywał zleczone zadanie, zajęła się drugim morderstwem i bliżej przyjrzała się Hopkinsowi.

- Dobrze zaczynał - powiedziała na głos - ale kiepsko kończył. Kilkanaście razy próbował rozkręcić jakiś interes, jednak szybko rezygnował. Kilka przedsięwzięć nie wypaliło. Od czasu do czasu coś mu się udawało, zarabiał dość, by spłacić największych wierzycieli i przystąpić do realizacji kolejnego zamiaru.

Nieudane małżeństwa, syn, którym się nie interesował. Żadna z byłych małżonek ani syn nie byli notowani.

Ale od czegoś trzeba zacząć, pomyślała.

Znów podeszła do tablicy. Złote spinki z brylantami. Prawdopodobnie prezent od Hopa. Zapewne. Bray wpięła je we włosy, kiedy pozowała do zdjęcia na okładkę swojego pierwszego albumu. Z oględzin miejsca zbrodni można było wywnioskować, że miała je też, kiedy zginęła, albo przynajmniej wtedy, kiedy została zamurowana.

Zabójca nie zabrał ich na pamiątkę. Czyli to nie wielbiciel. Zabójca oczyścił je z kurzu i zostawił.

- Była jak brylant - mruknęła Eve. - Błyszcząca. Czy właśnie to próbujesz mi powiedzieć? Oto broń, z której ją zabił. Tutaj ją znalazłem.

Nigdy nie zapłacił za swój czyn, a ktoś musi za to zapłacić. Czy to chcesz mi powiedzieć?

Krażyła wokół tablicy, czytała informacje wyświetlane przez komputer. Wśród potomków Bobbie było kilku, którzy ewentualnie mogliby być podejrzani.

Trzeba ich wszystkich przesłuchać, postanowiła.

Jeden z nich skontaktował się z Hopkinsem, zaczęła snuć rozważania. Może nawet próbował kupić budynek, ale zabrakło mu pieniędzy. Musiał jednak mieć do niego dostęp, bo jak inaczej odkryłby szczątki Bobbie? W jaki sposób wszedł do środka?

Pieniądze. Hopkins potrzebował sponsorów. Może kazał swojemu mordercy zapłacić za możliwość obejrzenia wnętrza klubu „Pod Dwunastką”. Jak się wejdzie raz, można wejść ponownie.

Jak odnalazł zwłoki? Skąd o nich wiedział?

Kogo my tu mamy? - zapytała samą siebie. Młodsza siostra w domu opieki. Siostrzenica wprowadza dane do komputera. Siostrzeniec zginął podczas wojen miejskich.

Wnuczka siostry jest kierowniczką średniego szczebla w handlu, wnuk siostry - agentem ubezpieczeniowym. Zwyczajni ludzie, ani nie odnieśli wielkiego sukcesu, ani nie są nieudacznikami.

Nic szczególnego. Nikomu nie udało się zarobić na sławie i majątku Bobbie ani na jej przedwczesnej śmierci.

Nikomu, pomyślała, z wyjątkiem Hopkinsa. To byłby szczyt wszystkiego, prawda? Twoja kuzynka, siostra, ciotka jest kultową postacią, ale ty musisz zasuwać przez trzydzieści pięć godzin tygodniowo, żeby jakoś wiązać koniec z końcem. A wnuk łobuza, który ją zabił, chce na tym zbić majątek. Tobie ledwo starcza na życie, starzejesz się i...

- Chwileczkę. Chwileczkę. Selenity Bray, wiek osiemdziesiąt osiem lat. Dwadzieścia dwa lata młodsza od Bobbie. To nie jej siostra, tylko córka!

Podbiegła do drzwi do sąsiedniego gabinetu i je otworzyła.

- Bobbie miała córkę, nie siostrę. Wiek się zgadza. Miała dziecko. Roarke tylko uniósł brew.

- Tak. Serenity Bray Massey, obecnie w zakładzie opiekuńczym w Scottsdale. Wiem o tym.

- Bufon. Urodziła dziecko, jego ojcem najprawdopodobniej był Hop. Nigdzie nie ma żadnej wzmianki o dziecku ani o tym, że była w ciąży. Ale rozstała się z Hopem na kilka miesięcy. Akurat wtedy, kiedy była w zaawansowanej ciąży i urodziła.

- Zdaje się, że później oddała dziecko własnej matce, która następnie razem z rodziną przeprowadziła się na ranczo niedaleko Scottsdale. A Bobbie wróciła do Hopa i do swojego poprzedniego stylu życia. Natknąłem się na spekulacje, że w czasie, kiedy rozstała się z Hopem, przebywała w klinice odwykowej. Kiedy znów pojawiła się na scenie, była odtruta i nie piła. Potem znowu się stoczyła, można powiedzieć, że w ciągu kilku tygodni.

Przechylił głowę.

- Myślałem, że zostawiłaś Bobbie mnie.

- Tobie zostawiłam ducha Bobbie. Jej trupa zatrzymam dla siebie.

ROZDZIAŁ 7

Byli i małżeństwem drugi rok i Eve, jako osoba bardzo spostrzegawcza, wiedziała, kiedy Roarke jest na nią zły. Wydawało się bardzo głupie, kłócić się lub boczyć na siebie o coś tak śmiesznego, jak duchy.

Ale i tak na moment zrobiła chmurną minę, chociaż wiedziała, że takie zachowanie to czysta głupota. Potem głośno westchnęła.

- Słuchaj... - zaczęła. Usiadł.

- Słucham.

- Chodzi mi o to, że... Cholera. Cholera. - Podeszła do okna, potem do drzwi, znów się odwróciła.

Jedną z zasad małżeństwa - i, do diabła, jedną z jego zalet, przyznała - było to, że mogła powiedzieć Roarke'owi to, co trudno jej było powiedzieć nawet samej sobie.

- Muszę żyć z tyloma z nich. - Złościło ją to, a jednocześnie odczuwała jakiś smutek, którego nigdy nie potrafiła wytłumaczyć. - Nie zawsze odchodzą, kiedy zamyka się sprawę, nigdy nie odchodzą, kiedy jej się nie doprowadzi do końca. W mojej głowie jest cała armia nieboszczyków.

- Których broniłaś - przypomniał jej. - Za których walczyłaś, o których walczyłaś.

- Tak, ale to wcale nie znaczy, że mi powiedzą: „Wielkie dzięki”, a potem na zawsze opuszczą ziemski padół.

- Przecież go opuszczają, zanim ty dotrzesz na miejsce wydarzenia.

- No właśnie. Nie żyją. Ale nadal mają twarz i głos, nadal cierpią, przynajmniej w moim umyśle. Niepotrzebny mi jeszcze jeden, który snuje się i przysyła mi znaki z zaświatów. Tego byłoby już po prostu za wiele. Nie mogę zacząć się zastanawiać, czy jakiś duch zagląda mi przez ramię, by się upewnić, że robię to, co do mnie należy.

- W porządku.

- Tylko tyle?

- Najdroższa Eve - powiedział ze świętą cierpliwością. Eve nie wiedziała, skąd ją brał, ale potrafił ją tym zaskakiwać w najdziwniejszych momentach. - Czy już nie uzgodniliśmy, że nie musimy zajmować identycznego stanowiska we wszystkich kwestiach? Zresztą byłoby bardzo nudno, gdyby tak się działo.

- Być może. - Uspokoila się. - Chyba tak. Po prostu nigdy cię nie podejrzewałam o coś takiego.

- W takim razie może powinienem ci powiedzieć, że jeśli umrę pierwszy, zamierzam tak często wracać i oglądać cię naga, jak to tylko będzie możliwe.

Usta jej drgnęły, a właśnie o to mu chodziło.

- Będę stara, cycki będą mi zwisały do pasa.

- Masz za małe cycki, żeby sięgnęły tak nisko. Ściągnęła usta i spojrzała na siebie, jakby chciała to sprawdzić.

- Punkt dla ciebie. Czyli między nami zgoda?

- Tak, jeśli przyjdiesz tu i mnie pocałujesz. Żeby mi wynagrodzić zniewagę.

Wzniosła oczy do góry.

- Nic za darmo. - Ale okrążyła biurko i nachyliła się, żeby dotknąć wargami jego ust.

W chwili, kiedy to zrobiła, pociągnął ją i posadził sobie na kolanach. Wiedziała, że na to się zanosi - zbyt dobrze go znała, żeby tego nie wiedzieć - ale była w takim nastroju, że mu na to pozwoliła.

- Jeśli sobie wyobrażasz, że zgodzę się na zabawę w sekretarkę - lalunię i jurnego szefa...

- I znów dopuściłaś się kilku zniewag - przerwał jej. - Ale sama mi przypomniałaś, że kiedyś się zestarzejesz. Dlatego powinienem korzystać, póki jesteś młoda, i teraz obejrzeć cię nago.

- Nie zamierzam się rozbierać. Ejże! Wolnego!

- W takim razie chcę chociaż dotknąć twojego nagiego ciała - poprawił się i wsunął ręce pod jej bluzę. - Małe jest piękne - powiedział, pieszcząc jej piersi.

- Czyżby? Czy to samo mam powiedzieć o twoim instrumencie?

- Zniewaga za zniewagą. - Śmiejąc się, objął ją, by przyciągnąć ją do siebie. - Będziesz mnie musiała długo przeproszać.

- W takim razie im szybciej zacznę, tym lepiej. Pocałowała go namiętnie i odwróciła się, żeby usiąść na nim okrakiem. Przeprosiny w fotelu za biurkiem będą wymagały nie lada zwinności, a także kondycji, ale uznała, że temu podoła.

Budził w niej tyle uczuć, a wszystkie były równie ważne. Namiętność, chęć dogadzania mu, miłość, pożądanie. Widziała jego podniecenie, zaborczość, kiedy ją całował prosto w usta. Ją też przepełniło podniecenie i głód, kiedy ściągał z niej ubranie.

Ta skomplikowana kobieta była jego życiem. I nie chodziło tylko o jej urodę, ale również o jej umysł i duszę. Potrafiła podniecać i doprowadzać do szału, czarować i złościć, a przede wszystkim w jakiś niewytłumaczalny sposób stanowiła jego uzupełnienie. Razem tworzyli całość.

Teraz obejmowała go, pieściła, a potem pozwoliła mu wniknąć w siebie, cicho mrużąc z zadowolenia. Brali się nawzajem, oddawali się jedno drugiemu, aż mrużenie przemieniło się w jęk rozkoszy.

- Myślę, że jesteśmy kwita - udało jej się powiedzieć.
- Może nawet masz jakiś kredyt. Na chwilę położyła mu głowę na ramieniu.
- Duchy prawdopodobnie nie potrafią się kochać w fotelu za biurkiem.
- Mało prawdopodobne.
- Niedobrze być nieboszczykiem.

*

Kwadrans po ósmej rano Eve była już w swoim pokoju w komendzie. Z gniewną miną spoglądała na ostatnie raporty techników i pracowników wydziału przestępstw elektronicznych.

- Nic. Wciąż nie mogą nic znaleźć. Ani śladu elektronicznego sprzętu do obserwacji, urządzeń do tworzenia trójwymiarowych obrazów, emitowania dźwięków czy puszczenia filmów. Zero.

- Może to świadczy, że ostatniej nocy byłeś świadkiem zjawiska nadprzyrodzonego?
Eve rzuciła Peabody obojętne spojrzenie.

- Nie pleć bzdur.

- Takie rzeczy się zdarzają, Dallas.

- Daj spokój. To musi być ktoś z rodziny. Podążymy tym tropem. I spróbujemy ustalić, co takiego miał czy też nie miał Hopkins, na czym tak bardzo zależało jego zabójcy. Zaczynij od członków rodziny. Wyeliminujemy tych, którzy mają mocne alibi.

Spojrzała na swoje biurko, kiedy jej łącze zadzwoniło - ponownie. Patrząc na wyświetlacz, Eve uśmiechnęła się ze złośliwą satysfakcją.

- Kolejny reporter. Nie będziemy rozmawiać z nimi o tej sprawie. Sprawdzaj wszystkie przychodzące połączenia. Jeśli cię dopadną, powstrzymaj się od wszelkich komentarzy, powiedz, że śledztwo w toku. Koniec, kropka.

- Rozumiem. Dallas, opowiedz mi o wczorajszej nocy. Było strasznie czy niesamowicie?

Eve już chciała coś warknąć, ale wzięła głęboki oddech.

- Strasznie, a potem irytująco, bo jakiś dupek zagrał mi na nosie i sprawił, że przez chwilę dostałam gęsiej skórki.

- Ale chyba też przyjemnie, co? Kiedy duch Bobbie Bray śpiewał dla ciebie?

- Gdybym wierzyła, że to czyjś duch, powiedziałabym, że było to raczej wkurzające niż przyjemne. Ktoś chce nam dać do zrozumienia, że nie jesteśmy mile widziani w klubie „Pod Dwunastką”. Próbuje nas wypłoszyć. Mam notatki Feeneya uzupełniające raport wydziału przestępstw elektronicznych. Píše, że jego dwóch ludzi słyszało śpiew. Jeden przysięga, że czuł, jak ktoś klepnął go w tyłek. To samo jest w z raporcie techników. To jakaś zbiorowa histeria.

- Dokopałam się informacji, że dwaj poprzedni właściciele próbowali odprawiać egzorcyzmy. Sprowadzili księży, medium, parapsychologów i tak dalej. Ale na nic się to wszystko zdało.

- Rany, a zaklęcia szamanów nie pomogły? Czemu mnie to nie dziwi? Lepiej wezmę się do pracy, zacznę sprawdzać alibi.

Eve też zajęła się robotą, wykluczyła dwie osoby i wczesnym rankiem dopadła córkę Serenity Massey w jej domu w Scottsdale.

- Nie ma jeszcze nawet siódmej!

- Przepraszam, pani Sawyer.

- Nie ma jeszcze nawet siódmej - powtórzyła zrzędlawie kobieta - a już miałam trzy telefony od reporterów i jeden od przełożonej pielęgniarek z domu opieki, w którym przebywa moja matka. Wie pani, że jakiś dziennikarz próbował z nią rozmawiać? Moja matka cierpi na poważną demencję, ledwo mnie poznaje, kiedy ją odwiedzam, a jakiś dziennikarz - idiota chce przeprowadzić z nią wywiad na temat Bobbie Bray. Moja matka nawet jej nie znała.

- Czy pani matka wie, że jest córką Bobbie Bray? Chuda, zmęczona twarz kobiety poblądła. Ale jej oczy zdradziły wszystko.

- Co pani powiedziała?

- Czyli wie. A przynajmniej pani o tym wie.

- Nie pozwolę, żeby moją matkę nękali jacyś dziennikarze czy też policja.

- Nie zamierzam nękać pani matki. Może mi pani powiedzieć, kiedy i w jaki sposób pani matka się dowiedziała, że jest córką Bobbie Bray, a nie jej siostrą?

- Nie wiem. - Pani Sawyer potarła twarz dłońmi. - Od dawna, od bardzo dawna nie czuje się dobrze. Jeszcze kiedy była dzieckiem... - Opuściła ręce i teraz wyglądała na bardziej niż zmęczoną. Wyglądała na chorą. - Pani porucznik, czy to konieczne?

- Prowadzę śledztwo w sprawie dwóch morderstw. Ofiary obu są z panią spokrewnione. Niech pani sama odpowie na to pytanie.

- Nie traktuję rodziny Hopkinsów jak krewnych. Dlaczego miałabym ich uważać za

swoich bliskich? Przykro mi, że ktoś zabił tego człowieka, bo znów zaczęto o tym wszystkim mówić. Robiłam wszystko, żeby mnie i mojej rodziny nie kojarzono z osobą Bobbie. Może to pani sprawdzić. Nigdy nie udzielałam wywiadów, nigdy nie zgodziłam się na żadną rozmowę ani nie szukałam kontaktów z dziennikarzami.

- Dlaczego? Z tego, co wiem, to kopalnia złota.

- Bo chciałam normalnie żyć. Mamy do tego prawo i ja, i moje dzieci. Moja matka zawsze była słabowita. Wątpliwego zdrowia fizycznego i psychicznego. Ja nie, dlatego zadbałam o to, żeby trzymać siebie i swoich bliskich daleko od tego wszystkiego. Gdyby ktoś się dowiedział, że jestem wnuczką Bobbie, a nie wnuczką jej siostry, nie daliby mi spokoju.

- Nie mogę pani obiecać, że to nie wyjdzie na jaw. Ale mogę panią zapewnić, że nie będę mówiła o tym aspekcie śledztwa. Nie ujawnię nazwiska pani ani członków pani rodziny.

- To dobrze o pani świadczy - powiedziała beznamiętnie Sawyer. - Ale już wszyscy je znają.

- W takim razie nic pani nie ryzykuje, odpowiadając na kilka pytań. Jak pani matka dowiedziała się, kim są jej rodzice?

- Powiedziała nam - mnie i mojemu bratu - że znalazła listy pisane przez Bobbie. Przechowywała je matka Bobbie. W listach pytała, jak sobie radzi jej maleństwo, nazywała moją matkę po imieniu. Pisała o niej „Moja Serenity, mój spokój”, jakby to był stan umysłu, a nie dziecko potrzebujące matki.

Z goryczy w głosie kobiety Eve wywnioskowała, że nie rozmawia z jedną z wielbicielek Bobbie Bray.

- Pisała, że przeprasza, że znów wszystko popsuła. Moja matka utrzymywała, że Bobbie napisała, iż zamierza jeszcze raz pojechać do kliniki odwykowej, że rzuci Hopa i cały ten świat. Zamierzała się wyleczyć i wrócić po swoją córeczkę. Oczywiście nigdy tego nie zrobiła. Moja matka była przeświadczona, że Hop ją zabił albo zlecił komuś to morderstwo.

- A co pani sądzi?

- Całkiem możliwe - skwitowała obojętnie, jakby chciała wzruszyć ramionami. - Albo może wyjechała do Bimini, żeby sprzedawać muszelki na plaży. Może wróciła do San Francisco i rzuciła się z mostu Golden Gate. Nie wiem i szczerze mówiąc, mało mnie to obchodzi.

Pani Sawyer westchnęła głęboko i przycisnęła palce do powiek.

- Nie należała i nie należy do mojego świata. Ale stała się niemal całym światem mojej matki. Mama przysięga, że duch Bobbie odwiedzał ją i z nią rozmawiał. Myślę, że między innymi dlatego, odkąd pamiętam, miała problemy emocjonalne i kłopoty ze zdrowiem

psychicznym. Kiedy mój brat zginął podczas wojen miejskich, matka się załamała. Był jej beniaminkiem.

- Ma pani te listy?

- Nie. Ten Hopkins dotarł do mojej matki. Studiowałam wtedy, mój brat przebywał za granicą, więc to musiało być, mój Boże, ponad trzydzieści lat temu. Nakłonił mamę do oddania mu niemal wszystkiego, co miała, a co należało do Bobbie lub jakoś się z nią wiązało. Oryginalnych nagrań, listów, pamiątek, zdjęć. Powiedział, że zamierza otworzyć w Kalifornii swego rodzaju muzeum. Nigdy nic z tego nie wyszło. Kiedy brat wrócił do domu i dowiedział się o tym, był wściekły. Okropnie pokłócił się z matką i nigdy nie mieli okazji się pogodzić. Teraz jego już nie ma na tym świecie, a ona też jakby umarła. Nie chcę być spadkobierczynią Bobbie Bray. Chcę żyć swoim własnym życiem.

Eve zakończyła rozmowę i odchyliła się w swoim fotelu. Była gotowa się założyć, że zabójcy chodziło właśnie o te listy.

Razem z Peabody wróciła do mieszkania Hopkinsa, by kolejny raz dokładnie je przeszukać.

- Listy, w których Bobbie przyznawała się, że miała dziecko z Hopem. Listy albo jakiś dokument czy notatka Hopa, coś co ostatecznie doprowadziło jego wnuka do Serenity Massey. Coś tak rewelacyjnego, a co za tym idzie, cennego - powiedziała swojej partnerce. - Założę się, że ma jakąś bezpieczną skrytkę. Sejf, skarbiec. Zaczniemy szukać skrytek bankowych na jego nazwisko, znajdziemy pseudonimy, którymi mógł się posługiwać.

- Może zabrał papiery ze sobą i już są w posiadaniu zabójcy.

- Nie sądzę. Portier powiedział, że Hopkins wyszedł z pustymi rękami. Gdyby miał przy sobie coś o takiej wartości, schowałby to do teczki lub aktówki. Facet był elegantem - dobry garnitur, buty, zabytkowy zegarek. Dlaczego miałby nie wziąć aktówki, kiedy sytuacja wprost się o to prosiła? Ale... szukał pieniędzy. Może sprzedał te pamiątki albo przynajmniej obiecał je komuś sprzedać.

- „Było, minęło”?

- Warto tam pojechać. Na progu Eve przystanęła i się odwróciła, żeby jeszcze raz uważnie przyjrzeć się mieszkaniu. Nie ma tu duchów, pomyślała. Tylko stęchłe powietrze, płonne marzenia.

Nieciekawa spuścizna, pomyślała, zamykając drzwi. Hopkins pozostawił w spadku niezrealizowane ambicje, które według niej wzięły się z tego, co pozostawił jego ojciec.

Wnuczka Bobbie Bray dokładała wszelkich starań, żeby się odciąć od przeszłości, wieść zwyczajne życie. Nie chciała mieć nic wspólnego ze spuścizną po Bobbie Bray,

przypomniała sobie Eve.

Czy można mieć o to do niej pretensje? Albo do kogokolwiek?

- Jeśli ktoś by ci dał bzdury i rozczarowania... Gdybyś je odziedziczyła - poprawiła się Eve - co byś zrobiła?

- To zależy. - Peabody zmarszczyła czoło, kiedy schodziły na dół. - Można się w tym pławić i przeklinać przodków albo się z tego otrząsnąć.

- Tak. Można też spróbować przemienić przeszłość w złoto i żyć na wysokiej stopie jak Hopkins. Mieć obsesję na tym punkcie jak córka Bray. Albo zatrzaskać przed tym drzwiami i iść własną drogą. Jak wnuczka.

- Zgoda. No i?

- Można na różne sposoby zatrzaskać drzwi. Ty prowadź - powiedziała Eve, kiedy znalazły się na ulicy.

- Ja mam prowadzić? Przecież to nawet nie moje urodziny!

- Prowadź, Peabody. - Usiadłszy na miejscu dla pasażera, Eve wyjęła swój laptop i wyświetliła informacje o karierze wojskowej Johna Massey'a. Przechyliła głowę, przyglądając się jego zdjęciu.

Był młody, pełen młodzieńczego zapału. Szczery i prostoliniowy, pomyślała. Nie dostrzegła w nim żadnego podobieństwa do dziadków, ale zobaczyła coś innego.

Odziedziczone cechy, pomyślała. Spuścizna.

Skontaktowała się z detektywem Yancym, który sporządzał portrety pamięciowe.

- Mam dla ciebie pilne zadanie - zakomunikowała mu. - Prześlę ci zdjęcie. Chcę, żebyś postarzył przedstawioną na nim osobę.

ROZDZIAŁ 8

Zatrzymały się przed bankiem, w którym Hopkins zaciągnął kredyt na remont klubu. Ale nie znalazły skrytki bankowej zarejestrowanej na jego nazwisko ani na nazwisko Bray ani na żadną kombinację tych nazwisk.

Ku rozczarowaniu Peabody, po wyjściu z banku Eve usiadła za kierownicą.

Nie miała żadnego pretekstu, by poprosić Roarke'a o odszukanie skrytki bankowej, chociaż starała się jakiś znaleźć. Nie wątpiła, że odszukałby skrytkę, jeśli Hopkins ją miał, szybciej od niej. Nawet szybciej od speców z wydziału przestępstw elektronicznych. Ale sprawa nie kwalifikowała się do tego, by Eve musiała się zwrócić o pomoc do Roarke'a.

Poprosiła Feeneya, żeby przydzielił to zadanie jednemu z najlepszych ludzi z wydziału przestępstw elektronicznych, ukochanemu Peabody, łanowi McNabowi, a sama razem ze swoją partnerką udała się do sklepu „Było, minęło”.

- McNab będzie okropnie przejęty - powiedziała Peabody z rozanieloną miną, bo sam dźwięk jego nazwiska wywoływał błogość na jej twarzy. Usadowiła się na miejscu dla pasażera. - Szukanie ducha i w ogóle.

- Będzie szukał skrytki bankowej.

- Niby tak, ale w jakiś sposób dotyczy to Bobbie Bray, a co za tym idzie, ducha. I klubu „Pod Dwunastką”.

- Uspokój się. - Eve miała ochotę wrywać sobie włosy z głowy, ale nie mogła teraz podnieść rąk, bo prowadziła samochód. Znalazła dla nich ważniejsze zadanie, dosłownie na milimetry omijając dymiący maksibus. - Wydam polecenie służbowe, zabraniające każdemu, kto się znajdzie w promieniu trzech metrów ode mnie, wymawiania pełnych nabożnej czci słów klub „Pod Dwunastką”.

- Sama właśnie tak je wymówiłaś. Wiesz, ile jest książek i filmów poświęconych klubowi i Bobbie, i całej tej historii sprzed wielu lat? Trochę poszperałam w Internecie. Wczoraj wieczorem ściągnęliśmy z McNabem taki film. Trochę przeinaczał fakty, ale nie szkodzi. A teraz prowadzimy śledztwo. Może i o nim nakręcą film. Tak, jak zamierzają sfilmować historię śledztwa w sprawie śmierci Icove'ów. A to heca. Staniemy się sławne i...

Eve zatrzymała się na światłach, wolno odwróciła głowę w stronę swojej partnerki i groźnie spojrzała jej w twarz.

- Jak tylko coś piśniesz na ten temat, zacznę cię dusić, aż oczy ci wyjdą z orbit, a potem wepchnę ci je do gardła. Połkniesz je w całości i udławisz się nimi na śmierć.

- Rety.

- Więc zastanów się, i to dobrze, zanim coś powiesz. Peabody skuliła się na swoim fotelu i starała się nawet nie oddychać głośniej.

Kiedy się okazało, że sklep jest zamknięty na cztery spusty, skierowały się pod podany adres domowy.

Drzwi w trzykondygnacyjnej kamienicy otworzyła im Maeve.

- Pani porucznik, pani detektyw.

- Zamknęliście sklep, pani Buchanan?

- Na dzień, dwa. - Uniosła ręce do głowy. Eve przyglądała się grze światła na rudych włosach. - Wczoraj w godzinę po państwa wizycie przeżyliśmy prawdziwy najazd klientów. Och, proszę wejść. Jestem dziś trochę nieprzytomna.

- Najazd klientów? - powtórzyła Eve, wchodząc do długiego, wąskiego korytarza, do którego przez witrażowe okna wpadało zimowe słońce.

- Większość z nich szukała jakiejś okazji. Albo chciała się pogapić na pamiątki po Bobbie Bray. - Maeve, w luźnych, białych spodniach, miękkim, białym swetrze i białych półbutkach zaprowadziła je do przestronnego salonu.

Przyjemny, pomyślała Eve, i niezagracony. Pełen pamiątkowych przedmiotów - Eve umiała odróżniać kopie od oryginałów, bo Roarke też był zagorzałym kolekcjonerem. Głębokie poduchy w nasyconych kolorach, stare dywany, na ścianach stare, czarno - białe fotografie w metalowych ramkach.

Żadnych żelowych poduch, żadnych ekranów nastroju, żadnego sprzętu audio i wideo na wierzchu. Same stare rzeczy, doszła do wniosku Eve, podobnie, jak w ich sklepie.

- Zechcą panie usiąść. Zaraz przyniosę kawę i herbatę.

- Proszę nie robić sobie kłopotu - powiedziała jej Eve. - Ojciec jest w domu?

- Tak, na górze, w swoim gabinecie. Pracujemy w domu, przynajmniej dziś. Mamy masę pytań w sprawie naszej kolekcji pamiątek po Bobbie Bray, a możemy wysłać odpowiedzi z domu.

Przeszła po pokoju, by włączyć lampy z kolorowymi abażurami.

- Zwykle lubimy, jak w sklepie jest dużo ludzi, ale nie wtedy, kiedy przemienia się to w ścisk. Nie dajemy rady zapanować nad tłumem, bo jest nas tylko dwoje. A mamy dużo przedmiotów, które w takim zamieszaniu łatwo można ukraść.

- A co z listami?

- Z listami?

- Macie tego rodzaju pamiątki? Listy, dzienniki, pamiętniki?

- Ależ oczywiście. Chodzi znów o Bobbie? - Maeve podeszła do fotela, przysiadła na jego brzeżku i skrzyżowała nogi. - Mam jej autentyczny list, który napisała do przyjaciółki, poznanej w San Francisco... Mniej więcej z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Dwa notesy z jej tekstami piosenek. Może jest tego więcej, ale to pierwsze, co mi przyszło do głowy.

- A listy do rodziny, pisane w czasach, kiedy mieszkała w Nowym Jorku?

- Nie sądzę, ale mogę sprawdzić w katalogu. Albo zapytać ojca - dodała z uśmiechem.

- Przysięgam, że zna na pamięć cały katalog przedmiotów, jakie zgromadziliśmy. Nie wiem, jak to robi.

- Może mogłaby go pani spytać, czy zechciałby poświęcić nam kilka minut.

- Ależ naturalnie.

Kiedy się zawahała, Eve zapytała:

- Czy przypomniała sobie pani jeszcze coś?

- Prawdę mówiąc tak, chociaż nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie. Nie chcę o tym mówić w obecności mojego ojca. - Spojrzała w stronę drzwi, a potem lekko pociągnęła jedno z błyszczących, srebrnych kółek, które miała w uszach. Eve wzięła to za oznakę zdenerwowania. - No więc pan Hopkins... Rad... Trochę się do mnie zalecał. Flirtował. Zapraszał mnie na kolacje albo na drinka. Mówił, że mogłabym być modelką, że może mnie umówić ze znajomym fotografem, który zrobi mi zdjęcia do portfolio.

Policzki jej się zaróżowiły, odchrząknęła.

- A więc to tego typu sprawa. - I chodziła pani z nim na kolacje, na drinka, zgodziła się pani na sesję zdjęciową?

- Nie. - Mocniej się zaczerwieniła. - Wiem, gdzie są granice. Mógł być moim ojcem. Poza tym właściwie nie był w moim typie. Nie powiem, że w ogóle mnie nie pociągał. Naprawdę potrafił być czarujący. I taktowny, jeśli pani wie, co mam na myśli. Nie chcę, żeby pomyślała sobie pani... - Machnęła ręką w powietrze. - To były raczej niewinne wygłupy. Może nawet tak dla zabawy kontynuowałabym tę grę, ale spotykam się z kimś. Zależy mi na nim i nie chciałam zepsuć tego, co jest między nami. No i nie spodobałoby się to mojemu ojcu.

- Dlaczego?

- Chociażby z uwagi na różnicę wieku i z powodu tego, jakim człowiekiem był Rad. Oportunistą, wielokrotnym rozwodnikiem. No i naszym klientem, więc mogłoby to zostać źle przyjęte. Tak czy owak... - Maeve westchnęła. - Nie dawało mi spokoju, że nie wspomniałam pani o tym, że może pani o tym usłyszeć od kogoś i pomyśleć, że coś przed wami ukrywam.

- Doceniam to.

- Pójdę po ojca - powiedziała wstając. - Na pewno nie mają panie ochoty na kawę albo na herbatę? Strasznie dziś zimno.

- Ja chętnie się napiję - powiedziała Peabody. - Pani porucznik zawsze pije czarną kawę.

- Świetnie. Za chwilę wrócę. Proszę się czuć jak u siebie.

- Była trochę zakłopotana tą historią z Hopkinsem - zauważyła Peabody, kiedy Maeve wyszła z pokoju. - Czuła się niezręcznie.

- No nie wiem. - Eve wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Było w nim przytulnie, ale urządzono go z klasą. Na ścianach wisiały czarno - białe, artystyczne fotografie miast - wszystkie z dawnych lat. Oglądała jedną, marszcząc czoło, kiedy wszedł Buchanan. Podobnie jak córka był ubrany po domowemu. Ale i tak wyglądał bardzo dystyngowanie w niebieskim swetrze i szarych spodniach.

- Witam. Czym mogę paniom służyć?

- Ma pan piękny dom, panie Buchanan - zaczęła Peabody. - Widzę tu sporo interesujących, starych przedmiotów. Zastanawiam się, pani porucznik, czy Roarke kupił coś kiedyś w „Było, minęło... „.

- Pan Roarke? - Buchanan rzucił Peabody zdziwione spojrzenie. - Nabył u nas kilka przedmiotów. Chyba nie chce pani powiedzieć, że jest podejrzany w tej sprawie.

- Nie. To mąż porucznik Dallas.

- Naturalnie. Wyleciało mi to z głowy. - Uśmiechnął się i przeniósł wzrok na Eve. - Przez swoją pracę jestem tak zaabsorbowany przeszłością, że umykają mi bieżące wydarzenia.

- Wyobrażam sobie. A skoro już mowa o przeszłości - wpadła mu w słowo Eve, - interesują nas wszelkie listy, dzienniki, pamiętniki, jakie pan ma, związane z osobą Bobbie Bray.

- To nazwisko słyszałem dziś niezliczoną ilość razy. Może Maeve poinformowała panie, że właśnie dlatego postanowiliśmy pracować w domu. A oto i ona.

Maeve pojawiła się, pchając przed sobą wózek z porcelanowymi dzbankami i filiżankami.

- Zasłużyliśmy sobie właśnie na coś takiego. Włączyłem automatyczną sekretarkę - poinformował córkę. - Możemy sobie zrobić krótką przerwę. Pytała pani o listy. - Usiadł, a Maeve zaczęła nalewać kawę i herbatę. - Mamy kilka, które napisała do swych przyjaciół w San Francisco w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym i dziewiątym roku. A jedną z

naszych najcenniejszych pozycji jest zeszyt, zawierający brudnopisy tekstów do kilku jej piosenek. Właściwie można go traktować jak swego rodzaju dziennik. Zawarła w nich nieco swoich przemyśleń i bon motów, które chciała zapisać, by móc do nich czasem wracać. Dziś rano pytało mnie o to mnóstwo ludzi. Między innymi niejaki Cliff Gill.

- Syn Hopkinsa?

- Tak twierdził. Wyglądał na bardzo zdenerwowanego, prawie nie można go było zrozumieć. - Buchanan poklepał Maeve po dłoni, kiedy podawała mu filiżankę. - Co zrozumiałe w takich okolicznościach.

- Interesował się szczególnie listami? - spytała Eve.

- Utrzymywał, że jego ojciec coś wspomniał o jakichś listach, które stanowiły prawdziwą sensację. To jego słowa. Pan Gill uznał, że jego ojciec robił ze mną jakieś interesy i miał nadzieję, że może będę coś wiedział na ten temat. Odniosłem wrażenie, że chciałby odzyskać dobre imię rodziny.

- Zamierza mu pan pomóc?

- Nie widzę, jak mógłbym mu pomóc. - Buchanan rozłożył ręce. - Nie mam nic takiego.

- Gdyby zachowała się jakaś korespondencja z okresu, w którym zniknęła Bray, wiedziałby pan o tym?

Buchanan zastanawiał się chwilę.

- Z całą pewnością mogę popytać tu i tam. Oczywiście zawsze krążą jakieś plotki. Kilka lat temu ktoś próbował sprzedać na aukcji list, który - jak utrzymywał - został napisany przez Bobbie dwa lata po jej zniknięciu. Okazało się, że to podróbka. Wybuchł spory skandal.

- Były też zdjęcia - dodała Maeve. - Ponoć przedstawiające Bobbie po tym, jak zniknęła. Nie potwierdzono autentyczności żadnego z nich.

- No właśnie. - Jej ojciec skinął głową. - Więc trudno ustalić, ile prawdy zawierają plotki, jeśli w ogóle jest w nich choćby ziarno prawdy. Czy wie pani o jakiejś korespondencji z tego okresu, pani porucznik?

- Według jednego z moich informatorów, owszem, zachowała się.

- Naprawdę? - Oczy mu się zaświeciły. - Jeśli Bobbie Bray naprawdę napisała te listy, stanowiłyby prawdziwą sensację.

*

- Peabody, specjalnie wymieniłaś nazwisko Roarke'a? - Eve spojrzała łagodnie na swoją partnerkę, siadając za kierownicą.

- Przecież Roarke już wcześniej prowadził z nim interesy, razem poszliście do sklepu. Ale Buchanan ani słowem nie wspomniał o Roarke'u.

A uznałam, że jako człowiek interesu, będzie pamiętał nazwiska swoich co bogatszych klientów. Powinien natychmiast skojarzyć go z twoją osobą.

- Tak myślisz? Przedstawił przekonujący powód, dlaczego tego nie zrobił.
- Ciebie też by to zaintrygowało.
- Intrygują mnie różne rzeczy. Jedziemy porozmawiać z Cliffem Gillem.

Podobnie jak sklep, szkoła tańca była zamknięta na cztery spusty. Ale ponieważ Fanny Gill mieszkała na górze, nie musiały jej daleko szukać.

Otworzył im Cliff. Miał czerwoną, udręczoną twarz.

- Dzięki Bogu! Właśnie zamierzałem się z panią skontaktować.
- W sprawie?
- Musieliśmy zamknąć szkołę. - Rzucił pospieszne spojrzenie na obie strony wąskiego korytarza, a potem zaprosił je do środka. - Musiałem dać mojej matce środek uspokajający.
- Z jakiego powodu?
- Och, całego tego zamieszania. Dla siebie przyrządziłem krwawą mary.

W przeciwieństwie do mieszkania Buchananów, w mieszkaniu Fanny było dużo jasnych, gryzących się ze sobą kolorów, zwiewnych tkanin i chromu. Artystyczny nieład, uznała Eve. Łatwo pomylić go z bałaganem.

Eve zauważyła, że Cliff wyglądał dość niechlujnie. Był nieogolony. Odniosła wrażenie, że spał w ubraniu, które miał na sobie. I dostrzegła cienie pod jego oczami.

- Spędziłem tu noc - zaczął, stojąc w przylegającej do salonu kuchni i nalewając sobie wódkę. - Wczoraj po południu przyszło sporo ludzi, niektórzy mówili straszne rzeczy. Albo dzwonili i zostawiali okropne, nieprzyjemne wiadomości. Wyłączyłem telefon. Matka nie mogła ich dłużej odbierać.

Dodał dość soku pomidorowego i tabasco, żeby wódka przybrała czerwony kolor, a potem pociągnął łyk.

- Widocznie przedstawiono nas w takim samym świetle, jak mojego dziadka. Szatańskie nasienie. - Wypił następny długi łyk i zaczerwienił się. - Przepraszam. Przepraszam, czym mogę panie poczęstować?

- Proszę nie robić sobie kłopotu - powiedziała Eve. - Panie Gill, czy ktoś panu groził?
- Tak, i to poczynając od wiecznego potępienia, a kończąc na publicznej chłości. Moja matka nie zasłużyła sobie na coś takiego, pani porucznik. Nie zrobiła nic poza tym, że wybrała złego kandydata na męża. Ale później naprawiła ten błąd. Chociaż muszę przyznać,

że w moich żyłach płynie ta sama krew, co w żyłach Hopkinsa. - Skrzywił się. - Jeśli rozumować w taki sposób.

- A pan tak myśli?

- Już nie wiem, co myśleć. - Wrócił do salonu i klapnął na cukierkoworóżowej kanapie zarzuconej poduszkami. - Przynajmniej wiem, co teraz czuję. Wściekłość i lekki lęk.

- Czy zgłosił pan, że panu grożono?

- Prosiła mnie, żebym tego nie robił. - Zamknął oczy, jakby próbował zebrać resztki sił, by się opanować. - Jest skonsternowana i oburzona. Przynajmniej początkowo była. Nie chciała robić z tego wielkiej afery. Ale telefony nie ustawały. Moja matka stara się załatwiać wszystko sama, poza tym niełatwo ją wyprowadzić z równowagi. Lecz to się okazało ponad jej siły. Boi się, że stracimy szkołę przez cały ten rozgłos, ten skandal. Tak ciężko pracowała, a teraz coś takiego.

- Chciałabym, żeby przegrał nam pan wszystkie wiadomości, jakie zostawiono. Zajmiemy się tym.

- Dobrze. Dobrze. - Przesunął palcami po zmierzwionych włosach. - To słuszny krok, prawda? Nie myślę jasno. Nie wiem, co powinienem zrobić.

- Skontaktował się pan z właścicielem sklepu „Było, minęło”. Może mi pan powiedzieć, dlaczego?

- „Było, minęło”? Ach, tak, to sklep pana Buchanana. Ojciec sprzedał mu kilka pamiątek. Pomyślałem, że może Buchanan należał do ludzi finansujących remont klubu. Ojciec napomknął o nim, kiedy mu dawałam pięćset dolarów. Powiedział coś w stylu: co było, to minęło, ale nie będzie się więcej z nim zadawał. I że odda mi dziesięć razy więcej, niż pożyczył, bo trafił na prawdziwą żyłę złota.

- Czy wyjaśnił, co jest tą żyłą złota?

- Mój ojciec lubił dużo gadać, a właściwie przechwalać się. Na ogół na słowach się jednak kończyło. Ale powiedział, że ma asa w rękawie i wyjmie go w odpowiedniej chwili. A ta chwila nastąpi już niebawem.

- Co było owym asem?

- Nie sądzę, by miał jakiegokolwiek asa w rękawie. - Cliff westchnął ciężko. - Szczerze mówiąc, niezbyt uważnie go słuchałem, bo brzmiało mi to jak jego stare przechwałki. A chciałem, żeby sobie poszedł, zanim moja matka dowie się o pożyczce. Ale wspomniał coś o listach napisanych przez Bobbie Bray. Powiedział, że to sensacja, dzięki której wszyscy zainteresują się klubem „Pod Dwunastką”. Nie zwracałem na to specjalnie uwagi, bo zawsze plółł trzy po trzy. Puścił oko i znów się napił.

- Nie powinno się tak mówić o zmarłym ojcu, co?

- To, że nie żyje, nie czyni z niego lepszego ojca, panie Gill - odrzekła delikatnie Peabody.

Oczy Cliffa na chwilę zwilgotniały.

- Chyba nie. Cóż, kiedy to wszystko się wydarzyło, przypomniałem sobie, jak opowiadał o tych listach i pomyślałem, że może sprzedał je właścicielowi sklepu „Było, minęło”. Może zwierzały coś, co oczyściłoby imię mojego dziadka. Sam nie wiem, co by to mogło być. Może Bray popełniła samobójstwo, a on wpadł w panikę.

Spuścił głowę i potarł wierzchem dłoni czoło, jakby chciał się pozbyć bólu głowy.

- Właściwie byłoby mi to obojętne, gdybym nie widział, jak cierpi przez to moja matka. Nie wiem, czego się spodziewałem po panu Buchananie. Byłem zdesperowany.

- Czy ojciec wspominał, co mogą zawierać te listy? - spytała Eve. - Albo kiedy zostały napisane?

- Właściwie nie. Wtedy uważałem, że tylko szpanuje, ponieważ dałem mu pieniądze. Prawdopodobnie tak właśnie było. Buchanan powiedział, że nie kupił żadnych listów od mojego ojca, ale mogę przyjść i rzucić okiem na to, co ma. Przypuszczam, że to strata czasu. Ale pan Buchanan był bardzo miły. Współczuł mi.

- Czy rozmawiał pan o tym ze swoją matką? - spytała Peabody.

- Nie i nie zamierzam tego zrobić. - Zaperzył się. - Wiem, jak to może zabrzmieć, ale swoją śmiercią mój ojciec sprawił jej teraz więcej kłopotów, niż wtedy, kiedy się z nim rozwodziła. Nie mam zamiaru przysparzać jej dodatkowych zmartwień. Zresztą cokolwiek bym zrobił, i tak nic bym nie osiągnął. - Zmarszczył czoło, spoglądając na swoją szklaneczkę.

- Muszę... Muszę się zająć pogrzebem. Chyba zdecyduję się na kremację zwłok. I nie przewiduję żadnej mszy ani nabożeństwa żałobnego. Pogrzeb będzie cichy. Musimy z matką jakoś to przetrzymać.

- Panie Gill...

- Proszę mi mówić Cliff - przerwał Eve, uśmiechając się do niej. - Ma pani prawo zwracać się do mnie po imieniu, skoro obarczyłem panią wszystkimi swoimi kłopotami.

- Cliff, czy twój ojciec miał skrytkę bankową?

- Nawet jeśli tak, nie powiedziała by mi o tym. Rzadko się widywaliśmy. Nie wiem, co mógłby trzymać w takiej skrytce. Dziś rano zadzwonił do mnie jakiś prawnik. Poinformował, że ojciec sporządził testament i wszystko zapisał mnie. Powiedziałem mu, żeby na razie tego nie rozgłaszał, bo kiedy ludzie się dowiedzą, będę miał szczęście, jeśli zostanie mi dość kredytów, by kupić sobie sojdogę w ulicznym kiosku.

- Przypuszczam, że miał pan nadzieję na coś więcej - zauważyła Peabody.
Cliff roześmiał się krótko, smutno.
- Wiązanie jakichkolwiek nadziei z Radem Hopkinsem to strata czasu.

ROZDZIAŁ 9

- Wyraźnie współczujesz temu chłopakowi. - Kiedy wyszły na ulicę Peabody starannie owinęła szyję szalikiem.

- Przekażemy kopie wiadomości, które mu zostawiono, kilku krzepkim mundurowym i polecimy, żeby porozmawiali sobie z aroganckimi nadawcami. Tylko tyle możemy teraz zrobić. Wracamy na komendę. Chcę się spotkać z Mirą, a ty zreferujesz stan śledztwa komendantowi.

- Ja? - spytała piskliwie Peabody. - Sama?

- Przypuszczam, że komendant Whitney też będzie obecny, kiedy będziesz składała raport.

- Przecież zawsze ty to robisz.

- A dziś zrobisz to ty. Będzie chciał wyznaczyć datę konferencji prasowej - dodała Eve, wsiadając do wozu. - Powstrzymaj go.

- O, mój Boże.

- Niech ją odwlecze o dwadzieścia cztery godziny. Daj mu to wyraźnie do zrozumienia - dodała Eve i włączyła się do ruchu. Peabody siedziała obok niej blada i milcząca.

Doktor Mirę nie bez powodu przydzielono do pracy w nowojorskiej policji. Sporządzała portrety psychologiczne sprawców przestępstw i miała zawsze huk pracy. Próba porozmawiania z nią bez wcześniejszego uzgodnienia terminu konsultacji przypominała próbę wciśnięcia się w ucho igielne, w które już nawleczono nitkę.

Eve rozboleła głowa, kiedy skończyła boje z sekretarką Miry, ale wywalczyła dziesięć minut dla siebie.

- Powinnaś jej dać bat i łańcuch - zauważyła, wchodząc do gabinetu przyjaciółki. - Chociaż właściwie doskonale sobie radzi i bez nich.

- Tobie zawsze udaje się do mnie dostać. Usiądź.

- Nie, postoję. Będę się streszczać. Mira rozsiadła się za biurkiem. Była piękną, szczupłą kobietą i lubiła eleganckie kostiumy. Dziś miała na sobie czerwony, włożyła do niego perły.

- Domyślam się, że ma to związek z klubem „Pod Dwunastką” - zaczęła mówić. - Dwa morderstwa popełnione w odstępie prawie stu lat. Rzadko prosisz mnie o sporządzenie rutynowego portretu psychologicznego. Chodzi o Bobbie Bray.

- Tobie też się to udzieliło? Ludzie wymawiają jej imię, jakby była jakąś boginią.

- Naprawdę? - Mira usiadła wygodniej, w jej oczach widać było rozbawienie. - Moja babka była na jej występie w tym klubie na początku lat siedemdziesiątych. Utrzymywała, że aby się dostać do środka, zgodziła się wyświadczyć przysługę seksualną bramkarzowi. Była z niej szalona kobieta.

- Aha.

- A moi rodzice należeli do fanów Bobby Bray, więc dorastałam, słuchając jej głosu i jej piosenek. Czyli potwierdziło się? To jej szczątki?

- Pracownik laboratorium kryminalistyki był gotów założyć się o to dziś rano. Na podstawie kości czaszki odtworzył wygląd twarzy ofiary. Rzeczywiście przypomina Bobbie Bray.

- Mogę zobaczyć?

- Mam to w swoich plikach. - Eve dała Mirze nazwę pliku, a potem stanęła za nią tak, żeby też móc oglądać obraz na monitorze.

Śliczna, pełna tragizmu twarz, głęboko osadzone oczy, pełne, odęte usta. Taka twarz to zapowiedź kłopotów.

- Tak - mruknęła Mira. - Z całą pewnością wygląda jak ona. Mimo młodego wieku jest w niej coś smutnego, jakieś znużenie życiem.

- Kiedy się zażywa narkotyki, pije i szlaja, właśnie tak się wygląda.

- Chyba masz rację. Nie żal ci jej? Eve uświadomiła sobie, że powinna się spodziewać takiego pytania.

W tym gabinecie codziennie. dyskutowało się o tym, co kto czuje.

- Żal mi wszystkich, którzy kończą z kulką w głowie... A potem zostają zamurowani. Zasłużyła sobie na sprawiedliwość... Zasłużyła sobie na nią z uwagi na gliniarzy, którzy udali, że niczego nie widzą. Ale sama wybrała takie życie. Wiadomo było, jak to się skończy. Mówisz, że w wieku dwudziestu kilku lat ma smutną, wyniszczoną twarz? Cóż, nie będę cię oszukiwała i nie powiem, że jej współczuję z tego powodu.

- To były inne czasy - zauważyła Mira, przyglądając się Eve równie uważnie, jak obrazowi na monitorze. - Moja babka zawsze powtarzała, że trzeba było żyć w tamtych czasach, żeby to zrozumieć. I wątpię, czy Bobbie rozumiałaby ciebie i twoje wybory. - Wyłączyła komputer. - Czy jest jeszcze coś, co pozwoli bez cienia wątpliwości ustalić, że to jej szczątki?

- W szkielecie, który znaleźliśmy, stwierdzono złamanie lewej kości piszczelowej. Z dokumentacji medycznej Bray wynika, że w dzieciństwie złamała nogę. Pobraliśmy z kości

próbki DNA, w drodze do laboratorium są próbki DNA od krewnych Bray.

- Co za strata. Miała wielki talent.
- Nie można powiedzieć, żeby prowadziła zdrowy tryb życia.
- Najbardziej fascynujący ludzie rzadko żyją przykładnie. - Mira przechyliła głowę. -

Ty z całą pewnością tak nie żyjesz.

- Ja mam taką pracę. O ile wiem, jej chodziło tylko o to, żeby się upić i naćpać.

Mira uniosła brew.

- Nie tylko jej nie współczujesz, ale uważasz, że nie mogłabyś jej polubić.
- Nie sądzę, żebyśmy miały wiele ze sobą wspólnego, ale nie o to chodzi. Miała córkę.

- Co takiego? Nigdy o tym nie słyszałam.

- Trzymała to w tajemnicy. Jest duże prawdopodobieństwo, że ojcem był Hop Hopkins, chociaż nie można wykluczyć, że zaszła w ciążę z kimś innym. Tak czy owak, dała sobie zrobić dziecko, urodziła je, a potem podzuciła matce. Wysłała pieniądze, żeby rodzina mogła się przeprowadzić do jakiegoś lepszego miejsca. Matka podawała dziecko za swoje.

- I uważasz, że to ze wszech miar godne potępienia. Po twarzy Eve przebiegł cień irytacji.

- To też nie ma nic do rzeczy. Córka w końcu dowiedziała się prawdy dzięki listom, które Bray ponoć pisała do domu. W tych, które napisała na krótko przed swoją śmiercią, utrzymywała jakoby, że planuje znów udać się do kliniki odwykowej i zaopiekować się swoim dzieckiem. Takie krążą pogłoski. Córka opowiedziała o tym dwójce swoich dzieci. Podobno wiele lat temu listy i inne pamiątki kupił Radcliff C. Hopkins.

- Więzy rodzinne. Według ciebie tu należy szukać motywu.

- Wiesz, jak zabito Hopkinsa?

- Wszyscy o tym mówią. Sądząc po sposobie, w jaki pozbawiono go życia, można przypuszczać, że zabójca kierował się chęcią zemsty. Ale zrobił to z całą premedytacją.

- Zgadza się. - Zawsze czuła satysfakcję, kiedy ktoś potwierdzał to, co czuła instynktownie. - Świadczy o tym ten ostatni strzał w głowę. W taki sam sposób zginęła Bobbie Bray. Widać, że zabójca w pełni nad sobą panował. Wykonał zadanie, tak jak sobie założył.

- Upewnię się, czy dobrze zrozumiałam. Podejrzewasz, że potomek Bobbie Bray zamordował potomka Hopkinsa, żeby pomścić jej śmierć.

- W zasadzie tak. Porzucenie przez matkę i cała afera wokół jej zniknięcia fatalnie odbiły się na stanie zdrowia córki Bray. Miała obsesję na tym punkcie. Przeszła serię

załamania. Tak twierdzi wnuczka Bobbie.

- Podejrzewasz tę wnuczkę?

- Nie, ma alibi. Jest matką dwojga dzieci, ale w interesującym mnie przedziale czasowym żadne nie przebywało w Nowym Jorku.

- Kto ci zostaje?

- Był jeszcze jeden wnuk, który rzekomo poległ podczas wojen miejskich.

- Miał dzieci?

- W oficjalnych wykazach brak wzmianki na ten temat. Był dość młody, liczył sobie zaledwie siedemnaście lat. Zgłaszając się do wojska, zataił swój prawdziwy wiek. W tamtych czasach wielu chłopaków tak robiło. Co dziwne, zabito go w Nowym Jorku.

Mira ściągnęła usta i się zamyśliła.

- Ponieważ jesteś jedną z najbardziej pragmatycznych kobiet, jakie znam, trudno byłoby mi uwierzyć, że dopuszczasz myśl, że Hopkinsa zabił duch, by pomścić innego ducha.

- Za spust pociągnął człowiek z krwi i kości. Poprosiłam Yancy'ego, by postarzył osobę przedstawioną na zdjęciu z akt wojskowych. W czasie wojen miejskich panowało spore zamieszanie, ostatnie ich miesiące tu, w Nowym Jorku, były skomplikowane pod względem militarnym. Nie można wykluczyć, że młody człowiek, który skłamał, ile ma lat, żeby wstąpić do armii, podrzucił swoje dokumenty tożsamości jakiemuś poległemu i zniknął. Wojna nigdy nie wygląda tak, jak to sobie wyobrażamy. Nie ma w niej nic z heroizmu ani przygody. Mógł zdezerterować.

- W rodzinie zdarzały się przypadki chorób psychicznych i to zarówno po stronie matki, jak i ojca. Jeśli do tego dodać okropieństwa wojny, poczucie winy z powodu porzucenia służby... Można mieć wrażenie, że się siedzi na beczce prochu. Twój zabójca jest człowiekiem zdecydowanym, z uporem dąży do celu i z pewnością nieco zna się na broni. Krążą plotki, że ofiarę postrzelono dziewięć razy. Nawet model pistoletu ma w sobie coś z symbolu. Na miejscu nie znaleziono żadnej zabłąkanej kuli.

- Trafił dziewięć razy na dziewięć strzałów, więc albo trochę się zna na broni palnej, albo miał wyjątkowe szczęście. Na dodatek musiał zarepetować pistolet, żeby oddać dziewiąty strzał.

- Ach. Poprzednie wystrzelił w przyпіływie gniewu, nie panując nad sobą. Ostatni strzał to jak podpis. Osiągnął założony cel. Może kryje się za tym coś więcej, ale ma swoje „oko za oko”, a obiekt jego obsesji znów ujrzał światło dzienne.

- Tak. - Eve skinęła głową. - Przypuszczam, że w tym przypadku ma to spore znaczenie.

- Po odnalezieniu szczątków Bobbie, ich zidentyfikowaniu, oraz ustaleniu tożsamości jej zabójcy - nawet, jeśli dokonały tego tylko media - sprawca wypełnił swoje zobowiązania. Jeśli zabójcą jest wnuk albo prawnuk - bo nawet jeśli wnuk poległ podczas wojen miast, z całą pewnością jako siedemnastolatek mógł spłodzić potomka - ów ktoś wie, jak zniknąć niepostrzeżenie.

- A raczej cały czas pozostać w cieniu - dodała Eve.

- Najprawdopodobniej. Nie sądzę, żeby twój zabójca szukał rozgłosu. Nie potrzebuje uznania. Wróci do swojego dotychczasowego życia i po prostu znów zniknie.

- Chyba wiem, gdzie go szukać.

*

- Yancy doskonale sobie poradził. - Eve trzymała obok siebie zdjęcia Johna Massey'a w młodości i jako dojrzałego mężczyzny.

- O, tak - przyznał jej rację Roarke. - Podobnie, jak ty, moja pani porucznik. Wątpię, czy patrząc na chłopca, dostrzegłbym mężczyznę.

- To kwestia dziedziczności. W rodzinie Bray są rudowłosi. Jej ojciec i córka byli rudzielcami. Jej wnuk też.

- A opierając się na tym, czego dokonał Yancy, wnuk jak najbardziej żyje i mieszka w Nowym Jorku.

- Tak. Ale na razie nie mam nic poza podejrzeniami i teorią. Brak dowodów łączących podejrzanego z przestępstwem.

- Zamknęłaś śledztwo w sprawie morderstwa, popełnionego dziesiątki lat przed tym, zanim się urodziłaś - przypomniał jej Roarke. - I jesteś spragniona kolejnego sukcesu.

- To wszystko zasługa podejrzanego o dokonanie zabójstwa Radcliffa C. Hopkinsa. To on natknął się na szczątki, wydobył je na światło dzienne, zaprowadził mnie do nich. Reszta to właściwie praca laborantów i rutynowe działania. Ponieważ sprawca tamtej zbrodni od dawna nie żyje, nie pozostaje nic innego, jak odnotować to w aktach i powiadomić media.

- Ale ciebie to nie zadowala.

- Nie, kiedy ktoś zabija, bo uważa, że w taki sposób może wyrównać rachunki za to, co zrobił ktoś zupełnie inny. I bawi się ze mną. Pora, żebyśmy teraz my pobawili się z nim. - Eve poprawiła się na siedzeniu. Czowała się strasznie głupio, jadąc wielką, czarną limuzyną.

Ale nikt się nie spodziewał, by Roarke jeździł metrem albo chociażby korzystał z taksówek. To, jak nas widzą, stanowi część gry.

- Nie mogę cię posłać z mikrofonem - dodała. - Nigdy nie dostałabym zgody na

podstawie tego, czym dysponuję. Wiesz, co masz mówić, prawda? Jak to rozegrać?

- Pani porucznik, odrobina wiary.

- Wierzę w ciebie. No dobra - dodała, schylając się nieco, żeby wyjrzeć przez okno, kiedy limuzyna zatrzymała się przy krawężniku. - Pora na przedstawienie. Będę krążyła w pobliżu twoją wypasioną bryką, by się upewnić, że ciąg dalszy tego spektaklu rozwija się, jak należy.

- Jedno pytanie: masz pewność, że twój podejrzany zagra w tej twojej sztuce rolę, jaką dla niego przewidziałas?

- Nic nie jest pewne na tym świecie, ale jestem gotowa się założyć, że tak. Obsesja to silna motywacja. Zabójca ma obsesję na punkcie Bray i klubu „Pod Dwunastką”. Poza tym ma zamiłowanie do efektów teatralnych. Powiedziałabym, że to też odziedziczył. Jak zaczniemy potrząsać przynętą, z pewnością da się złapać.

- Postaram się potrząsać jak najlepiej.

- Powodzenia.

- W takim razie pocałuj mnie.

- To samo powiedziałaś wczoraj wieczorem i pamiętasz, czym się to skończyło? - Ale pocałowała go. Kiedy wysiadł z limuzyny, wyciągnęła swoje łącze, żeby sprawdzić, czy wszystko przebiega zgodnie z planem.

Roarke wszedł do sklepu „Było, minęło” z miną człowieka, który ma forsy jak lodu i lubi ją wydawać na to, na co ma ochotę. Rzucił Maeve czarujący uśmiech i serdecznie uścisnął jej dłoń.

- Pani Buchanan? Dziękuję, że specjalnie dla mnie zgodziła się pani otworzyć sklep dziś po południu. Chociaż właściwie już prawie wieczór.

- Cała przyjemność po naszej stronie. Ojciec zaraz do nas przyjdzie. Czy ma pan ochotę na kieliszek wina? Mam bardzo dobre cabernet.

- Chętnie się napiję. Znam pani ojca, chociaż upłynęły trzy czy cztery lata, odkąd robiliśmy interesy.

- Studiowałam wtedy. Wspomniał, że kupił pan od niego między innymi szczególnie piękny georgiański kredens i porcelanę.

- Ma doskonałą pamięć.

- Nigdy niczego nie zapomina. - Podała mu kieliszek z winem, a potem pokazała srebrną tacę z owocami i serami. - Czy zechce pan usiąść? Jeśli wolałby pan rozejrzeć się po sklepie, mogę służyć wszystkimi informacjami. Ojciec ma przedmiot, o który pan pytał. Chciał się upewnić, że został należycie oczyszczony, zanim go panu pokaże.

- W takim razie zaczekam. Mam nadzieję, że dotrzyma mi pani towarzystwa. - Siadając, Roarke rzucił okiem na portret Bobbie, wiszący w głębi. - Właściwie do przyjscia tutaj zainspirowała mnie Bobbie Bray.

- Naprawdę? Ludzie zawsze interesowali się nią i pamiątkami po niej, ale w ostatnich dniach to zainteresowanie znacznie wzrosło.

- Wyobrażam sobie. - Mówiąc, zmienił nieco pozycję, żeby móc się przyjrzeć biało - czarnym fotografiom, o których mówiła mu Eve. I dwóm pustynnym pejzażom, o jakich wspomniała. - Przypuszczam, że to zainteresowanie nieprędko minie - ciągnął. - Z całą pewnością nie, skoro znów zrobiło się głośno o Bobby Bray w związku z ostatecznym rozwiązaniem zagadki jej śmierci.

Maeve na chwilę znieruchomiała.

- A więc to pewne?

- Mam swoje źródła informacji, jak zapewne pani się domyśla. Tak, to pewne. Po tylu latach odnaleziono jej szczątki. I dowody świadczą, że to Hopkins ukrył zwłoki.

- Straszne. Uważam, że... Tato. - Wstała, kiedy do sklepu wszedł Buchanan, trzymając aksamitną kasetkę. - Pamiętasz pana Roarke'a?

- Ależ naturalnie. Miło znów pana widzieć. - Uścisnęli sobie dłonie i usiedli. - Kiedy odwiedził nas pan ostatnio ze swoją żoną, okoliczności były dość nieprzyjemne.

- Tak. To straszne. Właśnie mówiłem pańskiej córce, że potwierdzono tożsamość szczątków znalezionych w klubie „Pod Dwunastką” i zidentyfikowano odciski palców pierwszego Hopkinsa na kilku cegłach po wewnętrznej stronie muru.

- Czyli nie ma już żadnych wątpliwości.

- Nic dziwnego, że zwariował, zamknąwszy się w tym budynku. Wiedział, co zrobił, wiedział, że ona jest za ścianą, bo sam ją tam zamurował. Trochę to przypomina „Zdradzieckie serce”.

Roarke usiadł, trzymając w ręku kieliszek.

- Ale trzeba przyznać, że to fascynujące, prawda? Upływ czasu sprawił, że tego rodzaju brutalny akt zyskał pewną magię. Wszyscy mówią tylko o tym. A ja nie jestem lepszy od innych. Czy to ten naszyjnik?

- Och, tak. Tak. - Buchanan otworzył kasetkę i uniósł atlasowe wieczko. - Przepiękny, prawda? Wszystkie koraliki są ręcznie nawlekane. Nie mam dowodów, że zrobiła to sama Bobbie, ale krążą takie opowieści. Nosiła go podczas uroczystości wręczenia nagród Grammy, a potem oddała jednej z występujących z nią osób. Udało mi się go kupić w zeszłym roku.

- Bardzo ładny. - Roarke uniósł do góry sznurek koralików. Były różnej wielkości, kształtu, kolorów, ale nawleczone w sposób świadczący o tym, że twórca odznaczał się zmysłem artystycznym. - Pamiątka po Bobbie. Myślę, że spodoba się Eve, bo to dzięki niej ostatecznie sprawiedliwości stało się zadość.

- Czy to naprawdę możliwe? - mruknęła Maeve, spuszczać oczy. - Po tylu latach?

- Dla mojej żony sprawiedliwość kroczy, trzymając się za ręce z prawdą. Eve zrobi wszystko, żeby odkryć prawdę, tak jak odkryto szczątki Bobbie. - Znów uniósł w ręce koraliki. - Mam nadzieję, że uda mi się ją zabrać na krótki urlop w tropiki. To w sam raz do noszenia w tropikach, prawda?

- Po tej nowojorskiej pogodzie - powiedziała Maeve ze śmiechem, podnosząc wzrok - wszystko będzie w sam raz do noszenia w tropikach.

- Oboje wykonujemy taką pracę, że trudno nam się gdzieś wyrwać. Ale mam nadzieję, że teraz uda się znaleźć wolną chwilę. Chociaż uwzględniając to, na co policja natrafiła dziś, może się to okazać dość trudne.

- Znalaziono jeszcze coś? - spytał Buchanan.

- Mhm. Ma to związek ze skrytką bankową, listami i te pe. Hop Hopkins nagrał swoje wspomnienia, kiedy postanowił żyć jak pustelnik. Napomknął gdzieś o małej skrytce w ścianie klubu „Pod Dwunastką”. Widać, że nie siedział z założonymi rękami. Policja szuka skrytki, ale budynek jest niemały, więc może to potrwać kilka dni.

- Skrytka - powiedziała szeptem Maeve. - Ciekawa jestem, co w niej jest.

- Nowe fakty? - spytał Buchanan, ale bardziej spiętym głosem. - Czy wynurzenia szaleńca, który dopuścił się morderstwa?

- Może jedno i drugie - powiedział Roarke. - Moja żona ma nadzieję, że będzie tam coś, co zaprowadzi ją do zabójcy Rada Hopkinsa. Jemu też należy się sprawiedliwość. - Położył koraliki na aksamitnej wyściółce. - Jestem tym bardzo zainteresowany. - Pociągnął łyk wina. - Czy możemy przystąpić do negocjacji?

ROZDZIAŁ 10

Eve stała w klubie „Pod Dwunastką” tam, gdzie dawniej znajdowała się estrada. Kiedyś było tu głośno, błyskały światła, dużo się działo, teraz panowały ciemności, cisza i bezruch. W powietrzu unosił się kurz i słaby zapach odczynników chemicznych, używanych przez techników kryminalistyki. Od ceglanych ścian starego budynku biło przenikliwe zimno. A jednak wszystko było przygotowane do występu, pomyślała. Jeśli jej przecucia się nie sprawdzą, zmarnuje masę czasu, pieniędzy i wysiłku policjantów. Ale doszła do wniosku, że lepsze to, niż uwierzyć mediom przekonującym wszystkich, że na klubie nadal ciąży klątwa.

- Musisz przyznać, że strasznie tu. - Peabody, stojąca obok Eve, rozejrzała się po sali. Oczy miała szeroko otwarte. - To miejsce przyprawia mnie o ciarki.

- Nie obchodzi mnie to. Wszystko gotowe. Idę zająć swoje miejsce na górze.

- Nie musisz już teraz tam iść. - Peabody złapała Eve za rękę. - Naprawdę. Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

- Detektyw Peabody, jeśli boisz się ciemności może powinnaś wziąć ze sobą małego misia, żeby się do niego przytulić.

- Nie zaszkodziłoby - mruknęła Peabody, kiedy Eve się uwolniła od jej uścisku. - Będziemy w kontakcie, prawda?

Znaczy się wolno nam utrzymywać łączność? To właściwie tak, jakbyś stała tuż obok mnie.

Eve tylko pokręciła głową, kierując się ku schodom. Przeszła razem z Peabody przez drzwi do pomieszczenia, będącego świadkiem śmierci, albo przynajmniej cierpień. Razem ze swoją partnerką często bywały w miejscach, gdzie krew się lała strumieniami. A teraz zazwyczaj opanowana Peabody trzęsa się ze strachu przed duchami.

Odgłosy jej kroków na metalowych schodkach odbijały się głośnie echem. Mogły rzeczywiście przyprawić kogoś o gęsią skórę. Ale dziś wieczorem nie było powodu, żeby się przejmować skrzypiącymi drzwiami czy zawodzeniem duchów. Powinny się bać bezwzględnego zabójcy, który mógł przyjść po listy.

Naturalnie nie było żadnych listów. Przynajmniej nic nie wiedziała o żadnych listach ani o skrytce. Ale była pewna, że perspektywa ich zdobycia skusi zabójcę Rada Hopkinsa do pojawienia się dziś w klubie „Pod Dwunastką”.

Nie wątpiła, że zabójca jest potomkiem Bobbie Bray i Hopa. Jeśli dziś wieczorem jej przecucia się nie sprawdzą, jutro będzie ją czekała przeprawa z dziennikarzami. Chociaż

wiedziała, że tak czy inaczej by jej to nie ominęło. Ale wołałaby stanąć przed nimi i móc ich poinformować, że zamknęła kolejne śledztwo.

Zabawne, że w sklepie „Było, minęło” wisiały zdjęcia pustyni sprzed lat. Może zrobiono je gdzieś w Arizonie, może nie, ale Eve gotowa była się założyć, że właśnie tam. Były też stare zdjęcia San Francisco, jeszcze sprzed wielkiego trzęsienia ziemi. I Nowego Jorku z tamtych czasów, i Los Angeles. Wszystkich miejsc, gdzie przebywała Bobbie.

Może to zbieg okoliczności. Ale Eve nie wierzyła w zbiegi okoliczności.

Przeszła przez pomieszczenia na drugiej kondygnacji i skierowała się tam, gdzie były mieszkania.

Eve nie wątpiła, że Roarke dobrze odegra swoją rolę. Gotowa była postawić wszystko, że zabójca Radcliffa C. Hopkinsa i potomek Bobbie Bray da się złapać na przynętę. Postanowi działać już dziś w nocy.

Wybrała miejsce, z którego widziała okna, stojąc plecami do ściany. Połączyła się z Peabody i zawyła do mikrofonu:

- Uuu!
- Bardzo śmieszne. Zrywam boki ze śmiechu tu na dole.
- Kiedy zapanujesz nad wesołością, zaczniemy odprawę. Feeney, co tam u ciebie?
- Moje oczy, uszy i czujniki ciepła nie zarejestrowały żadnego ruchu.
- Jesz pączka?
- Po co ci elektroniczne oczy i uszy, skoro i bez nich widzisz stamtąd, że jem pączka?
- Rozległo się siorbnięcie, kiedy popił go kawą. - Roarke przyniósł nam małe co nieco, żebyśmy nie posnęli.
- Tak, zawsze coś kupuje. - Żałowała, że nie ma pączka. Nie, właściwie wołałaby kawę.
- Powinna pani włożyć koraliki, pani porucznik - rozległ się głos Roarke'a. - Myślę, że spodobałyby się Bobbie.
- Tak, jeszcze mi tylko tego brakuje. Koralików i świecidełek. Mogłabym je wykorzystać do...
- Coś mam - przerwał jej Feeney.
- Słyszałam. - Eve umilkła i kiedy się skupiła, cichutkie nucenie przemieniło się w śpiew. Wyciągnęła broń.
- Jak wygląda sytuacja przy wyjściach z budynku i wejściach do niego? - spytała cicho Feeneya.
- Ani żywej duszy - powiedział jej prosto do ucha. - Nie zarejestrowałem żadnego

ruchu, czujniki ciepła wykryły jedynie ciebie i Peabody.

Czyli że zastosowano timer, doszła do wniosku Eve. Elektroniczną pętlę, której nie wykryli ludzie z wydziału przestępstw elektronicznych.

- Dallas? - Głos Peabody przypominał histeryczny szept. - Słyszysz mnie? Widzę...

Usłyszała w słuchawce brzęczenie. A powietrze stało się lodowate.

Nic nie mogła poradzić na dreszcz, który przebiegł jej po plecach, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć. Mogła przeklinać zakłócenia na łączach, lecz była zbyt pochłonięta obserwowaniem bezkształtnej postaci sunącej w jej stronę.

Bobbie Bray miała na sobie dzinsy o nogawkach mocno rozszerzających się poniżej kolan. Zsunęła je nisko na biodra. Wzdłuż nogawek wyszyte były kwiatki. Zwiewna, biała góra zdawała się unosić w powietrzu. Burzę loków podtrzymywały brylantowe spinki. Idąc i nucąc piosenkę, uniosła papierosa do ust i głęboko się zaciągnęła.

Powietrze wypełnił intensywny zapach dymu.

Na podstawie tego, jak poruszała się postać, Eve wywnioskowała, że tajemnicza zjawa paliła dziś nie tylko tytoń. Inne duchy zniknęły, ale ten jeden pozostał.

- Myślisz, że to kupię? - Eve odsunęła się od ściany. Kiedy jednak zrobiła krok przed siebie, poczuła uderzenie. Gdy później to analizowała, doszła do wniosku, że było tak, jakby zderzyła się z lodową taflą.

Ale nie zważając na nic, podażyła za postacią tam, gdzie kiedyś była sypialnia.

Zjawa przystanąła, jakby przestraszona.

- Nie wiedziałam, że jesteś na górze. O co chodzi? Powiedziałam ci, że kończę z tym. Spakowałam się. Więc daj spokój z tymi bzdurami, Hop.

Mówiąc to, przeszła dalej, udała, że nalewa coś do szklanki i pije. Głos miała zmęczony, mówiła niewyraźnie, jakby była pod wpływem narkotyków.

- Bo jestem zmęczona i mam dość. Jestem do niczego. Wszystko jest do niczego i już nie mogę tego dłużej ciągnąć. Mam w nosie swoją karierę. Zawsze liczyłeś się tylko ty.

Odwróciła się i wysunęła jedną nogę do przodu, przybierając wojowniczą pozę.

- Tak? Cóż, może się i nachapałam, ale teraz tym rzygam. Na rany Chrystusa, spójrz na nas, Hop. Spójrz na siebie. Albo jesteśmy zalani w pestkę, albo naćpani. Mamy dziecko. Nie mów mi, żebym się zamknęła. Mam dosyć siebie i mam dosyć ciebie. Tym razem mi się uda.

Machnęła ręką przed siebie, jakby cisnęła kieliszkiem o ścianę.

- Nie pieprzę się z żadnym innym facetem. Nie śpiewam dla innej wytwórni. Skończyłam z tym. Nie dociera to do ciebie? Skończyłam z tym i skończyłam z tobą.

Zupełnie ci odbiło, Hop. Bardziej potrzebujesz pomocy niż ja. Odłóż to.

Teraz uniosła ręce w górę i, potykając się, cofnęła nieco.

- Uspokój się. Zejdź tu. Porozmawiajmy o tym, dobrze? Nie muszę odchodzić. Nie kłamię. Naprawdę. O, Boże. Nie. Nie. Jezu, Hop. Nie!

Rozległ się głośny huk, zjawą gwałtownie się szarpnęła, a potem padła. Z dziury pośrodku czoła zaczęła sączyć się krew.

- Niezłe przedstawienie - powiedziała Eve, ale nawet we własnych uszach jej głos brzmiał ochryple. - Niezłe przedstawienie.

Usłyszała za sobą ciche skrzyknięcie i obróciła się gwałtownie. Maeve weszła do pokoju, po policzkach płynęły jej łzy. W rękę ścisnęła nóż.

- Zastrzelił mnie. Powiedział, że woli, żebym zginęła, niż miałabym odejść.

Eve uświadomiła sobie, że nie ma tu Johna Massey'a. Następne pokolenie postanowiło pomścić to, co Hop Hopkins zrobił Bobbie Bray.

- Wyglądasz mi na całkiem żywą, Maeve.

- Bobbie - poprawiła ją. - Jest we mnie. Mówi przeze mnie. Jestem nią.

Eve westchnęła, trzymając broń w ręce.

- Och, daj spokój. Mało ci duchów? Teraz jeszcze udajesz opętaną? - I zabił mnie - zanuciła Maeve. - Odebrał mi życie. Powiedział, że bez niego jestem nikim, tylko naćpaną dziwką, która ma silne struny głosowe.

- Przyznaję, że surowo cię ocenił - zgodziła się z nią Eve. - Ale wszystko to wydarzyło się, zanim przyszedł na świat. Oboje już od dawna nie żyją. Dlaczego zabiłaś Radcliffa Hopkinsa?

- Zamurował mnie. - Oczy jej błyszczały od łez, ogarnęły ją bezsilna złość i szaleństwo. - Zapłacił glinom i nie ruszyli palcem w bucie.

- Nieprawda. Zrobił to jego dziadek.

- Co za różnica. - Mówiąc to, obróciła się wolno, wyciągając ręce przed siebie. - On był, ja byłam. On jest, ja jestem. - Odwróciła się gwałtownie i wycelowała w Eve ostrze noża.

- A ty, ty nic a nic się nie różnisz od gliniarzy, którzy pozwolili, żebym tu zginęła. Jesteś jeszcze jednym psem.

- Nikt mnie nie przekupi. Zakończę to, co zaczęłam, i pozwól, że coś ci powiem. Położę temu kres.

- To się nigdy nie skończy. Nie mogę się stąd wydostać, nie pojmujesz tego? - Maeve przycisnęła dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać śmiech, który przemienił się w zduszony jęk. - Każdego dnia, każdej nocy jest to samo. Nie mogę przed tym uciec, kręcę się w kółko

tak, jak tego chciał.

- Pomogę ci się stąd wydostać. I spędzisz wszystkie dni, wszystkie noce, jakie ci pozostały, w celi. W twoim przypadku może mieć ściany obite gąbką.

Maeve się uśmiechnęła.

- Nie możesz tego przerwać. Nie możesz mnie powstrzymać, nie możesz położyć temu kresu. „Nigdy mnie nie opuścisz”. Właśnie tak powiedział, kiedy mnie tu zamurowywał. Powiedział, że on mnie stworzył i nigdzie nie wyjadę. Nigdy.

Pieprzony łobuz zabił mnie, przeklął i uwięził. Co, u licha, można na to poradzić?

- Zakończ to. Maeve Buchanan, aresztuję cię za zabójstwo Radcliffa Hopkina. Masz prawo zachować milczenie...

- Zapłacisz mi za to, że mnie tu zatrzymałeś. - Maeve rzuciła się z nożem na Eve.

- Jezu, walczysz jak dziewczyna. - Eve krążyła razem z nią, nie odrywając wzroku od oczu Maeve. - Ale ja nie jestem półgłówkiem z nadwagą, a ty tym razem nie masz broni palnej. Więc posłuchaj. Ja mam ogłuszacz, a ty - nóż. Ogłuszacz zawsze wygrywa. Chcesz, żebym cię nim potraktowała, Maeve?

- Nic nie możesz mi zrobić. Nie tutaj. Tutaj nie może mnie spotkać żadna krzywda.

- O co zakład? - powiedziała Eve i potraktowała rudowłosą dziewczynę prądem o niskim napięciu, kiedy ta znów na nią natarła.

Nóż wypadł z dłoni Maeve; upadła ciężko na podłogę. Eve znów poczuła zimno. Tym razem miała wrażenie, jakby lodowate paznokcie przeorały jej policzek. Ale nie zważając na to, rzuciła się przed siebie i wykręciła kobiecie ręce do tyłu.

Maeve walczyła, szamotała się, miotając przekleństwa. Zimny wiatr przenikał Eve do szpiku kości.

- Położę temu kres - wyrzuciła z siebie Eve jednym tchem, czując, jak ktoś okłada ją lodowatozimnymi pięściami. - Hop Hopkins zostanie pośmiertnie oskarżony o zamordowanie Bobbie Bray. Daję ci moje słowo. Kropka. A teraz zostaw mnie w spokoju, do jasnej cholery, żebym mogła wykonywać swoje obowiązki.

Kiedy wiatr zaczął przycichać, zmusiła Maeve do powstania.

- Dorzucimy włamanie i czynną napaść na funkcjonariusza policji, tak dla draki.

- Nazywam się Bobbie Bray i nie możesz mnie tknąć. Jestem Bobbie Bray, słyszysz? Jestem Bobbie Bray.

- Tak, słyszę. - Jednocześnie dobiegły ją jakieś wrzaski w słuchawce i dudnienie kroków na schodach.

- Nie mogłam się dostać do schodów - tłumaczyła jej Peabody. - Nagle nie wiadomo

skąd wziął się tłum ludzi i usłyszałam muzykę.

Straciłam łączność i próbowałam się przedrzeć przez mur ludzi. Żywych ludzi... Nie, nie żywych. Sama już nie wiem. Mam jeden wielki mętlik w głowie.

- Pobiegliśmy do drzwi, jak tylko straciliśmy łączność - dodał Feeney. - Nie mogliśmy wejść. Nie udało się to nawet twojemu mężowi o czarodziejskich palcach. Potem nagle odzyskaliśmy łączność, zamki ustąpiły i wpadliśmy do środka. Przekłęte miejsce. - Feeney spoglądał na klub „Pod Dwunastką”, stojąc na chodniku. - Według mnie należałoby je zrównać z ziemią. Zrównać z ziemią i posypać solą.

- Wszystko to zainscenizowała Maeve Buchanan. Dowiemy się, w jaki sposób. - Eve powtórzyła sobie, że to jej śledztwo i będzie się trzymała swojej wersji wydarzeń. - Zabieram ją na przesłuchanie. Jest tak porządnie trzepnięta w mózg, że może nie będzie w stanie nic sensownego powiedzieć.

- Czy możesz mnie przy okazji podrzucić do domu? Eve odwróciła się do Roarke'a.

- No pewnie. Mundurowi odstawią podejrzaną do komendy. Peabody, zechcesz tego dopilnować?

- Zrobię to z największą przyjemnością. Wolę się stąd wynieść jak najdalej.

Roarke, gdy tylko usiadł w samochodzie obok Eve, poprosił:

- No więc mów.

- Maeve prawdopodobnie już była w środku. Nie zauważyliśmy jej, kiedy przeszukiwaliśmy budynek. Gdzieś ukryła urządzenie zagłuszające.

- Eve... Wypuściła powietrze z płuc i zakłęta pod nosem.

- No więc dobrze, odbyłam rozmowę ze zmarłą kobietą. Powiedziała mu wszystko, starając się zachować rzeczowy ton.

- A więc to nie Maeve podrapała ci twarz.

- Nie wiem, co to było, ale wiem, że jeszcze dziś wyjaśnimy wszystko do końca. Właśnie pojechali po Buchanana. Sprawdzimy, czy był w to zamieszany, czy też Maeve działała w pojedynkę. Ale jestem pewna, że to ona strzelała. To ona zwabiła tu Hopkinsa. Miał słabość do młodych kobiet. Nie przypuszczał, że coś może mu grozić z jej strony. Wszedł sam, bez broni.

- Jeśli będzie się upierać, że jest Bobbie Bray, trafi do zakładu psychiatrycznego, a nie do więzienia.

- Cela to cela, obojętne mi, gdzie się znajduje.

Eve pozwoliła, by Maeve trochę się podenerwowała w komendzie, czekając na przyjazd Miry i zakwalifikowanie na obserwację. Specjalnie na pierwszy ogień wzięła Buchanana.

Kiedy weszła do sali przesłuchań B, był blady, oczy mu błyszczały z niepokoju i cały dygotał.

- Powiedzieli mi... powiedzieli, że aresztowała pani moją córkę. Nie rozumiem. Potrzebuje prawnika. Chcę wezwać dla niej adwokata.

- Jest już dorosła, panie Buchanan. Jeśli będzie chciała prawnika, sama o to poprosi.

- Nie rozumiem jasno. Jest zdenerwowana.

- Już od jakiegoś czasu nie rozumiem jasno, prawda?

- Jest... Jest wrażliwa.

- Proszę. - Peabody postawiła na stole kubek z wodą.

- Niech się pan napije. Potem spróbuje pan pomóc swojej córce.

- Bo Maeve potrzebuje pomocy - dodała Eve. - Wie pan, że utrzymuje, iż jest Bobbie Bray?

- O, Boże. O, Boże. - Ukrył twarz w dłoniach. - To moja wina. To wszystko moja wina.

- Jest pan Johnem Masseyem, wnukiem Bobbie Bray i Radcliffa Hopkinsa?

- Uciekłem od tego wszystkiego. Musiałem od tego uciec. To zniszczyło moją matkę. Nic nie mogłem zrobić.

- Czyli podczas miejskich wojen dostrzegł pan swoją szansę. Po wybuchu wyrzucił pan swój dowód tożsamości. Wszędzie poniewierały się ludzkie szczątki. Skorzystał pan z zamieszania i zniknął.

- Nie mogłem znieść całego tego zabijania. Nie mogłem wrócić do domu. Chciałem spokoju. Po prostu chciałem odrobiny spokoju. Ułożyłem sobie życie. Ożeniłem się, urodziła mi się córka. Po śmierci żony poświęciłem się opiece nad Maeve. Była najśłodsza istotą pod słońcem.

- Potem powiedział jej pan, kim była jej prababka. Pokręcił głową.

- Nie. To ona powiedziała mnie. Nie wiem, jak zaczęła coś podejrzewać, ale dotarła do Rada Hopkinsa. Utrzymywała, że prowadzi z nim jakieś interesy, i chciałem w to wierzyć. Ale obawiałem się, że to coś więcej. Pewnego dnia oświadczyła mi, że była w klubie „Pod Dwunastką” i wszystko rozumiała. Zamierzała się zająć tą sprawą, ale nigdy nie przypuszczałem, że miała na myśli... Czy teraz to zniszczy życie również mojej córce? Czy to zniszczy jej życie?

- Wiedział pan, że ponownie wyszła tamtej nocy, kiedy zabito Hopkinsa - powiedziała Eve. - Wiedział pan, co zrobiła. Powiedziała panu. Krył ją pan. To czyni z pana współwinnego.

- Nie. - W jego oczach widać było desperację, kiedy nerwowo rozglądał się po sali. - Całą noc spędziła w domu.

To jakaś straszna pomyłka. Jest zdenerwowana i zdezorientowana. To wszystko.

Zostawiły go i wyszły na korytarz.

- Wrażenia, Peabody?

- Nie uważam, że odegrał aktywną rolę w morderstwie. Ale wiedział. Może schował głowę w piasek, ale wiedział. Możemy na tej podstawie oskarżyć go o współudział. Pęknie, jak tylko Maeve do wszystkiego się przyzna.

- Zgadzam się z tobą. W takim razie weźmy się za nią. Maeve siedziała spokojnie. Włosy znów miała gładko uczesane, twarz spokojną.

- Pani porucznik, pani detektyw.

- Włączyć nagrywanie. - Eve podyktowała dane i przeczytała przysługujące Maeve prawa. - Pani Buchanan, czy rozumie pani przysługujące jej prawa?

- Naturalnie.

- A więc, Maeve. - Eve usiadła przy stole naprzeciwko niej. - Od jak dawna znała pani Hopkinsa?

Wykrzywiła usta w znaczącym uśmiešku.

- Którego?

- Tego, do którego dziewięć razy pani strzeliła w klubie „Pod Dwunastką”.

- Och, tego Hopkinsa. Spotkałam go, kiedy kupił ten budynek. Przeczytałam o tym i pomyślałam, że nadeszła pora, żebyśmy ostatecznie załatwili kilka niezakończonych spraw.

- Co to za sprawy?

- Wiązą się z zamordowaniem mnie przez niego.

- Nie wygląda pani na martwą.

- Zastrzelił mnie, żebym nie mogła go porzucić, żeby nikt inny nie mógł na mnie zarabiać. Potem to zatuszował. Ukrył moje zwłoki. Długo czekałam, zanim udało mi się zmusić go do zapłacenia za to.

- Czyli wysłała pani do niego wiadomość, żeby przyszedł do klubu „Pod Dwunastką”. A potem go pani zabiła.

- Tak, ale wcześniej kilka razy się spotkaliśmy. Musieliśmy wydobyć moje szczątki.

- Ma pani na myśli szczątki Bobbie Bray.

- Tak. Ona jest we mnie. To ja jestem Bobbie. - Mówiła spokojnie, jakby znów siedziały w jej eleganckim salonie. - Wróciłam, żeby wymierzyć sprawiedliwość. Wcześniej jej się nie doczekałam.

- Skąd pani wiedziała, gdzie są szczątki?

- Któż mógł to lepiej wiedzieć ode mnie? Wie pani, co chciał zrobić? Chciał sprowadzić dziennikarzy i znów na mnie zarobić. Wszystko sobie obmyślił. Zaprosiłby dziennikarzy, pozwoliliby, żeby pokazali moje biedne kości na ekranie, udzielałby wywiadów, każąc sobie naturalnie za nie słono płacić. Ponownie zamierzał mnie wykorzystać, zawsze to robił. Ale tym razem nie pozwoliłam na to.

- Wierzyła pani, że Rad Hopkins stanowi wcielenie Hopa Hopkinsa? - zapytała Peabody.

- Naturalnie. To oczywiste. Tylko tym razem to ja wykorzystałam jego. Powiedziałam mu, że mój ojciec zapłaci za listy, które napisałam. Powiedziałam mu, gdzie mamy rozebrać ścianę. Nie chciał w to wierzyć, próbował mnie uwieść.

Zmarszczyła nos, okazując lekkie obrzydzenie.

- Mogłam mu kazać zrobić wszystko, co tylko chciałam. Godzinami kuliśmy tę ścianę. Potem mi uwierzył.

- Wzięła pani spinki do włosów i pistolet.

- To było później. Zostawiliśmy je, kiedy przygotowywał swój plan. Kiedy właściwie sam kopał sobie grób. Wyczyściłam je. Naprawdę kochałam te spinki do włosów. Och, posłużyły mi też jako argument. Wzięłam je. Byłam tam.

Jej twarz się zmieniła, stała się nieustępliwa, a jej głos zabrzmiał ochryple.

- Była we mnie, w klubie. Taka smutna, taka zimna, taka zagubiona. Śpiewałam, śpiewałam każdej nocy. Dlaczego miałam śpiewać dla bezwzględnego mordercy? Urodziłam mu dziecko, ale go nie chciał.

- A pani chciała? - spytała ją Eve.

- Miałam mętlik w głowie. Manipulował mną. To przez niego ćpałam i piłam. Hop zawsze miał najlepszy towar. Ale zamierzałam z tym skończyć, wrócić po córeczkę. Spakowałam się i napisałam do swojej staruszki. Chciałam rzucić Hopa, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Byłam dla niego źródłem dochodów. Nigdy nie chciał mieć dzieci. Tylko mnie, tylko to, co mu mogłam dać. Chciał, żebym wyłącznie śpiewała.

- Wysłała pani wiadomość do Rada, żeby ściągnąć go do klubu.

- Jasne. Skorzystałam z publicznego łącza. To łatwe i szybkie. Powiedziałam mu, gdzie i kiedy ma przyjść. Lubił, jak wykorzystywałam głos Bobbie - postugiwałam się jej

starymi nagraniami - w wiadomościach, które mu zostawiałam. Uważał, że to sexy. Dupek. Stał tam i szczyrzył do mnie zęby. „Przyniosłem to”, powiedział.

- Czyli co?

- Zegarek. Zegarek, który miał tamtej nocy, gdy mnie zastrzelił. Ten, który mu kupiłam, kiedy mój album zajął pierwsze miejsce na liście przebojów. Miał go na ręku i śmiał się do mnie. Strzeliłam do niego. Strzelałam, póki nie opróżniłam magazynka. Potem go przekreśliłam, przytknęłam mu lufę do głowy i jeszcze raz strzeliłam. Tak, jak on zastrzelił mnie. - Uśmiechnęła się z tryumfem. - Teraz on będzie krążył po tym przeklętym budynku każdej nocy. Przekonamy się, jak mu się to spodoba.

EPILOG

Kiedy Eve wyszła na korytarz i ocierała twarz dłońmi, Mira wyślizgnęła się z pokoiku do obserwacji.

- Nic nie mów - zaczęła Eve. - Szalona jak szczur w sraczu.

- Może niedokładnie tak brzmiałaby moja diagnoza, ale jestem pewna, że po dokładnym przebadaniu okaże się, że Maeve Buchanan jest chora psychicznie i wymaga leczenia.

- Nie mam nic przeciwko temu, o ile będzie leczona w zakładzie zamkniętym. Ani odrobiny wyrzutów sumienia. Ani odrobiny strachu. Nie próbuje się wymigać.

- Wierzy, że wszystko, co zrobiła, było usprawiedliwione, a nawet konieczne. Odnoszę wrażenie, przynajmniej przysłuchując się temu wstępnemu przesłuchaniu, że mówi ci prawdę dokładnie tak, jak ją widzi. Zarówno w rodzinie jej ojca, jak i matki występowały przypadki chorób psychicznych. Bardzo możliwe, że to dziedziczne. Odkrycie, kim była prababka, pomogło jej przekroczyć linię, obok której już od dawna stała.

- W jaki sposób to odkryła? - dodała Eve. - Oto jest pytanie. Widocznie ojciec musiał się wygadać.

- Być może. Nigdy nie czułaś, że po prostu coś wiesz? Oczywiście, że tak. A na podstawie tego, co usłyszałam o wydarzeniach dzisiejszej nocy, sądzę, że przeżyłaś szczególne spotkanie.

Eve zmarszczyła czoło i przesunęła palcami po zadrapanym policzku.

- Nie będę tu stała i mówiła, że widziałam ducha. I z całą pewnością nie wspomnę o tym w raporcie.

- Ale i w głębi duszy musisz przyznać, że Maeve dowiedziała się, kim naprawdę jest, bezpośrednio od Bobbie Bray. I dzięki informacjom Bobbie wiedziała, gdzie znajdują się jej szczątki.

- To niedorzeczne.

- Ale niewykluczone. I kiedy się o tym dowiedziała, coś w niej pękło. Poradziła sobie z tym, wcielając się w Bobbie. Uwierzyła, że jest wcieleniem kobiety, którą zabito, zanim w pełni wykorzystała swój potencjał. I gdyby żyła, gdyby wróciła po swoje dziecko, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej.

- Dała wiarę słowom ćpunka - zauważyła Eve. - I według mnie wykorzystała kobietę, która też została wykorzystana, a później zamordowana, żeby nadać większe znaczenie

swojemu własnemu życiu. - Przetarła oczy. - Napiję się kawy, a potem znów wezmę się za ojca. Dziękuję, że do mnie wysłaś.

- To było fascynujące. Chciałabym osobiście ją zbadać... jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Jak z nią skończę, będzie twoja. Ponieważ w całej komendzie tylko jej autokucharz serwował prawdziwą kawę, Eve najpierw udała się do swojego gabinetu. Zastała go tam; siedział za jej biurkiem, bawiąc się laptopem.

- Powinieneś pojechać do domu - powiedziała Eve Roarke'owi. - Wygląda na to, że spędzę tu całą noc.

- Dobrze, ale najpierw chciałem się z tobą zobaczyć. - Wstał i dotknął dłonią jej policzka. - Przyłóż sobie coś na to, dobrze? - Pocałował ją. - Przyznała się?

- Wszystko wyśpiewała. Jak z nut. Mira mówi, że to wariatka, ale nie uchroni jej to przed pobytem w zakładzie zamkniętym.

- To naprawdę smutne, że obsesja na punkcie jednej kobiety może spowodować tak wiele problemów i to przez tyle lat.

- Dziś w nocy to się skończy. Tym razem pocałował ją w usta.

- Postaraj się wrócić do domu jak najszybciej.

- Możesz na to liczyć. Kiedy została sama, usiadła i napisała raport, w którym oskarżyła Radcliffa C. Hopkinsa pierwszego o zamordowanie z premedytacją Bobbie Bray. Po chwili zastanowienia napisała drugi dokument.

Poprosiła, żeby wydano jej szczątki Bobbie Bray - jeśli nie zgłosi się po nie żaden krewny - by mogła je pochować. Cicho, bez rozgłosu.

- Ktoś powinien to zrobić - oświadczyła na głos. Nalała sobie kawy, rozmasowała bolące ramiona. I powróciła do pracy.

W pogrążonym w ciemnościach klubie „Pod Dwunastką” panowała cisza. Nikt nie śpiewał, nikt nie płakał, nikt się nie śmiał. Nikt nie chodził.

Po raz pierwszy od osiemdziesięciu pięciu lat naprawdę nie było tam ani żywego ducha.